



JILL MANSELL

TO TYLKO PLOTKI

Rumour Has It

Przełożyła z angielskiego
Dobromiła Jankowska

Wydawnictwo „Książnica”



Tacie – z miłością

Rozdział 1

To takie dziwne wrażenie, kiedy otwierasz drzwi wejściowe i nagle czujesz, że coś jest nie w porządku.

Tilly zatrzymała się w progu, szukając dłonią kontaktu, aby włączyć światło. Właśnie wróciła z pracy: była szósta po południu zimnego czwartkowego wieczoru w lutym. Nie miała powodu sądzić, że zdarzyło się coś niespodziewanego. Ale się zdarzyło - czuła to. Podświadomie wiedziała.

Pstryk! - i oślepiło ją jasne światło. Szósty zmysł jednak okazał się zdradliwy - drzwi otwierały się inaczej tylko dlatego, że z holu zniknął dywan.

Dywan? Czyżby Gavin coś na niego rozlał? Zaciekawiona Tilly, stukając obcasami o goły parkiet, skierowała się do salonu.

Co się tutaj wydarzyło? Rozejrzała się po pokoju, dostrzegając, że zniknął nie tylko dywan. Zniknęło wszystko. Wyglądało na to, że albo zostali namierzeni przez bardzo dokładnych włamywaczy, albo...

Zostawił list oparty o półkę na kominku. Gavin był jednak dość przewidywalny. Pewnie poradził się jakiegoś specjalisty od etykiety: *Drogi panie Idealny, planuję zostawić swoją dziewczynę bez słowa ostrzeżenia. Jak mam jej grzecznie wyjaśnić, co zamierzam?*

A na to pan Idealny powinien odpowiedzieć: Drogi Gavinie, biedaku! W sytuacji, w jakiej się znalazłeś, jedyną właściwą metodą jest przekazanie niezbędnych informacji w pisanym odręcznie liście - w żadnym wypadku nie drogą mailową ani, broń Boże, SMS-em - i pozostawienie na półce nad kominkiem, by nie można go było przeoczyć.

Bo szczerze mówiąc, innego wytłumaczenia nie było. Tilly przeprowadziła szybką inwentaryzację. Dlaczego miałyby zostać odtwarzacz DVD (jej), a zniknąć telewizor (jego)? Czemu ktoś zabierałby trzy czwarte filmów na płytach (wojenne, science fiction i tym podobne), a zostawiłby łzawe komedie romantyczne? I dlaczego nie było tu już stolika do kawy, który dostali od matki Gavina, za to...

- Tilly? Haaalo! To tylko ja!

Psiakość, nie zamknęła dobrze drzwi wejściowych! A teraz Babs z naprzeciwka weszła do środka, stąpając z przesadą na palcach, jakby to miało usprawiedliwić wtargnięcie do cudzego mieszkania.

- Cześć, Babs - odwróciła się Tilly. Może sąsiadka miała dla niej jakąś wiadomość od Gavina? A może poprosił ją, żeby wpadła do Tilly i sprawdziła, czy z nią wszystko w porządku? - Chcesz pożyczyc cukru?

- Nie, dzięki, słonko. Cukier już wychodzi mi uszami. Chciałam tylko zajrzeć i sprawdzić, jak sobie radzisz. Moje biedactwo. A ja myślałam, że wy dwoje jesteście razem tacy szczęśliwi... Nie miałam pojęcia! - Jaskrawozielone kolczyki zadzwęczały, gdy rozemocjonowana Babs energicznie pokręciła głową. - Papużki nierozłączki, tak was nazywaliśmy z Desmondem. O rany, rany, i cały ten czas dusiłaś to w sobie. A przecież mogłaś mi się zwierzyć, naprawdę, wiesz dobrze, że zawsze z chęcią cię wysłucham.

„Z chęcią cię wysłucham”? Babs żyła wyłącznie po to, by słuchać żalów innych ludzi. Na drugie imię mogłaby mieć Plotka, bo to właśnie było jej hobby numer jeden. Chociaż rzeczywiście nie można było jej nie lubić: miała dobre serce, była pełna najlepszych intencji i z zapalem chciała wszystkim pomagać.

- Powiedziałabym ci - odparła Tilly. - Gdybym wiedziała.

- DOBRY BOŻE! - Babs wydała z siebie piskliwy okrzyk niedowierzania. - To znaczy, że...

- Gavin mnie rzucił. Zwiął. - Tilly sięgnęła po leżący na kominku list. - Chyba że porwali go kosmici.

- Tyle że ja widziałam, jak po południu pakował swoje rzeczy do furgonetki firmy przeprowadzkowej. I nie było z nim kosmitów. - Babs dodała ze współczuciem w głosie: - Tylko jego mama i tata.

Następnego dnia wieczorem zatłoczony pociąg z dworca Paddington wtoczył się na stację Roxborough. Był piątek, dziewiętnasta piętnaście. Wszyscy jechali do domów.

Oprócz mnie. Ja uciekam z domu.

Na peronie czekała Erin, opatulona przed zimnem jaskraworóżowym płaszczem. Kiedy tylko dostrzegła Tilly w oknie pociągu, zaczęła machać do niej energicznie.

Sam widok przyjaciółki poprawił Tilly humor. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, co by zrobiła, gdyby Erin przy niej nie było. Dziesięć lat temu, kiedy wahała się, czy robić dyplom w Liverpoolu czy w Exeter, mogła wybrać Liverpool i nigdy by się nie spotkały. Ale zamiast tego wyruszyła do Exeter - było w tym mieście coś nadmorskiego, a oprócz tego koleżanka koleżanki wspomniała, że kręci się tam mnóstwo przystojnych facetów - i poznała Erin, która mieszkała w tym samym akademiku, w sąsiednim pokoju. Od pierwszego dnia między dziewczynami zaiskrzyło - platoniczny ekwiwalent miłości od pierwszego wejrzenia. Czasem Tilly ze zdziwieniem myślała, że gdyby jednak pojechała do Liverpoolu - gdzie zapewne także snuły się hordy przystojniaków - mogłaby mieć zupełnie inną najlepszą przyjaciółkę, na przykład jakąś wysoką chudą sportsmenkę o imieniu, powiedzmy, Monica. Rany, to dopiero byłby dramat!

- Uff! - sapnęła Erin, gdy uścisk Tilly prawie zgniótł jej płuca i zabrał oddech. - A to za co?

- Cieszę się, że nie jesteś sportsmenką o imieniu Monica.

- O rety, ani ty, ani ja! - Wzdrygając się na samą myśl, Erin wzięła przyjaciółkę pod ramię. - Dobra, kochana, idziemy do domu. Zrobiłam pudding karmelowy.

- No widzisz? - uśmiechnęła się Tilly. - Monica nigdy by tak nie powiedziała. Zaproponowałyby raczej: „Może przebiegniemy sobie z dziesięć kilometrów, to na pewno nas rozweseli!”.

Mieszkanie Erin, tak samo dziwaczne i niepasujące do niczego jak pozostałe domy usytuowane wzdłuż głównej ulicy Roxborough, było kawalerką mieszczącą się na pierwszym piętrze, nad sklepem z używanymi ekskluzywnymi ubraniami, który Erin prowadziła od siedmiu lat. Oczywiście nie o takiej pracy marzyła, odbierając dyplom z wyróżnieniem na Wydziale Romanistyki Uniwersytetu w Exeter, ale choć planowała pracę tłumaczki w Paryżu, zamierzenia te spaliły na panewce, bo miesiąc po jej dwudziestych pierwszych urodzinach matka Erin dostała wylewu. W ciągu jednej nocy Maggie Morrison z wesołej, energicznej sprzedawczyni antyków zmieniła się w kruchy, nieobecny cień dawnej siebie. Zrozpaczona Erin porzuciła marzenia o Paryżu i wróciła do Roxborough, by opiekować się matką. Jako że była zupełną ignorantką w kwestii sprzedaży antyków, zmieniła sklep w miejsce skupu i sprzedaży ekskluzywnych ciuchów, a prowadzenie go bardzo starała się połączyć z opieką nad Maggie.

Trzy lata po pierwszym wylewie nastąpił drugi i Maggie zmarła. Żal pomieszany z uczuciem ulgi wywołał w Erin jeszcze większą rozpacz, ale w trudnych sytuacjach mieszkańcy Roxborough znajdują w sobie nowe pokłady energii. Do tej pory Erin planowała, że po śmierci matki przeprowadzi się do Paryża, ale kiedy nadeszło nieuniknione, zdała sobie sprawę, że wcale nie chce wyjeżdżać. Roxborough, dawne centrum handlu usytuowane na wzgórzach Cotswolds, było przecież wspaniałym miejscem do życia. Ludzie byli tu troskliwi

i wspierali się nawzajem, duch wspólnoty zdawał się wszechobecny, a sklep dobrze prosperował. Tutaj Erin czuła się szczęśliwa i kochana, po co więc wyjeżdżać?

A teraz, po prawie czterech latach, Erin miała więcej powodów, by zostać w rodzinnym mieście. Tyle że jeszcze nie chciała mówić o nich Tilly, która próbowała otrząsnąć się po zniknięciu Gavina. Nie byłoby to delikatne posunięcie. Erin musiała jednak przyznać, że przyjaciółka radzi sobie nadszpiewanie dobrze. Najpierw Tilly była w szoku, to prawda, ale zdawało się, że odkrycie, iż jej facet się wyprowadził, jest dla niej większym zaskoczeniem niż powodem do zmartwień.

- Zadzwoiłam do niego dzisiaj po południu - odezwała się Tilly, pochłaniając kolejne łyżki karmelowego puddingu. - Serio, nigdy byś nie uwierzyła. Bał się powiedzieć mi prosto w oczy, co zamierza, żebym przypadkiem się nie rozpląkała, więc jedyne, co mu przyszło do głowy, to dać dyla. Wprowadził się na powrót do swoich rodziców i „bardzo mu przykro”, ale poczuł, że nasz związek zmierza donikąd. Więc zwał! - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - A ja zostałam z mieszkaniem, na które za żadne skarby nie mogę sobie pozwolić przy jednej pensji, a nie mam nawet jak szukać współlokatorki, bo tam jest tylko jedna sypialnia! I kto tu jest egoistą?

- A płakałaś? Gdyby powiedział ci to w oczy?

- Co? Jezu, nie wiem. Może.

- M o ż e ? Jeśli jesteś w kimś szaleńczo zakochana, a on cię rzuca, to wypada trochę popłakać. - Erin oblizła łyżeczkę i wymierzyła ją w Tilly. - Właściwie to powinnaś wylewać hektolitry łez.

Tilly przyjęła postawę obronną.

- Niekoniecznie. Mogę rozpaczać w środku.

- Hektolitry! - powtórzyła Erin. - Co przypuszczalnie oznacza, że wcale nie jesteś taka nieszczęśliwa. Szczerze mówiąc, zdaje mi się, że nawet trochę ci ulżyło po odejściu Gavina. Bo w głębi serca c h c i a ł a ś , by zakończył ten związek, ponieważ sama nie miałaś dość siły, żeby to zrobić.

Tilly zarumieniła się i milczała.

- Ha! Widzisz! Mam rację, prawda? - Erin wydała z siebie okrzyk triumfu. - Tak samo było z Mickeyem Nolanem. Naprawdę ci się podobał, potem zrobiło się trochę nudno, a ty nie wiedziałaś, jak się rozstać, nie raniąc jego uczuć. Dlatego zaczęłaś się stopniowo od niego odsuwać, aż w końcu zdał sobie sprawę, że wasz związek nie ma perspektyw. No i jeszcze Darren Shaw - przypomniała sobie. - Jemu zrobiłaś to samo. Czujesz się winna, gdy musisz rzucić jakiegoś faceta, więc zmuszasz ich, by to oni rzucili ciebie. Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz to zauważyłam.

- Może masz rację - przyznała Tilly.

- Ja mam rację!

- Mówiłam ci kiedyś o Jamie Dalstonie?

- Nie. A co, jego też tak wymanewrowałaś?

- Nie. Kiedy miałam piętnaście lat, chodziliśmy ze sobą kilka tygodni. Potem zrozumiałam, że jest jakiś dziwny, więc go rzuciłam. - Tilly zamilkła, wpatrując się w ogień na kominku i pogrążając we wspomnieniach. - I dopiero wtedy zaczęło się robić dziwnie, bo Jamie nie pogodził się z tym, że go nie chciałam. Wydzwaniał bez przerwy do mojego domu i chodził wzdłuż naszej ulicy tam i z powrotem. Kiedy wychodziłam z domu, śledził mnie. A potem na urodziny przysłał mi w prezencie bardzo drogą biżuterię. Moja mama zaniósł ją do jego mamy i w to wszystko wmieszała się policja. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale wydaje mi się, że Jamie ukradł pieniądze, żeby kupić te kosztowności. W każdym razie kilka tygodni później jego rodzina wyprowadziła się i nigdy potem już go nie widziałam, ale naprawdę niezłe mnie nastraszył. Zawsze kiedy czytam w gazetach o różnych popaprzanych facetach, którzy śledzą swoje byłe, tamte obawy wracają. Chyba dlatego właśnie wolę, by to

facet mnie zostawił, a nie odwrotnie. Wtedy jest mniej prawdopodobne, że będzie za mną łązić.

- A więc tak naprawdę cieszysz się, że Gavin zniknął - podsumowała Erin.

- Cóż, i tak nam nie szło. Był taki poukładany we wszystkim, co robił, że czułam się w tym związku jak w pułapce - przyznała Tilly. - Ale jego matka wciąż mi powtarzała, jaki jej synek jest cudowny, a ja nie miałam serca, by odpowiedzieć: „Tak, tylko czy nie mogłby być trochę mniej nudny?”.

- Ale przecież się do niego wprowadziłaś - zauważyła Erin. - Od samego początku był taki nudny?

- No właśnie chodzi o to, że nie wiem! Wydaje mi się, że tak, ale dobrze to ukrywał. Zanim razem zamieszkaliśmy, nie powiedział mi na przykład, że należy do klubu modelarskiego - przypomniała sobie Tilly. - I jakoś nie wspomniał, że w wolnych chwilach lubi bić w dzwony. Rany boskie, tak mi wstyd! Jak mogłam chodzić z kimś przez pół roku i nie wiedzieć, że bardzo chciałby zostać dzwonnikiem?

- Daj spokój. - Erin zakończyła rozmowę pocieszającym tonem. Odstawiła na stolik puste miseczki po puddingu i wstała. - Przestało padać. Idziemy do pubu.

Rozdział 2

Gdy się mieszkało przy High Street, najlepsze było to, że na drugim końcu ulicy mieścił się pub Leniwy Lis - wystarczająco daleko, aby przez okna nie wpadały dźwięki odbywającego się tam wieczorami karaoke, ale dość blisko, aby móc w nocy wrócić piechotą do domu. Tilly lubiła atmosferę panującą w Lisie - zarówno dzięki klientom, jak i wesołemu personelowi. Podobało się jej, kiedy Declan - właściciel - usłyszawszy rzewną historię Tilly od Erin, rzekł swobodnie:

- Facet musi być walnięty. Przyjedź tutaj i zamieszkać w Roxborough. Świeże wiejskie powietrze i dużo jabłkowego piwa - wyrosną ci włosy na kłacie.

Tilly uśmiechnęła się szeroko.

- Dzięki, ale jestem typowym mieszczuchem.

- Do diabła! Przecież to też miasto!

- Jej chodzi o Londyn - podpowiedziała Erin.

- Paskudne miejsce do życia. - Declan pokręcił głową. - U nas jest dużo przyjemniej.

- Mam tam pracę - wyjaśniła Tilly.

Mężczyzna spojrział z udawanym przejęciem.

- Och, rozumiem - p r a c a . Jesteś premierem? Dyrektorem generalnym BBC?

Erin trąciła dłoń Declana.

- Hej, daj jej spokój.

- W naszych gazetach przynajmniej drukują porządne wiadomości - odparowała Tilly, rozbawiona uwagami Declana, wskazując na egzemplarz „Roxborough Gazette”, którą czytał w przerwach między obsługiwaniem kolejnych klientów. - Co tam macie na pierwszej stronie? *Krowa spada z mostu?* Na pierwszej stronie!

- No i co z tego? Przynajmniej nie napadają nas terroryści i mordercy. - Mrugnął Declan. - Dlatego tu mi się podoba. A mieszkałem w Londynie trzydzieści lat.

- A właściwie co się stało z tą krową? - Tilly pochyliła się, ale Declan zabrał jej gazetę sprzed nosa.

- Nie ma mowy. Jeśli ktoś śmieje się z naszych nagłówków, to nie dowie się, jak kończą

się nasze historie. Może krowę uratowali dzielni strażacy, wyciągając ją spod mostu jak spadochroniarza na linie? A może zostawili biedne zwierzę na pewną śmierć? To dopiero jest *w-muu-uszająca* historia...

Kiedy dziewczyny wychodziły z pubu dwie godziny później, Declan był już milszy: złożył gazetę wpół i wcisnął ją do zielono-złotej skórzanej torby Tilly.

- No masz, masz, możesz sobie poczytać do końca. Może to nie „Evening Standard”, ale nasza gazeta też ma swój urok, wiesz? W pewnym sensie jest wręcz zwierzęco pociągająca.

Najgorsze było to, że po trzech piwach Tilly uznała jego żarty za całkiem zabawne. Jakoś udało się jej jednak zachować poważną twarz.

- To dlatego wykurzyli cię z Londynu - zwróciła się do Declana. - Za te koszmarnie, nieśmieszne dowcipy.

- Trafiałś w sedno, kochana. I bardzo się z tego cieszę - przyznał mężczyzna. - Będę im za to *bee-rdzo* wdzięczny do końca życia.

Gdy tylko Tilly i Erin wyszły na zewnątrz, mimo późnej pory naszła je ochota na jedzenie. Ruszyły w górę ulicy, gdzie znajdował się barek z rybą i frytkami. Czekając w kolejce, Tilly wyjęła gazetę i przeczytała, że ową krowę - piękne czarno-białe zwierzę rasy fryzyjskiej o imieniu Mabel - w istocie uratowali strażacy z Roxborough, którzy połączyli ją na powrót z jej cielakiem Ralphem. Cóż za dobra wiadomość. Lepsza niż dramatyczna śmierć, zwisające głową w dół zwierzę i żałośnie muczący malutki Ralph...

- Och, przepraszam. Poproszę łupacza z frytkami i dorsza z frytkami.

Po wyjściu z kolejki Tilly energicznie odwinęła gorący papier i oderwała pierwszy kawałek ryby.

- Mniam. Mmmniam.

- Ja poczekam, aż dojdziemy do domu - odezwała się Erin.

- Nie możesz! Tak robią tylko starcy! Ryba z frytkami smakuje milion razy lepiej na świeżym powietrzu.

- Mam dwadzieścia osiem lat - z radością przypomniała Erin. - Już się starzeję. Ty zresztą też.

- Wiedźma! - Oburzona Tilly rzuciła w przyjaciółkę frytką. - Nie jestem stara. Jestem młoda jak szczypiorek na wiosnę.

Kilku nastolatków przechodzących właśnie przez ulicę parsknęło i trąciło się łokciami. Tilly usłyszała, jak jeden z nich mruczy pod nosem: „Pomarzyć zawsze można”.

- Na miłość boską! - Zrezygnowana Tilly rozłożyła ręce. - Czemu wszyscy się dzisiaj na mnie uwzięli? Dwadzieścia osiem lat to nie starość! Jestem w kwiecie wieku!

Inny chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Za dwa lata - powiedział - skończysz trzydzieści. A to już jest starość.

- Mogę robić dokładnie to samo co wy - z zapalem dyskutowała Tilly. - Założymy się?

- To spróbuj obsikać ten mur.

Cholera, nie znosiła przemądrzałych gówniarzy.

- Albo zrób to - zawołał pierwszy nastolatek, biorąc rozbieg i bez wysiłku przeskakując przymocowany do podłoża kubeł na śmieci z wysoką pokrywą, stojący niedaleko rybiarni.

Tak, to mogło się udać. Sikanie na ściany sprawiłoby Tilly problem, ale w takich skokach była prawdziwą specjalistką. Niestety, tego wieczoru miała na sobie dość krótką spódnicę, choć - na szczęście - była ona uszyta z rozciągliwego materiału. Tilly wcisnęła swoje jedzenie w ręce Erin, wzięła rozbieg i rzuciła się na kosz.

Przeskoczyła przezeń bez najmniejszego wysiłku - przepłynęła górą niczym zawodowa baletnica. Dopiero gdy wylądowała, zdała sobie sprawę, że coś poszło nie tak. Ale jak często zbiegiem okoliczności twoja lewa stopa ląduje na tej samej frytce, którą kilka minut wcześniej rzuciłaś w swoją najlepszą przyjaciółkę, która nazwała cię „starą”?

- Heeejaaa! - wrzasnęła Tilly, kiedy jej lewa noga skręciła się pod dziwnym kątem, a ręce

zaczęły wykonywać młynki w powietrzu. Usłyszała, jak przyjaciółka krzyczy przerażona: „Uważaj na...” - na ułamek sekundy przed tym, jak Tilly z impetem wjechała w bok zaparkowanego obok samochodu.

Au! Może i uratowała się przed upadkiem, ale i tak zabolalo. Tilly rozplaszczyla się na drzwiach niczym postać z kreskówki, zauważając przy okazji, że uderza w nieskazitelnie czysty i błyszczący wóz.

- Hej! - usłyszała nagle męski głos (bynajmniej nie rozbawiony) dobiegający gdzieś z końca ulicy.

Cóż, jeszcze pięć sekund temu to naprawdę był nieskazitelnie czysty i błyszczący samochód. Odrywając się od karoserii, Tilly dostrzegła, że tłustymi od ryby i frytek palcami usmarowała drzwi od strony pasażera, błotnik i lśniącą szybę. Rękawem marynarki próbowała zetrzeć najbardziej widoczne smugi. Męski głos, wyraźnie rozzłoszczony znów krzyknął:

- Zadrapała mi pani lakier!?

- Nie, nie zadrapałam, zresztą i tak nie powinien pan tu parkować. Jest zakaz. - Tilly spojrzała przez ramię i widząc, że nieznajomy jest zbyt daleko, by ją dogonić, odebrała swoją porcję ryby od Erin i zrobiła to, co zrobiłaby każda szanująca się dwudziestoosmiolatka - zaczęła wiać.

- Już w porządku - wysapała Erin po chwili - on nas nie goni.

Zwolniły do truchtu i Tilly wróciła do konsumpcji frytek. Szły zgodnie po mokrym chodniku, gdy nagle się odezwała:

- Dobrze, że nie było tam nikogo, kto by robił zdjęcia. W takim mieście smarowanie czystych szyb tłustymi paluchami z pewnością trafiłoby na pierwszą stronę.

- Wiesz co, Declan ma rację. Spodobałoby ci się tutaj. - Erin, która wciąż nie tknęła swojego jedzenia, podkrađła jedną frytkę Tilly. - Jeśli chciałabyś spróbować, możesz mieszkać u mnie tak długo, jak zechcesz.

Tilly była wzruszona propozycją przyjaciółki, ale nie mogła z niej skorzystać. Przez te wszystkie lata, gdy opiekowała się matką, Erin spała na sofie w salonie, a Maggie zajmowała jedyną sypialnię w mieszkaniu. Nie było to idealne rozwiązanie. Tilly wiedziała, jak źle czuła się Erin. Można było ją odwiedzić i zostać na kilka dni, ale małe mieszkanie nie pozwalało na dłuższe wizyty.

Dotarły do końca High Street. Musiały tylko przejść na drugą stronę i już były w domu. Wrzucając kolejne frytki do ust, Tilly grzecznie czekała, aż przejedzie obok nich autobus, a za nim błyszczący czarny samochód...

- Jasna cholera! - wrzasnęła Tilly, kiedy auto wjechało w wielką kałużę przy krawężniku, obryzgując jej spódnicę i nogi lodowatą wodą. Odskoczyła (za późno) i dostrzegła lśniące białe zęby kierowcy, który uśmiechał się złośliwie i podnosił rękę w nieszczerym geście przeprosin, a potem przyśpieszył i odjechał.

- To był on, prawda? - Tilly wzdrygnęła się, kiedy lodowata woda przeciekła przez kryjące rajstopy. Aby się ogrzać, przytuliła do siebie paczuszkę z jedzeniem. - To on na mnie wrzeszczał.

- Ten sam samochód - potwierdziła Erin. - Jakiś model jaguara.

- A to drań, zrobił to specjalnie! - Tilly była jednak pod wrażeniem. - Całkiem sprytne.

Erin spojrzała ze zdziwieniem.

- Sprytne?

Tilly wskazała na nietknięty kremowy płaszcz Erin, a potem na swoją przemoczoną spódnicę i rajstopy.

- Udało mu się ominąć ciebie i ochlapać wyłącznie mnie.

Następnego ranka Tilly obudziła się na kanapie, stwierdzając, że ma wyschnięte gardło i zimne nogi, a kołdra leży na podłodze. Była dziesiąta rano i godzinę wcześniej Erin na

palcach przeszła obok, żeby zejść i otworzyć sklep. Później Tilly miała dołączyć do niej na chwilę, by potem wybrać się na spacer po Roxborough, ale teraz musiała jeszcze trochę poleniuchować i pozastanawiać się, co zrobić z resztą swojego życia.

Zrobiła sobie herbatę i tosty, wciągnęła koldrę na kanapę i przykryła się nią. Następnie włączyła telewizor i pogrzebała w torebce, aby znaleźć w niej komórkę i sprawdzić wiadomości. Nie było żadnej, nawet od Gavina. A to nawet dobrze, uznała Tilly, bo ostatnie, czego chciała, to aby były facet zaczął mieć wątpliwości co do swojej decyzji.

Poprawiając poduszki i popijając herbatę, Tilly wyjęła z torebki „Roxborough Gazette” i wyglądziła kolejne strony. Opowieść o krowie wciąż wywoływała uśmiech na twarzy. Przekartkowała gazetę, by dowiedzieć się, że dwie pary bliźniaków urodziły się kobietom mieszkającym przy tej samej ulicy. Czyż to nie idealna wiadomość na pierwszą stronę? Był też artykuł o aukcji traktorów - porywający, oczywiście - i cała strona poświęcona kiermaszowi charytatywnemu organizowanemu w szkole w Roxborough. Tilly przebiegła wzrokiem zdjęcia młodych par, artykuł o zwisającej gałęzi, która mogła być bardzo niebezpieczna, gdyby oderwała się i spadła komuś na głowę, i o tym, że kolejny autobus zepsuł się na Scarratt's Lane, blokując drogę na całe - ojej! - trzy i pół godziny. Było nawet zdjęcie rozkraczanego autobusu i porzuconych pasażerów stojących obok, udających wielkie przygnębienie (oprócz pewnego malucha, mniej więcej pięcioletka, który szczyrzył się od ucha do ucha).

Było to nawet dość urocze. Najgorsze, co wydarzyło się w miasteczku w ciągu ostatniego tygodnia, to fakt, że pewien mężczyzna zasnął i zmarł, kopiąc ziemniaki w swoim ogrodzie, ale w końcu miał dziewięćdziesiąt trzy lata, więc nie była to aż tak wielka niespodzianka. Popijając herbatę, Tilly przewróciła następną stronę, żeby zerknąć na ogłoszenia o pracy. Mechanik samochodowy, pomywaczka, barman w hotelu Castle, pani z lizakiem przeprowadzająca dzieci przez skrzyżowanie. I dalej: praca biurowa... taksówkarz... sprzątaczką... ogrodnik... hm, może wdowa po dziewięćdziesięcioletku chciała, żeby ktoś wykopał resztę ziemniaków?

Uwagę Tilly zwróciło nagle małe ogłoszenie w ramce umieszczone na dole strony: Dziewczyna do towarzystwa, zabawna praca, dom na wsi, dwieście funtów za tydzień.

Krótko i na temat. Tilly zastanawiała się, co znaczy „zabawna praca” - dla niektórych nawet księgowość to zabawne zajęcie, a Simon Fuller pewnie i swojego niewolnika przekonałby, że praca dla niego może być zabawna. Ale może „zabawna” oznaczało zabawianie jakiegoś obleśnego biznesmena?

Tilly ugryzła grzanekę, odwróciła stronę i zaczęła czytać ogłoszenia w rubryce na sprzedaż: francuska suknia ślubna w rozmiarze XXL, nigdy nienoszona... gitara akustyczna, stan idealny, oprócz śladów zębów... serwis obiadowy, sztuk pięćdziesiąt dziewięć (jeden talerz zniszczony, rzucony w kłamliwego męża oszusta)... komplet płyt DVD z filmem *Star Trek* (powód sprzedaży: żenię się, a ona nie przepada za fantastyką)...

Nawet ogłoszenia w gazecie miały tu swój urok - Tilly znów się uśmiechnęła. Dokończyła tost i zajęła się rubryką samotnych serc - mężczyzna, lat 63, szuka młodszej kobiety, która musi lubić szprotki - potem nieruchomości na sprzedaż (wszystkie poza jej zasięgiem), a w końcu nudnymi stronami sportowymi.

Zerknęła na ostatnią stronę i nieświadomie wróciła tam, gdzie zauważyła t a m t o ogłoszenie.

Jakby coś ją wzywało, wołało jej imię. Co było zupełnie nonsensowne, bo w ogłoszeniu nie umieszczono nawet informacji, jakie obowiązki wchodzi w zakres pracy, pieniądze też okazały się śmieszne, ale przecież jeden telefon, by dowiedzieć się więcej, nikomu nie mógł zaszkodzić, prawda?

Tilly sięgnęła po komórkę, wcisnęła następne cyfry i czekała na sygnał.

- Halo - odezwał się głos automatycznej sekretarki - zostaw wiadomość po...

- ...sygnale - dokończyła Tilly, ale połączenie przerwano. Cisza - żadnego głosu, sygnału, nic. Sekretarka była pełna.

No cóż, to by było tyle. Ktokolwiek zamieścił to ogłoszenie, był pewnie zmęczony kolejnymi telefonami i opędzaniem się od chętnych. Zresztą praca okazałaby się zapewne tańcem na rurze.

Lepiej zrobi, gdy w końcu wstanie.

Rozdział 3

W niedzielę po południu Erin zawiozła Tilly na dworzec.

- Wiesz już, co zrobisz? - spytała.

Przyjaciółka skrzywiła się i pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Najpierw znajdę jakieś tańsze lokum. Co innego mogę zrobić? Oprócz przekonania mojego szefa, by podwoił mi pensję. Mogę też napisać do George'a Clooneya i spytać, czy nie miałby nic przeciwko, gdybym wprowadziła się do jego willi nad jeziorem Como. Zawsze jest jakaś szansa. - Na parkingu było zimno, więc Tilly ucałowała Erin i dodała: - Dzięki za miły weekend, dam znać, co słyhać.

- Mogłabyś też zaproponować, że zostaniesz jego nową dziewczyną - zażartowała Erin, przytulając się. - Na pewno nie chcesz, żebym z tobą zaczekała?

- Nie martw się, wszystko dobrze. Pociąg przyjedzie za dziesięć minut. Zmykaj do domu.

Powiedziała to w złą godzinę... Dwie minuty po tym, jak Tilly usiadła na ławce, rozległo się ogłoszenie, że pociąg do stacji Londyn Paddington będzie opóźniony o czterdzieści minut.

Wszyscy pasażerowie czekający na peronie wydali z siebie zgodny jęk. Łapiąc się ostatniej iskielki nadziei, Tilly spojrzała na starszą panią stojącą obok i spytała:

- Powiedzieli „czternaście” czy „czterdzieści”?

Kobieta cmoknęła z niezadowoleniem i powtórzyła:

- Czterdzieści.

Mąż jakiejś młodszej kobiety, próbując uspokoić wrzeszczące dziecko, potrząsnął głową i mruknął z niezadowoleniem:

- To dopiero będzie ubaw.

Ubaw.

Zabawa. Zabawna praca. Dom na wsi. Przypominając sobie gazetę, którą wyrzuciła do kubła na śmieci w mieszkaniu Erin, Tilly zaczęła żałować, że nie zadzwoniła pod podany numer jeszcze raz.

A potem drgnęła, zdając sobie sprawę, że przecież ma ów numer wpisany w pamięć komórki. Musiała tylko wejść w rejestr połączeń.

- Halo? To ja. Ten cholerny pociąg się spóźnia, więc dojedziemy najwcześniej o szóstej, cholerne koleje...

Tilly wstała i odeszła kawałek od marudzącego mężczyzny, który teraz głośno narzekał do komórki, że dziecko po prostu go dobija. Przycisnęła telefon do ucha i czekała na sygnał. Tym razem nie włączyła się sekretarka. W ogóle nikt się nie włączał przez dłuższą chwilę. Osiem sygnałów, dziewięć, dziesięć...

- Halo? - Głos był młody i zasapany, należał do kobiety.

- Dzień dobry, dzwonię w sprawie ogłoszenia... - zaczęła Tilly. - Chciałam tylko zapytać...

- Momencik, zawołam tatę. Tatooo! - wrzasnęła dziewczyna.

- Au. - Tilly aż mrugnęła, gdy jej lewy bębenek wyraźnie odczuł nadmiar decybeli.

- Rany, przepraszam. Mam mocne płuca. Już, sekundę. Tato, następna w sprawie pracy.
- Jasny gwint, jakbyśmy nie mieli ich już dosyć! - Męski głos zdawał się zmęczony, beznamiętny i wyraźnie liverpoolski. - Powiedz jej, że dzwoni za późno i że ktoś inny przyjął już tę pracę.

Tilly poczuła nagle ducha rywalizacji. Jeszcze dwie minuty wcześniej nawet nie chciała tej pracy. Ale teraz, skoro facet próbował ją spławić...

- Właściwie to - odchrząknęła - możesz mu powiedzieć, że wszystko słyszałam. Czy twój ojciec mógłby mieć choć na tyle przyzwoitości, żeby ze mną porozmawiać?

Dziewczyna odparła z rozbawieniem:

- Sekundę. - I ciszej: - Och, tato, ona jest na ciebie obrażona.

Tilly usłyszała odgłos oddawania słuchawki i zduszone szepty.

- Oczywiście, przepraszam. - Męski głos wciąż mówił z wyraźnym akcentem, ale był teraz odrobinę miłszy niż przedtem. - Jeśli chce pani znać prawdę, ogłoszenie to kompletna pomyłka. Właśnie wróciliśmy z wakacji i okazało się, że automatyczna sekretarka zatkała się od nadmiaru wiadomości. Informacja miała się ukazać dopiero w przyszłym tygodniu. A ja teraz mam jedynie ochotę na filiżankę herbaty i kanapkę z szynką, tyle że nie dostanę ani jednego, ani drugiego, dopóki ten przeklęty telefon nie przestanie dzwonić, a kolejne dziewczyny nie przestaną wypytywać o pracę. Nie wiem, co mam z nimi robić. Ale słucham - zakończył zmęczonym głosem - niech pani mówi. Proszę podać nazwisko i numer telefonu, a ja oddzwonię w ciągu tygodnia i umówimy się na rozmowę.

- Chwileczkę - przerwała Tilly. - Ja nawet nie wiem, czy chcę umawiać się na rozmowę. Co robi taka dziewczyna do towarzystwa?

- Wszystko.

- A w ogłoszeniu napisał pan, że to zabawna praca. Co to oznacza?

- Że istnieje szansa, iż przez jakieś dwa procent całego czasu będzie się pani dobrze bawić. Przez pozostałe dziewięćdziesiąt osiem będzie to czysta katorga.

- Jasne, teraz po prostu próbuje pan mnie zniechęcić, aby nie musieć się ze mną spotykać - podejrzliwie oceniła Tilly. - Ta „praca” - czy ma coś wspólnego z porno?

- Storno?

- Porno. Pornografią. Z seksem. - Dobiegający zza pleców Tilly odgłos nabieranego przez kilkanaście osób powietrza oznaczał, że wszyscy obecni na peronie przysłuchują się jej rozmowie.

- Nie, przykro mi. - Mężczyzna wydawał się rozbawiony. - A co, miała pani nadzieję, że powiem „tak”?

- Nie, zupełnie odwrotnie. - Tilly bardzo się starała, by jej głos zabrzmiał elegancko, ale niezbyt przesadnie. - A dlaczego płaci pan tylko dwieście funtów tygodniowo?

Tym razem nieznamy otwarcie się zaśmiał.

- To praca z mieszkaniem. Wszystko inne jest wliczone, łącznie z samochodem.

Okej, zaczynał brzmieć przekonująco. Tilly zebrała się na odwagę:

- Wie pan co? Byłabym świetna w tej pracy.

- Dobrze już, dobrze. Tylko zerknę do kalendarza. - Usłyszała dźwięk przewracanych stron. - W porządku, umówmy się na spotkanie. Proszę przyjść w czwartek po południu, to będziemy mogli się poznać. Odpowiada pani szesnasta?

- Nie bardzo - skrzywiła się Tilly.

- Siedemnasta? Osiemnasta?

- Proszę posłuchać: czy mieszka pan w Roxborough?

- Nie, mieszkamy w Honolulu, dlatego właśnie dałem ogłoszenie w „Roxborough Gazette”.

Kolejny kiepski dowcip w liverpoolskim stylu.

- Bo ja mieszkam w Londynie. Ale w tej chwili stoję na peronie dworca w Roxborough i

czekam na pociąg. - Czekam, aż pójde na dno, pomyślała Tilly. Wzięła głęboki oddech i dodała: - Więc byłoby wspaniale, gdybym mogła teraz przyjechać i spotkać się z panem.

Cisza. Długa cisza. W końcu usłyszała westchnienie.

- Mówiłem już, jaki jestem wykończony?

- Pan mnie będzie przesłuchiwał, a ja mogę panu przygotować pyszną kanapkę z szynką - niewinnie zaproponowała Tilly.

Parsknął z rozbawieniem.

- Nie daje pani za wygraną, co?

- Jestem niedaleko. - Tilly musiała wykorzystać najmniejszą nawet szansę powodzenia. - Jeśli nie może pan spotkać się ze mną teraz, wracam do Londynu. A pan straci okazję.

- No proszę, na dodatek skromna.

- Proszę tylko pomyśleć. Jeśli okażę się idealną kandydatką, nie będzie pan musiał rozmawiać z nikim innym.

Znów długa pauza. A potem odparł:

- No dobrze, niech pani przyjeżdża. Mieszkamy w Beech House, przy Brockley Road, musi pani przejechać przez most, a potem skręcić w prawo przy wyjeździe z miasta. Wie pani, gdzie to jest?

- Nie, ale znajdę drogę, proszę się nie martwić. - Czy zabrzmiała dość przekonująco? - Będę za dziesięć minut.

Cóż, byłaby, gdyby tylko pod dworcem stała jakaś taksówka. Ale o tym Tilly mogła tylko pomarzyć, bo było zimne lutowe popołudnie i każdy szanujący się taksówkarz z Roxborough odsypiał w swoim domu niedzielny lunch. A Tilly nie miała sumienia znów dzwonić do Erin. Zresztą jak daleko mógł być Beech House? Na pewno nie więcej niż kilometr. Na piechotę powinna tam zajść w kwadrans.

Padalo. Droga była dłuższa niż kilometr. Padalo coraz bardziej i niebo zrobiło się prawie czarne, tak jak szara bluza i dzinsy Tilly, która nierozważnie nie wzięła ze sobą nawet parasolki. Kółeczka podręcznej walizki obijały się o kostkę brukową, gdy ciągnęła bagaż za sobą. Po dwudziestu pięciu minutach po swojej prawej stronie ujrzała dom i przyśpieszyła kroku. Nareszcie, dzięki Bogu, dotarła do Beech House. Skręciła przez kamienną bramę opartą na wysokich filarach i ruszyła po żwirowym podjeździe. Dziewiętnastowieczny dom był ogromny, onieśmielający i oświetlony na powitanie gości niczym londyński Harrods na Boże Narodzenie.

Sapiąca i przemoczona Tilly dotarła do frontowych drzwi i zadzwoniła. Po co w ogóle tu przyszła? Właściciel pewnie okaże się jakimś dziwakiem; wystarczy jedno spojrzenie i już będzie wiedziała, że nie zechce tu pracować za żadne...

- Jasny gwint, dziewczyno! Jak ty wyglądasz? - Drzwi otworzyły się szeroko i rzeczony dziwak wpuścił Tilly do środka. - Już myślałem, że nas wystawiłaś. „Trzymaj na dystans, ale trzymaj”. Tylko mi nie mów, że przyszłaś tutaj z dworca na piechotę.

Skinęła głową, a cudowne ciepło sprawiło, że dopiero teraz zaczęła szczekać zębami.

- Nie b-b-było żadnych t-t-taksówek.

- No cóż, wszyscy tutejsi taksówkarze to śmierdzące lenie. A ty nie masz nawet płaszcz. - Spojrzał przerażony na przemoczoną bluzę. - Gdybyś zadzwoniła, to przecież bym po ciebie przyjechał. Jeśli dostaniesz zapalenia płuc i padniesz trupem, będę cię miał na sumieniu, tak?

- Podpiszę uniewinnienie. - Tilly wyciągnęła dłoń na przywitanie. - Jestem Tilly Cole, miło mi pana poznać.

- Mnie również miło cię poznać, Tilly Cole. Jestem Max Dineen. - Był wysoki, szczupły, miał chyba około czterdziestki, krótkie falujące jasne włosy i przyjazne szare oczy za stalowymi oprawkami okularów. - Wejdz, musimy cię jakoś wysuszyć. Zwykle mówię to do Betty - dodał, prowadząc ją do kuchni.

- To pańska córka?

Max wskazał brązowo-białego teriera leżącego na poduszce w jednej z okiennych wnęk.

- To nasz pies, ale łatwo się pomylić. Nawet mnie się mylą. Ale tylko Betty ma zawsze zimny nos - mówił dalej, kiedy rozległ się dźwięk kroków na schodach i w kuchni pojawiła się córka Maksa - a ta hałaśliwa w pasiastych rajstopach to Lou.

- Cześć! - Lou była nastolatką; jej szaleńczo rude włosy zwijały się w sprężynki dokoła głowy, a dziewczyna uśmiechała się radośnie. - Właściwie mam na imię Louisa. Aj, ty jesteś cała mokra.

- Wiedziałem, że droga prywatna szkoła kiedyś się na coś przyda. Lou, to jest Tilly. Biegnij na górę i przynieś jej szlafrok z pokoju gościnnego. - Max zwrócił się do Tilly. - Wrzucimy twoje ubrania do suszarki. Niezły początek, co? - Mrugnął. - Ile rozmów o pracę odbyłaś w szlafroku?

Żart w swoim zamyśle nie był nawet niestosowny. Max po prostu rzucił jakąś uwagę pasującą do sytuacji. Tak czy siak, była ona nieco surrealistyczna.

- Nie ma sprawy - wskazała na swoją walizkę - mam rzeczy na przebranie.

- Zepsułaś całą zabawę - podsumował Max.

Rozdział 4

Dom był w istocie wspaniały - urządony z gustem i polotem. Bez względu na to, czy Max Dineen był żonaty czy rozwiedziony, Tilly sądziła, że zadziałała tu czyjaś kobieca ręka. W pomalowanej na ciemnozielono i wyłożonej marmurem łazience na dole zdjęła mokre ubranie i przebrała się w czerwony sweter z angory oraz czarne spodnie, które miała na sobie poprzedniego wieczoru.

Gdy wróciła do kuchni, Max wziął od niej bluzę i dzinsy, zaniósł je do pralni i włożył do suszarki. Potem podał Tilly kubek z kawą i przysunął sobie krzesło.

- Dobrze, zacznijmy więc. Sytuacja wygląda następująco: mama Lou i ja rozeszliśmy się trzy lata temu. Moja była żona mieszka i pracuje w Kalifornii. Przez jakiś czas Lou była tam z nią, ale tęskniła za tym wszystkim... - teatralnym gestem wskazał na ociekające deszczem okno - ...za tą piękną brytyjską pogodą, dlatego w zeszłym roku zdecydowała się wrócić tu na stałe. Próbowałem zmienić nazwisko i gdzieś się ukryć, ale i tak mnie namierzyła.

- Tato, nie mów tak. - Lou przewróciła oczami. - Jeszcze ktoś pomyśli, że to prawda.

- Bo to jest prawda. Chowałem się po bramach, nosiłem sztuczną brodę... i nic z tego. Jakby ściagał mnie pies gończy.

- Nikt nie będzie dla ciebie pracował, jeśli będziesz gadał takie rzeczy. No dobrze, powiem, o co chodzi. - Lou przejęła pałeczkę. - Mam trzynaście lat. Kiedy wróciłam do Anglii, tata przez chwilę pracował mniej, ale teraz znów ma mnóstwo zajęć.

- Niestety nie mam wyboru - wtrącił Max. - Utrzymanie ciebie kosztuje majątek.

- W każdym razie - zignorowała tę uwagę córka - postanowiliśmy, że potrzebujemy pomocy kogoś, kto odbierze mnie ze szkoły, czasem coś ugotuje, pomoże tacie w pracy - po prostu zrobi to, co akurat będzie trzeba. Nie określamy tych zajęć dokładnie...

- Bo nie ma innego wyjścia - przerwał jej Max. - Gdybyśmy ogłosili, że szukamy kogoś do opieki nad wiecznie narzekającą pannicą i wrednym staruchem, nikt by się nie zgłosił.

- Po prostu go ignoruj. - Louisa z zapalem otworzyła puszkę pepsi. - A więc, czy myślisz, że mogłabyś robić to wszystko?

Tilly wzruszyła ramionami.

- To chyba zależy od tego, co robi twój tata. Jeśli zajmuje się na przykład deratyzacją, to nie mam zamiaru mu pomagać.

- A gdybym był grabarzem? - spytał Max.

- Tato, możesz zostawić to mnie? On nie jest grabarzem - sprostowała Lou. - Ma firmę projektującą wnętrza. To naprawdę fajna praca, no i ma bardzo dużo zleceń. - Z dumą skinęła głową. - I tyle. To właśnie musiałybyś robić. A teraz powiedz nam coś o sobie.

Tilly ukryła uśmiech. Louisa była szczerą, wesołą, młodą i tylko trochę apodyktyczną - przesłuchiwała ją piegowata i ruda trzynastolatka w długim żółtozielonym swetrze, w pasiastych wielobarwnych rajstopach, z wielkimi obęczkami dyndającymi w uszach. Tilly chyba pomyliła się w ocenie - to nie była żona Maksa odpowiadała za to, jak wyglądał ich dom.

No i brak szczurów - to duży plus.

- Dobrze, mam mówić prawdę? Mieszkam w Londynie, mam raczej nudną pracę, a mój chłopak właśnie się ulotnił. Co nawet by mnie nie martwiło, tyle że teraz nie mogę pozwolić sobie, aby zostać w mieszkaniu, które razem wynajmowaliśmy - i to już mnie martwi. Przyjechałam tu na weekend, żeby odwiedzić moją przyjaciółkę Erin i...

- Erin? Tę, która prowadzi Piękne Ubrania Erin? - przerwała nagle Louisa. - Znam ją. Odwiedzałam ten sklep z mamą, a Erin zawsze częstowała mnie cukierkami w kształcie truskawek. Jest cudowna!

- Wiem, że jest cudowna. I na pewno ucieszy się, że ty też tak sądzisz - odparła Tilly. - Jesteśmy przyjaciółkami od czasów studiów. W każdym razie zobaczyłam wasze ogłoszenie w gazecie i próbowałam dodzwonić się wczoraj, ale sekretarka była już pełna. A dzisiaj po południu czekałam na pociąg i pomyślałam, że spróbuję jeszcze raz. Erin twierdzi, że to naprawdę dobre miejsce do życia. Ucieszyłaby się, gdybym została. I tak tu trafiłam.

- Potrafisz gotować? - spytał Max.

- Mniej więcej. Nigellą Lawson nie jestem.

- To akurat wcale nas nie zmartwi. - Max zrobił głupią minę. - Nie przepadam zbyt za tym jej oblizywaniem palców i ekstatycznymi jękami - zniechęca mnie to do jedzenia, szczerze mówiąc.

Uff, co za ulga.

- Za to robię najlepsze na świecie kanapki.

- Wspaniale. Jedzenie bogów. Karana?

Zdziwiona Tilly prawie krzyknęła:

- Nie!

- Podebrałaś kiedyś coś poprzedniemu pracodawcy?

- Spinacze do papieru. - Tilly próbowała sobie przypomnieć, w końcu szczerść była najważniejsza. - Koperty. Długopisy. Najtańsze - dodała, by nie pomyśleli, że buchnęła komuś montblanca. - A, i raz ukradłam rolkę papieru toaletowego. Ale tylko dlatego, że nam się skończył, a ja nie miałam czasu biec do sklepu. Zresztą strasznie się wstydziłam, bo musiałam przemycić ją pod płaszczem i dozorca spytał mnie, czy jestem w ciąży.

Max z powagą pokiwał głową.

- Nie znoszę, kiedy przytrafiają mi się takie rzeczy. Prawo jazdy bez punktów?

- Oczywiście. - Tym razem Tilly mogła odpowiedzieć z pełnym przekonaniem, zwłaszcza że nie miała własnego auta i tylko czasem pożyczala od rodziców forda focusa - który zresztą od dnia wyjazdu z salonu nigdy nie przekroczył magicznej liczby pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Lubisz żółty?

- Słucham?

- Czy lubisz żółty? Na taki kolor jest pomalowany pokój, w którym będziesz mieszkać, jeśli dostaniesz tę pracę.

- Zależy jaki odcień żółci. Za musztardą nie przepadam.
- Robisz się wybredna - zaśmiał się Max.
- Ej, wy dwoje, dajcie spokój! - Louisa potrząsnęła głową.

Wszyscy poszli na górę, gdzie Max pokazał Tilly pokój - przepięknie urządony w odcieniach bladego złota, ze srebrnymi i białymi akcentami. Widok z wysokich okien zapierał dech w piersiach, mimo że wzgórze w oddali teraz akurat pokryte były szarą mgłą. Grube zasłony upięto w elegancki sposób. A łóżko...

- No i? - spytał Max.

Tilly zaschło w ustach z wrażenia. Czy powinna przyjąć pracę tylko dlatego, że właśnie zakochała się w łóżku?

Ale to nie było po prostu łóżko. Oparte na czterech słupkach, zasłane jedwabną pościelą w kolorze srebra i kości słoniowej miało tak wysoki materac, że trzeba było podskoczyć, by się na niego wspiąć. Poduszki ułożono na nim w iście katalogowym stylu.

Łoże z marzeń, pomyślała Tilly. Jakby żywcem wyjęte z hollywoodzkiego filmu. Miała ochotę rzucić się na nie i tarzać jak szczeniak.

- Nie podoba się jej - zauważył Max.

Tilly pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć, że staracie się tak bardzo dla kogoś, kto będzie tylko dla was pracował.

- Jestem bardzo hojnym pracodawcą - skromnie oświadczył Max.

- Tato, jesteś kłamcą - powiedziała Louisa i zwróciła się do Tilly: - Niepotrzebnie jesteś pod takim wrażeniem - to pomieszczenie wyglądało tak, zanim tata w ogóle wpadł na pomysł zatrudnienia kogoś do pomocy. To po prostu nasz najlepszy pokój gościnny.

- Cóż, i tak jest cudowny.

- A przecież mógłbym zaproponować jakiś inny - zauważył gospodarz.

- Tyle że to oznaczałoby, iż trzeba któryś posprzątać, a to już byłby za duży wysiłek. Ale przecież ładnie tu, prawda? - Louisa wpatrywała się w Tilly. - I co? Jaki werdykt?

- Chcę tu pracować - oznajmiła Tilly. - Chociaż pewnie powinnam najpierw porozmawiać z Erin i sprawdzić wasze referencje. Może jesteście rodziną Addamsów?

- Ależ oczywiście, że jesteśmy - przytaknął Max. - I może my także powinniśmy zadzwonić do Erin, dowiedzieć się wszystkiego o tobie.

- Powie wam o mnie same miłe rzeczy. A jeśli nie - dodała Tilly - wie, że natrę jej uszu.

Jedząc w kuchni kanapki z jajkiem i bekonem oraz popijając herbatę, zaczęli się poznawać.

- A więc jak często będziesz podkraść nam papier toaletowy? - spytał Max, rzucając kawałek bekonu Betty warującej pod stołem.

- Nie częściej niż raz czy dwa razy w tygodniu, obiecuję.

- Czy kiedy rano wstajesz, jesteś wesoła i uśmiechnięta?

- Mogę być.

- Jezu, nie! Nie znoszę, kiedy ludzie są radośni o poranku.

- Tato jest gderliwym staruchem - swobodnie wtrąciła Lou - prawda, tato?

Tilly żartobliwie pogroziła jej palcem.

- Jeśli zacznę tu pracować, będzie jak w musicalu *Dźwięki muzyki*.

- Minus śpiewające zakonnice - dodał Max.

- I trochę mniej dzieci do pilnowania - zauważyła Louisa.

- No i nie każe ci się ubierać w ciuchy uszyte z zasłon - obiecała Tilly.

- A także nie poślubisz kapitana Von Trappa - podsumował pan domu.

Prosto z mostu, to fakt.

No tak. Przecież nie miała zamiaru wychodzić za mąż za Maksa, oczywiście, ale jednak... Tilly odgadła, że w ten sposób mężczyzna dawał jej jasno do zrozumienia, że nie jest w jego

typie. Rany, czyżby pomyślał, że z nim flirtuje? Bo oczywiście tego nie robiła.

Ale był bezpośredni, bardzo.

Dostrzegła, że po drugiej stronie stołu Lou i Max wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Och tato, nie mów jej - błagała Louisa. - Nie możemy teraz o tym zapomnieć? Poczekać, aż się wprowadzi?

- Czego ma mi nie mówić? - Z nerwów coś ścisnęło Tilly w żołądku. A wszystko szło już w dobrym kierunku.

- Muszę - spokojnie odparł Max. - Inaczej nie bylibyśmy fair.

Na miłość boską, może oni sypiali w trumnach?!

- Proszę, tato, nie mów - prosiła dziewczynka.

- Nie mów czego?

W holu rozdzwonił się telefon. Max spojrzał na córkę i wzrokiem wskazał jej drzwi.

- Odbierz, Lou, dobrze?

Przez chwilę Louisa patrzyła na ojca z zaciśniętymi zębami. Potem gwałtownie odsunęła krzesło i wybiegła z kuchni, a rude loki podskakiwały na jej ramionach.

- Czy to ma coś wspólnego z twoją żoną? - Tilly czytała w liceum *Dziwne losy Jane Eyre*; może matka Louisy postradała zmysły? Może ta historia o wyjeździe do Ameryki była kłamstwem? Może związana leżała na strychu?

- W pewnym sensie - Max kiwnął głową, słuchając ściszonego głosu Lou odbierającej telefon. - Kaye i ja rozwiedliśmy się, bo jestem gejem.

O rany, tego akurat się nie spodziewała. Tilly odłożyła kanapkę. Max mówił poważnie czy znowu żartował?

- Serio?

- Serio. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Dobrze, powiem ci, zanim wróci Lou. Kiedy miałem jakieś dwadzieścia lat, łatwiej było być heteroseksualistą. Spotkałem Kaye, która była cudowna, i wkrótce zaszła w ciążę. Nieplanowaną, ale nie miałem nic przeciwko. - Uśmiechnął się słabo. - A moja matka była zachwycona. Pobraliśmy się więc, urodziła się Lou, i powtarzałem sobie, że muszę zachowywać pozory dla ich dobra. Wytrzymałem w tym dziesięć lat. Nigdy nie zdradziłem Kaye. Ale już dłużej nie mogłem i rozstaliśmy się. Biedna Kaye, to nie była jej wina. A Lou radzi sobie doskonale, naprawdę.

- Właśnie widzę - zauważyła Tilly.

- Jednak męczy ją sporo spraw, z którymi musi sobie radzić. W tej chwili nie mam nikogo, więc jest trochę łatwiej. I oczywiście nie przyprowadzam do domu co tydzień innego faceta. - Max zamilkł na chwilę i mówił dalej:

- Chodzi o to, że, jak wiesz, to nie jest Londyn, tylko Roxborough. Zanim dałem ogłoszenie do gazety, rozmawiałem z pewną kobietą w agencji pośrednictwa pracy i usłyszałem, że nie powinienem wspominać o tym, że jestem gejem. Mogłoby to zniechęcić wiele pań pragnących podjąć tę pracę, zwłaszcza że przynajmniej połowa z nich marzyłaby o niej tylko dlatego, iż jestem bogatym samotnym ojcem, dobrą partią. - Uśmiechnął się niemrawo.

- A ty wyskoczyłaś z tym tekstem o *Dźwiękach muzyki*...

- Nie miałam złych intencji - wyjaśniła Tilly.

- To dobrze. Ale według tej kobiety z agencji wiele osób nie chciałoby mieszkać pod jednym dachem z gejem. - Max wzruszył ramionami. - Powtarzam ci tylko co usłyszałem. Najwyraźniej niektórym może się to wydawać nieco... obrzydliwe.

Tilly, usłyszawszy hałas za swoimi plecami, odwróciła się nagle. W drzwiach stała Louisa.

- No i? - spytała niespokojnie dziewczynka.

Tilly nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Czy ta kobieta z agencji pośrednictwa nie ma przypadkiem dwustu pięćdziesięciu lat?
Chude ramiona Lou opadły z ulgą.
- Czy to znaczy, że nie ma problemu? Wciąż chcesz tu mieszkać i pracować?
Tilly nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.
- To akurat nie jest problem. Ale skoro mówimy o obrzydlistwach, muszę się dowiedzieć, co myśli twój tata o grzebaniu nożem do masła w słoiku z dżemem, wrzucaniu torebek po herbacie do zlewu i niezakręcaniu pasty do zębów.
Lou udała konspiracyjny szept:
- Zwykle jest w porządku. Kiedy bardzo się postara.
- W takim razie dobrze - dokończyła Tilly. - Ja też się postaram.

Rozdział 5

- Tilly! Tilly! - Przez otwarte drzwi do mieszkania wpadła jak rakieta Babs. - To Gavin, przyszedł! O mój Boże, to takie romantyczne, on chce cię odzyskać...
- Tilly zastygła w pół kroku. Tylko nie to. Zapięła ostatnią walizkę i podeszła do otwartego okna.
- Tak, to był Gavin. W rękę ścisnął bukiet lilii, a ubrany był w idealnie wyprasowane dżinsy z kantem z przodu - zapewne robota mamusi.
- Niewiarygodne, że choć mieszkali razem, on wciąż nie zdołał zapamiętać, że lilie to jej najmniej ulubione kwiaty.
- Dostrzegając Tilly, Gavin zawołał:
- Tilly, nie wyjeżdżaj! Nie zniosę tego. Popełniłem błąd i tak strasznie mi przykro!
- Jak w tych cudownych filmach z Carym Grantem - westchnęła Babs, składając ręce jak do modlitwy.
- Kiepskie porównanie: Cary Grant nigdy nie pozwoliłby, żeby matka prasowała jego dżinsy.
- Gavin, daj spokój. Zostawiłeś mnie, pamiętasz? Między nami wszystko skończone. - Gavin zaczął żałować swojej decyzji i próbował przekonać Tilly, by z nim została. Tej części Tilly naprawdę nie znosiła, ale przynajmniej nie musiała czuć się winna, że to z jej powodu nastąpiło rozstanie.
- Ale ja cię kocham! - Chłopak w desperackim geście wskazał na bukiet lilii.
- Już na to za późno. Jak miałabym ci teraz zaufać? Każdego dnia wracając z pracy, zastanawiałabym się, czy wciąż tu jesteś. - Tak naprawdę wracała z pracy i cieszyła się, że go nie ma.
- Popełniłem błąd, więcej tego nie zrobię, przysięgam.
- Teraz tak mówisz. Ale i tak jest już za późno. Rzuciłam pracę. - Hurra! - Wyjeżdżam z Londynu. - Super! - Właściwie... - Tilly wskazała taksówkę, która właśnie podjechała pod dom - ...to właśnie w tej chwili wyjeżdżam.
- Babs pomogła jej znieść walizki. Pożegnanie z nią okazało się bardzo wzruszające: Babs była co prawda najbardziej wścibską sąsiadką na świecie, ale miała dobre intencje.
- Musiała też pożegnać się z Gavinem. Tilly z obowiązku uściśniła go i pocałowała w policzek.
- No to cześć.
- Spartoliłem sprawę, prawda? - Wyglądał na naprawdę zrozpaczonego. - Złamałem ci serce i muszę teraz za to zapłacić.

- Jakoś damy radę - wspaniałomyślnie powiedziała Tilly.

- Uhm.

Kiedy Tilly wsiadała do taksówki, która miała zabrać ją na dworzec, Babs szturchnęła Gavina i spytała:

- Nie masz zamiaru dać jej tych kwiatów?

O Boże, tylko nie to, błagam, lilie śmierdziały koszmarnie!

- Cóż, chyba nie będzie chciała wieźć ich w pociągu. - Ponieważ plan odzyskania Tilly się nie powiódł, Gavin wyraźnie stracił ochotę na oddanie bukietu. - No i kosztowały dwanaście i pół funta. - Zrobił krok do tyłu, a oczy Babs zabłyśły w oczekiwaniu. - Chyba więc zabiorę je do domu i dam mamie.

Czy tak właśnie czuje się złodziej chodzący po sklepie i upychający w kieszeniach niewielkie przedmioty ze świadomością, że w każdej chwili najdrobniejszy błąd może ujawnić jego zbrodnię? Erin bardzo starała się uspokoić, wyrównać oddech, ale strach nie zelżał ani na chwilę; lada moment wszystko mogło się wydać.

Na dodatek musiała przeżywać to we własnym sklepie.

Dla bezpieczeństwa (nie ufała swoim drżącym dłońmi) odstawiła żelazko, usiadła do komputera i udawała, że pochłonięta jest wypełnianiem dokumentów. Natomiast Stella Welch, stojąc niedaleko, oglądała bluzki na jednym z wieszaków i rozmawiała ze swoją przyjaciółką Amy przez drzwi przymierzalni.

- A przy okazji: wczoraj znowu widziałam Fergusa. Wpadłam na niego w Lisie.

Nic dziwnego, skoro za nim łazisz, pomyślała Erin. Zobaczyłaś, że wchodzi do pubu i poszłaś za nim.

- Jak wyglądał? - Z przebieralni dobiegł głos Amy, któremu towarzyszył szelest zdejmowanych ubrań.

- Szczerze? Błado.

Jest luty...

- Powiedziałam mu nawet, że przydałoby mu się kilka wizyt w solarium. - Stella odrzuciła jasnobrązowe włosy i przyłożyła do siebie amarantową jedwabną bluzkę, przeglądając się w lustrze. - Dobrze mi w tym kolorze, prawda?

- Wygląda świetnie - przytaknęła Erin, bo ciemny róż rzeczywiście idealnie współgrał z bardzo opaloną skórą Stelli.

- Powiedziałam mu też, że jest skończonym draniem. - Stella kontynuowała rozmowę z Amy. - Nie mogę uwierzyć, że minęło już pół roku, odkąd odszedł. Bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby mnie zostawić? Czy kiedykolwiek zrobiłam coś złego? Przecież Fergus nie jest wcale superprzystojny! A ja na pewno nie zasługuję na takie traktowanie. Jedenaście lat małżeństwa, a on ni z tego, ni z owego nagle wstaje i odchodzi. Tak naprawdę miał wielkie szczęście, że w ogóle go chciałam, na miłość boską! Niektórzy faceci są po prostu... nienormalni!

- Powiedziałaś mu to? - spytała Amy.

- Mówiłam, milion razy. Rany, ależ on mnie wkurza! Wczoraj wieczorem spytałam go, czy się z kimś spotyka, ale twierdzi, że nie. Tylko by spróbował... O, ta idealnie na tobie leży.

Drzwi przebieralni otworzyły się i Amy obróciła się jak baletnica w kobaltowej sukience od Nicole Farhi.

- Nie za elegancka jak na pierwszą randkę? Zastanawiam się, czy rozegrać to na luzie, czyli włożyć dzinsy i koszulkę, ale co, jeśli on pomyśli, że taki strój oznacza, iż go nie lubię? Nie chcę tego.

- I nie możesz ryzykować. Kup ją - oznajmiła Stella. - Idź na całość. - Zwróciła się do Erin i wyjaśniła: - Amy idzie dzisiaj wieczorem na randkę. Z Jackiem Lucasem.

- Rany, to cudownie.

- Tak się denerwuję! - Oczy Amy aż rozbłysły, gdy podekscytowana kręciła piruety przed lustrem. - Nie będę w stanie nic zjeść. Nie mogę nawet uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!

Erin jakoś nie mogła zrozumieć, czemu to takie niewyobrażalne. Jack Lucas miał już tyle kobiet, że trudno uwierzyć, iż istniała jeszcze choć jedna, która nie była z nim na randce. Wychodziło na to, że tylko ona, Erin, nie miała tej „przyjemności”. Ale też nigdy jej nie kusiło - ciekawiej było stać z boku i patrzeć, jak kolejne dziewczyny zapalają się do romansu z Jackiem, lecą jak ćmy do ognia, by potem spalić się w jego żarze.

Dla wszystkich mieszkanek Roxborough była to rozrywka numer jeden.

- Wezmę ją - dodała Amy, tanecznym krokiem wracając do przebieralni, aby zdjąć sukienkę.

- Widzisz, gdyby Fergus wyglądał jak Jack Lucas, mogłabym zrozumieć to, co zrobił. - Stella z niedowierzaniem pokręciła głową, na próbę zawiązując jasnoturkusowy szalik wokół szyi. - Ale z takim wyglądem - co on sobie w ogóle wyobraża, ten Fergus?

- Może zmieni zdanie i wróci do ciebie na kolanach - zasugerowała Amy.

- Na to właśnie cały czas czekam! Ale minęło już sześć miesięcy, a on wciąż zwleka. Ty chodzisz czasem do Lisa, prawda?

Erin, czując, jak pieką ją policzki, zorientowała się, że pytanie zostało skierowane do niej. Niechętnie podniosła głowę znad monitora.

- Czasami - odparła.

- Słyszałaś jakieś plotki o moim mężu? Coś o tym, że może się z kimś spotykać?

Erin zaschło w ustach.

- Nie, raczej nie.

Nienagannie wyskubane brwi Stelli uniosły się lekko.

- R a c z e j nie?

- To znaczy na pewno nie, żadnych plotek, nic.

Stella z zadowoleniem kiwnęła głową.

- Tym lepiej dla niego. Na miłość boską, Fergus naprawdę chce zmarnować mi życie! Zasługuję na więcej niż takie traktowanie. I kto tu jest samolubny? A zresztą, ile ty masz lat, Erin?

Co? Ile czego? Przez chwilę Erin miała problem z odpowiedzią.

- Trzydzieści trzy? - zgadywała Stella. - Trzydzieści pięć?

Zabolało.

- Właściwie to dwadzieścia osiem - odparła w końcu Erin.

- Och, myślałam, że więcej. A ja na przykład wiem, że jak na swój wiek wyglądam młodo, choć naprawdę mam trzydzieści siedem. Trzydzieści siedem! W tym roku mieliśmy w końcu założyć rodzinę, tyle że mój mąż przeżył jakieś dziwaczne załamanie i wziął nogi za pas. A moja płodność spada. I doprowadza mnie to do szału. Powinno być jakieś prawo zabraniające facetom robienia takich rzeczy.

- Pośpiesz się, nie wiedziałam, że już prawie druga. - Amy wypadła z kabiny, nerwowo wymachując niebieską sukienką i szukając w torebce karty kredytowej. - Za pięć minut mam fryzjera. Nie mogę się spotkać z Jackiem Lucasem z takimi odrostami na głowie!

Dwie minuty później kobiety zniknęły, a Erin mogła w końcu odetchnąć. Odetchnąć, ale nie odprężyć się, bo problem, który ją dręczył, bynajmniej nie zniknął.

Związek z Fergusiem był najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła się jej od wielu lat: to on nadawał sens życiu Erin. To o nim myślała, kiedy budziła się rano i kiedy zasypiała.

Ale oczywiście życie nie jest takie proste, prawda? Fergus bowiem przez ostatnich jedenaście lat był mężem Stelli i choć teraz próbował zostawić to małżeństwo za sobą, rozwieść się, to Stella nie miała zamiaru jego decyzji akceptować, wciąż wierząc, że mąż zmieni zdanie i wróci do domu.

Jak na ironię - mimo że Erin знаła ich oboje od wielu lat, odkąd wróciła do Roxborough -

nigdy przedtem, nawet przez chwilę, Fergus jej nie pociągał. Zawsze był miły i przyjazny, choć małżeństwo jego i Stelli zawsze było uważane za niedobre, ale nawet informacja o ich rozstaniu nie zrobiła na Erin żadnego wrażenia. Fergus Welch - z potarganymi ciemnymi włosami, wesołymi oczami i dużymi stopami, czyniący wysiłki, by ubierać się elegancko - był dla niej po prostu dobrym znajomym.

Dlatego tak zaskakujące było to, że kiedy zaledwie sześć tygodni temu wpadli na siebie, przeskoczyła między nimi jakaś iskra. Stało się to tak niespodziewanie, że Erin zastanawiała się, kto teraz mógłby się jej spodobać: Bob Hoskins? Robbie Coltrane? Johnny Vegas?

Naturalnie Fergus nie wyglądał jak żaden z nich. Erin odsunęła od siebie tę myśl. Ale kto by pomyślał, że jej uczucia mogą zmienić się tak nagle w ciągu... jak długo to trwało? Kilka godzin?

A gdyby tamtego dnia nie padał deszcz, nic by się między nimi nie wydarzyło. Chociaż „deszcz” to delikatnie powiedziane - przeżyli prawdziwą ulewę, burzę z piorunami, a wielkie krople spadały jak pociski ze stalowoszarego nieba. Zapewne właśnie pogoda zainspirowała zdruzzonych nastoletnich chłopców, którzy owego dnia biegali po parkingach i odrywali wycieraczki samochodów.

Fiat Erin, niestety, był najstarszym z aut stojących w pechowym rzędzie, a wycieraczki w nim - najdelikatniejsze. Kiedy Erin wyszła z supermarketu na przedmieściach Cirencester i - przemoczona do suchej nitki - wpakowała torby z zakupami do środka, nie od razu zorientowała się, co się wydarzyło. Wsiadła, przekreśliła kluczyk, włączyła wycieraczki i nie wiedziała, czemu nie działają. Dopiero gdy wyszła z auta i zobaczyła wycieraczki na ziemi, zrozumiała. Elegancka pani w średnim wieku siedząca w zaparkowanym obok terenowym wozie otworzyła okno i krzyknęła: „Widziałam ich, bezczelne gnojki! Nawrzeszczałam na nich, więc uciekli. Paskudne zakapturzone chłopaczyska! Trza by ich związać, ciągle to powtarzam. Albo nasłać na nich psy!”.

Świetne pomysły, ale nie rozwiązywały niestety problemów Erin, która z mokrymi włosami przyklejonymi do czoła i ubraniem przyklejonym do ciała patrzyła z rozpaczą na oderwane wycieraczki. W taką pogodę nie było szans, aby prowadziła auto bez nich - to jakby jechała po omacku. Utknęła piętnaście kilometrów od domu i musiała czekać, aż przestanie padać - a w tym czasie trzy pudełka ulubionych lodów z pewnością roztopią się na...

- Erin! Co się stało? Ktoś przykleił ci stopy do ziemi? Jeśli jeszcze chwilę tam postoisz, możesz zmoknąć, wiesz?

Erin odwróciła się i zobaczyła, że przez parking w jej kierunku biegnie Fergus Welch. Trzymając nad głową połamaną parasolkę i wymachując kluczykiem, wskazywał ciemnozielonego lexusa zaparkowanego niedaleko. Łobuzy pewnie bały się, że włączą alarm, więc to auto zostawiły w spokoju. Fergus zwolnił, a Erin pokazała mu oderwane wycieraczki. Naprawianie samochodów nie było akurat jej mocną stroną, ale może Fergus znajdzie jakiś sposób, by je przymocować.

- O nie. - Mężczyzna zmarszczył czoło. - Chuligani?

- Cóż, sama raczej tego nie zrobiłam. - Krople deszczu spadały z rzęs i oczu Erin. - A patrząc na niebo, mogę przypuszczać, że pewnie zostanę tu przynajmniej kilka godzin. A jest poniedziałek, mój najcenniejszy wolny dzień - w końcu nie mam nic miłszego do roboty.

- Hej, nie ma sprawy. Podwożę cię do domu. - Fergus wskazał swoje auto i dodał: - Wskakuj. Mam spotkanie w Tetbury, ale to nie potrwa długo. A potem jadę prosto do biura.

- Naprawdę? - Erin wyraźnie ulżyło. - Mam kupę jedzenia w bagażniku.

- No to chodź, przeniesiemy je do mojego. Gdybyśmy utknęli w powodzi, przynajmniej nie umrzemy z głodu. A jeśli potem przestanie padać, mogę przywieźć cię tu z powrotem... O, moje ulubione lody.

Przenieśli torby z zakupami, a Fergus, próbując zamknąć połamaną parasolkę, zepsuł ją całkiem i musiał wrzucić do kosza na śmieci. Potem otworzył drzwi lexusa z zamasztysem

ukłonem.

- Jesteś pewien, że chcesz, bym wsiadła? - Erin nie mogła być już bardziej przemoczona, nawet gdyby wyszła z basenu.

- Ej, nie przejmuj się. Zażądam rekompensaty w postaci lodów.

I tak się to wszystko zaczęło. Deszcz zbliżył ich do siebie.

Erin czekała w samochodzie, podczas gdy Fergus pokazywał klientowi dom w Tetbury, a potem odwiózł ją z powrotem do Roxborough. Wciąż padało, razem więc wnieśli torby z zakupami do mieszkania Erin. Potem zrobiła kawę i na spólkę zjedli lody - na wpeł roztopione, ale wciąż pyszne.

Nie skoczyli na siebie jak zwierzęta, nie rozdierali ubrań w napadzie żądy. Oczywiście, że nie. Ale w głębi duszy oboje przyznali, że mieli na to ogromną ochotę.

Przeszkodę stanowiła Stella.

- Przez ostatnich jedenaście lat bezustannie powtarzała mi, że na nią nie zasługuję, bo jest lepsza ode mnie - opowiadał Fergus, podczas gdy Erin robiła kolejny dzbanek kawy. - Milion razy słyszałem, że pochodzimy z innych światów. Pomyślałem, że się ucieszy, kiedy się wyprowadzę. Ale Stella nie potrafi tego zaakceptować, a tego akurat się nie spodziewałem.

- Myślisz, że do siebie wrócicie? - Erin bardzo się starała, aby jej głos zabrzmiał neutralnie.

- Nie, nigdy. To koniec. - Fergus potrząsnął głową i oparł się, przeczesując palcami niesforne, wciąż wilgotne włosy. - Przez lata znosiłem humory Stelli. Ona wcale mnie nie kocha, po prostu wścieka się, że miałem czelność ją zostawić. To trochę tak jak z moim siostrzeńcem, który jest za stary, żeby oglądać *Teletubisie*, ale gdybyś tylko usłyszała, jak wrzeszczał, kiedy moja siostra próbowała oddać filmy innym dzieciom. Wrywał je z jej rąk i krzyczał, że będzie kochał *Teletubisie* nawet po pięćdziesiątce.

Erin miała tylko nadzieję, że w wieku pięćdziesięciu lat Stella nie będzie już przyklejona do Fergususa. Ale poczuła wyrzuty sumienia, bo w końcu oni wciąż byli małżeństwem.

- Może Stella kogoś pozna - powiedziała z nadzieją.

Fergus skinął głową.

- Liczę na to. Myślałem nawet, żeby napisać błagalne listy do Ewana McGregora i Hugh Granta.

Fergus musiał potem jechać do biura. Pracował jako starszy negocjator w agencji nieruchomości Thornton and Best, mieszczącej się przy High Street. Tego samego dnia wieczorem podwiózł jeszcze Erin do jej auta, ale wieczór skończył się na przyjacielskim pocałunku w policzek i podziękowaniu. Z pozoru czystym i niewinnym, ale pełnym tęsknoty i dużo mniej niewinnych pragnień.

Dźwięk telefonu stojącego na biurku wyrwał Erin z zamyślenia. Od czasu tamtego wieczoru spotykali się z Fergususem potajemnie, ale nie były to już bynajmniej niewinne spotkania - Erin oszalała na punkcie tego faceta, a szczęśliwie i on...

No dobrze, dość tych rozmyślań o uroczym Fergusie. Trzeba odebrać telefon.

Ooo, ale to przecież może być Fergus!

- Halo? Piękne Ubrania Erin.

- Cześć!

Tilly. Nie była co prawda Fergususem, ale prawie. Erin wesoło spytała:

- Cześć, jak leci?

- No wiesz... Jesteś zajęta czy możemy pogadać?

- Mów, nikogo nie ma.

- Świetnie. Poczekaj sekundę.

Erin podłamała się, kiedy dzwonek przy drzwiach obwieścił przybycie jakiejś klientki akurat wtedy, kiedy nabrała ochoty na pogadanie z przyjaciółką. Nagle otworzyła szeroko oczy i usta, bo w drzwiach stała...

- Tilly! Co się dzieje?
Tilly rozłożyła ręce.

- Niespodzianka!
- Niespodzianka? Prawie przyprawiłaś mnie o atak serca! Myślałam, że dzwonisz z Londynu! Czemu nie powiedziałaś mi, że przyjeżdżasz?

- Widzę, że muszę wyjaśnić ci kilka zasad dotyczących robienia niespodzianek. Są skuteczniejsze, jeśli robi się je bez uprzedzenia - wyjaśniła Tilly radośnie. - Zresztą nie przyjechałam w odwiedziny.

- Nie? To dlaczego tu jesteś? - Erin była już zupełnie zdezorientowana. Tilly nie miała przy sobie nawet malej torby.

- Mówiłaś, że spodobałoby mi się życie tutaj. Mam nadzieję, że miałaś rację - powiedziała przyjaciółka - bo właśnie się przeprowadziłam. Od dzisiaj tu mieszkam.

- Co? Gdzie? Gdzie mieszkasz?

- W Beech House. Pracuję jako dziewczyna do towarzystwa u Maksa Dineena. Erin zamurowało.

- U Maksa Dineena? Tego, który był mężem Kaye? Ich córka, ruda, ma na imię...

- Lou. Zgadza się.

Erin mogła tylko powiedzieć:

- O!

- No właśnie! I naprawdę dobrze się dogadujemy. - Tilly skrzywiła się. - Tylko proszę, nie mów, że to jakiś psychopata.

- Nie martw się, wszyscy lubią Maksa. A Lou jest naprawdę urocza. Przychodziła tu kiedyś z Kaye i zjadała...

- Truskawkowe cukierki. Mówiła mi o tym. A teraz mieszkam w Roxborough, w ich domu! Tylko czekaj, aż pójde do Lisa i opowiem o tym gburowatemu Declanowi. Nie uwierzy mi!

- Ja sama nie mogę uwierzyć. - Wciąż zadziwiona Erin pokręciła głową.

- Wiem, czy to nie cudowne? Nowa praca, nowy dom, nowe życie! A wieczory mam wolne, więc będziemy mogły razem wychodzić!

W tej chwili otworzyły się drzwi i do sklepu weszły klientki. Erin zdążyła tylko pomyśleć, że los ma widać problem z wyczuciem czasu. Tyle lat była sama, a Tilly pojawia się akurat teraz. Może Bóg chce w ten sposób jej powiedzieć, że nie można być kłamiwą, zdradliwą, podkradającą mężów wiedźmą.

- Co? Coś nie tak? - spytała przyjaciółka.

- Nie. - Uściskała ją Erin. - Cieszę się, że tu jesteś. - Klientki zaczęły zdejmować sukienki z wieszaków i przykładają je do siebie. To nie była najlepsza chwila, aby w końcu opowiedzieć Tilly o supertajnym romansie z Fergusiem.

Rozdział 6

- A oto i ona - zaanonsował Max, kiedy Tilly wróciła od Erin i w skarpetkach przydreptała do kuchni. - Dziewczyna, o której ci mówiłem.

Tilly odwróciła się, by przywitać gościa, i zastygła jak słup soli. Przed nią, niedbale opierając się o kuchenkę, z założonymi rękami i rozbijającym uśmiechem na twarzy, stał jeden z najbardziej onieśmielająco przystojnych mężczyzn, jakich w życiu widziała. Zielone oczy z zabójczo długimi rzęsami przyglądały się jej bacznie, a lśniące ciemne włosy opadały

na czoło. Nieznajomy miał opaloną twarz; ciemna cera podkreślała biel zębów, które były na szczęście nie dość idealne, by podejrzewać robotę dentysty.

Rany! Facet miał na sobie wyblakłe, poplamione farbą dżinsy, robocze buty i jasnobrązową koszulkę polo pod znoszoną, przykurzoną, szarą sportową kamizelką. Imponujące ciało.

Max przedstawił ich sobie.

- Tilly, to mój... przyjaciel Jack Lucas. Jack, poznaj Tilly Cole.

- Jasne, tylko uściślijmy coś od razu, dobrze? Żeby nie było niedomówień. Nie jestem p r z y j a c i e l e m Maksa - powiedział Jack. - Tylko jego kolegą. Bez żadnych podtekstów. Max zawsze mnie tak przedstawia, żeby mnie zawstydzić i sprawić, aby ludzie zaczęli zastanawiać się, czy coś sugeruje. Uważa, że jest bardzo zabawny. Więc po prostu go ignoruj. - Jack podszedł bliżej i wyciągnął rękę. - Cześć, Tilly. Miło cię poznać.

- Mnie również. - Tilly bardzo starała się zachowywać tak, jakby spotkania z oszałamiająco przystojnymi facetami były dla niej całkowicie normalne. Jack miał ciepłą suchą dłoń, a kiedy powąchała powietrze, poczuła mieszanekę farby, dobrej wody po goleniu i kurzu.

- Wiesz, zdaje mi się, że jest w tobie coś znajomego... - Jack puścił dłoń Tilly i podparł brodę palcem wskazującym, jakby próbując sobie przypomnieć.

- O rany, ten znowu zaczyna. - Max z niezadowoleniem pokręcił głową. - Nie marnujesz ani chwili, co? A te twoje teksty zaczynają się powtarzać. Uważaj, kochana - zwrócił się do Tilly. - Zaraz powie, że na pewno już się kiedyś spotkaliście, a ty mu uwierzysz i zaczniesz się zastanawiać gdzie.

- Max, zamknij się. To nie jest podpucha, to prawda. - Jednak Jack, mówiąc to, nie przestawał się śmiać, więc Tilly sama już nie wiedziała, czy zmyśla, czy nie.

- Przyjechałam z Londynu. Nie spotkaliśmy się wcześniej. - Gdyby było inaczej, na pewno by zapamiętała.

- No a teraz jesteś tutaj. Ja i Max czasem pracujemy razem, więc jestem pewny, że będziemy się częściej spotykać. - Wesoły błysk w oczach Jacka uświadomił Tilly, że męczyzna świadomie nie unika dwuznaczności. Ale robił też coś dużo ciekawszego, jak odkryła po chwili. Kiedy patrzył na nią, czuła, że cała jego uwaga skupia się wyłącznie na niej. A kiedy się odzywał, robił wrażenie, że interesuje go wyłącznie to, co ona ma do powiedzenia.

Nieźła sztuczka. I rzecz jasna typowa dla zawodowego uwodziciela. Tilly już widziała cały sznureczek serc złamanych przez Jacka Lucasa, a także kobiety, które płaczą i zawodzą z tęsknoty.

W tym momencie otworzyły się i z hukiem zamknęły frontowe drzwi, a do kuchni wpadła Louisa w niebieskim szkolnym mundurku.

- Jesteś! - Oczy dziewczynki zaświeciły się na chwilę, a ona sama zastygła na sekundę na progu, jakby nie wiedziała, co zrobić. Potem podbiegła i zarzuciła ręce na szyję Tilly. - Tak się cieszę!

- Hej, a ja? - Jack udawał urażonego. - Cieszysz się też, że ja tu jestem?

- Oczywiście, że tak. Zawsze się cieszę, kiedy przychodzisz. - Louisa uściskała i jego. - Nawet jeśli śmierdzisz farbą.

- Przepraszam. - Jack z czułością pociągnął Lou za rudy warkocz. - Miałem dzisiaj ciężki dzień w pracy, a dwóch moich ludzi nie przyszło. Gdybym wiedział, że będziesz narzekać, to usiadłbym sobie i pozwolił innym malować. Zresztą, o czym my rozmawiamy... - skrzywił się. - Sama pachniesz... fuj! - czarną porzeczką.

- Mama Nesh odwiozła nas do domu i poczęstowała cukierkami. Jak to robią niektórzy rodzice. Cześć, tato. - Louisa ucałowała Maksa i uśmiechnęła się do Tilly. - I opiekunki, kiedy nadchodzi ich kolej, by odebrać nas ze szkoły.

- A potem jesteś głodna i nie chcesz jeść kolacji - podsumował Max.

- Tato, to nieprawda. Umieram z głodu! Co jemy? Jack, zostaniesz i zjesz z nami?

Hm, może lepiej nie, pomyślała Tilly. Jeśli to ona miała ugotować cokolwiek, wołała, żeby Jack Lucas nie kręcił się w pobliżu i nie rozpraszał jej pierwszego dnia w nowej pracy.

- Nie dzisiaj. Wieczorem jestem umówiony. - Jack spojrział na zegarek. - Właściwie to już powinienem jechać. Muszę jeszcze zajrzeć do najemców w Cheltenham. - Odwrócił się do Tilly i obdarzył ją kolejnym boskim uśmiechem. - A co tracę?

Tilly nie miała jeszcze zielonego pojęcia, co ugotuje, nawet nie zajrzała do lodówki.

- Coś przepysznego - odpowiedziała.

- Jestem pewien. Ale trudno, innym razem - zakończył Jack, wciąż się uśmiechając. Podniósł dłoń na pożegnanie i ruszył do drzwi. - No to idę. Do zobaczenia.

Kiedy już wyszedł, odezwała się Tilly:

- Zdaje mu się, że nie można mu się oprzeć, co?

Max wyglądał na rozbawionego.

- Jack jest w porządku, to dobry kumpel. I szczerze mówiąc, większość kobiet w okolicy też uważa, że nie można mu się oprzeć.

- Znam ten typ - podsumowała Tilly.

- Wystartuje i do ciebie, nie martw się. Bądź gotowa, ale jeśli zaryzykujesz, to nie rób sobie zbyt dużych nadziei - ostrzegł Max. - Żadnych trwałych związków to zasada Jacka. Już wiele kobiet próbowało go zaciągnąć, nie tylko do łóżka.

- Oj, tato! Możemy o tym nie rozmawiać?

Max pogłaskał córkę po głowie.

- Przepraszam, skarbie. Chciałem tylko ostrzec Tilly, żeby wiedziała, jak się sprawy mają.

A przecież ona ani przez chwilę nie była zainteresowana Jackiem Lucasem. Cóż za pomysł!

- Nie martw się - obruszyła się Tilly - nie zamierzam nikogo nigdzie ciągnąć, a na pewno nie kogoś, kto ma tak kiepską gadkę, jak...

Nagle drzwi do kuchni otworzyły się i ujrzeli w nich głowę Jacka.

- Jasny gwint, miało cię tu nie być - zdziwił się Max. - Jak mamy cię obgadywać, skoro ty zakradasz się i podsłuchujesz?

- Przepraszam, przepraszam. - Z zadowolonego uśmiechu Jacka można było wnioskować, że słyszał każde ich słowo. - Naprawdę wychodziłem, ale po drodze spostrzegłem w holu pewną interesującą rzecz. - Spojrzął znacząco na Tilly. - Właściwie to nawet dwie rzeczy.

Tilly aż zamrużyła z zaskoczenia, kiedy chwilę później Jack wszedł do kuchni, niosąc w rękach jej buty, które pięć minut wcześniej zostawiła przy frontowych drzwiach. Czy szmaragdowe skórzane kowbojki z błyszczącymi obcasami były zabronione w Roxborough? Może były nielegalne? Kwestie bezpieczeństwa i higieny? Może ich błysk denerwował pasące się stada krów, które z nerwów włączyły na drogę?

- Buty Tilly są boskie. - Louisa lojalnie zaoferowała wsparcie. - Uwielbiam je.

- Nie powiedziałem, że mi się nie podobają - wyjaśnił Jack. - Po prostu są bardzo... wyjątkowe. Takie buty można włożyć, kiedy przeskakuje się przez uliczne kosze na śmieci, na przykład. - Zawahał się. - Czy raczej p r ó b u j e się przez nie przeskoczyć.

Tilly zakryła dłonią usta.

- Widziałeś mnie?

- Ja cię nie tylko widziałem. - Uśmiechnął się ironicznie. - Ja na ciebie krzychałem.

- To był twój samochód? - zapytała piskliwym ze zdenerwowania głosem.

- Mój całkiem nowy samochód - podkreślił Jack. - Dwa dni wcześniej odebrałem go z salonu. Zostawiłaś tłuste ślady na całej szybie.

- Mówiłam, że mi przykro. To był wypadek. W przeciwieństwie do tego, co ty zrobiłeś - przypomniała Tilly - bo rozmyślnie wjechałeś w kałużę, żeby mnie ochlapać. Z premedytacją.

- Pół na pół - przyznał. - Chciałem cię tylko troszkę ochlapać. Hej, ja też przepraszam. Ale spójrz na to z dobrej strony: przynajmniej wiesz, że nie wkrecałem cię, mówiąc, że gdzieś cię już widziałem. - Dostrzegła wesołość w jego oczach. - Wiedziałem, że skądś cię znam, tylko zapomniałem, że poznałem cię tej nocy, kiedy wywinęłaś orła na moim nowym samochodzie.

- Chodź, chodź. Przepraszam za ten bałagan. Tata kiedyś jęczał i kazał mi sprzątać, ale teraz już się poddał. Powiedziałam mu, że na świecie są ważniejsze sprawy, a nieporządek w pokoju do nich nie należy. Zresztą tak jest bardziej przytulnie.

Louisa siedziała na podwójnym łóżku w fioletowej piżamie i czytała *Historię rewolucji przemysłowej*. Pachniała mydłem i pastą do zębów.

- Na przykład odrabianie lekcji - zauważyła Tilly - to jest ważniejsze.

- Właśnie to robię. - Lou uśmiechnęła się i pomachała podręcznikiem przed oczami Tilly. - Powtórki. O nie... tata ci powiedział!

- Przykro mi. On tu rządzi. - Tilly podniosła jedną z poduszek i wyciągnęła spod niej egzemplarz młodzieżowego pisma. - Powiedział mi, że jeśli dobrze poszukam, mogę tu coś znaleźć.

Louisa zrobiła niewinną minkę.

- Chciałam tylko rzucić okiem, pięć minut. Test z historii i tak mam dopiero w przyszłym tygodniu. - Oparła się o poduszki i zmieniła temat: - I co, myślisz, że ci się tu spodoba?

- Mam nadzieję. - Tilly przysiadła na krawędzi łóżka, oglądając zdjęcia stojące na szafce i próbując nie myśleć o Jacku Lucasie. - Podoba mi się twoje zdjęcie z mamą.

- Zrobiono je na plaży na Hawajach. Pojechaliśmy tam na wakacje w zeszłym roku. Wszyscy byli opaleni i eleganccy - skrzywiła się dziewczynka - a ja wyglądałam jak kretyńska z tymi głupimi rudymi włosami i białymi nogami.

- Bzdury gadasz. - Tilly sięgnęła po zdjęcie i przyjrzała się twarzom spoglądającym w obiektyw. - Przecież twoja mama też jest ruda.

- Ale jest posmarowana samoopalaczem. I kremem z filtrem numer pięćdziesiąt. Nie mam pojęcia, jak wytrzymuje z tym wyglądem w Los Angeles. Ja wolę zimno, dlatego chcę mieszkać tutaj.

- Pewnie za nią tęsknisz - ostrożnie badała Tilly.

Louisa wzruszyła ramionami.

- Tak, ale kiedy byłam w Ameryce, strasznie tęskniłam za tatą. Zresztą często rozmawiamy. Mama jest szczęśliwa, z pracą wszystko dobrze. Ona uwielbia to, co robi, i jest tam szczęśliwa.

Kto by nie był? Tego dnia przy kolacji Tilly dowiedziała się, że Kaye Dineen - mama Louisy, była żona Maksa i niespełniona brytyjska aktorka teatralna - stała się bardzo znana w Ameryce i w wielu innych częściach cywilizowanego świata jako Kaye McKenna, jedna z gwiazd po wielokroć nagradzanej Emmy telewizyjnej opery mydlanej - *Over the Rainbow*, którą oglądały co tydzień miliony widzów w różnych krajach. Dzięki jednemu udanemu przesłuchaniu dostała to, o czym marzą setki innych aktorów. Pewnego dnia, po ośmiu miesiącach porażek, zupełnie zdołowana Kaye złapała gumę po drodze na casting. Pojawiła się tam spóźniona o półtorej godziny, w ubrudzonej smarem białej sukience i z rozmazanym makijażem. Reżyser, dostrzegając jej widoczną kruchość i desperację, zapytał z wrzaskiem: „Czemu niby miałbym cię przesłuchiwać?!”. Co spowodowało, że Kaye, w której oczach szklily się już łzy, odparła szczerze: „Bo bardzo kochałam mojego byłego męża, który okazał się gejem, a nasza córka kocha nas oboje, i skoro ja nie zasługuję na tę rolę, to nie wiem, do diabła, kto zasługuje!”.

Jej złość, połączona z perfekcyjnym brytyjskim akcentem, zrobiły swoje. Przeszła casting i od razu dostała zlecenie. Kaye często opowiadała, że jej kariera w Stanach zaczęła się od

przebitej opony.

- To jest fajne. - Louisa sięgnęła po inne zdjęcie w turkusowej ramce - widniała na nim grupa nastolatków szalejących przy basenie gdzieś w Los Angeles. - Ja i moi znajomi na ślubie. Znasz tę aktorkę Macy Venture? Ona gra główną rolę w serialu mamy. No i wychodziła po raz piąty za męża, za jakiegoś producenta filmowego, i co prawda nigdy mnie nie poznała, ale spytała mamę, czy nie chciałabym być jedną z druhen. Mama się zgodziła i pojechałyśmy na spotkanie z Macy i ekipą organizującą przyjęcie.

- I co? - Tilly zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co robiły w basenie wielkie różowe grzyby.

- Wpadli w prawdziwą histerię. Wiesz, jak wtedy kiedy otwierasz prezent, spodziewając się bransoletki z diamentami, a dostajesz słownik. Macy i facet od ślubu tylko na mnie spojrzeli i natychmiast zaczęli szukać różnych wymówek. Byli naprawdę przerażeni! Okazałam się zbyt ruda, zbyt blada, zbyt piegowata, za wysoka... Krótko mówiąc, zrujnowałabym im całą uroczystość, nie wspominając o sesji zdjęciowej dla magazynu. Druhny miały mieć na sobie jasnoróżowe sukienki. Hm, możesz sobie wyobrazić, jak wyglądałam w lukrowym różu. W końcu zaproponowali mi pięćset dolarów, żebym zgodziła się nie być druhną.

- Powiedz, że żartujesz! To najokropniejsza historia, jaką w życiu słyszałam. - Tilly z niedowierzaniem pokręciła głową. - Wzięłaś pieniądze?

Louisa parsknęła śmiechem.

- No pewnie! I tak nigdy nie chciałam być jej druhną. Zwłaszcza że oznaczało to włożenie błyszczącej jasnoróżowej sukienki. Zresztą potem na przyjęciu rozmawiałam z innymi druhnami, a one okazały się naprawdę cudowne. Jak tylko powiedziałam, co zrobiła Macy, wszystkie zdjęły sukienki i wrzuciły je do basenu. To było naprawdę miłe z ich strony. - I dodała z przesadnym kalifornijskim akcentem: - Wiesz, musimy się wspierać, i takie tam.

- A więc to są sukienki - Tilly pokazała palcem pływające pieczarki.

- I to nie byle jakie, z najwyższej półki. Vera Wang. Kosztowały tysiące dolarów - zachichotała Louisa. - Macy była wściekła.

- Do diabła, to ty miałaś prawo być wściekła. - Tilly solidarnie się zdenerwowała. - Nie mogę uwierzyć, że w ogóle poszłaś na jej ślub po tym, co ci zrobiła.

- Coś ty, nie obeszło mnie to ani trochę. To jak przedstawienie. Po prostu zawałam casting. - Lou naprawdę nie wydawała się przejęta. - Zresztą oni mieli hollywoodzkie wesele, na pokaz, a nie takie prawdziwe. Wytrzymali ze sobą tylko sześć miesięcy.

- Cóż, jeśli ja kiedykolwiek wyjdę za męża - oświadczyła Tilly - na pewno będziesz moja druhną.

- Dzięki! A kiedy ja będę brać ślub, ty będziesz moja. - Uśmiechnęła się dziewczynka. - Jeśli nie będziesz wtedy za stara.

Tilly żartobliwie szturchnęła Lou w bok.

- Nigdy nie byłam druhną. Nikt mnie nie poprosił.

- Ja prawie nią zostałam, raz. Kiedy miałam dziewięć lat. - Louisa ziewnęła, zmęczona. - Na weselu Jacka i Rose.

Jacka?

- Tego Jacka, który był tu dziś po południu? - Tilly nadstawiła ucha w oczekiwaniu na nową plotkę. - I co się stało? Odwołali ślub w ostatniej chwili?

- No tak, nie mieli wyjścia.

O, nieźle. Tilly spytała:

- Kto kogo zostawił?

- Nikt nikogo nie zostawił. Na pewno by się pobrali - wyjaśniła Lou - tyle że nie mogli. Bo Rose umarła.

Rozdział 7

W salonie na dole Max otwierał butelkę czerwonego wina.

- Wypijmy za koniec twojego pierwszego dnia pracy. - Stuknął kieliszkiem o kieliszek Tilly. - Za to, że jeszcze nie wróciłaś z wrzaskiem do Londynu. Na zdrowie. Nie jest aż tak źle, prawda?

- Prawie nic nie robiłam. Czuję się jak jakaś oszustka.

- Spokojnie, jeszcze nie zacząłem strzelać z mojego bata. Przed końcem tygodnia nie będziesz mogła na mnie patrzeć. A teraz spójrz, spisałem ci listę rzeczy, które musisz jutro załatwić. Rano jadę do Oksfordu, ale jeśli coś będzie nie tak, możesz dzwonić.

Max podał Tilly kartkę papieru.

Rano o 8: zawieźć Lou do szkoły.

Przed południem: odwieźć próbki tapet do sklepu w Cirencester; zrobić zakupy, ugotować obiad, wyprowadzić Betty na spacer, odebrać sześć oprawionych grafik z Welch and Co. w Roxborough.

Po południu o 16. 10: odebrać ze szkoły Lou i Nesh.

- W porządku. - Tilly miała problem z koncentracją - myśli o Jacku wciąż kłębiły się w jej głowie i rodziły milion pytań. - Hm, co byś chciał, żebym ugotowała?

- Nie mam pojęcia. Nie znoszę wymyślać potraw. Cieszę się, że tu jesteś, bo teraz to twoje zadanie. Ale nie jesteśmy wybredni, więc nie musisz się jakoś specjalnie wysilać. Wrócę koło szóstej - odparł Max. - A pojutrze możesz pojechać ze mną i pomóc mi robić wymiary do następnego zlecenia.

- Świetnie. - Tilly zastanawiała się, kiedy może zmienić temat rozmowy i spytać o Jacka.

- Nic wymyślnego, chodzi o jedno z mieszkań Jacka.

Bingo!

- Wiesz, ja i Lou rozmawialiśmy...

- Spójrz, mogę pokazać ci szczegóły. Jack zostawił mi foldery. - Max sięgnął po broszurę leżącą na stole. - On kupuje mieszkania, a potem je wynajmuje, wiedziałaś? Ma już całkiem niezły zestaw. Kupuje lokale na aukcjach, odnawia je, potem ja je upiększam, a on wynajmuje. Na przykład to tutaj: drugie piętro, wiktoriański dom w Cheltenham, salon wychodzący na południe...

- Lou powiedziała mi o śmierci narzeczonej Jacka - wyrzuciła z siebie Tilly, nie mogąc się powstrzymać. - Na tydzień przed ślubem. Podobno utonęła.

Max zamilkł, uśmiechnął się nieznacznie i napił wina. Po chwili odpowiedział:

- To prawda. Rany boskie, teraz ty też w tym siedzisz! Widzę to w twoim spojrzeniu.

- Co? Nie wiem, o czym mówisz. - Ale Tilly zaczęła się czerwienić, bo oczywiście wiedziała, o co chodzi.

- Jakie to romantyczne, prawda? Nieszczęśliwy wdowiec... Tyle że Jack nie jest wdowcem, bo nie zdążyli się pobrać. Przykro mi. - Max potrząsnął głową i mówił dalej, skwaszony: - Jack jest jednym z moich najlepszych przyjaciół i to, co mu się przydarzyło, było okropne, ale naprawdę bawi mnie efekt, jaki ta historia robi na kobietach. Jakby nie dość, że jest cholernie przystojny, a na dodatek inteligentny i odnoszący sukcesy. Wystarczy, że któraś usłyszy tę historię i koniec, traci nad sobą panowanie. A on chce więcej. I tobie się to właśnie przydarzyło.

- Nieprawda - zaprotestowała zarumieniona Tilly.

- Nie wciskaj mi kitu - rzekł zrezygnowany Max. - Ale wiesz co? Jeśli Jack cię uwiedzie, potem porzuci i złamie ci serce, a ty będziesz tak nieszczęśliwa, że nie zechcesz już dłużej tu mieszkać, wręczysz mi wypowiedzenie i zwiejesz, zostawiając nas z Lou na lodzie, to przysięgam na Boga, że najlepszy kumpel przestanie nim być. Osobiście skrećę kark temu „nieszczęśliwemu wdowcowi”.

Tilly wciąż chciała poznać wszystkie szczegóły, bo bardzo zmęczona Louisa, opowiedziawszy najważniejsze fakty, zasnęła.

- Już ci mówiłam, nie będę niczyją ofiarą - przypomniała.

- Tak, ale to było, zanim usłyszałaś całą tę historię.

W Tilly narosła frustracja.

- Ja wcale nie znam całej historii!

- Dobrze, dolać ci wina? - Max napełnił jej kieliszek i oparł stopy na stoliku do kawy, stojącym przed kanapą. - Tylko przygotuj sobie chusteczki, kochana. Jack i Rose byli ze sobą trzy lata. Ona była piękna, o rok młodsza od niego, najładniejsze stworzenie, jakie świat oglądał. Wszyscy ją uwielbiali. Zaręczyli się w Wigilię, pięć lat temu. Ślub zaplanowali na następny grudzień. Miał się odbyć w kościele w Pembrokeshire, gdzie dorastała Rose. Wszystko dokładnie zaplanowali, a potem okazało się, że Rose jest w ciąży, co przysporzyło im jeszcze więcej radości. Nie mogli się doczekać, aż zostaną rodzicami. Rose uwielbiała jeździć konno, ale Jack kazał jej przestać, by nie zaszkodziła dziecku. No więc tydzień przed weselem Rose pojechała do Walii, do rodziców, aby dograć wszystkie sprawy. Jack został tutaj, miał jakieś interesy do załatwienia. W niedzielny poranek Rose wzięła psa rodziców na spacer, nad morze. Dzień był burzowy, morze niespokojne. Pies zaczął gonić jakąś mewę, wlaź do wody i zaczął tonąć. A Rose знаła go niemal od szczeniaka. Cała rodzina go uwielbiała. Ludzie widzieli, jak Rose krzyczy do psa, ale on nie mógł dopłynąć do brzegu. A potem ona skoczyła ze skały prosto do morza.

Tilly zaschło w ustach. Trudno było słuchać historii, której tragiczne zakończenie już знаła.

- I wiesz co? - spytał Max. - Rose uratowała tego psa. Bóg jeden wie jak, ale udało się jej go przyholować bliżej skał, by mógł się wydostać. Ale sama się nie wydostała. Przyszła wielka fala i wciągnęła ją pod wodę, a prąd nie pozwolił wrócić. Zanim dotarli tam ratownicy, było za późno, już nie żyła.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Tilly kręciła głową, próbując sobie wyobrazić koszmar tej sytuacji. - Biedna rodzina.

- Było im ciężko - potwierdził Max, popijając wino. - Rodzice Rose wpadli w rozpacz. Stracili córkę i wnuka - całą swoją przyszłość. A Jack oczywiście obwinił siebie. Był przekonany, że gdyby pojechał z nią do Walii, a nie został tutaj, nic złego by się nie wydarzyło. - Zamilkł i odetchnął przeciągle. - Oczywiście było w tym trochę prawdy. W każdym razie nie odbyło się wesele, tylko pogrzeb. Rodzina Rose nie mogła się pozbierać. Jack przeżył uroczystość na autopilocie. Potem rzucił się w wir pracy. A pół roku później zaczął... znów spotykać się z kobietami - dokończył chłodno Max. - I spotyka się z nimi od tamtej pory, właściwie bez ustanku. Myślimy nawet, żeby zgłosić go do *Księgi rekordów Guinnessa*. Tyle że oni przysłaliby tu pewnie jakąś niewinną dziewczeczkę, żeby sprawdziła jego wiarygodność, a wszyscy wiemy, co wydarzyłoby się później. Wyobraź sobie, że za rok otwierasz księgę i czytasz: *Światowy rekord Guinnessa w uwodzeniu kobiet należy do Jacka Lucasa, lat 33, mieszkającego w Roxborough na wzgórzach Cotswolds, który obiecał, że do mnie zadzwoni, że znowu się spotkamy, ale nic z tego nie wyszło, bo on jest kłamliwym, parszywym łajdakiem, któremu zdaje się, że może traktować nas, kobiety, jak śmieci... Do diabła, za kogo on się uważa?*

Max niezbyt subtelnie wyraził całą prawdę o Jacku. Właściwie Tilly powinna być mu wdzięczna, że nie wykrzyczał tego przez megafon, prosto w jej ucho.

- Każda z tych kobiet myśli, że go uratuje - mówił dalej Max. - I każdej się zdaje, że to ona będzie tą jedną, której się uda, która przełamie bariery i sprawi, że Jack znów się zakocha. Ale minęły już cztery lata. Moim zdaniem on wcale nie szuka prawdziwej miłości. Woli trzymać się z dala od poważnych związków i być sam. W ten sposób wie, że nikt go nie skrzywdzi. I właśnie to - zakończył Max - sprawia, że Jackowi nie można się oprzeć. Dla kobiet jest wyzwaniem. - Zamilkł i spojrzął na Tilly, czekając na jej reakcję.

- Co się stało z psem? - spytała.

- Zdechł rok później. Nic dramatycznego, umarł ze starości. Zasnął i już się nie obudził. Niezły sposób, by odejść. - Max podniósł kieliszek i śmiertelnie poważnie podsumował: - Ale gdybym miał wybór, wolałbym umrzeć po nocy spędzonej z Johnnym Deppem.

Rozdział 8

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Tilly cieszyła się ze sposobu, w jaki upływa jej pierwszy prawdziwy dzień pracy. Odwiozła Louise do szkoły o wyznaczonej godzinie, pojechała do Cirencester, oddała próbki tapet i zajrzała do rzeźnika po trzy porcje polędwicy w cieście francuskim. Ziemniaki były przygotowane do pieczenia, marchewki pokrojone (w s ł u p k i , proszę państwa, a nie w jakieś plebejskie plasterki), a Betty zaliczyła swój spacer po lesie Roxborough i szczęśliwie udało się jej nie złapać żadnego z królików, które ją kusily.

Tilly zerknęła na zegarek. Była druga po południu, a ona musiała już tylko odebrać grafiki. Później powinna jeszcze mieć czas, żeby zajrzeć do Erin, a potem pojedzie do Harleston Hall, by odebrać ze szkoły Lou i jej przyjaciółkę Nesh.

Ha, udało się jej nawet znaleźć miejsce parkingowe przed Welch and Co. - przy niebiesko-białym wejściu w dopasowanych, również niebiesko-białych donicach stały krzewy wawrzynu.

W środku okazało się, że Welch and Co. należy do miejsc, do których chodzi się, kiedy chce się kupić coś ładnego i pochwalić grubym portfelem. Na ścianach wisiały rozmaite obrazy i lustra, a dookoła stały ozdobne lampy, świeczniki, stylowe wazony, ceramiczne donice, rzeźby, prawie prawdziwe sztuczne kwiaty - w takim sklepie, gdziekolwiek spojrzeć, chciało się powiedzieć „O, jakie to ładne”, a potem zwykle dostawało się zawrotu głowy po spojrzeniu na cenę.

Kobieta siedząca z tyłu sklepu, przy lakierowanym białym stoliku, na którym stał elegancki witrażowy kandelabr, także wyglądała na bardzo drogą: atrakcyjna, zadbana, miała długie brązowe włosy, możliwe, że doczepiane. Ubrana była w różową bluzkę, białą ołówkową spódnicę i grubą warstwę makijażu. Akurat rozmawiała przez telefon:

- ...dobrze, tylko nie obiecuj sobie zbyt wiele. On zawsze mówi, że zadzwoni, ale nigdy tego nie robi.

Tilly zauważyła, że kobieta miała też bardzo drogie buty, a błyszcząca diamentowa bransoletka lśniła na lewym nadgarstku.

- Cóż, cieszę się, że dobrze się bawiłaś. Tak, wiem, że jest...

Umieśnione, zgrabne łydki. Brak obrączki. Ciężkie, piżmowe perfumy.

- Chwileczkę. Amy. Mam klientkę. - Przykrywając słuchawkę idealnie wymanikiowaną dłonią, kobieta spojrziała na Tilly i słodkim głosem spytała: - Mogę w czymś pomóc, czy woli pani sama poszperać?

Poszperać. To słowo zawsze wywoływało uśmiech na twarzy Tilly. Jako dziecko myślała, że ma coś wspólnego z zagładaniem w mysie dziury, i teraz wyobraziła sobie, jak chodzi

dokoła sklepu i zagląda za szafki, szukając szparek w podłodze.

No, ale w końcu była już dorosła, więc głośno powiedziała tylko:

- Jestem tu, by odebrać grafiki dla Maksa Dineena.

Wyraźnie przykuła uwagę właścicielki. Kobieta otworzyła szeroko oczy i wyprostowała się. Podnosząc wskazujący palec, powiedziała do słuchawki:

- Amy, muszę kończyć, mam interesującego gościa. - Pauza. - Nie, to nie on. Jezu, masz już obsesję.

- O rany - odezwała się Tilly. - Nie wiedziałam, że mogę być interesująca. Mam nadzieję, że nie czeka pani, aż zacznę stepować.

- Nie, jeśli nie masz na to ochoty. Ale w istocie, jesteś interesująca. - Kobieta odłożyła słuchawkę i bez zażenowania zmierzyła Tilly pewnym siebie wzrokiem, przyglądając się jej potarganym włosom, nieumalowanej buzi, poszarpanym dżinsom i różowym kaloszom w kropki. Wyraźnie uspokojona, że nowo przybyła nie stanowi żadnego zagrożenia (Tilly miała ochotę przysiąc, że naprawdę dobrze się przyłożyła), dodała: - A więc to ty jesteś nową dziewczyną Maksa. Wspominał, że zaczynasz pracę w tym tygodniu. Mówił też, jak się nazywasz, ale zapomniałam.

- Tilly Cole.

- Racja. Co za zabawne imię! A ja jestem Stella, Stella Welch. Miło mi cię poznać. Alez jesteś szczęściarą, że możesz pracować dla Maksa. Będę zazdrosna!

- Na razie wszystko w porządku. - Tilly uśmiechnęła się, chcąc zrobić dobre pierwsze wrażenie, mimo że włosy i kalosze na pewno jej nie pomagały. - No i Lou jest cudowna.

- A co o nim myślisz? - Stella pochyliła się i spytała konspiracyjnym szeptem. - Całkiem niezły, prawda?

- Hm... - zaczęła zaskoczona Tilly.

- I taki zabawny. Uwielbiam to jego liverpoolskie poczucie humoru. Rozkłada mnie na łopatki. Pewnie się w nim podkochujesz, co?

Okej, to już zaczynało robić się dziwne. Czyżby nie wszyscy znajomi wiedzieli o orientacji seksualnej Maksa? Zawahała się i odparła:

- Nie, nie podkochuję się w nim.

- Coś ty! Na pewno tak! Max jest naprawdę przystojny.

Przecież rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru. Max twierdził, że powiedział swoim znajomym, że jest gejem.

- Ale on... jest gejem - wydusiła w końcu.

- A, to. - Stella lekceważąco machnęła ręką. - Ale przecież nie całkiem. Tylko na wpół gejem. Był mężem Kaye wystarczająco długo. Mają razem dziecko. Lubi więc nie tylko mężczyzn. - Bawiąc się piórem, Stella dodała beztrudno: - Zawsze można coś zmienić.

- No tak. Cóż, nie pomyślałam - powiedziała Tilly i pośpiesznie dodała: - Ale i tak mi się nie podoba.

- Czemu nie? Też jesteś homo?

A niech to!

- Nie, po prostu nie jest w moim typie. Zresztą właśnie rozstałam się z chłopakiem i chcę sobie zrobić przerwę od tego wszystkiego.

- W twoim wieku to normalne, że się interesujesz mężczyznami. Jesteś młodsza ode mnie. Ile masz lat? - Stella okazała się niepokojąco bezpośrednia.

- Dwadzieścia osiem.

- A jak myślisz, ile ja mam?

Tilly zawahała się.

- Hm...

- Trzydzieści siedem. Wiem, że na tyle nie wyglądam, ale to prawda. - I na dodatek niepokojąco skromna. - Mój mąż i ja rozstaliśmy się pół roku temu. Zostawił mnie ot tak, po

prostu. Trzydziestosiedmioletnią kobietę! Widzisz więc, że ja nie mogę sobie robić przerwy. Chcę mieć dziecko, zanim będzie za późno. Przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy małżeństwem, odkładaliśmy to na później, żeby korzystać z życia. Ciągłe powtarzaliśmy, że jeszcze trochę zaczekamy, pobawimy się, dopóki jeszcze możemy. Plan był taki, że w tym roku, w tym roku - zdecydowanie postukała palcem w stół - zaczniemy próbować. A on nagle mówi mi, że odchodzi, że nasze małżeństwo jest skończone i że on chce rozwodu. Bach, tak po prostu. I kto tu jest samolubny? Przecież on igra sobie z moim życiem. Z moją przyszłością!

- Rany, tak mi przykro. - Stella mogła być nieco onieśmiałą, ale biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się to usprawiedliwione. - A czy on... - zawahała się Tilly. Jak to zgrabnie ująć? - ...czy on spotyka się z kimś innym?

- Nie, nie. Na pewno nie. - Stella energicznie zaprzeczyła. - Nie ma mowy. Wiesz, wydaje mi się, że on przechodzi po prostu kryzys psychiczny i wpadł w panikę na myśl o czekającej go odpowiedzialności. Oczywiście biorę pod uwagę bycie z innym mężczyzną, gdyby mój mąż nie oprzytomniał, ale wydaje mi się, że prędzej czy później odzyska zmysły i będzie błagał, bym przyjęła go z powrotem.

- A ty naprawdę być tego chciała?

- Na Boga, oczywiście, że tak. Jest moim mężem. Chcę mieć dzieci. Będzie cudownym tatą.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał lekko i do sklepu weszła para w średnim wieku.

- On wróci. Musi wrócić. - Stella, podkreśliwszy swoje zdecydowanie, zmieniła temat. - A teraz chodź, dam ci to, po co przyjechałaś.

- Dziękuję - odparła Tilly, kiedy Stella pomagała jej ładować oprawione grafiki do bagażnika.

- Nie ma sprawy. Ucałuj ode mnie Maksa. Miło było cię poznać. - Stella wyprostowała się. - Jeśli chcesz, możemy kiedyś wybrać się na drinka. Przedstawię ci moim przyjaciółkom. Choć nie, to nie wypali. Chyba jesteś za młoda. No nic, nieważne. Na pewno jeszcze się spotkamy. Lepiej wrócę do sklepu, zanim ci ludzie poczęstują się moim utargiem.

- Kto? Stella? Ojej! - powiedziała Erin.

No właśnie. Problem z tym, że nie znało się pewnych ludzi, polegał na tym, że nie wiedziało się o nich różnych rzeczy.

- A co? Co z nią jest nie tak? - spytała Tilly. - Wydała mi się całkiem miłą. Przyjacielska. Choć dość bezpośrednia. I pewna siebie. Słyszałam historię o jej mężu. Stella jest przekonana, że wróci do niej na kolanach.

- O Boże!

Tilly ulżyło, że nie umówiła się ze Stellą na drinka.

- Co się stało? Jest wariatką?

Erin ostrożnie odłożyła wyszywaną koralikami, czerwoną wieczorową sukienkę, którą oglądała, i odparła:

- Spotykam się z Fergusiem.

- Z kim? - Ta rozmowa zaczynała wyglądać jak gra w dwadzieścia pytań.

- Z mężem Stelli. - Erin nerwowo obliznęła usta. - Chciałam ci powiedzieć.

Tilly mrugnęła zaskoczona.

- O rany, to dlatego od niej odszedł?

- Nie, nic podobnego. Rozstali się pół roku temu, a my spotykamy się dopiero od kilku tygodni. - Bawiąc się ramiączkiem czerwonej sukienki, Erin mówiła dalej: - Ale oczywiście nikt o tym nie wie prócz nas. A już na pewno nie Stella. Zdaje mi się, że nie przyjęłaby tego zbyt dobrze.

- Dopiero ją poznałam, ale już wiem, że to zdecydowanie za łagodnie powiedziane.

- Właśnie dlatego nie mamy zamiaru jej mówić.
- Straszne - oceniła Tilly. - Jest tego wart?
Na twarzy Erin pojawił się wyraz rozmarzenia.
- Jest najlepszy, najcudowniejszy.
- A czy on wie, że żona czeka, aż do niej wróci?
- Oczywiście, że wie. Stella powiedziała o tym wszystkim w Roxborough! - wykrzyknęła Erin obronnym tonem. - Ale tak się nie stanie. Prędzej czy później będzie musiała to zaakceptować.
- A niech mnie! - podziwiała przyjaciółkę Tilly. - Ty naprawdę myślisz o nim poważnie.
- Bardzo długo czekałam na takiego mężczyznę. A teraz go mam. - Erin promieniała. - Fergus jest wart tego, by myśleć o nim poważnie.
A skoro o mężczyznach mowa...
- Aaa, słuchaj, wiesz, kogo wczoraj poznałam? Właściciela tego auta, na które wpadłam, kiedy w zeszłym tygodniu przeskakiwałam przez kosz na śmieci!
- O rany, to znaczy, że cię rozpoznał? Był wściekły?
- W gruncie rzeczy trochę tak. Samochód był zupełnie nowy. - Tilly nie mogła nic poradzić na to, że czuła ekscytację na myśl o ponownym spotkaniu. - Wydaje się całkiem miły. Ma na imię Jack.
W głębi duszy Tilly pragnęła, żeby przyjaciółka klasnęła w dłonie i krzyknęła: „Oczywiście, przecież wy dwoje jesteście dla siebie stworzeni!”.
Tak, w głębi duszy tego chciała.
Zamiast tego Erin powiedziała coś zupełnie innego.
- Jack? Masz na myśli Jacka Lucasa? - spytała z przerażeniem w głosie. - O nie, nawet nie próbuj. On jest jedynym facetem na świecie, z którym, przysięgam, nie chciałabyś się związać.
- Czemu wszyscy mi to powtarzają? Czuję się jak dziecko, które mama ostrzega, by nie wchodziło głębiej do rzeki, bo woda może mu się nalać do kaloszy.
- Zaufaj mi, widziałam to już milion razy. - Erin przybrała swój najpoważniejszy wyraz twarzy. - Mówię to, bo taka jest prawda.
Tilly udawała, że ogląda długi, czarny aksamitny płaszcz z jedwabną turkusową podszewką.
- Tilly, słuchasz mnie?
- Jasne. Ładny płaszcz.
Spójrzmy prawdzie w oczy: Tilly zawsze rzucała się na głęboką wodę.

Rozdział 9

- Widzisz, jak się błyszczy? To dlatego, że wczoraj wieczorem oddałem go do myjni - oznajmił Jack. - Spróbuj więc nie rzucać się na maskę.
- Postaram się nad sobą panować. - Tilly wysiadła z bmw Maksa, zaparkowanego za jaguarem. Jack czekał na nich, stojąc na zaszronionym chodniku przed nowo nabytym mieszkaniem na Marlow Road. Miał na sobie bładoniebieską bluzę i dzinsy. Jeśli miałyby się rzucać na cokolwiek - to tylko na niego.
- Hej, ty! Przestań flirtować z moją asystentką. A ty - Max zwrócił się do Tilly - przestań go zachęcać.
Tilly rozłożyła ręce.

- Co ja zrobiłam?

- Nic nie musisz robić, w tym właśnie problem - odparł Max, kręcąc głową. - Może peleryna z kapturem by ci pomogła.

- W porządku, już będę grzeczny. - Jack poprowadził ich do drzwi. - Chodźcie, pokażę wam mieszkanie.

Zdenerwowana Tilly ruszyła za Jackiem po schodach. Przyjechali minutę temu, a ona już miała palpacje serca. Długie nogi, szerokie ramiona, nitka przyczepiona do dzinsów... Na wszelki wypadek Tilly wbiła sobie paznokcie w dłoń, by jej nie zdjąć, bo w końcu dotykanie pośladków Jacka nie było dobrym pomysłem.

Fiu, fiu, pomyślała, to musi być miłe uczucie...

- Patrzysz na mój tyłek?

- Jezu, znowu się zaczyna - zirytował się Max. - Dajże spokój, dobrze? Zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju.

Tilly spojrzała z umiarkowaną wdzięcznością.

- Ale tak było - przyznał Jack. - Czulem na sobie jej spojrzenie, przysięgam.

Błagam, niech to będzie nieprawda.

Mieszkanie na drugim piętrze pachniało świeżym tynkiem i trocinami. Z wychodzącego na południe salonu rozciągał się piękny widok na park.

- Tynkarze skończyli wczoraj wieczorem - wyjaśnił Jack, a Max chodził z pokoju do pokoju, przyglądając się szczegółom i zapisując coś w notesie. - Teraz kolej na Maksa, żeby zrobił swoje.

- A mnie się zdawało, że wynajmujący mieszkania malują wszystko na różowo.

- Wielu tak robi. Ale liczy się pierwsze wrażenie, a Max zna się na swojej robocie. Wystarczy uczynić to miejsce trochę bardziej wyjątkowym i od razu przyciągniesz lepszego najemcę.

- Który będzie płacił wyższy czynsz - zauważył Max. - Jack nie wynajmuje mnie z dobrego serca. Chodzi wyłącznie o zysk.

- Pieniądze rządzą światem.

Tilly już otworzyła usta, żeby zaprotestować, bo przecież miłość rządzi światem, ale nie powiedziała ani słowa. W tych okolicznościach lepiej nie poruszać tego tematu.

- Dobra, trzymaj miarę. Równo - nakazał jej Max. - Zabierajmy się do pracy.

Dwadzieścia minut później, kiedy kończyli pomiary, zadzwoniła jego komórka. Max miał zajęte ręce, kiwnął więc na telefon leżący na parapecie i poprosił Tilly:

- Możesz odebrać?

Na wyświetlaczu migąło imię Kaye.

- To Kaye.

- W porządku - uśmiechnął się Max. - Wolno ci z nią porozmawiać.

- Hurra! - odezwał się wesoły kobiecy głos, kiedy Tilly odebrała. - Ty pewnie jesteś Tilly. Próbowałam dodzwonić się do domu, myśląc, że tam jesteś, ale nikt nie odbierał. No więc jak to jest pracować dla tego starego wyzyskiwacza?

- Na razie nie najgorzej. Mierzymy akurat jedno mieszkanie.

- Pewnie w jakimś eleganckim miejscu.

- W Cheltenham, należy do Jacka Lucasa.

- No nie! A Jacka już poznałaś?

Wiedząc, że właśnie on się jej przygląda, odparła:

- Tak, nawet stoi obok mnie.

- Proszę, proszę! - Kaye zachichotała znacząco. - Nic już nie mów, wyobrażam sobie sytuację. I jak wy dwoje się dogadujecie?

Czemu ludzie robią takie rzeczy? Najpierw mówią „nic już nie mów”, a potem zadają następne pytanie? Tilly odwróciła się od Jacka - który miał wyraźne zdolności telepatyczne i

uśmiechał się z zadowoleniem - po czym wymamrotała do słuchawki:

- Wydaje się miły.

- Jest miły. Tylko przypominaj sobie jak najczęściej, że nie można traktować go poważnie, lecz wyłącznie jako rozrywkę. Ma mnóstwo uroku i seksapilu - mówiła Kaye. - Ale nie wolno ci wierzyć w ani jedno jego słowo.

- Wiem o tym.

- Przepraszam - wtrącił się Jack. - Czyżbyście rozmawiały o mnie? Co ta paskudna kobieta ci opowiada?

Max, nie odrywając się od mierzenia okien, odpowiedział za Tilly:

- Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- Powiedz im, że wszystko słyszę. - Kaye zdawała się rozbawiona. - A Jackowi powiedz, że wydam zaraz ostrzeżenie o zagrożeniu dla zdrowia. Zadzwoiłam, bo chciałam poznać nową asystentkę Maksa. Lou napisała do mnie wczoraj e-mail, opowiadając, jaka jesteś cudowna.

- Naprawdę dobrze się bawię. - Wzruszona lojalnością dziewczynki Tilly dodała: - Lou też jest świetna. Możesz być z niej dumna.

- Jest całym moim światem. Moje kochanie. Strasznie za nią tęsknię. Ale to nic. - Kaye odetchnęła głęboko, wyraźnie wzruszona. - Przyjadę do was na Wielkanoc. To tylko kilka tygodni. A teraz posłuchaj: jeśli będziesz chciała do mnie kiedyś zadzwonić, wal jak w dym. Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek pytania, wątpliwości, dzwoń. Obiecujesz?

- Oczywiście.

Max odezwał się głośno:

- Kaye właśnie spytała Tilly, czy jestem najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek miała.

- Nie, nie - Jack pokręcił głową. - Spytała ją, czy jestem najprzystojniejszym facetem w Roxborough.

- Cicho - napomniała ich Tilly.

- Powiedz, że wciąż ich słyszę. I jeszcze jedno: czy Lou mówiła ci o jakimś chłopaku?

- Nie, nic o tym nie wiem.

- Dobrze, tak się tylko zastanawiałam. Ostatnio kilka razy wspomniała o pewnym chłopcu ze szkoły, a zrobiła to jak typowa nastolatka: „Nie mogę znieść tego głupka” i takie tam. Zastanawiam się, czy przypadkiem się w nim nie durzy.

- Będę mieć oczy otwarte. - Tilly współczuła Kaye. To, że trzynastoletnia córka jest tak daleko od niej, musiało być naprawdę przygnębiające. Na dodatek Lou zaczynała dojrzywać i interesować się chłopcami. Jakby później było z nimi mniej problemów...

- Dzięki... Ojej, muszę już iść, wzywają mnie do garderoby. Odezwę się niedługo - pożegnała się Kaye. - Ucałuj wszystkich ode mnie. Nawet Jacka - dodała wesoło.

Rozdział 10

Jak to jest, że przez całe tygodnie, miesiące, nawet lata gotowanie przyzwoitych i jadalnych posiłków przychodzi tak łatwo, a tego wyjątkowego dnia, kiedy kolacja musi być idealna, wszystko idzie inaczej, niż powinno.

Erin wrzasnęła z bólu, kiedy rozpalona do czerwoności krawędź blachy dotknęła wewnętrznej części jej nadgarstka, aż zasyczało. Au, to naprawdę bolało.

I nie tylko jedzenie udało się jej zepsuć: przygotowania do pierwszego seksu z Fergussem zaczynały wyglądać na śmiertelnie niebezpieczne zajęcie. Zazwyczaj potrafiła ogolić nogi bez

przeszkód w dwie minuty, ale dzisiaj - dobrze, może dlatego, że chciała, by były ultragładkie - zacięła się z dziesięć razy, a prysznic wyglądał jak żywcem wyjęty z *Psychozy*. Potem wyrznęła jeszcze palcem u nogi o komodę w sypialni i spuściła sobie suszarkę na drugą stopę.

Na dodatek zmarnowała kolację.

Czy ktoś tam, na górze, próbował jej coś powiedzieć?

Nie, nie wolno tak myśleć. Fergus odszedł od żony pół roku temu; nie robili nic złego. Zresztą był wart poświęceń. Cóż znaczyło kilka zadrapań i oparzeń, skoro nadeszła okazja, by zrobić wrażenie na wymarzonym mężczyźnie?

Erin zebrała siły: było za dziesięć ósma i Fergus miał pojawić się lada chwila. Musiała się tylko skoncentrować, polać sosem kurczaka i pokroić cukinie, najlepiej zachowując wszystkie palce.

Dzwonek do drzwi zadzwonił punkt ósma. Kiedy Erin wpuszczała Fergusą do mieszkania, jej serce waliło jak młotem. Pomiędzy pocałunkami zdołała powiedzieć:

- Nie wystawięś mnie.

- Nigdy cię nie wystawię. - Przytulił ją.

To właśnie było cudowne: wiedziała, że mówi prawdę. Erin miała już za sobą studenckie związki z trudnymi i nieprzewidywalnymi facetami, których nie było łatwo zatrzymać. Nie chciała więcej tego przeżywać. Fergusowi można było ufać i polegać na nim. Całkowicie. Może jako osiemnastolatka śmiała się z tej zalety, ale dziesięć lat później niezawodność stała się prawdziwym afrodyzjakiem.

- Wejdz. - Erin zaprosiła Fergusą do mieszkania, a jej serce nie zwalniało tempa. Czy on wiedział, że dzisiaj jest ten wieczór? Czy to, że zaprosiła go do siebie i przygotowała kolację, oznaczało, że Fergus zostanie na noc? Czy zastanawiał się nad taką możliwością, a może wiedział to na pewno? Takich pytań zadawać się nie powinno, tak jak nie mogła przecież powiedzieć: „Wiesz, tak przy okazji, kiedy przyjdiesz w czwartek na kolację, to potem będziemy się kochać, jeśli ci to nie przeszkadza”.

Jeśli będzie chciał.

Hm, o tym wcześniej nie pomyślała. A co jeśli będzie miał coś przeciw temu? Jeśli spojrzy przerażony i rzuci: „Właściwie to chyba wolałbym nie”.

Erin przełknęła ślinę. Rany, kolejny powód do zmartwień. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: nigdy nie odmówił jej żaden mężczyzna.

- Pięknie pachnie.

- To pieczony kurczak.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Sos z czerwonym winem.

- Też nie. To ty. - Fergus uśmiechnął się w typowy dla siebie chłopięcy sposób. - Ty tak fantastycznie pachniesz.

Erin spryskała się swoimi ulubionymi perfumami marki Jo Malone - Pomegranate Noir. Zrobiło się jej ciepło w środku, bo za chwilę Fergus miał odkryć, że spryskała nimi także pościel...

- Było pyszne - Fergus skończył jeść, odstawił talerz na bok i uściśnął dłoń Erin. - Dzielna dziewczynka. Dziękuję.

- Cud, że w ogóle zdołaliśmy coś zjeść, bo cały czas mi przeszkadzałeś. - Erin spodobał się zapach, z jakim Fergus zjadał posiłek, ale trudno jej się było skoncentrować na gotowaniu, kiedy był blisko. W rozrządzeniu wsypała cukier zamiast soli do sosu z czerwonego wina, ale na szczęście nie wyrządziło to zbyt wielkich szkód. I pewnie gdyby Gordon Ramsay stał obok, narzekałby, że cukinie zbyt długo smażyły się na maśle, ale... cóż, właśnie dlatego zaprosiła na kolację Fergusą, a nie wybrednego szefa kuchni.

- Lubię ci przeszkadzać. - Uśmiechnął się, a za chwilę skrzywił, gdy zadzwoniła jego komórka.

- Lepiej odbierz - odezwała się Erin. - Może to z pracy.
- Nie dam sobie zepsuć tego wieczoru. Dla żadnego klienta.

Fergus wychylił się na krzesło i sięgnął za siebie, by wyjąć z marynarki dzwoniący telefon. Zerknął na ekran, znów się skrzywił i zerknął na Erin. Ale nie odebrał i sekundę później melodyjka zamilkła.

- Z pracy?
- Nie, to nic ważnego.
- Pudding? - Erin z ulgą zebrała talerze.

Fergus także się odprężył.

- Pewnie, to dopiero jest ważna sprawa.
- Miejmy nadzieję, że do niego nie dosypałam soli. - Telefon w dłoni Fergus'a nagle znów zapikał, dając znać, że ktoś nagrał się na pocztę głosową. Odłożył komórkę na stół.

- Nie odsłuchasz?
- Nie. - Uśmiechnął się. - Mówiłem ci, mam wolny wieczór. Daj, pomogę ci z tymi talerzami.

Kiedy jedli cytrynowy pudding, telefon zadzwonił znowu. Tym razem Fergus wyłączył go, po czym nałożył sobie drugą porcję deseru.

- Jedna z twoich pozostałych dziewczyn? - Erin chciała zażartować, ale pożałowała swoich słów, zanim skończyła je wypowiadać. Nie tylko mógł pomyśleć, że jest zazdrosna i zaborcza, ale też dała wyraźnie do zrozumienia, że uważa się za jego dziewczynę. Na dodatek zbyt pewną siebie. Zamachała więc przepaszająco widelcem. - Przepraszam. Zignoruj to, co powiedziałam.

- Hej, nie przejmuj się. Jak mógłbym cię zignorować? - Fergus pokręcił głową. - Te ostatnie tygodnie z tobą były cudowne. Nie masz pojęcia jak bardzo. - Zamilkł, jakby powtarzając w myślach to, co powiedział, a potem dodał pośpiesznie: - O matko, teraz ja gadam bez sensu. Jakbym chciał powiedzieć ci, że wszystko skończone. Ale tak nie jest, przysięgam. Właściwie to jest całkiem odwrotnie. Uważam, że jesteś cudowna... Do diabła, gadam ciągle to samo. W pracy mi się to nie zdarza. Każ mi sprzedać dom i zrobię to od ręki. Ale przy tobie... Próbuję powiedzieć ci, co czuję, ale widocznie... Cóż, chyba po prostu wyszedłem z wprawy.

Erin przestała jeść.

- To nieważne - rzekła.
- Ważne. Naprawdę cię lubię. - Fergus zawahał się, zarumieniony. - Bardzo.

Przez jedną szaloną chwilę Erin miała ochotę rozplakać się ze szczęścia. Ale to już na pewno by go odstraszyło. Wpatrując się w oczy Fergus'a - niebieskoszare, otoczone rzęsami o jasnych końcówkach - bez tchu wyrzuciła z siebie:

- Skończyłeś?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Mam mówić dalej?
- Chodziło mi o jedzenie.

- Ach, no tak, przepraszam, tak, tak... - Fergus pokręcił głową. - Przepraszam, wszystko mi się pomieszało.

- Wiesz co, mam pomysł. - Erin, czując przyływ odwagi, zapytała: - Może w końcu przestaniemy się nawzajem przepaszzać?

- Świetna myśl. Tak. Zdecydowanie tak zrobimy.
- I może zrobimy kawę, a potem usiądziemy sobie na kanapie?

Fergus z ulgą pokiwał głową.

- Kawa. Kanapa. Brzmi dobrze.

Ale kiedy chwilę później wszedł za Erin do kuchni, stanął za nią i objął od tyłu. Kiedy całował ją po ramieniu, małe włoski na jej karku podniosły się zaalarmowane. Fergus nie przestawał, znacząc pocałunkami szlak wzdłuż obojczyka, aż Erin jęknęła z pożądania. Obróciła się w jego ramionach i bez tchu wyszeptała:

- Możemy też podarować sobie tę całą kawę i kanapę.

Fergus pogłaskał ją po policzku.

- Tak, to zdecydowanie lepszy pomysł.

Pomysł w istocie był doskonały.

Uff, żadnych katastrof, co za ulga.

- O czym myślisz? - wyszeptał jej do ucha Fergus.

Erin leżała w jego ramionach, uśmiechając się w ciemnościach, a lewą stopą delikatnie głaszcząc nogę mężczyzny.

- Myślę o tym, że bardzo się cieszę, iż nie wypadłam z łóżka, nie zrobiłam niczego złego i nie powiedziałam nic głupiego. Myślę, że poszło... bardzo dobrze, biorąc pod uwagę, jak oboje byliśmy zdenerwowani.

- Ha, tobie się zdaje, że byłaś zdenerwowana. Ale uwierz, dla facetów to sto razy gorszy stres. - Fergus zamilkł i dodał po chwili: - Chyba że tak nie jest i tylko ja martwię się o... no wiesz, o różne męskie sprawy.

- Założę się, że wszyscy tak macie.

- Hm, nie byłbym tego pewien. Niektórych facetów na pewno nie dopada strach. Na przykład Jacka Lucasa. - Fergus mówił oschle. - Ale w końcu taki Jack ma więcej praktyki. Ja byłem poza branżą ostatnich dwanaście lat.

- Było cudownie. - Erin zawahała się, nie wiedząc, czy może zadać bardziej osobiste pytanie. - Czy ja...?

- Byłaś cudowna? O, tak. - Przytulił ją mocniej.

- Nie o to mi chodziło.

- No dobrze, chciałaś zapytać, czy jesteś pierwszą kobietą od czasu Stelli? - Fergus się droczył, dobrze wiedział, o co go zapyta. - Tak, kolejne „tak”.

Serce Erin podskoczyło z radości. Ucieszyła się, że Fergus nie należy do mężczyzn, którzy spiąją z każdą napotkaną kobietą. Dzięki temu czuła się wyjątkowa.

- Pochlebiasz mi. - Połaskotała palcami u nóg jego kostkę.

- A skoro mówimy całą prawdę, to właśnie Stella próbowała się do mnie przedtem dodzwonić.

Och. Stopa Erin zamarła. Cały entuzjazm wyraźnie opadł.

- Przepraszam. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Ona czasem do mnie dzwoni i prosi, żebym przyjechał do domu i z nią pogadał.

Pogadał. Jasne.

- Czy to eufemizm dla czegoś więcej niż pogawędka? - spytała.

- Nie, nie, broń Boże! - Fergus z zapalem potrząsnął głową. - Naprawdę. Nie ma mowy. Po prostu zadzwoniła do mnie kilka razy, żeby ściągnąć mnie do domu, bo chciała sprawić, żebym zmienił zdanie. Ale tak się nie stanie.

Okej, już lepiej. Erin mogła normalnie oddychać.

- Czy w takim razie nie powinieneś oddzwonić? Przynajmniej dać jej znać, że nie przyjedziesz?

- Widzisz? - odparł Fergus z uśmiechem. - To właśnie różnica między tobą a Stellą. Ona nigdy nie wzięłaby pod uwagę uczuć innej kobiety.

- Przeżyłam już paru takich mężczyzn, którym nie chciało się oddzwonić. Nie ma nic gorszego niż siedzieć w domu i czekać, aż zadzwięczy telefon. - Zadowolona ze zwycięstwa Erin przejechała dłonią po misiowatej, owłosionej piersi Fergusa. - Zadzwon do niej, będziesz

miał to z głowy.

Pochylił się i pocałował ją.

- Jesteś miła.

Erin żartobliwie pociągnęła za jeden z włosów.

- Wcale nie. Tylko pomyślałam, że gdy będziesz wstawał po telefon, możesz przy okazji przynieść nam butelkę wina do łóżka.

Oparła się na poduszkach i patrzyła, jak Fergus mocuje się z wywróconymi na lewą stronę rękawami jej szlafroka. Ucieszyło ją, że woli się przykryć, a nie paradować na golasa po mieszkaniu.

- Przepraszam. - Zauważając jej uśmiech, Fergus spytał: - Mogę go pożyczyć?

- Jasne.

W końcu udało mu się włożyć szlafrok, owinać paskiem i zawiązać go na bezpieczny podwójny supeł.

- Nie chcę, żeby odstraszył cię widok mojego brzucha.

Cóż za ulga.

- Umówmy się, że ty nie będziesz dostrzegał mojej oponki - powiedziała wesoło Erin - a ja udam, że nie widzę twojej.

Fergus pochylił się nad łóżkiem i ofiarował jej kolejny namiętny pocałunek.

- Lubię takie umowy. Nie uwierzyłabyś, ile razy Stella męczyła mnie, żebym poszedł do siłowni.

Był naprawdę uroczy. Kiedy wyszedł z pokoju, Erin złapała się na tym, że wciąż głupio się uśmiecha. Chwilę później Fergus wrócił z dwoma kieliszkami i na wpół opróżnioną butelką wina.

- O czymś zapomniałeś - zauważyła.

- Zadzwoń do niej jutro rano - obiecał.

- Nie, zadzwoń teraz. Żebyśmy nie musieli czuć się winni.

Przewrócił oczami, ale bez irytacji.

- Nie planowałem czuć się winny. Ale w porządku, wygrałaś.

Tym razem, kiedy wrócił do sypialni, już się nie uśmiechał.

- Co się stało?

- Siedem wiadomości. - Fergus stał w progu ze zmarszczonym czołem i przyciskał klawisze telefonu. - W ciągu jednej godziny. Poczekaj chwilę...

Rozdział 11

Nie po raz pierwszy puls Erin nagle przyśpieszył. Podczas gdy ona i Fergus szaleli w łóżku - czy coś się stało któremuś z jego rodziców? Pełna obaw wstrzymała oddech i patrzyła na wyraz jego twarzy, kiedy odsłuchiwał pierwszą wiadomość. O Boże, a co, jeśli ktoś umarł i nikt nie mógł skontaktować się z Fergusiem, ponieważ miał wyłączony telefon, bo uprawiał seks z...

Fergus podniósł zaniepokojony wzrok.

- Bing się rozchorował, a w domu wysadziło korki.

Kto? Co?

- Kto to jest Bing?

- Kot. - Po wysłuchaniu kolejnej wiadomości Fergus wyjaśnił: - Stella panikuje. Skrzynka z bezpiecznikami wybuchła.

Przynajmniej nikt nie umarł.

- Nie mogła zadzwonić do elektryka? - spytała Erin.

- Nie wiesz, jaka jest Stella. Panicznie boi się ciemności. A Binga kocha najbardziej na świecie. Nawet sobie nie wyobrazasz.

Erin zaczęła żałować, że była taka miła. Jej dobroć wróciła i ugryzła ją w tyłek. Radosna, pełna luzu atmosfera gdzieś zniknęła i Fergus wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Kiedy odsłuchiwał trzecią wiadomość, nawet Erin słyszała dochodzący z aparatu zdesperowany głos Stelli.

- Zadzwoń do niej.

Fergus skinął głową i rozłączył się. Chwilę później telefon znowu zadzwonił.

- Cześć... Nie. Tak. Właśnie miałem zamiar... Dobrze, uspokój się. Nie, nie zrobiłem tego specjalnie. Wyłączyłem komórkę, bo byłem zajęty. Pracą, Stello. - Kiedy to mówił, odwrócił się od Erin, by nie patrzeć jej w oczy. - Słuchaj, sprawdziłaś skrzynkę z bezpiecznikami?

Piskliwy głos w słuchawce osiągnął teraz jeszcze wyższe tony. Erin drgnęła.

- Dobrze już, dobrze. - Fergus zdusił westchnienie. - Zaraz przyjadę.

Cudownie.

- Przepraszam, nie mogłem odmówić. Ona jest w kiepskiej formie. - Fergus zaczął w pośpiechu się ubierać. - Bing wymiotował już dwa razy i wszystko zaświnił. Pewnie tylko wypłuka sierść, ale Stella nie jest pewna. No i w ciemności nie ma jak posprzątać.

Ubrał się w rekordowym tempie. Erin uniosła głowę, aby pocałować go na do widzenia, i bardzo starała się nie czuć złości na wymiotującego kota Stelli.

Fergus pogładził ją po policzku.

- Nie tak planowałem zakończenie tego wieczoru.

- Wiem. Ja też nie. - Głupi zwierzak, cholerne bezpieczniki! Erin dodała dzielnie: - No trudno.

- Wcale nie „trudno”. Wolałbym nigdzie nie jechać. - Fergus zerknął na zegarek. - Dopiero wpół do dwunastej. Jeśli się uwinę, mógłbym wrócić.

Erin była wzruszona, ale pamiętała, że następnego dnia o ósmej rano Fergus musi spotkać się z klientem w Gloucester.

- W porządku. Ja też wolałabym, żebyś nie jechał. Ale jeśli tak bardzo chcesz się ze mną zobaczyć - uśmiechnęła się, wystarczająco pewna siebie - to jutro mam wolny wieczór.

- Słuchaj, jeśli myślałaś, że mam fajną pracę, to powiem ci, z jakim paskudztwem muszę się zmagać. - Głos Maksa, przerywany trzaskami, dochodził przez telefon z Oksfordu, gdzie tego dnia spotykał się z klientem. - Robbie i Clive mieli zaczynać robotę w mieszkaniu przy Marlow Road, ale nie mogą wejść do środka, ponieważ - nigdy nie zgadniesz - Robbie zostawił klucz w kieszeni swojej dzinsowej kurtki. I wiesz co jeszcze? - Zrobił dramatyczną pauzę.

- Co? - spytała posłusznie Tilly.

- Największy geniusz Wielkiej Brytanii, czyli właśnie Robbie, wyszedł wczoraj wieczorem na imprezę, wylądował w domu u jakiejś dziewczyny, obudził się rano i nie wiedzieć czemu zostawił u niej kurtkę, jak jakiś cholerny Kopciuszek! Zanim zorientował się, co jest grane, i wrócił tam, dziewczyna wyszła już do pracy.

- Więc go zwolniłeś - zgadywała Tilly.

- Bardzo chciałbym go zwolnić, głuptasie. Tyle że jest piekielnie dobrym malarzem i dekoratorem, więc sam bym sobie zaszkodził, gdybym to zrobił. Czy mogłabyś zatem wyświadczyć mi przysługę: pojechać do mieszkania Jacka, odebrać stamtąd zapasowy klucz i zawieźć go do Cheltenham? Bez pośpiechu, i tak nie dojadą na Marlow Road przed południem.

- Jasne. - Hm, mieszkanie Jacka. - Tyle że nie wiem, gdzie mieszka Jack. Poczekaj,

wzmę długopis i zapiszę adres.

- Nie musisz. To dom na szczycie Miller's Hill, ten z czarną żelazną bramą i najlepszym widokiem na dolinę.

No tak. Coś jeszcze?

Tilly zastanawiała się, czy żelazna brama ma powstrzymać hordy kobiet ścigających Jacka, czy może uwięzić je w środku. I jeszcze czy jeśli szybko zdejmie stare bojówki i przebierze się w przychylniejsze dla swej figury czarne dżinsy, to Jack zauważy różnicę?

*

Brama była otwarta, a widok - jak uprzedził Max - zapierał dech w piersiach. Na podjeździe stał ukochany jaguar Jacka. Oprócz niego ktoś zaparkował tam sportowego żółtozielonego golfa. Ciekawe, do kogo należał. Z pewnością do jakiejś kobiety.

Tilly zaczęła żałować, że przebrała się w czarne dżinsy - bo szczerze mówiąc, skąd Jack miałby wiedzieć, że nie nosi ich od samego rana?

Podeszła do obrośniętego bluszczem kamiennego domu w kształcie litery L. Kiedy dotarła do wejścia, drzwi się otworzyły.

- Widziałem, jak przyjechałaś. - Uśmiechnął się Jack, z włosami mokrymi od prysznica, ubrany w białą koszulkę przylegającą do mokrej piersi i szare spodnie od dresu. Miał gołe opalone stopy. - Wejdz.

Mógł przecież tylko przywitać się w progu i oddać jej klucz do mieszkania. Ale tego nie zrobił. Tilly ruszyła więc za nim po wykładanym parkietem holu i weszła do dużej słonecznej kuchni. Wszędzie było czysto i elegancko.

- Masz czas na kawę? - Jack zaczął napełniać kawiarkę.

- Czemu nie? - Tilly usiadła na wysokim stołku i oparła łokcie na marmurowym blacie kuchennej wyspy usytuowanej w centrum pomieszczenia. - Ładnie tu.

Uśmiechnął się delikatnie.

- Wiem. Gdyby nie było tu ładnie, nie mieszkałbym w tym domu.

Tilly umilkła. Wiedziała od Maksa, że ten dom Jack i Rose kupili wspólnie na aukcji pięć i pół roku wcześniej. Spędzili osiemnaście miesięcy, remontując go, aby przeobraził się w dom ich marzeń. Wprowadzili się tu zaledwie na kilka tygodni przed weselem.

Dość już, lepiej nie myśleć o tym, co było dalej. Smutne historie zawsze doprowadzały Tilly do łez.

- Jack? - uwodzicielski kobiecy głos zawołał ze szczytu schodów. - Wyszedełś już z łazienki? Mogę iść pod prysznic?

Tilly udawała, że uważnie przygląda się swoim paznokciom, i starała się tak zachowywać, jakby wcale jej nie obchodziło, kto chowa się na górze.

Nie próbując nawet ukryć rozbawienia - rany, czy on naprawdę czytał w jej myślach? - Jack podniósł głos i zaświergotał:

- Jasne, kochanie. Może umyć ci plecy?

Kobieta zaśmiała się subtelnie.

- Dzięki, ale chyba dam sobie radę.

- Na pewno da radę. - Jack mrugnął do Tilly. - Jest bardzo wygimnastykowana.

O nie, teraz już przekroczył granicę przyzwoitości! Flirtować to jedno, ale Jack robił się nieco obleśny. I może wcale nie był taki uroczy, jak się zdawało.

- O mamó. - Widać dostrzegł niezadowolony wzrok Tilly, bo dodał już tylko: - Przepraszam. Z mlekiem i cukrem?

Zrobił kawę i rozmawiali chwilę o planach Maksa dotyczących mieszkania przy Marlow Road. Słyszeli też dochodzący z góry dźwięk prysznica, a Tilly zastanawiała się, czy Jack rzeczywiście był szczęśliwy, bijąc rekord Robbiego Williamsa w liczbie zaliczonych kobiet.

Po dziesięciu minutach, kiedy w łazience na górze zapadła cisza, Tilly opróżniła filiżankę.

- Jeszcze jedną?

- Nie, dzięki. - Nie bardzo miała ochotę na spotkanie z najnowszym podbojem Jacka. - Muszę odebrać zakupy, a potem pojedę do Cheltenham.

- Przyniosę ci klucz. Przykro mi, że musiałaś się fatygować. Pojechałbym tam sam, ale za dwadzieścia minut ma się zjawić mój zarządca i pewnie będziemy zajęci całe przedpołudnie. - Jack wyjął trzecią filiżankę z szafki i napełnił ją kawą. - Daj mi dwie minuty, zaraz wracam.

Zniknął na górze, odstawivszy naczynie na bok. Zapewne wymknął się, żeby zaliczyć szybki numerek ze swą wygimnastykowaną panienką. Tilly, zostawiona sama sobie, wstała i wyszła z kuchni do holu. Trafiała na lekko uchylone drzwi prowadzące do bawialni, która wyglądała na bardziej interesującą. No dobrze, szukała zdjęć. Ale to chyba normalne, prawda? Ciekawość prowadziła ją jak po sznurku. Sprawdziwszy, czy nikt nie nadchodzi, Tilly pchnęła dębowe drzwi.

Pokój był słoneczny; stały w nim duże wygodne kanapy, stylowe meble, a na ścianach - niespodziewanie - wisiały nowoczesne obrazy. Jednak uwaga Tilly natychmiast skupiła się na fotografiach w srebrnych ramkach, stojących na małym okrągłym stoliku niedaleko kominka. Ostrożnie podeszła bliżej, przyglądając się każdemu zdjęciu po kolei: czarno-białe przedstawiające zapewne rodziców Jacka; drugie przedstawiające małego chłopca (Jacka?) biegnącego przez pole w towarzystwie wyraźnie zwariowanego czarno-białego psa; grupowe ujęcie z przyjaciółmi, najpewniej ze studiów, ubranymi w wieczorowe stroje, bawiącymi się na schodach imponującej wiejskiej rezydencji...

Ojej, ktoś schodził po schodach, nadspodziewanie szybko zbliżając się do bawialni. Zaskoczona Tilly odwróciła się gwałtownie, by nikt nie przyłapał jej na oglądaniu cudzych...

- Au! - Obcas zaplątał się we frędzle leżącego z tyłu chodnika i Tilly wyrznęła o ziemię jak świeżo ścięte drzewo. Poczula ból w ręce, którą podparła się przy upadku. Przerazona usłyszała za sobą głos - nieco ochryply, seksowny kobiecy głos, oczywiście.

- O rany boskie! Wszystko w porządku?

Upadek odebrał Tilly oddech, sapnęła więc z wysiłkiem i ostrożnie podniosła się do pozycji siedzącej.

- Uważaj, nie podnoś się tak szybko. Pozwól, pomogę ci. - Silne ręce podniosły Tilly z podłogi. Okropnie zażenowana dostrzegła, że jej wybawczyni to dobrze zbudowana kobieta po pięćdziesiątce, z ciemnymi włosami upiętymi w koczek, powiekami pomalowanymi na ostry turkus, w szmaragdowozielonym nylonowym fartuchu roboczym. Za nią na stoliku do kawy stał wiklinowy kosz z płynami do czyszczenia.

O rany, ależ była silna! Może popijała płyn Mr Muscle, zamiast czyścić nim zlew?

- Wygląda na to, że już się poznałyście. - Tilly usłyszała oschły ton Jacka stojącego w drzwiach do bawialni. - Monico, to jest Tilly. Tilly, to moja najlepsza na świecie gosposia Monica.

- Dzień dobry. I dziękuję. - Tilly trzymała się za obolałą lewą dłoń. - I przepraszam.

- Biedactwo, możesz ruszać palcami? - Dziwnie było słyszeć taki seksowny głos dobywający się z takiego niepasującego do niego, niemłodego już ciała.

- Daj, obejrzę ją. - Jack przejął inicjatywę. - Nie mam pojęcia, jak ci się udało tu upaść. Próbowalaś przeskoczyć telewizor?

Czy powinna skłamać? Uwierzy jej?

- Mój obcas zaplątał się w chodnik. Szukałam toalety.

Jack badał po kolei wszystkie palce jej dłoni.

- Zdecydowaliśmy, że nie będziemy instalować muszli w bawialni. Nie pasowała do mebli.

Czyli jednak nie uwierzył.

- Zajrzałam, żeby sprawdzić, czy to łazienka - wyjaśniała Tilly. - A potem dostrzegłam

zdjęcia. I chciałam... chciałam je obejrzeć. - Rany, czy on musiał mierzyć ją takim wzrokiem? Mało przekonującym głosem dodała: - Lubię oglądać zdjęcia.

- Ciekawe. Większość ludzi to robi, kiedy tu przychodzi. Boli? - Delikatnie obracał jej nadgarstkiem.

- Nie, wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Niczego sobie nie zламаłam. - Wyrwała rękę i postanowiła powiedzieć prawdę. - Kiedy Max opowiadał mi o Rose, powiedział, że była najpiękniejszą kobietą, jaką znał. Byłam ciekawa.

- Nie trzymam zdjęć Rose na tym stoliku. - Jack zawahał się. - Ale przynajmniej jesteś szczerą.

- Przepraszam.

- No dobrze - wtrąciła Monica. - Czas na moją przerwę. Nalałeś mi kawy, Jack?

- Tak jest. - Kiedy Monica zabrała swój koszyk i wyszła z bawialni, dodał: - Monica lubi tylko letnią kawę. A tu masz klucz, tak przy okazji.

- Dzięki. - Tilly wcisnęła klucz do kieszeni spodni.

- Czy Max wciąż nazywa mnie nieszczęśliwym wdowcem?

- Hm... tak. - Skrzywiła się Tilly.

- Tak myślałem. No trudno. A ja wciąż będę go nazywał liverpoolską ciotą. - Jack zdawał się rozbawiony. - I oczywiście ostrzegł cię przede mną?

- Och, jasne.

- Tak przypuszczałem. I co o tym sądzisz?

Tilly zwlekała z odpowiedzią. Szczerze mówiąc, czuła się jak piętnastolatka, której matka bezustannie powtarza, że podwijanie spódnicy, by sięgała powyżej kolan, nie przystoi młodej panience. Ale słuchać to jedno, a brać te rady na poważnie to co innego.

Nie mogła jednak powiedzieć tego Jackowi.

- To na pewno dobra rada. W porządku, lepiej już pójdę. Jeszcze jedno - odważyła się Tilly. - Czy specjalnie pozwoliłeś mi myśleć, że na górze czeka na ciebie kobieta?

Jack uśmiechnął się i odprowadził ją do drzwi.

- Czekala na mnie kobieta.

Tilly spojrzała wymownie. Wiedziała, że miała rację.

Rozdział 12

Erin przyglądała się klientce, która próbowała wcisnąć się w za mały na nią wełniany płaszcz z szerokim kołnierzem ze sztucznego futra.

- Podoba mi się ten fason. - Kobieta podziwiała swoje odbicie w lustrze, obracając się dookoła. - Jak pani myśli?

O matko, czasem naprawdę wolałaby nie mieć sumienia. Erin zawahała się i zwalczyła w sobie zimną bizneswoman. Płaszcz wisiał w sklepie od ponad dwóch tygodni i do tej pory nikt się nim nie zainteresował. Co więcej, wiedziała, że Barbara - która przyniosła płaszcz na sprzedaż - musiała szybko zebrać gotówkę na bardzo jej potrzebne tygodniowe wakacje na Majorce.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko, a Erin serce skoczyło do gardła. Boże - Stella!

- Nie przeszkadzaj sobie, tylko pooglądam. - Stella, jak zwykle elegancka w białym kostiumie, lekceważąco machnęła dłonią i zaczęła przeglądać wieszak z dzianiną.

- No i? - spytała klientka w wełnianym płaszczu.

Erin nie potrafiła kłamać.

- Fason wydaje się rzeczywiście bardzo dobry - oceniła - i do twarzy pani w tym kolorze. Ale płaszcz jest chyba trochę za ciasny w ramionach.

W ten miły sposób chciała powiedzieć, że jest o dwa rozmiary za mały.

- Naprawdę? - Klientka spochmurniała. Dla pewności ściągnęła plecy, rozłożyła ręce, wciągnęła brzuch i próbowała się skurczyć, aby zmieścić się w płaszcz.

- Tak myślę. Mogłaby pani czuć się w nim niewygodnie. Przykro mi - dodała. - To tylko moje zdanie.

Kobieta wzruszyła ramionami, znów się przeciągnęła i z nadzieją spytała Stellę:

- Pani też myśli, że jest za ciasny?

- Szczerze? Ujmę to tak: jeśli zrzuci pani z pięć kilo, to może się pani wciśnię.

Cała Stella - nigdy nie zadawała ciosów w plecy. Walila nożem prosto w serce, żebyś mógł patrzeć, jak sika krew.

- Phi! - parsknęła, kiedy za klientką zamknęły się drzwi. - Skoro nie chciała usłyszeć mojego zdania, mogła nie pytać.

- Uhm. - Erin zaczęła nerwowo układać torebki na przezroczystych półkach z tyłu.

- A zresztą to przecież ty powiedziałaś, że płaszcz jest za ciasny. Pewnie by go kupiła, gdybyś się nie odzywała. Postąpiłaś bardzo uczciwie. - Stella przechyliła głowę z ciekawością. - Wyglądasz na miłą osobę.

Na Boga, do czego miała prowadzić ta rozmowa? Stella ją sprawdzała? I czemu przysuwała się bliżej? Może pod białą marynarką miała ukryty pistolet? Niedbale wzruszywszy ramionami, Erin odparła:

- Po prostu lubię, kiedy ludzie kupują ubrania, w których dobrze wyglądają.

- A jej w tym płaszczu na pewno nie było do twarzy - oceniła lekceważąco Stella. - Wyglądała jak wypchana kiełbasa. Możesz podać mi tę kremową skórzaną torebkę?

Erin wstrzymała oddech i zrobiła, o co ją poproszono. Stella zaczęła oglądać rozmaite zamki i kieszenie w torebce.

- Całkiem ładna. Porządna skóra. Wiesz, może zrobię sobie małą przyjemność. - Pauza. - Zasługuję na coś miłego po tym, co się stało wczoraj wieczorem.

- Tak? - *Zachowuj się swobodnie.* - A co się stało?

- Och, mój Boże, w domu spalił się bezpiecznik i zgasły wszystkie światła! Jakby tego było mało, mój kot się rozchorował i nawet nie widziałam, gdzie wymiotuje, więc martwiłam się o niego, a nienawidzę ciemności. Mówię ci, to był istny koszmar!

- Rzeczywiście. - *Zachowuj się swobodnie*, jakby opowiadała ci o wizycie u dentysty. - A kot... czuje się lepiej?

- Tak, już dobrze. - Stella zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło, dokładnie oglądając torebkę.

- A... a światła? Udało się je włączyć?

- W końcu tak. Fergus przyjechał. - Stella głośno westchnęła i dodała: - Wiesz, zdaje mi się, że on jednak spotyka się z kimś w tajemnicy, za moimi plecami.

- Naprawdę? - Pomocy! Oddychaj spokojnie, wdech, wydech...

Stella zakończyła oględziny torebki i oddała ją Erin.

- Oby to była nieprawda, tyle tylko powiem. Dzięki, ale nie kupię jej. Sprzączka z przodu wygląda nieco tandetnie.

Zabawnie było patrzeć na dzieci wybiegające ze szkoły. Dziesięć minut po czwartej ciszę przerwał dźwięk dzwonka, a minutę później uczniowie zaczęli pojawiać się na schodach Harleston Hall, obładowani plecakami, instrumentami i torbami ze sprzętem sportowym.

Tilly, oparta o samochód, czekała, aż pojawi się Lou, i patrzyła na rozgadane dziewczęta uwalniające włosy od spinek i gumek. Chłopcy za to z premedytacją wypuszczali koszule ze spodni, czochrali sobie włosy i podążali za dziewczynami. Niektórzy uczniowie od razu

włączali iPody. Wielu pisało SMS-y. Dziewczeta mierzyły wzrokiem chłopaków, a oni rzucali w nie rozmaitymi przedmiotami. Puszka red bulla przeleciała w powietrzu i trafiła w jeden z platanów posadzonych wzdłuż chodnika, oblewając go fontanną piany. Byli tu przeróżni uczniowie: niezgrabni chłopcy z trądzikiem, wyrosnięte dziewczynki w podkasanych spódnicach i z podkreślonymi kredką oczami, pewni siebie sportowcy, kujony oraz dowcipnisie.

I była też Lou, która właśnie schodziła po kamiennych schodach, próbując jednocześnie zawiązać szkolną apaszkę wokół szyi i upchać w plecaku adidasy. Tilly pomyślała, że tak muszą się czuć dumni rodzice - Louisa wydawała się bardziej interesująca od rówieśników. Dzikie czerwonozłote loki, chude nogi w czarnych rajstopach, rozczłapane buty sprawiały, że wyróżniała się wśród kolegów. Może nie była najładniejszą dziewczyną w szkole, ale na pewno miała najciekawszą osobowość.

Tilly wyprostowała się i przyjrzała uważniej, bo Lou nagle odwróciła się i rzuciła coś do idącego za nią chłopca, wyraźnie odpowiadając na coś, co do niej powiedział. Chłopak - wysoki, patykowaty - uśmiechał się, niosąc rakietę tenisową. Kiedy Lou się odwróciła, jeden but wypadł z jej plecaka, a chłopak - wykazując się doskonałym refleksem - złapał go na rakietę i podbił do góry. Nawet z oddali Tilly dostrzegła spojrzenie, które Lou posłała koleżdze, kiedy adidas wylądował w krzakach. Z niesmakiem pokręciła głowę, przeszła obok i podniosła zgubę. Chłopak, wciąż się śmiejąc, powiedział coś jeszcze, a Lou odrzuciła włosy do tyłu i znów mu odpowiedziała.

Tilly uśmiechnęła się. Zdaje się, że Kaye miała rację. Patrząc na zachowanie Louisy w obecności tego chłopca, przypomniawszy sobie swoje pierwsze nieśmiałe kroki w przerażającym, ale zarazem ekscytującym świecie damsko-męskim. Jej utrapieniem był wówczas niejaki Lee Jarvis, który bezustannie z niej drwił, doprowadzając ją do szaleństwa. Jak jeden czternastolatek może być tak denerwujący? A potem w jakiś cudowny sposób, po wielu miesiącach udreki, Tilly (ku swojemu zdziwieniu) zgodziła się zatańczyć z Lee na szkolnej zabawie. I już nie wydawał się taki denerwujący, zwłaszcza gdy zaczął mamrotać jej do ucha: „Wiesz, podobasz mi się od wieków”, a zaskoczona Tilly zdała sobie sprawę, że on też jej się podoba. Wtedy, na środku parkietu, przy wszystkich, kiedy George Michael śpiewał *Careless Whisper*, zaczęli się całować... z jęczyzkiem.

I z aparatami na zębach, niestety. Gdy metal uderzył o metal, rozległ się nieprzyjemny dźwięk, ale jakoś poradzi sobie i z tym.

Zatopiona we wspomnieniach tamtego szczęśliwego lata i dźwięczących metalicznych pocałunków Tilly aż podskoczyła, kiedy Lou pojawiła się przed nią.

- Bum! Gdzieś odleciałaś.

- Przepraszam, myślałam o moich szkolnych czasach. Zdaje mi się, że to było wieki temu.

- Bo to było wieki temu. Skończyłaś szkołę, zanim ja się urodziłam. Czy to sprawia, że czujesz się bardzo stara? - spytała Lou z zainteresowaniem.

- Dzięki, tak, tak właśnie się czuję.

Gdy wsiadały do samochodu, Tilly spojrzała przez ramię i zobaczyła, że chłopak z rakieta jest tuż za nimi. Kiedy podszedł bliżej, wyszczerzył zęby i pomachał palcami w dziwny, na wpół kpiący sposób. Lou nie odmachała. Z rozmysłem odwróciła głowę i głośno wypuściła powietrze między zębami, sycząc niczym zapowietrzony grzejnik.

- Kto to jest? - spytała swobodnie Tilly.

- Kompletny debil.

- Tak? Widziałam, jak rozmawialiście, wychodząc ze szkoły.

- Nie rozmawialiśmy. Mówiłam mu, że jest kompletnym debilem. Albo coś podobnego.

- Wygląda na miłego. - Chłopak miał ciemne, opadające na czoło włosy, dobrą cerę i wyraziste kości policzkowe. Łatwo było sobie wyobrazić, że dziewczyny za nim szaleją, mógłby spokojnie śpiewać w boysbandzie.

- Ale nie jest miły. Nie znoszę go. Co na obiad?

Tilly zachowała powagę. Tak, to były znajome słowa. Ileż razy, kiedy koleżanki mówiły, że Lee ją lubi, ona powtarzała, jak bardzo go nienawidzi? A potem nagle zmieniała temat rozmowy. Patrzyła teraz kątem oka na Lou, która grzebała w wypchanym plecaku, by wyjąć stamtąd wymięty batonik. Dziewczynka spojrzała jeszcze przelotnie na „znenawidzonego” kolegę i ostentacyjnie się odwróciła.

- Jak on się nazywa?

- Eddie Marshall-Hicks. Co zjemy na obiad?

- Zapiekaną rybą i ciasto z jeżynami. - Tilly zapisała sobie w myślach nazwisko chłopca. Następnym razem, kiedy będzie rozmawiać z Kaye, muszą ustalić, czy mówią o tej samej osobie.

- Było dziwne. - Erin nie miała zamiaru narzekać, ale przedpołudniowa wizyta Stelli wyprowadziła ją z równowagi. - Wydawała się jakaś... inna. Nie potrafię do końca powiedzieć dlaczego.

- Więc daj spokój. Odpocznijmy i zabawmy się. - Fergus przeciągnął Erin z kuchni do salonu i posadził koło siebie na kanapie. - Gdyby Stella o nas wiedziała, to, uwierz mi, na pewno byśmy się o tym dowiedzieli. Przyszłaby i walnęła prosto z mostu. Ale tego nie zrobiła, co znaczy, że nic nie wie. Nie pozwolę, aby moja była żona zepsuła nam wieczór. Kiedy będzie trzeba, załatwimy tę sprawę. A tymczasem... mówiłem ci kiedyś, jak uprzyjemniasz życie mojej sekretarki?

- Jeannie? Nigdy jej nie poznałam.

- Ale i tak zmieniałaś jej życie. - Fergus położył nogi Erin na swoich kolanach i z czułością pogłodził ją po kostkach. - Dzięki tobie byłem dzisiaj w niewyobrażalnie dobrym humorze. A kiedy Jeannie umówiła mnie na spotkania z dwoma klientami o jednej porze, powiedziałem, że cóż, nie ma sprawy, jakoś wcisnę ich obu na tę samą godzinę. Mówię ci, prawie zemdlą z wrażenia. Potem poprosiłem o kawę, ona przyniosła mi herbatę, ale nie postraszyłem jej zwolnieniem. Później sprawdzałem list do klienta, który podyktowałem jej wcześniej, i zobaczyłem, że zamiast „Drogi panie Robertson” napisała „Srogi panie Robertson”, co mogłoby nawet zabawnie wyglądać, gdyby nie to, że pan Robertson jest w istocie śmiertelnie poważnym człowiekiem. Ale nie wydarłem się na Jeannie. - Fergus pokręcił głową, zadziwiony własną wyrozumiałością. - Powiedziałem tylko, że mogłaby poprawić błąd, zanim wyślemy list.

Erin ani przez chwilę nie wierzyła, że Fergus kiedykolwiek nakrzyczał na swoją sekretarkę, ale i tak się uśmiechnęła.

- Wszystko z mojego powodu?

- Tak, wszystko to dzięki tobie.

Nagle Erin przyszło coś do głowy:

- Czy Jeannie wie o mnie? Mogła powiedzieć Stelli?

- Hej, daj spokój. - Fergus pogłodził ją po ramieniu. - Zaczynasz wpadać w obsesję. Po pierwsze, Jeannie mogła domyślić się, że widuję się z jakąś kobietą, ale na pewno nie wie, kto to jest. A po drugie, nawet gdyby wiedziała, nie zdradziłaby nic Stelli. One nigdy się nie lubiły. Od dnia, w którym Stella przyszła do mojego biura i spytała: „Jeannie, myślałaś kiedyś, żeby zgłosić się do programu *Ekstremalne metamorfozy*?”.

- Au.

- No właśnie. Myślałem, że poleje się krew. Ale widzisz, znów rozmawiamy o Stelli. Proszę, zmieńmy temat. Moglibyśmy na przykład porozmawiać o tobie. Wołałbym...

Drrryń, odezwał się dzwonek przy drzwiach, sprawiając, że Erin podskoczyła z przerażenia.

- O Boże, to ona!

- Nie bądź niemądra, oczywiście, że to nie ona. To może być ktokolwiek.
 - Może to Tilly? - Erin nieco się rozluźniła. W końcu zaprosiła Tilly, żeby poznała Fergusa.
 - A może ktoś po prostu zbiera makulaturę. Idź i otwórz.
- Erin ostrożnie wyjrzała przez okno wychodzące na High Street, ale nie dostrzegła nikogo. Wyszła z salonu, przeszła przez hol i w dół schodami; drzwi wejściowe do jej mieszkania wychodziły na wąską boczną uliczkę, co przydawało się, bo Fergus mógł wejść niezauważony, ale Erin nie miała przez to możliwości, żeby wyjrzeć i sprawdzić, kto stoi na progu.
- Tak? - Proszę, proszę, niech to będzie Tilly.
 - Erin? Otwórz drzwi. To ja, Stella Welch.

Rozdział 13

O Boże, Boże, Boże! Erin z przerażeniem opadła na schody i aby utrzymać równowagę, złapała się poręczy. Chyba naprawdę ma obsesję, tak jak powiedział Fergus! To nie może dziać się naprawdę.

- Cóż... Nie mogę otworzyć... Nie jestem ubrana.
 - Proszę, otwórz drzwi. Musimy porozmawiać.
- Serce Erin waliło jak oszalałe.
- O czym?
 - Na początek o tym, że nie chcesz otworzyć mi drzwi. O co chodzi, Erin? Czego się boisz?

Ciebie, ciebie, ciebie.

- Niczego. - Teraz straciła także czucie w nogach.
- Więc czemu mnie nie wpuścisz?
- Bo to... nieodpowiednia pora.
- Tak? A to niby dlaczego? - spytała Stella. - Może dlatego, że w twoim mieszkaniu siedzi teraz mój mąż?

Skąd? Skąd ona wiedziała? Czując ucisk w żołądku, Erin odparła:

- To nieprawda. Nie ma go tam. Niestety, nie mogę otworzyć drzwi i wracam na górę, więc proszę, żebyś... proszę, odejdz.

Aż dziw, że Fergus nie słyszał ich rozmowy. Gdy Erin wtarabaniła się na górę, wskazał jej miejsce na sofie obok siebie i spytał:

- Kto to był? Świadkowie Jehowy? Chodź tu, tęskniłem za tobą.

- To była Stella. - Zimno odpowiedziała Erin.

Wyraz twarzy Fergus'a zmienił się natychmiast.

- Żartujesz! To niemożliwe.

Oboje podskoczyli nerwowo, kiedy w okno zaczęły uderzać drobinki żwiru.

- O Boże! - Coś ścisnęło Erin w żołądku. Sytuacja jak z filmu *Fatalne zauroczenie*.
- No wylaż, Fergus! Wiem, że tam jesteś. - Wściekły głos Stelli dobiegał z ulicy. Stała na chodniku, dobrze widoczna dla każdego przechodnia.

- Urządzi tu scenę - zauważyła Erin.

- Ona bardzo chce urządzić scenę. Zawsze uwielbiała dramaty - odezwał się Fergus z ponurą miną.

- Fergus, ty zdracliwy ŁAJDAKU! - wrzeszczała Stella.

- Rany boskie. - Erin zakryła dłonią usta, kiedy Fergus podniósł się z kanapy.
- Dobra, dość tego. - Przeszedł przez pokój i otworzył okno.
- Ha! Wiedziałam! - krzyknęła Stella.
- No i dobrze, w końcu wiesz. Ale właśnie dlatego nie powiedziałem ci wcześniej. - Fergus zrezygnowany pokręcił głową. - Wiedziałem, że odstawisz szopkę.
- A czemu miałabym tego nie robić? Jesteś moim mężem!
- Stello, nie jesteśmy już razem. Rozstaliśmy się pół roku temu. Bierzymy rozwód.
- To przez nią! - Stella chrypiała jak papuga.
O nie, nie, nie. Erin poderwała się i podbiegła do otwartego okna.
- Chwileczkę, to nieprawda, nie możesz...
- Ty! - Stella oskarżycielsko wyciągnęła palec. - Ty wredna, kłamliwa, rozbijająca małżeństwa suko!
- Tak nie było, przysięgam. Dopiero zaczęliśmy się spotykać.
- Tak, jasne, a ja mam może w to uwierzyć? - Kręcąc głową, Stella dodała z goryczą: - Oczywiście uwierzę we wszystko, co mówisz.
- Przysięgam na Boga, że mówię prawdę!
- Naprawdę? Tak jak wtedy, kiedy przyszłam do sklepu i spytałam cię, czy Fergus z kimś się spotyka? A ty odparłaś, że nie, na pewno nie.
Erin drgnęła i zamknęła na chwilę oczy.
- No tak, to nie była cała prawda. Ale wszystko inne się zgadza. Nigdy nie wdałabym się w romans z żonatym mężczyzną.
- Właśnie to zrobiłaś!
- Ale wy jesteście w separacji.
Stojąca na chodniku Stella szeroko rozłożyła ramiona.
- I już wiemy dlaczego!
Rany, to był jakiś koszmar. Darły się na siebie jak jakieś przekupy. Ludzie idący High Street zatrzymywali się, by posłuchać i popatrzeć.
- Dobrze już, dosyć tego. - Fergus uznał, że czas się wtrącić. - Ta rozmowa prowadzi donikąd. Stello, jesteś niesprawiedliwa i...
- Ja jestem niesprawiedliwa? Mój Boże, ty wstrętny hipokryto! Przez ciebie moje życie legło w gruzach, a teraz oczekujesz, że po prostu się na wszystko zgodzę?
- Wszyscy się na ciebie gapią. Robisz z siebie przedstawienie - odparł zniecierpliwiony Fergus. - Idź do domu. Porozmawiamy o wszystkim jutro, jak się uspokoisz.
- Moment. - Erin wiedziała, że się nie uspokoi, dopóki nie zapyta o coś jeszcze. - Słuchaj, bardzo mi przykro, że się zdenerwowałam, i przysięgam, że spotykam się z Fergusiem dopiero od kilku tygodni, ale skąd wiedziałaś, że on tu dzisiaj będzie? Ktoś ci powiedział?
Stella podniosła wzrok.
- Na przykład kto? - spytała.
- Nie wiem. Ale my nikomu nie powiedzieliśmy - odrzekła Erin. - Bo nie chcieliśmy, żebyś się dowiedziała i wpadła w szał.
- Nieźle wam poszło, co?
Erin zagryzła wargi.
- Proszę.
Dostrzegła, że Stella się waha. Zapewne kusilo ją, by zachować tajemnicę. Jednak przeważyła pokusa, żeby dumnie ogłosić wszystko, co wie.
- Kiedy Fergus przyjechał wczoraj do domu, pachniał inaczej niż zwykle. Zdawało mi się, że rozpoznaję ten zapach, ale nie byłam pewna. Dlatego przyszłam do twojego sklepu. I znów go poczułam, na tobie. - Stella zamilkła na chwilę. - Jest bardzo... charakterystyczny. Nikt inny w Roxborough go nie używa.
To akurat była prawda. Pewnie dlatego, że w odległości osiemdziesięciu kilometrów od

miasta nie było żadnego sklepu Jo Malone. To Tilly przysłała przyjaciółce na gwiazdkę butelkę jej ukochanych egzotycznych perfum.

Morał z całej historii był taki: jeśli nie chcesz, by ludzie wiedzieli, że masz kochankę, lepiej nie spryskuj nowiutkiej pościeli ulubionymi perfumami, których używasz tylko ty.

Telefon zadzwonił, kiedy Tilly odgrywała właśnie rolę genialnego szefa kuchni. Czując się bardzo pewnie, przytrzymała słuchawkę telefonu ramieniem, jedną ręką mieszała grzyby na patelni, a drugą - sos serowy. Och, to całe gotowanie to była bułka z masłem!

- Cześć! - Głos Kaye był radosny i przyjazny. - Jak tam leci?

- Wszystko dobrze. Jestem wielozadaniowa. Właśnie robię... ojej! - Tilly aż odskoczyła, kiedy sos serowy nagle zabulgotał i prysnął na nią, sprawiając, że telefon wyslizgnął się spod ucha, odbił od prawej piersi Tilly i z pluskiem wylądował w patelni pełnej grzybów. W panice pośpiesznie zgarnęła go łąpatką i wyrzuciła na kuchenkę razem z kawałeczkami pieczarek latającymi wokół jak konfetti.

Wytarłszy szybko słuchawkę kuchennym ręcznikiem, odezwała się do telefonu:

- Halo? Jesteś tam jeszcze?

- Ledwie, ledwie. - Kaye zdawała się rozbawiona. - Co się ze mną stało?

- Zgubiłam cię na chwilę. Jestem początkującym wielozadaniowcem. Przepraszam. - Wyłączyła gaz, zanim stałoby się coś bardziej drastycznego.

- Nie ma sprawy. Jest Lou?

- Na górze, odrabia lekcje. Zaniosę jej telefon. A przy okazji, widziałam wczoraj, jak kłóci się z jakimś chłopakiem. Wychodzili razem ze szkoły. Całkiem przystojny.

- Ooo! - ożywiła się Kaye. - Myślisz, że jej się podoba?

- Cóż, spytałam Lou, jaki on jest, i odpowiedziała, że jest kompletnym idiotą. A potem zmieniła temat.

- Klasyka. Książkowa odpowiedź. Ten chłopak ma na imię Eddie?

Bingo!

- Tak, Eddie Marshall-Hicks.

- A niech mnie! Moja dziewczynka zainteresowała się swoim pierwszym chłopcem. - Kaye się wzruszyła, emocje wzięły górę. - Boże, a mnie tam nie ma i nie mogę jej pomóc.

- A ty prosiłaś swoją mamę o pomoc, kiedy miałaś trzynaście lat?

- Nie, raczej nie.

- Ani ja. Cicho, Betty! - Tilly odwróciła się i zobaczyła, że suczka wspięła się na parapet i skrobie łapami o szybę, szczekając z oburzeniem na gawrony, które miały czelność krakać i spacerować po trawniku, jakby były jego właścicielami.

- Och, Betty! Pozwól mi z nią porozmawiać - poprosiła Kaye.

Hm, trochę to dziwne, ale co tam. Zadowolona, że to nie ona płaci rachunki za telefon, Tilly uklękła przy oknie i przyłożyła słuchawkę do ucha Betty.

- Betsy-Boo! Halo, Betsy-Boo! To jaaa! - zawodziła Kaye.

Suczka przechyliła głowę na bok, a potem na powrót zajęła się wyglądem przez okno.

- Betsy-Boo? Betsy-Boo-Boo-Boo! Halo, trzymasz jej telefon przy uchu? Czy ona mnie słyszy?

- Szczekaj - wyszeptła Tilly do drugiego psiego ucha. - Hau, hau, no dalej, szczekaj.

- Ona nie szczeka. A przedtem szczekała. - Kaye była załamana. - Ona mnie nie poznaje. Zapomniała, kim jestem! - zaszlochała.

- Nie zapomniała, bo prostu jest zajęta czymś innym. - Tilly było naprawdę szkoda Kaye. Szturchnęła Betty, próbując zmusić ją do szczeknięcia.

- Betty-Betty-Betty - błagała Kaye.

Suczka odwróciła łeb, zupełnie niezainteresowana rozmową. Tilly przyklękła przy niej i zaczęła głośno obwąchiwać słuchawkę.

- Czy to ona? Betsy-Boo?

Tilly zamknęła oczy i spróbowała wydać z siebie wysokie krótkie szczeknięcie. Nawet nie brzmiało tak źle. Kto by pomyślał, że się w tym sprawdzi? Nawet Betty odwróciła się, zaskoczona. Zachecona tym Tilly odetchnęła głęboko i przybliżyła usta do słuchawki.

- Hau, hau.

- Czekaj. - Chyba nie szło jej tak dobrze, jak przypuszczała. - To nie była Betty, prawda? - spytała Kaye.

- Hm... co?

- To byłaś ty, tak?

Tilly nieco się podłamała. Cóż, starała się jak mogła.

- Tak. Przepraszam.

- Nieważne. Dzięki, że próbowałaś. Teraz daj mi Lou. Jeśli zechce ze mną rozmawiać - z goryczą dodała Kaye.

Tilly odwróciła się i dostrzegła, że nie jest jedyną osobą w pomieszczeniu. W drzwiach stali Max i Jack. Rany, jakby wczorajszy numer, który wywinęła w bawialni Jacka, nie wystarczył! Chcąc odzyskać resztki godności, zeszła z okna i przeszła przez kuchnię. Mijając obu mężczyzn, zamachała słuchawką i powiedziała:

- Telefon do Lou. Zaniosę jej na górę.

Na szczęście Lou miała lepszą pamięć niż jej pies. Z radością przejęła słuchawkę.

- Cześć, mamó! Dostałam pięćdziesiąt osiem procent z testu z francuskiego, i może ci się wydawać, że to średni wynik, ale jest naprawdę super. Fuj. - Zmarszczyła nos. - Ten telefon pachnie grzybami.

Zszedłszy na dół, Tilly włączyła gaz i wróciła do gotowania, nie patrząc ani na Maksa, ani na Jacka. Przez kilkanaście sekund w kuchni panowała cisza.

A potem zza pleców usłyszała:

- Hau!

- Auu, auu!

- Hau, hau, hau!

- No dobrze. - Tilly w końcu odwróciła się do mężczyzn. - Dzwoniła Kaye. Chciałam, żeby poczuła się lepiej.

- Mnie zawsze to pomaga - żartował Jack. - Naprawdę, nie ma nic lepszego niż trochę sobie poszczekać.

- Hau! - potwierdził Max.

- Jest jeszcze warczenie. - Jack udawał, że poważnie się zastanawia. - Może jednak warczenie jest lepsze od szczekania? Nie umiem wybrać.

Max złożył ręce i poprosił:

- Tilly, błagam, zawarcz dla nas. Zobaczymy, co nam się bardziej spodoba.

- Pamiętasz, że nie lubisz musztardy? - Tilly pogroziła mu łyżką. - Mogę dodawać słoik musztardy do każdego posiłku, który ugotuję. I pieprzu do każdego puddingu.

- Lepiej z nią nie zadzieraj. - Max z uśmiechem przejrzał papiery leżące na kredensie i wyjął jakąś teczkę. Podał ją Jackowi, mówiąc: - Tu masz plan przebudowy mieszkania w Avening. Daj znać, czy ci się podoba.

- Świetnie. - Jack, dzwoniąc kluczymi, podszedł do drzwi. - Przyjdiesz później do Lisa?

Max skrzywił się.

- Jasne, i spędzę cały wieczór, stojąc jak słup soli, podczas gdy ciebie będą zagadywały wszystkie obecne kobiety.

- Nie będą.

- Będą. Nawet te stare. A uwierz mi, to nie jest wdzięczny widok.

- Dzisiaj są pięćdziesiąte urodziny Declana. Pytał, czy przyjdiesz. I weź ze sobą Tilly - dodał Jack, kiedy do kuchni wbiegła Lou. - To będzie miły wieczór.

- Nie mogę iść - zaprotestowała Tilly. - Kto zostanie z Lou?
- Zostanie ze mną kiedy? - spytała zaciekawiona dziewczynka.
- Dziś wieczorem.
- Przepraszam cię bardzo. Mam trzynaście lat, a nie trzy. Nie potrzebuję opieki.
- Chcesz pójść? - Max zwrócił się do Tilly. - Declan jest właścicielem Leniwego Lisa, pubu przy High Street.
- Wiem, byłam tam. Z Erin - odpowiedziała Tilly z dumą. - Declan jest bardzo miły.
- Chyba miał zły dzień. - Jack zebrał się do wyjścia. - Dobrze, to może zobaczymy się wieczorem.
- Może. - Tilly wróciła do gotowania grzybów i starała się, by jej głos brzmiał naturalnie. W końcu równie dobrze mogła wieczorem zostać w domu i pooglądać telewizję.

Rozdział 14

- To ty! - wykrzyknął Declan, rozpoznając Tilly. - To ty śmiałaś się z nagłówek w naszej gazecie.

W Lisie był tłok, przyszło mnóstwo przyjaciół i klientów, którzy chcieli świętować urodziny razem z ulubionym przez wszystkich właścicielem. Srebrne, wypełnione helem balony, obijały się o sufit, a personel za barem ubrany był w czarno-srebrne koszulki z napisem *Declan - 86 lat!* na piersiach.

- Mówiłeś, że fajnie się tu żyje - powiedziała Tilly.
- A ona wzięła to poważnie - dodał Max.
- Ha, a więc to ty pracujesz dla Maksa.
- I wszystko dzięki tobie. Nie zobaczyłabym jego ogłoszenia, gdybyś nie dał mi tamtej gazety.

Declan poklepał Tilly po ramieniu.

- Będzie dobrze. Nie jesteśmy tacy zli. Erin też dzisiaj przyjdzie?
- Nie, źle się czuje. - Tilly wcześniej wysłała SMS do przyjaciółki, pytając, czy zechce się przyłączyć, ale Erin odpisała, że boli ją głowa i że spotkają się kiedy indziej.
- Szkoda. Chodźcie, napijemy się. - Declan zaprosił ich oboje do baru.

Max rozglądał się wokół i witał ze znajomymi.

- Jacka jeszcze nie ma?

- Jacka? - Declan wydawał się zaskoczony. - Gdzieś tu jest.

W tej samej chwili tłum rozstał się i wszyscy ujrzeli Jacka otoczonego grupą dwudziestoparoletnich dziewcząt. Max złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Hej, Lucas, daj sobie z nimi spokój! Już jestem.

Jack przeprosił dziewczęta i podszedł bliżej. Uśmiechnął się do Tilly.

- A jednak przyszłaś.

Jak by mogła nie przyjść. Tilly wzruszyła ramionami.

- Tylko na godzinę czy dwie.

- Z tego, co widzę, pojawiliśmy się w samą porę. - Max wskazał na grupę obserwujących ich młodych kobiet. - Jak to stadko wbije w ciebie pazury, nie uciekniesz.

- Liverpoolska ciota przychodzi na ratunek - odparł oschle Jack. - Czasem się przydajesz.

Nagle drzwi do pubu otworzyły się szeroko i Tilly zauważyła, że Jack bez specjalnej radości zarejestrował przybycie nowych gości. Chwilę później uniósł rękę w geście przywitania, uśmiechnął się uprzejmie, ale niezbyt ciepło, i rzucił: „Cześć”.

Tilly odwróciła się i dostrzegła szczupłą blondynkę, która zignorowała chłód uśmiechu Jacka i jak rakieta naprowadzona na cel zaczęła przepychać się przez tłum w ich stronę. Wyraźnie w kierunku Jacka. Po chwili okazało się, że blondynka prowadzi za sobą jeszcze kogoś, a tym kimś jest była żona faceta Erin, pewna siebie kobieta ze sklepu wewnątrzarskiego. Jak ona miała na imię?

- Amy. - Jack kiwnięciem głowy przywitał blondynkę. - Stello.

No tak, Stella.

- Cześć, Jack, jak się masz? Cudownie się bawiłam wczoraj wieczorem. - Amy spojrzała na niego pełnym uwielbienia wzrokiem. - Czyż nie było fantastycznie?

Chwila, która mogła przerodzić się w niezręczną pauzę, została przerwana przez Stellę, która złapała Maksa za rękę i wyrzuciła z siebie:

- Nie zwracaj na nią uwagi, Max, tylko posłuchaj, co się stało. Nie uwierzysz!

Oho, ton głosu Stelli nie zapowiadał niczego dobrego.

- Ty. - Rozpoznając w Tilly asystentkę Maksa, Stella zwróciła się do niej. - Pamiętasz, jak opowiadałam ci o swoim mężu? Właśnie dowiedziałam się, czemu mnie zostawił. - I ogłosiła wszystkim obecnym: - Ponieważ ma romans! Wiedziałam od samego początku, inaczej czemu by się wyprowadzał? I wyobraźcie sobie, że ona nawet nie jest specjalnie interesująca. W porównaniu ze mną - phi, daleko jej do mnie. I to doprowadza mnie do furii, bo przecież jak ona śmie? Jakie to przebiegłe! W końcu ukradła mi męża!

Tilly już otwierała usta, by zaprotestować, ale uprzedziła ją Amy:

- I nigdy byście nie zgadli, kto to jest!

- Edwina Currie? - zgadywał Max. - Jo Brand? Aggie ze sklepu na rogu, ta z nogami jak kołki?

Chwileczkę.

- Właściwie to nie tak - wydusiła z siebie Tilly. - Nikt nikogo nie ukradł. Nic się nie wydarzyło, dopóki twój mąż nie odszedł od ciebie.

Wszystkie głowy jednocześnie zwróciły się w jej kierunku. Wyraz twarzy Jacka był nieokreślony, za to Max wykrzyknął:

- Jasny gwint! To ty masz romans z Fergusem? Dlatego tak bardzo chciałaś się tu przeprowadzić?

Idealnie umalowane usta Stelli otworzyły się szeroko.

- I ty też? Mój Boże, z iloma kobietami sypia mój mąż za moimi plecami?

Rozmowa zaczynała wymykać się spod kontroli.

- Nie ja. - Tilly energicznie potrząsnęła głową. - Nie mówiłam o sobie. Nawet nie poznałam twojego męża. - Czując, jak oblewa ją zimny pot, zdała sobie sprawę, że najpewniej zdradziła właśnie tajemnicę Erin. A co, jeśli Fergus też był „wielozadaniowcem” i miał więcej niż jeden romans? - Przepraszam, nie wiem, czemu to powiedziałam. O, dziękuję. - Wzięła kieliszek wina, który przyniósł jej Declan i z ulgą zanurzyła w nim usta.

- No dobrze, mów - ponaglił Stellę Max. - Z kim on się spotyka?

- Ujmę to tak - zaczęła Stella. - Znacie ten sklep z ciuchami na końcu ulicy? Piękne Ubrania Erin? Od teraz będę go nazywać Wielki Nos Erin. Bo kiedy ją spytałam, czy sądzi, że mój mąż spotyka się z jakąś inną kobietą, to mnie okłamała. A to ona! To z nią ma romans! Przychodziłam do jej sklepu tyle razy, a ona udawała, że mi współczuje, tymczasem to ta wiedźma była powodem wszystkim moich zmartwień!

Tilly przełknęła ślinę. Dobra wiadomość była taka, że Fergus nie romansował na prawo i lewo. Świadoma tego, że Max połączył ją już z całą sprawą, wyjaśniła:

- Słuchaj, Erin jest moją przyjaciółką. Kiedy przyszedłam do ciebie, nie wiedziałam nic o tej sprawie, powiedziała mi dopiero niedawno. I przysięgam, że ona nie jest taka - nigdy nie ukradłaby męża innej kobiecie.

- Jesteś jej przyjaciółką? - Stella uniosła brew. - No to powodzenia. Lepiej trzymaj ją z

daleka od swego chłopaka.

Wiedząc, że Jack stoi obok, Tilly odparła:

- Erin naprawdę nie jest taka, jak mówisz. Zresztą przyznała, że zaczęli się spotykać z Fergusiem dopiero kilka tygodni temu.

Stella zdusiła śmiech.

- Jasne, oczywiście. Będzie się trzymać tej wersji, zgadza się?

- Taka jest prawda!

- To nie jest prawda, z pewnością, bo gdyby tak było, czemu Fergus by mnie zostawił? - Stella wyraźnie nie potrafiła znaleźć innego logicznego wytłumaczenia, a jedyne, które przychodziło jej do głowy, było nie do przyjęcia; głośkała więc tylko kremowy kołnierz płaszcz, odrzuciwszy do tyłu błyszczące, wypięlegnowane włosy.

- Dobrze, lepiej już zmienmy temat - zaproponował Max.

- Świetny pomysł. - Declan objął Stellę ramieniem i nadstawił policzek. - Złóż mi, proszę, życzenia.

- Przepraszam, Declanie. Wszystkiego najlepszego! - Stella ucałowała mężczyznę, a potem zrobiła to Amy.

- Ooo, teraz mam ochotę pocałować każdego - zaświergotała Amy i swym całusem obdarzyła Maksa. Widząc, do czego to zmierza, Tilly zachowała powagę, kiedy Jack zgrabnie odwrócił się od nich, by przywitać się z kolegą, dokładnie w chwili gdy Amy zamierzała się na niego rzucić. Na moment w mocno wytuszowanych oczach pojawiło się rozczarowanie, ale nieco sztuczny uśmiech szybko powrócił na jej twarz.

- A więc to ty jesteś nową asystentką Maksa - odezwała się radośnie. - Stella opowiadała mi o tobie. Nie masz żadnego chłopaka.

- Zgadza się. - Czy tak właśnie Stella i Amy kategoryzowały ludzi w miasteczku? Tilly poczuła się oceniana przez dwie kobiety, które tygodniowo poświęcały więcej czasu na dbanie o swoją urodę niż ona przez całe życie.

- I świetnie sobie radzi - odezwał się Max. - Zadamawia się.

- Nawiązuje nowe przyjaźnie. - Jack wtrącił się do rozmowy. - Hau, hau.

Stella zmarszczyła czoło.

- Co proszę?

- Przepraszam - uśmiechnął się. - To taki żart.

Wyraźnie pragnąc zademonstrować, że ma wspaniałe poczucie humoru, Stella zauważyła:

- Wściekle zabawny.

Za to Amy nie była rozbawiona. Podejrzliwie patrzyła to na Jacka, to na Tilly. W tej chwili rozległ się dźwięk czyjejś komórki. Gdy umilkł, Jack przechylił głowę na bok jak Betty i szcękając zapytał:

- Hau?

- Nie martw się - rzekła Tilly. - On tylko sobie ze mnie żartuje.

Wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, Amy złapała Jacka za rękę.

- Jack i ja byliśmy niedawno na kolacji. Świetnie się bawiliśmy, prawda?

- Oczywiście - ciepło odpowiedział Jack; byłoby łatwo upokorzyć kogoś tak głupiutkiego i nadgorliwego, ale Tilly wiedziała, że nigdy by tego nie zrobił.

Dlatego Amy promieniała.

- Może następnym razem pójdziemy do tej nowej restauracji w Tetbury? - Zamilkła, udając, że się zastanawia. - Nie pamiętam, czy dawałam ci numer mojej komórki.

- Tak, tak... Przepraszam cię na chwilę. - Po drugiej stronie pubu jakaś wysoka brunetka zawołała go po imieniu i przywołała do siebie. Z uprzejmym uśmiechem Jack uwolnił się od towarzystwa Amy i zaczął przedzierać się przez tłum ludzi.

- Marianne Tilson. - Amy obdarzyła brunetkę pogardliwym spojrzeniem. - I kto tu jest zdesperowany? Ona jest taka zwyczajna. Jack nawet jej nie lubi.

- Czy to kiedyś powstrzymało jakąkolwiek kobietę przed atakiem na niego? - Max zapalił cygaro i mrugnął do Tilly.

Amy także zwróciła się do niej:

- Podoba ci się Jack?

W jej tonie słychać było oskarżycielską nutę. Jedyne rozsądne pytanie na to pytanie powinna być przecząca. Tak więc Tilly, kręcąc głową, odparła:

- Hm... nie.

- Och, proszę cię, oczywiście, że tak. On się wszystkim podoba.

- Jest bardzo... przystojny - przyznała w końcu Tilly. - Ale nie umawiam się z facetami, którzy mają taką długą listę podbojów.

Amy spojrzała podejrzliwie.

- A co, zaprosił cię, a ty odmówiłaś? Nawet przez chwilę cię nie kusilo, by się zgodzić?

Rany, to ją naprawdę interesowało.

- Jasne, nigdy nie mów nigdy. Może za dwadzieścia lat zmienię zdanie. Ale w tej chwili - potwierdziła Tilly - nie. Nie kusiloby mnie ani trochę.

- Co by cię nie kusilo? - Tilly aż podskoczyła, kiedy Jack zaszedł ją od tyłu. Czy słyszała całą rozmowę?

- Aby pobiec w Maratonie Londyńskim. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Amy właśnie mówiła, że zamierza to zrobić w przyszłym roku.

Jeśli jakąkolwiek kobieta była chirurgicznie przymocowana do swoich eleganckich szpilek, to właśnie Amy. Wyraz jej twarzy mówił wszystko. Jack zdziwił się:

- Amy, nic o tym nie mówiłaś! Bynajmniej ci nie zazdroszczę, ale mogę cię zasponsorować.

Amy wyglądała jak przerażona złota rybka.

- Cóż... dzięki.

- Ty też powinnaś spróbować - Max zwrócił się do Stelli. - Żeby zapomnieć o innych rzeczach. Dobrze by ci to zrobiło.

- Nie, dzięki. Jestem już wystarczająco nieszczęśliwa. - Stella zgrabnie uniknęła pułapki.

- Zresztą ćwiczenia fizyczne są dla tych, którzy muszą schudnąć. Jeśli ktoś powinien biegać w maratonach, to raczej nowa dziewczyna mojego męża.

- Stello. - Max z dezaprobatą pokręcił głową.

- No co? Jest gruba! Czemu nie mogę tego powiedzieć?

- Bo jest tu Tilly, która przyjaźni się z Erin.

- A Erin ukradła mojego męża, który najwyraźniej przeżywa jakieś załamanie, bo nigdy dotąd nie podobały mu się grube kobiety. Przepraszam, ale będę o niej mówić, jak mi się podoba.

Tilly zastanawiała się, jak zareagowałaby Stella, gdyby oblała ją teraz drinkiem. Ale nie, w końcu były urodziny Declana, i to on płacił za napoje. Nie wypadało robić publicznej awantury. Zamiast tego z buddyjską mądrością wzniesie się ponad wszystko i odpowie dobrocią oraz uśmiechem na arogancję. Co sprawi, że wszyscy pomyślą, iż jest prawdziwie uroczą osobą.

- Nic się nie stało. - Tilly uśmiechnęła się dobrodusznie. - Stella ma prawo czuć się...

- Jack! Jack! Ooo, ty niegrzeczne stworzenie, chodź tu szybko i mnie pocałuj. - Tilly została nagle zmieciona na bok przez chuderlawą brunetkę w srebrnym topie wiązonym na szyi i w bardzo dopasowanych modnych dżinsach, oblewając przy tym drinkiem rękaw Maksa. A jednak się zmarnował.

- Jasny gwint! - Max potrząsnął ręką. - Już rozumiesz, co mówiłem o wychodzeniu z tym facetem? Powinniśmy się ubezpieczyć.

- Lisa. - Jack pozwolił brunetce, by ucałowała go w oba policzki. - Jak miło znów cię widzieć.

- Skoro miło mnie widzieć, to czemu się nie odzywałeś? Obiecałeś, że zadzwonisz. - Lisa zrobiła maślane oczy i przylgnęła do Jacka. - Czekałam na twój telefon.

- Skarbie, przepraszam. Byłem strasznie zajęty.

- Sypianiem z Marianne, Amy i Bóg wie kim jeszcze - wyszeptał Max do ucha Tilly. - Mówię ci, przy nim nawet Mick Jagger jest zwykłym amatorem.

Jack odwrócił się do nich.

- Słucham?

- Nic, nic - odparł z rozbawieniem Max. - Po prostu cieszę się, że przynajmniej mnie się nie podobasz.

Tilly uciekła do toalety i zadzwoniła do Erin.

- To ja. - Usiadła na zamkniętej muszli, mówiąc cicho. - Jestem w Lisie. Stella tu jest. Ona wie.

- Wiem, że wie! - żaliła się Erin. - Wciąż jest wściekła?

- I oburzona. Choć powiedziałam jej, że to nie ty rozwaliłaś ich małżeństwo.

- Ja też jej to mówiłam. Uwierzyła ci?

- Ani trochę. Jak się dowiedziała?

- Przez moje perfumy. Zresztą nieważne, prędzej czy później i tak by się dowiedziała. Bałam się, że przyjdzie dzisiaj do sklepu i zrobi awanturę. - Erin odetchnęła z ulgą. - Przynajmniej tego uniknęłam. Kto jeszcze jest z tobą?

- Masa ludzi. Ja i Max. Stella z przyjaciółką Amy. - Tilly zawahała się. - No i Jack. Co chwila zaczepiają go nowe kobiety.

- Niezła zabawa, gdy się na to patrzy. Dopóki nie korci cię, aby się przyłączyć.

- Nie martw się, nie korci mnie. Im lepiej go poznaję, tym łatwiejsze wydaje mi się trzymanie na dystans. - Tilly mówiła szczerze. Patrząc, jak kolejne kobiety wieszają się na Jacku, czuła coraz większą pewność, że nie chce do nich dołączyć. Była spokojna, pewna siebie i... na pewno nie chciała ogłupieć z miłości.

- I dobrze - pochwaliła Erin. - Tak będzie bezpieczniej.

Rozdział 15

Wracając z toalety bielonym korytarzem, Tilly spotkała Jacka. Uśmiechnął się.

- Dobrze się bawisz?

- Tak, dzięki. Ledwie cię poznałam bez tych kobiet wiszących na tobie jak bransoletki.

- Przepraszam za to. Nie prosiłem, żeby się tak zachowywały. Dla mnie to też żenujące. - Kiedy tak bezradnie wzruszał ramionami, robił się naprawdę czarujący. - A tobie nieźle poszło ze Stellą.

- Poszło mi świetnie. - *Udało mi się nawet nie wyrwać jej z głowy przedłużonych pasemek.* - Zachowałam się niczym święta.

Jack wyglądał na rozbawionego.

- Teraz Stella flirtuje z Maksem.

- A to powodzenia.

- Wiesz, mogłabyś coś dla mnie zrobić. - Jack badawczo spojrzał na Tilly. - Mam problem z... hm, z paroma osobami. - Skinął głową w kierunku baru.

- Kilkoma? Czy raczej trzema?

- No dobrze, trzema.

- Rany, bycie tobą jest chyba bardzo męczące - oceniła Tilly.

- Teraz to ty jesteś złośliwa. Wyświadczysz mi przysługę czy nie?
- Coś ty, myślisz, że się zgodzę, nie wiedząc, o co ci chodzi?
- Zaproszono mnie na przyjęcie charytatywne w Cheltenham i powinienem przyjść z osobą towarzyszącą. - Jack zawahał się i oparł o ścianę. - Chodzi o to, że one wszystkie już o tym wiedzą i każda chce ze mną pójść. Szczerze mówiąc, robi się z tego straszne zamieszanie, a ja chciałbym go uniknąć. Te trzy kobiety ze sobą rywalizują. Pomyślałem więc, że najlepszym wyjściem byłoby, gdybym poszedł z tobą.

Mówił poważnie?

- Chcesz, żeby mnie publicznie ukamienowały i wyгнаły z Roxborough?
- Ale ty jesteś tu nowa. Mogę powiedzieć im, że od dawna działasz dobroczynnie i organizatorzy poprosili mnie, abym cię zabrał. W ten sposób nikt nie będzie obrażony. A ja będę się dobrze bawił i odpocznę. Zapowiada się miły wieczór, obiecuję. Żadnego wieszania się, żadnej rywalizacji i nadinterpretowanych aluzji...

- Nie mogę. - Tilly potrząsnęła głową. - Amy już wcześniej mnie przesłuchiwała. Chciała wiedzieć, czy umówiłabym się z tobą, gdybyś mnie poprosił. I powiedziałam, że nie.

- Boże, trafiłaś mnie prosto w serce! - Jack z przesadą złapał się za pierś. - Wiesz, jak sprawić przykrość mężczyźnie, prawda?

- Przepraszam cię bardzo, ale to ty ranisz uczucia tych kobiet.

- Ale Amy chodziło o to, czy poszłabyś ze mną na randkę. A to nie będzie przecież randka, prawda? - Wzruszył ramionami. - Nie będzie romantycznie, ani troszeczkę. Nie widzę więc problemu.

Tilly poczuła ucisk w żołądku. Czy to jakaś gra? Bo jeśli tak, to Jack wyraźnie wygrywał.

- Słuchaj, to zwykła przysługa, nic więcej. - Jack pokręcił głową, próbując ją przekonać. - Gdybym miał siostrę, wziąłbym ją ze sobą. Ale nie mam, więc najlepsze, co mogę zrobić, to pójść z tobą. Czysto platonicznie.

Podświadomie Tilly zabołało, że postawił ją na równi z nieistniejącą siostrą. Ale czy jeśli odmówi, Jack pomyśli, że poczuła się urażona? Boże, wszystko zaczynało się komplikować.

- Chyba że będziesz chciała czegoś więcej.

Świetnie, ten tekst bynajmniej nie pomógł. Teraz żołądek Tilly zwinął się w ciasny nierozwiązywalny supełek. Jack był okropny i jeśli zachowała odrobinę zdrowego rozsądku, powinna mu odmówić. Co gorsza, tak bardzo wyszło jej w gardle, że nie mogła nawet przełknąć śliny.

Odczekawszy chwilę, Jack podniósł rękę.

- Rozumiem, że to znaczy „nie”.

Nieeee! Tilly poczuła się nagle jak na aukcji internetowej, kiedy widzisz, że ktoś w ostatniej chwili kradnie ci wymarzony licytowany przedmiot.

- Kiedy jest to przyjęcie? - spytała nieco piskliwym głosem. - Muszę spytać Maksa, czy da mi wtedy wolny wieczór.

Kiedy dołączyli do reszty znajomych przy barze, Tilly poczuła na sobie spojrzenie Amy. Zerknęła w lewo, potem w prawo, dostrzegając, że przyglądają się jej także bacznie Lisa i Marianne. Jack musiał się zmagać z taką obserwacją bez przerwy.

Ale to dlatego, że spał z nimi wszystkimi.

- Dzisiaj po południu przeglądałam różne strony internetowe - opowiadała Stella, pograżona w rozmowie z Maksem. - To cudowne, nie miałam pojęcia, że można mieć George'a Clooneya!

- Cóż, to byłaby odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy - zauważył Max. - Ale tak naprawdę nie możesz go mieć. Bo to nie George reklamuje się w Internecie, prawda? „Samotny hollywoodzki gwiazdor szuka kogoś na długie spacerunki i wspólne noce”.

Stella przewróciła oczami.

- Nie słuchałeś mnie uważnie, prawda? Proszę cię, Max. Przecież nie mówię o serwisach

randkowych!

- Tak, przepraszam, trochę odleciałem. Ale mów dalej, proszę. Już będę cię słuchał. Mówiłaś o stronach internetowych...

- Dawców spermy!

Max parsknął popijającym właśnie winem i przykrył usta dłonią.

- To jakiś żart?

- A wyglądam, jakbym żartowała? Chcę mieć dziecko. - Stella siedziała wyprostowana jak struna. - Mąż mnie zostawił, a sama myśl o uprawianiu seksu z innym mężczyzną przyprawia mnie o mdłości. Wygląda więc na to, że zostaje jedno rozwiązanie. Jeśli masz lepszy pomysł, koniecznie daj mi znać - dodała obronnym tonem.

Tilly spojrzała na szefa. Wyglądało na to, że Stella mówi poważnie.

- Ale... - Amy wyglądała na zdezorientowaną. - Nie możesz przecież kupić spermy George'a Clooneya. - Zmarszczyła brwi. - Prawda?

Tilly ugryzła się w język, powstrzymując uśmiech. Rany, czyż nie byłoby cudownie, gdyby okazało się to możliwe? Portale aukcyjne dopiero by oszalały z nadmiaru licytujących. Tylko wyobraźcie sobie miliony małych George'ów rodzących się na całym świecie!

- Oczywiście, że nie możesz kupić nasienia prawdziwego George'a. - Stella karcąco spojrzała na przyjaciółkę. - Mówię o tym, że można znaleźć dawcę o podobnych cechach i wyglądzie zewnętrznym. Dostajesz długą listę i zaznaczasz odpowiednie okienka. Można wybrać każdy szczegół. Jeśli George Clooney jest twoim ideałem, zaznaczasz jego cechy.

- Tylko nie pomyśl go z Jasiem Fasolą - podpowiedział Max.

- A ile to kosztuje? - spytała Amy wyraźnie zaniepokojona.

- To jest dziecko, a nie nowa kanapa - rzekła Stella, sącząc drinka. - Nie możesz wycenić dziecka.

- Ale tylko pomyśl, ile można by za tę cenę kupić nowych butów! Szpilek od Jimmy'ego Choo na przykład - rozmarzyła się Amy. - Wolałabym chyba nowe buty niż dzieciaka.

- Buty są lepsze - przytaknął Max. - Nie wymiotują ci na ramię.

- Teraz sobie ze mnie żartujesz. - Stella delikatnie go szturchnęła. - A tu nie ma się z czego śmiać. Mężczyźni nie rozumieją, jak to jest nosić w sobie zegar niczym tykającą bombę. Nie znoszę czuć się taka bezradna. - Potrząsnęła głową. - Całe życie wszystko planowałam. Jestem królową grafików. Lubię panować nad własnym czasem i wiedzieć, co zdarzy się za chwilę. A teraz, przez Fergus'a, wszystko się posypało, i dlatego jestem wściekła. To mnie po prostu dobija.

- Ale żeby od razu biec do banku nasienia... - wtrącił się Jack.

Max uśmiechnął się i wydmuchnął chmurę dymu z cygara.

- Jack zrobi to za darmo.

- Hej, daj spokój. - Jack po przyjacielsku objął Stellę i uściśnił jej ramię. - Odpuść dziewczynie. Miała ciężki rok.

- A skoro mowa o planowaniu i tym, co ma się wydarzyć... - Amy znacząco spojrzała na Stellę.

- Co? A tak. Jasne. - Ponaglona przez przyjaciółkę Stella zwróciła się do Jacka: - Kiedy cię nie było, przyszła tu Marianne i mówiła, że wybiera się z tobą na przyjęcie charytatywne w Cheltenham. Strasznie się napraszała. Powiedziałam więc, że nie jestem pewna, ale chyba zaprosisz kogoś innego. - Mówiąc to, delikatnie skinęła głową w kierunku Amy, która nagle udała, że straciła słuch, i patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie, jakby wywoływała duchy.

Max, przysłuchując się rozmowie, nie mógł darować sobie złośliwej uwagi:

- Hej, kiedy chodziłem do szkoły, dziewczyny robiły dokładnie do samo. - Przybrał piskliwy liverpoolski akcent: - „Ej, co tam? Moja koleżanka chce wiedzieć, czy się z nią umówisz, co?”.

Amy wciąż patrzyła w przestrzeń, ale na jej policzki wystąpił rumieniec.

- W gruncie rzeczy to prawda, że nie idę z Marianne - swobodnie odparł Jack. - I że zapraszam kogoś innego.

Delikatny uśmiech oczekiwania pojawił się w kącikach ust Amy - wyglądała jak nominowana do nagrody aktorka, dyskretnie ignorująca fakt, że na scenie właśnie ogłoszono jej nazwisko.

Nie, nie, powtarzała w myślach Tilly. Nie tutaj, nie teraz, nie w ten sposób.

- Poprosiłem Tilly, żeby ze mną poszła, a ona się zgodziła.

Psiakość, powiedział to!

Amy zeszywniała, jakby ktoś strzelił w nią zatrutą strzałą. Patrząc oskarżycielskim wzrokiem, wyrzuciła z siebie:

- Co?

Stella beznamiętnie przypomniała:

- Mówiłaś, że się nie zgodzisz.

- To nie jest randka - pośpiesznie wyjaśniła Tilly - i wcale się jeszcze nie zgodziłam. Powiedziałam, że spytam Makska.

- Przyszły czwartek. - Jack spojrzął na przyjaciela. - Poradzisz sobie bez niej wieczorem?

- Jasne. Tylko pamiętaj, żadnych sprośnych myśli. - Max pogroził palcem. - Zachowuj się.

- Co się dzieje? - Marianne, która podsłuchiwała ich rozmowę, idąc do baru, wtrąciła się nerwowo. - O co chodzi?

- Jack zabiera ją. - Amy wskazała na Tilly.

- Co?

- No właśnie.

Na litość boską, naprawdę tego nie potrzebowała! Tilly zrobiła krok w tył i powiedziała:

- To jakieś szaleństwo, daj spokój.

- Nie bądź niemądra. Zapraszam Tilly z konkretnego powodu. - Jack po kolei spojrzął na czekające kobiety. - Ona od wielu lat działa charytatywnie. A skoro przeniosła się tutaj z Londynu, czas, żeby poznała tutejszych działaczy i fundacje. Ucieszyli się, kiedy o niej wspomniałem. - Uśmiechnął się bez troski. - Więc kogóż innego mógłbym zabrać ze sobą?

Na twarzy Marianne malował się zawód, Amy wyglądała na zrezygnowaną, Stella natomiast spytała podejrzliwie:

- A jaka to okazja?

Tego pytania Tilly obawiała się najbardziej. Rany, czemu ludzie są tacy wścibscy? Najgorsze było to, że Stella spytała ją, więc Jack czekał, aż Tilly odpowie - chwilę wcześniej, zanim wrócili, powiedział jej przecież, na jaki cel będą zbierane fundusze.

Tyle że ona zupełnie zapomniała, co mówił Jack. Za żadne skarby nie potrafiła sobie w tej chwili przypomnieć, o co chodziło. A wokół wszyscy czekali na jej odpowiedź, patrząc pytająco... Spokojnie, na pewno nie chodziło o delfiny ani o ochronę ptaków, ani o odnawianie starych budynków, ani o ogrody, ani o dzieci, ani o AIDS, ani o psy przewodniki, ani też o chronione gatunki traszki... Do diabła, pamięć Tilly zawiodła na całej linii...

Eureka!

- Pomoc dla chorych na alzheimera! - wykrzyknęła Tilly z triumfem. Uff, w samą porę.

- Przez chwilę zdawało mi się, że zapomniałaś - oznajmiła Stella ironicznym tonem.

- Prawie zapomniałam - zaśmiała się Tilly. - Wspieram tyle różnych akcji charytatywnych.

- A tu cel jest szczytny - podkreślił Jack.

- I nie jest to randka - przypomniała wszystkim Tilly, choć niektórzy zdawali się nie wierzyć.

- Absolutnie nie randka. - Jack energicznie pokręcił głową. - Nawet nie mam specjalnej

ochoty tam iść. Ale czasem musimy po prostu wypełniać nasze obowiązki, prawda? - Opróżnił swoją szklaneczkę i uśmiechnął się. - Moja kolej?

Tilly zerknęła na zegarek, próbując uciec od nienawistnych spojrzeń. A więc tak wygląda świat, kiedy człowiek zgodzi się wyświadczyć komuś przysługę. Już nie mogła się doczekać, kiedy poprosi Jacka o rewanż. Chyba że najpierw wygnają ją z miasta.

Czy wypadło już pójść do domu?

Rozdział 16

Wydawało się, że po trzech latach spędzonych w Los Angeles Kaye przyzwyczała się do specyficznych kalifornijskich sposobów urządzania przyjęć, ale wciąż wywoływały one uśmiech na jej twarzy. Tym razem urządzał je reżyser serialu *Over the Rainbow*, było wystawne i eleganckie, ale - co zabawne - skończyło się dokładnie o wyznaczonej godzinie. Punkt piąta - jak przyjęcie urodzinowe sześciolatek. Jeszcze dziwniejsze było to, że goście odjeżdżali w limuzynach prowadzonych przez szoferów, ponieważ byli zbyt bogaci (a nie zbyt pijani), by prowadzić samochody. Prawie wszyscy spędzili popołudnie, popijając wodę z lodem. Jeśli ktokolwiek brał jakieś prochy, to Kaye tego nie zauważyła. Dom Denzila i Charlene Weintraubów w Hollywood Hills był naprawdę imponujący, a sukienki oraz biżuteria noszone przez obecne panie lśniły w promieniach słońca. Nie była to jednak impreza, którą pamiętałoby się do końca życia. Zorganizowano ją także nie po to, by się bawić, lecz by nawiązywać kontakty. Jeśli ktoś zbyt dobrze się bawił, patrzono na niego karcąco. Nawet jedzenie w świecie rozmiaru S uważane było za niebezpieczny sport i pozwalali sobie na nie jedynie ci, którzy nie mieli nic do stracenia.

Tak czy owak, pał licho jeżdżenie limuzyną tylko po to, by się popisać! Kaye podciągnęła krótką spódniczkę i wślizgnęła się za kierownicę swojego kabrioletu, zastanawiając się, czy jej się zdawało, czy może tego popołudnia Charlene zachowywała się w stosunku do niej nieco dziwnie. Kilka razy rzuciła Kaye niezbyt przyjazne spojrzenie. A przy basenie palnęła: „A więc, Kaye, znalazłaś sobie innego faceta? Tym razem własnego, a nie cudzego?”.

Dziwne, prawda? Ale z drugiej strony żonie reżysera raczej nie chciała się narażać. Charlene była rozpieszczona, przewrażliwiona i bezwarunkowo wielbiona przez Denzila, którego dzieci z pierwszego małżeństwa były starsze od jego obecnej żony. Kaye słyszała tu i ówdzie (no dobrze, od Macy Ventury, która wiedziała właściwie wszystko o wszystkich w Hollywood), że Charlene w tajemnicy walczyła z uzależnieniem od środków przeciwbólowych, dlatego lepiej było z nią nie zadzierać. Wściekła mogła być niebezpieczna.

Kaye wrzuciła bieg i zaczęła cofać, czekając, aż błyszcząca, długa czarna limuzyna wyminie ją i wyjedzie podjazdem. Muzyka, potrzebowała muzyki. Wcisnęła przycisk na odtwarzaczu i z głośników rozległ się głos Jennifer Hudson - *A ja mówię ci, że nie idę*. Tak, to była ulubiona piosenka Kaye. Nigdy nie miała jej dość, a mocny głos piosenkarki wciąż przyprawiał ją o dreszcze. To był kawałek, który chciałaby, żeby zagrano na jej pogrzebie (dodatkową atrakcją stanowiłoby to, że amerykańscy żałobnicy byłiby oburzeni, a brytyjscy zachwyceni doborem słów). Rozbawiona Kaye wyobraziła sobie tę scenę i muzykę dobywającą się, powiedzmy, z głośników ukrytych w wieku trumny. Max uznałby sytuację za bardzo śmieszną. Pewnie gdyby mógł, sam przebudowałby wieko, żeby otwierało się ze skrzypieniem, a ze środka powoli, w rytm melodii, wysuwała się sztuczna ręka. Zadowolona z własnego pomysłu Kaye nabrała powietrza i razem z Jennifer zawyla: „I mówię ciii... że nie idęęę”.

Cholera, a to co?

Znikąd pojawiło się nagle jakieś małe brązowe stworzenie - wyskoczyło zza drzewa palmowego i zniknęło pod przednimi kołami jej samochodu, zanim Kaye zdolała zareagować. Wcisnęła hamulce i wrzasnęła z przerażenia, kiedy auto zaczęło ślizgać się po podjeździe. O Boże, żeby tylko niczego nie przejechała, nawet gdyby miał to być tylko szczur! Kaye nie znosiła szczurów, ale wcale nie chciała żadnego zabijać. Uciekł czy zdechł? Wyglądało to jak szczur, ale czy na pewno? Czy gdyby coś przejechała, poczułaby uderzenie, czy może to stworzenie było za małe, żeby...

- O Boże, o nie. - Wsiadłszy z samochodu, Kaye padła na kolana i zobaczyła to, czego tak bardzo się obawiała. Małe truchło leżało nieruchomo pod jej samochodem. Zabiła szczura. Z wykrzywioną twarzą, czując mdłości, postanowiła, że musi zabrać to coś spod auta, inaczej przejedzie przez nie jeszcze raz, cofając. Trzeba było sięgnąć i pociągnąć zwierzę w swoją stronę. Fuj, szczury przyprawiały ją o dreszcze, były...

- Nieee! - wrzasnął piskliwy głos gdzieś w oddali. Trzasnęły drzwi i na podjeździe rozległy się czyjeś kroki.

- Nie - zachrypiała Kaye, wyciągając szczura spod samochodu i widząc, że to wcale nie jest szczur. O nie, o nie, o nie. Zrobiło jej się najpierw gorąco, potem zimno, potem słabo na widok małego stworzenia - należącego do Charlene psa rasy chihuahua - leżącego na ziemi.

- Zabiłaś moją Owieczkę! Zabiłaś moje dziecko! - Charlene dobiegła do Kaye, dysząc i krzycząc. Złapała zwierzę w ramiona i zaczęła je kołysać. - Och, moje kochanie, obudź się, obudź...

- Tak mi przykro. To był wypadek. Tak okropnie mi przykro. - Słyszając kroki kolejnych osób, Kaye w desperacji kręciła głową. To był wypadek. Pies pojawił się znikąd i wbiegł pod mój samochód. Nie mogłam nic zrobić. Tak mi przykro.

- Kłamiesz! Wcale nie jest ci przykro! - wychrypiała Charlene, patrząc na Kaye z wściekłością i grymasem złości na twarzy. - Ty suko, zrobiłaś to specjalnie!

Kaye cofnęła się, zaskoczona siłą ataku.

- To nieprawda, nigdy bym tego nie zrobiła specjalnie, nigdy!

- Nienawidzisz mnie. Jesteś zazdrosna - wyrzuciła z siebie Charlene. - Chcesz mieć Denzila i nie możesz znieść, że on jest ze mną. Odbiło ci - mówiła. - Jesteś chora psychicznie, zamordowałaś mojego psa i poniesiesz za to karę. Denzil jest moim mężem, nie odbierzesz mi go. Jesteś tylko chuderławą rudą zdzirą, która kradnie cudzych mężów, i specjalnie przejechałaś moją Owieczkę.

- Nieprawda, to nieprawda.

- Och, tylko nie kłam. Popatrz na siebie. Jesteś pijana. - Charlene wymierzyła w Kaye kościsty palec. - I wiem, że zrobiłaś to specjalnie, bo wszystko widziałam. Stałam tam, na balkonie, i widziałam, że z premedytacją skręcasz, by go przejechać. Chciałaś mnie zranić, więc zabiłaś moje dziecko.

To był jakiś koszmar. Kaye nie mogła uwierzyć, że dzieje się naprawdę. Goście, ochroniarze, służący - wszyscy wybiegli, by zobaczyć, co się dzieje. Kolana się pod nią ugięły i musiała usiąść na siedzeniu pasażera, aby nie upaść, wciąż opowiadając, że jest niewinna, każdemu, kto chciał słuchać.

- Ona jest pijana! - wrzeszczała Charlene raz za razem. - Przez całe przyjęcie dolewała sobie wina. To znaczy wtedy, kiedy nie gapiała się na mojego męża.

- Wypiłam jeden kieliszek wina. Jeden kieliszek - zaprotestowała Kaye, ale nie miało to sensu.

- Ona jest złą, chorą psychicznie morderczynią. W tym mieście jest skończona! - zachrypiała Charlene, wciąż kołysząc w ramionach ciało psa.

- To był wypadek. Przepraszam. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Kaye nigdy w życiu nie czuła się bardziej samotna. Nikt jej nie uwierzył, nikt nie stanął

po jej stronie. Czuli się winni, bo choć nie zrobiła tego specjalnie, to Owieczka nie żyła. Chowając twarz w drżących dłoniach, zorientowała się, że gdy schylała się pod autem, pękł jej rozporek w spodnicy.

- Co tu się dzieje? - Denzil jako ostatni dotarł na miejsce zbrodni i kulejąc, szedł po podjeździe. Oddychał ciężko, nagle zatrzymał się i z przerażeniem patrzył to na Kaye, to na małe zawiniątko w chudych ramionach Charlene. - Boże, tylko nie Owieczka!

Po twarzy Charlene płynęły łzy, zwisając z jej dopiero co zoperowanego podbródka.

- Ona g-go za-zamordowała, Denny. Zrobiła to specjalnie - szlochała. - W-wezwij policję. Ta suka musi za to zapłacić!

Kiedy Stella wparowała do sklepu, było tam pięć klientek.

Serce Erin przestało bić. Tego obawiała się przez cały tydzień. Teraz mogło się wydarzyć dosłownie wszystko.

- Co myślisz, Barbaro? Może to weźmiemy na ślub naszej Angie? - Jakaś kobieta w średnim wieku z namaszczeniem głaskała jasnozieloną sukienkę i marynarkę do kompletu. - Cudowny materiał. Masz, dotknij. Kosztuje osiemdziesiąt funtów, ale to Frank Usher. Och, zawsze chciałam mieć coś od niego.

- Osiemdziesiąt funtów? - cmoknęła Stella z niedowierzaniem. - Sama powinnam otworzyć taki sklep. - Sięgnęła, by przyrzeć się sukience z bliska, i zwróciła się do zainteresowanej kobiety: - Szkoda, że nie zajrzała pani do sklepu Czerwonego Krzyża przy Hill Street wczoraj rano. Mogłaby ją pani kupić za sześć i pół funta.

Erin zupełnie się załamała. Klientka i jej przyjaciółka natychmiast odsunęły się od wieszaka i spojrzały na nią zaskoczone, nie dowierzając.

- To nieprawda. - Erin pokręciła głową. - Proszę nie słuchać tej kobiety, mówi nieprawdę.

- Daj spokój, wszyscy wiemy, że to właśnie robisz. Zeszłego lata oddałam trzy torby ciuchów na wyprzedaż kościelną i większość z nich znalazła się potem tutaj.

Kolejne oburzające kłamstwo, ale tego dwie - w przyszłości być może dobre - klientki nie mogły wiedzieć. Powiedziała więc tylko:

- W komputerze mam spis wszystkich ubrań, które przynoszone są do sklepu na sprzedaż.

- Z pewnością. Nic trudnego wymyślić sobie listę nazwisk i udawać, że są prawdziwe - słodko oświadczyła Stella. - Inaczej nie wyglądałoby to zbyt zachęcająco, prawda? A przy okazji, odezwała się do ciebie ta kobieta, która kupiła tutaj sweter i w kieszeniach znalazła robaki?

Obie klientki ruszyły do wyjścia. Pozostałe trzy spojrzały na siebie, po czym zrobiły to samo. Ostatnia dyskretnie wytarła ręce o swój płaszcz.

- Ona kłamie! - zawołała Erin, kiedy zamykały się za nimi drzwi.

- Ale zadziało. - Stella wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. - Prawda?

- Nie możesz tego robić.

- Właśnie zrobiłam.

- To nie fair.

- Myślę, że to fair - odparła Stella. - Zasłużyłaś sobie.

- Nie ukradłam ci Fergususa. - Erin zastanawiała się, czy jeśli powtórzy to sto tysięcy razy, to Stella jej uwierzy.

- Teraz to ty kłamiesz.

Nie, raczej nie uwierzy. Spróbowała więc inaczej:

- To, że wparujesz tu jak do siebie i wywołasz aferę, nie sprawi, że Fergus do ciebie wróci, wiesz o tym.

- Wiem. Nie jestem głupia. - Stella dumnie uniosła głowę i wyprostowała się. - Do tamtego wieczoru myślałam, że może skłonię go do powrotu, ale teraz wiem, że mi się nie uda. Przez ciebie nie będę miała życia ani rodziny, którą planowałam mieć. I uwierz mi, że

bardzo mnie to denerwuje.

- Ale ja nie...

- Och, daj już spokój, mała panno świętoszko. - Stella zmierzyła Erin wzrokiem pełnym dezaprobaty. - Chociaż nie, wcale nie taka mała.

Erin drżała na całym ciele, ale zdołała powiedzieć:

- Nie życzę sobie, żebyś przychodziła do mojego sklepu.

- Nie martw się, nie będę. Ale zapamiętaj - Stella zatrzymała się z ręką na klamce - zraniłaś mnie. I teraz ja zrobię to samo.

Rozdział 17

- Na drzewie po drugiej stronie ulicy siedzi fotograf. - Kaye, ściskając słuchawkę, odsunęła się od okna, zanim paparazzi zdołał zrobić zdjęcie. - A na trotuarze kłębi się ich cały tłum.

- Na trotuarze - zaśmiał się Max dziesięć tysięcy kilometrów dalej. - Co to za dziwne amerykańizmy.

- Max, zamknij się. - Kaye wiedziała, że były mąż próbuje żartami poprawić jej humor, ale tym razem i one nie działały.

- Dobrze, przepraszam. - Po tylu latach małżeństwa znali się już bardzo dobrze. - Ale to przejdzie, prawda? Daj im dzień czy dwa, a ludzie stracą zainteresowanie i zajmą się jakąś inną plotką.

- Mam nadzieję. - Ale nie była wcale taka pewna, widząc podjeżdżającą pod jej dom furgonetkę stacji telewizyjnej.

Kaye nie aresztowano - policjanci zwolnili ją po kilku godzinach koszmarnych przesłuchań - ale wiedziała dobrze, że Charlene nie odpuści. Dziennikarze, do których dzwoniła Charlene, dzwonili do Kaye, by usłyszeć jej wersję. Takie było Hollywood. Jeśli jakaś historia wydarzyła się odpowiednim ludziom w odpowiednim czasie, łatwo ją było rozdmuchać - wtedy plotka rozchodziła się z prędkością światła, wywołując prawdziwą medialną gorączkę. Zresztą spójrzmy prawdzie w oczy: kto nie zainteresowałby się tym, że jedna z gwiazd serialu *Over the Rainbow* - uroczą rudowłosa brytyjska aktorka, z pozoru kobieca i delikatna, w rzeczywistości była obsesyjnie zazdrosną, mordującą małe szczeniaczki, psychopatyczną złodziejką mężów?

- Hej, dasz radę - pocieszał ją Max. - Powiedz wszystkim, żeby się odwalili.

- Jasne, to na pewno zadziała. - Jakiś reporter stał przed domem i ściskając mikrofon, mówił do kamery.

- Zagroź, że podasz tę jędzę do sądu.

- Max, zaczynasz mnie denerwować.

- W porządku, w takim razie przyjedź do domu. Wsiadaj w samolot i zabieraj się stamtąd. Zajmiemy się tobą.

Oczy Kaye natychmiast wypełniły się łzami, bo to, co proponował Max, było bardzo kuszące, ale jednocześnie zupełnie niemożliwe do zrealizowania. Jeśli historia z Charlene miałaby się przeciągnąć, to ucieczka w istocie wydawała się jedynym możliwym rozwiązaniem.

- Tyle że jest jedna mała przeszkoda: moja praca - przypomniała Maksowi. - Mam pełny grafik, a lada chwila będę musiała odnowić kontrakt na następny sezon. I coś mi mówi, że studio nie będzie zachwycone, jeśli stąd zwięję.

Słyszała ciche uderzenia po drugiej stronie słuchawki, podczas gdy Max mówił dalej:

- Dobrze, ale pamiętaj, że jesteśmy tu, gdybyś nas potrzebowała. Nie daj się zjeść tym palantom. A jeśli ktoś skontaktuje się ze mną, powiem mu, żeby... o jasny gwint!

Matko, co znowu? Telewizja podjechała pod dom w Roxborough? Czując suchość w ustach, Kaye spytała:

- O co chodzi?

- Siedzę przy laptopie i wklepałem cię w wyszukiwarce. Znalazłem artykuł na jednej z plotkarskich stron.

- I co piszą? - wstrzymała oddech.

- Nazywają cię tu Modliszką z Beverly Hills.

- Biedna mama. - Minęły trzy dni, ale echa sprawy Charlene bynajmniej nie milkły. Hollywoodzka maszyna ruszyła na całego i Kaye została oficjalnie mianowana najbardziej nienawidzoną kobietą w Ameryce. Klikając na kolejny link, Lou znalazła zdjęcie zapłakanej Charlene przytulającej do siebie zdjęcie Owieczki. Fotografie podpisano: *Nie wiem, jak uda mi się przeżyć pogrzeb. Wolałabym umrzeć.*

- Przestań to czytać, natychmiast - odezwała się Tilly.

- Nie mogę. Przecież piszą o mojej mamie. Patrz, tu jest zdjęcie, jak zabierają ją na posterunek policji. Wypiła tylko kieliszek wina i alkomat nic nie wykazał, ale i tak chcą jej wmówić, że ma problem z alkoholem. A jeśli nie miała go przedtem, to po tej aferze na pewno zacznie pić.

Tilly przez ramię Lou spojrzała na zdjęcie Kaye, wyraźnie zdenerwowanej, rozczochranej, z rozerwaną spódnicą - zrobiono je w dniu wypadku. Migawka strzeliła w chwili, kiedy akurat przymknęła oczy, mrugając, więc rzeczywiście wyglądała, jakby od tygodnia była w ciągu alkoholowym.

Angielska Róża czy pijaczka i wariatka? - wrzeszczał nagłówek.

Niebezpieczny romans - głosił następny. *Kariera Kaye McKenny legła w gruzach z powodu nieodwzajemnionego uczucia do reżysera i morderstwa popełnionego w chwili szaleństwa!*

- Denzil Weintraub ma jakieś sześćdziesiąt lat. - Lou z obrzydzeniem pokręciła głową. - Czemu nikomu z nich nie przyjdzie do głowy, że moja mama nie zakochałaby się w jakimś starym grubym reżyserze z nosem jak ziemniak i odrzuconym przeszczepem włosów?

- Bo on jest nie tylko stary i gruby, ale także piekielnie bogaty i odnosi wielkie sukcesy. - Tilly wskazała odpowiedni wers artykułu.

- Mama taka nie jest! Nie uganiam się za obleśnymi staruchami tylko dlatego, że są bogaci.

- My to wiemy. Nie martw się, mama da sobie radę. I natychmiast wyłącz ten komputer, skarbie.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz powstrzymać mnie przed otwarciem następnego linku? - Rozbawiona Lou kliknęła i powiedziała: - W porządku, ten już widziałam. Jakiś nieudany psycholog twierdzi, że mama przechodzi załamanie nerwowe, ponieważ jej mąż okazał się gejem. Same bzdury.

- Jasne, że tak. - Tilly ścisnęła ramię dziewczynki.

- No i nie mogę jeszcze wyłączyć komputera, bo muszę poszukać czegoś o Szekspirze. A on jest taki nudny.

- Ja czytałam w szkole *Makbeta* - skrzywiła się Tilly. Rozumiała niechęć dziewczynki.

- My omawiamy *Romea i Julię*. Połowy tekstu w ogóle nie rozumiem, mówią takim dziwnym i skomplikowanym językiem. Czy on nie mógł tego napisać w porządnym angielskim?

- Moja córka ignorantka - oświadczył Max, wchodząc do kuchni z deską kreślarską. - Jeśli nie jest to magazyn dla młodzieży, nie ma co liczyć, że się zainteresuje.

- Dziękuję, tato. Chciałam ci przypomnieć, że ogólnie jestem bardzo inteligentna. Po prostu nie lubię Szekspira.

- A to dlatego, że nie widziałas jego dramatów na scenie. Musimy znaleźć na to radę. Posuń się. - Max odłożył deskę, stanowczo zepchnął córkę z krzesła i zajął jej miejsce przy komputerze. - Royal Shakespeare Company, Stratford. I już mam. *Ryszard III...* raczej nie. *Koriolan...* hm. - Stukając w klawisze, Maks czytał repertuar teatralny. - *Wieczór Trzech Króli...* to ci się spodoba. Podaj mi portfel, od razu zarezerwujemy bilety. Tilly, piszesz się?

Zaskoczona Tilly spytała:

- Mówisz poważnie? Naprawdę lubisz Szekspira?

- Ha, pewnie myślisz, że taki prostak nie umie docenić mistrza. Ale tak nie jest. - Max pogroził jej palcem. - Był cholernie dobry. Daj się ponieść, a będziesz zachwycona, mówię ci. Choćbym miał skonać, wbiję wam do głów chociaż odrobinę kultury. Kurczę, ale nie możemy pójść ani w środę, ani w czwartek. Będę wtedy w Londynie z klientem. Może w piątek, dwudziestego?

Uff, nie da rady.

- Ja nie mogę. Wtedy jest ten bal dobroczynny. Wielka szkoda - odparła Tilly.

- Bal dobroczynny? - zainteresowała się Lou.

- W Cheltenham. Jack ją zaprosił. W takim razie zamówię dwa bilety. - Max zaczął wpisywać dane ze swojej karty kredytowej.

- Jack cię zaprosił? - spytała Lou i uśmiechając się szeroko, dodała: - Proszę, proszę! A myślałam, że nie masz ochoty wskakiwać mu do łóżka.

- Bo nie mam. - Na miłość boską, teraz dogryzała jej piegowata trzynastolatka! - To nie jest randka. Po prostu poprosił mnie, żebym wyciągnęła go z tarapatów.

Dziewczynka pokiwała głową z miną kogoś, kto nie da się zbyć byle wymówką.

- Uważaj, żeby on cię w jakieś nie wciągnął!

Atmosfera na planie bynajmniej się nie poprawiła. Kaye wszędzie spotykała ludzi szepczących po kątach, którzy milkli, gdy pojawiała się w pobliżu. Nie było to specjalnie miłe uczucie - pewnie tak czuli się trędowaci. Na dodatek nagle zwołano zespół scenarzystów, którzy pracowali teraz w tajemnicy przed całym światem nad zmianami w scenariuszu ostatniego odcinka serii. Ciekawe, o co mogło chodzić. Poza tym Kaye ciągle czekała, aż odnowią jej kontrakt. Zabawne.

W przyczepie makijażystów jedyny dźwięk dochodził z telewizora ustawionego na któryś z kanałów rozrywkowych.

A teraz przechodzimy do sprawy Kaye McKenny - oświadczyła prezenterka.

- Tak dla odmiany - rzuciła zirytowana Kaye. Ellis, makijażystka, odłożyła pędzel do rózu, którym właśnie malowała Kaye.

- Chcesz, żebym przełączyła?

- Nie, zostaw. Już nie mam siły się tym przejmować. Zobaczmy, co dzisiaj wymyślili.

Gościmy dziś w studiu trzy osoby, które mają coś wspólnego z Charlene Weintraub. - Prezenterka zrobiła znaczącą pauzę i zacisnęła usta (jakby chciała zaznaczyć, że temat jest b a r d z o poważny), po czym wskazała pierwszą kobietę siedzącą po lewej stronie. - *Paula opowiedziała nam, że pewnego dnia w zeszłym roku szła sobie spokojnie ulicą, kiedy samochód prowadzony przez Kaye McKennę nadjechał z ogromną prędkością, kierując się w jej stronę. Gdyby nie uskoczyła w porę, z pewnością skończyłaby tak jak biedna Owieczka.*

- O mój Boże... - westchnęła Ellis, z przerażeniem spoglądając na odbicie Kaye w lustrze. - Naprawdę to zrobiłaś?

- Oczywiście, że niczego takiego nie zrobiłam! Nigdy przedtem nie widziałam tej kobiety. Jeżdżę bardzo ostrożnie.

Obok siedzi Jason, który twierdzi, że Kaye McKenna z premedytacją próbowała

przejechać jego ukochanego psa Brutusa.

- Jak można wpuszczać takich ludzi do telewizji i pozwalać, by mówili bzdury? - spytała Kaye.

Jest z nami także Maria, której babcia została bezczelnie obrażona na ulicy przez chorą psychicznie rudowłosą kobietę, wyraźnie pod wpływem alkoholu, i przypuszcza się, że była to także Kaye McKenna.

- Powinam ich wszystkich pozwać! Co oni sobie myślą!? - krzyknęła Kaye.

Ktoś nagle zapukał do drzwi i do przyczepy wszedł Denzil. Ellis pośpiesznie wyłączyła telewizor.

- Denzil. Chyba nie wierzysz w te wszystkie rzeczy, które o mnie mówią? - Kaye wskazała na pusty teraz ekran. - Same kłamstwa. Ludzie idą do telewizji i wygadują bzdury.

- Kaye, wiesz, co powiedział mój prawnik. Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. Czy możemy po prostu nakręcić tę scenę? - zapytał Denzil obrażonym tonem, wciąż stojąc w drzwiach.

- Jasne, przepraszam. - Dostrzegła, że Denzil nie trzyma w ręku żadnego tekstu. - Dostanę scenariusz?

- Nie ma potrzeby. - Broda Denzila zatrzęsa się, kiedy energicznie pokręcił głową. - Nie masz żadnego wejścia.

Kaye patrzyła spokojnie, ale przed oczami przesuwaly się jej obrazy całej krótkiej kariery aktorskiej.

- Pozwól, że zgadnę. Będę pływać w basenie twarzą do dołu?

Nie potrafił nawet spojrzeć jej w oczy. Odpowiedział tylko burkliwie:

- Coś w tym rodzaju.

Rozdział 18

- Nie, dziękuję. Dla mnie tylko woda. - Tilly musiała się dzisiaj pilnować za wszelką cenę.

- Hej, wzięliśmy taksówkę po to, żeby nie musieć się martwić, jak wrócimy - przypomniał Jack. - Możemy się rozluźnić, wypić kilka drinków i dobrze się bawić.

- Żartujesz. - Czyżby Jack myślał, że ona nie wie, po co tu przyszli? Właśnie dlatego miała zamiar pić tylko wodę.

- Jeden kieliszek wina nie zaszkodzi, prawda?

Jeden kieliszek wina byłby spełnieniem marzeń, ale nie mogła ryzykować. Odparła więc wesolutko:

- Nie potrzebuję alkoholu, żeby się dobrze bawić.

Taaak, wesolutko.

- A niech to szlag, przyprowadziłem sobie na bal Pollyannę - zażartował Jack; widać było, że bawi go zachowanie Tilly. Uśmiechając się do kelnera serwującego wino, zwierzył się mu:

- Ona się boi, że ją uwiode.

Kelner przybrał udawanie poważną minę i scenicznym szeptem zwrócił się do Tilly:

- Bierz i korzystaj, kochana. Masz szczęście.

W istocie, bardzo pomocne.

- Wcale nie zamierzam jej uwodzić - wyjaśnił Jack. - Obiecałem, że nie narozrabiam. A ja zawsze dotrzymuję obietnic.

- Nie martw się. - Kelner mrugnął do Tilly. - Jestem pewien, że zdołasz go przekonać, by

zmienił zdanie.

Sama myśl o tym sprawiła, że Tilly zrobiło się gorąco. Wzięła szklanekę gazowanej wody z tacy kelnerki przechodzącej obok i wypiła ją duszkiem. Ulżyło jej, że młody kelner już zniknął, a Jack rozmawiał teraz z grupą rumianych biznesmenów, stanęła więc z boku i przyglądała się tej scenie.

Bał odbywał się w wielkim kiczowatym hotelu w Cheltenham - sala balowa była ogromna, elegancka, z wysokimi sufitami, wypełniona ludźmi rozmawiającymi i tańczącymi do dźwięków muzyki granej przez orkiestrę. Hałas był niewyobrażalny. Goście mieli od dwudziestu lat wzwyż, ale nie było tu - jak obawiała się Tilly - bandy staruchów szczękających sztucznymi zębami i chodzących o laskach. Tłum okazał się barwny i przyjacielski, a Jack znał większość obecnych. I choć nie piła alkoholu - stawał się z każdą minutą coraz bardziej atrakcyjny.

Tylko spokojnie, musi być grzeczna. Nie będzie mu się narzucać...

- Ojej, jakże ślicznie pani wygląda w tej sukience! - Jakaś starsza pani wystrojona w szeleszczącą, fioletową jedwabną suknię podeszła do Tilly. - Jestem Dorothy Summerskill, z komitetu charytatywnego - przedstawiła się. - A pani jest dziewczyną Jacka.

- Koleżanką - sprostowała Tilly. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Oczywiście, pewnie to bezpieczniejsze wyjście! - Dorothy zaśmiała się wesoło. - Trudno nadążyć za zmianami w towarzyskim życiu Jacka. Ale w końcu nie można sobie odmawiać zabawy, prawda? Wszyscy go kochamy z całego serca. Tyle zrobił dla naszego komitetu. Jest jednym z naszych największych stronników tutaj, w Cheltenham.

- Czy to dlatego, że ktoś z jego rodziny choruje na alzheimera?

- Nie, to dzięki Rose, jego narzeczonej. Kochana Rose, wciąż za nią tęsknimy. Jej babcia była chora i dlatego Rose zaangażowała się w zbieranie funduszy na rzecz naszego stowarzyszenia. Po jej śmierci, powiem szczerze, myśleliśmy, że już nigdy nie zobaczymy Jacka. Ale został z nami. To cudownie. I mam nadzieję, że panią też jeszcze spotkamy po dzisiejszym wieczorze. - Oczy Dorothy zaświeciły się. - Przyjaciela Jacka są naszymi przyjaciółmi.

Po kolacji tańce zaczęły się na dobre. Tilly, przedstawiana kolejnym osobom, kilka następnych godzin spędziła na parkiecie z przeróżnymi mężczyznami, z mniejszym lub większym powodzeniem. Mąż Dorothy, Harold, był miłośnikiem folkloru góralskiego i tańczył jak typowy góral właśnie. Wesolutki księgowy o imieniu Mervyn śmiał się jak gulgoczący indyk i uwielbiał żarty zaczynające się od słów „puk, puk”. Farmer Patrick wyglądał jak zapaśnik, ale tańczył jak Fred Astaire. Zresztą ich żony i przyjaciółki także były bardzo miłe i jak całe towarzystwo - bezpretensjonalne. Nie myśląc nawet o drinku, Tilly bawiła się jak szalona cały wieczór.

Ale potem przyszedł Jack i wszystko zepsuł.

Tilly, wyczerpana po kilku energicznych tangach z Patrickiem, przycupnęła na krawędzi stołu, by dać odpocząć stopom, kiedy zobaczyła, że Jack zmierza w jej stronę.

- Co? - spytała, kiedy zaczął zerkać na zegarek. - Pora już iść? - Zmartwiła się. Była dopiero północ, przecież nie musieli tak wcześnie wychodzić.

- Nie, chyba że chcesz. A co? - przekrzywił głowę. - Bardzo ci tu źle?

- Nie. - Tilly czuła zapach jego wody po goleniu.

- To dobrze. Właściwie to pomyślałem, że powinniśmy razem zatańczyć. - Zamilkł, czekając na jej odpowiedź. - Przepraszam, ale ludziom może się wydać trochę dziwne, jeśli tego nie zrobimy. - Kolejna pauza. - A więc? Może zatańczymy raz i będziemy mieli to z głowy?

- Zgoda. - Jack miał rację. Tilly niechętnie ześlizgnęła się ze stołu.

- Nie idziesz na szubienicę - zauważył. - Nie martw się, będę grzeczny. Dżentelmen w każdym calu, tak jak obiecałem. - Zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie, kiedy tylko muzyka

znowu zaczęła grać. Jedną ciepłą dłoń położył na nagim ramieniu Tilly, a drugą nisko na jej plecach. Potem obrócił ich razem i poprowadził na parkiet. Chwilę później ręka Jacka zamiast na plecach Tilly wylądowała na jej pupie i zaczęła mocować się zawzięcie z sukienką.

- Co ty wyrabiasz? - Przeżona Tilly uderzyła go w rękę i wyrwała się.

- Przepraszam, ale sukienka zadarła ci się z tyłu. Próbowałem ją obciągnąć, bo zaraz wszyscy zobaczyliby twoje majtki.

Na Boga, jakby taniec z Jackiem Lucasem nie był wystarczająco stresujący, to jeszcze kilkaset osób mogło właśnie zobaczyć za darmo jej bieliznę! Cóż, za późno, żeby się teraz o to martwić. Przynajmniej włożyła najlepszą, jaką miała.

- Dzięki. - Westchnęła i pozwoliła znowu się objąć. Spokojnie, wyluzuj, poruszaj się do rytmu muzyki i nie rób nic więcej, dopóki nie przestaną grać. I tyle, zadanie zaraz będzie wykonane. Zresztą jak długo może trwać jeden kawałek? Trzy czy cztery minuty, da radę. Jeśli nie będzie mogła wytrzymać, podzieli to sobie na minuty, albo nawet na sekundy...

Dobrze, liczymy: raz... dwa... trzy...

- Czy ty liczysz?

- Co? Och, przepraszam. - Tilly schyliła głowę, zdając sobie sprawę, że przednią częścią ciała prawie całkowicie przylega do piersi Jacka. Trzeci guzik jego białej koszuli znajdował się dokładnie na poziomie dekoltu jej jasnorożowej sukienki bez ramiączek. Jego woda po goleniu pachniała bosko, a gdyby jednak straciła nad sobą kontrolę i stanęła na palcach, mogłaby polizać Jacka po szyi... Dość już, zacznij liczyć od początku, ale tym razem tylko po cichu.

- Dobrze się bawisz? - spytał Jack.

Kiwnęła głową. Jack nie miał zielonego pojęcia, jak wpływał na Tilly taniec z nim.

- Wszyscy są bardzo mili.

- Tak, rzeczywiście to fajni ludzie.

Zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy (bo unikanie wzroku Jacka zaczynało wyglądać dziwnie), Tilly dodała:

- Dorothy wyrażała się o tobie w samych superlatywach.

- Pewnie dlatego, że jestem uroczym człowiekiem. Od czasu do czasu - dodał Jack z przelotnym uśmiechem. - Kiedy chcę nim być.

Ach, ten uśmiech! Z bliska był jeszcze bardziej oszałamiający. Nie mogła się przez niego skupić. Tilly zamknęła więc na chwilę oczy i pomyślała o Amy, Marianne i tej trzeciej... Lisie, tak, miała na imię Lisa. Bo taki właśnie był Jack: rozdawał uśmiechy na prawo i lewo, zostawiając za sobą gruzy i zgliszczą. Nie wyrażał najmniejszego zainteresowania zbudowaniem trwalszego związku. Interesował go tylko seks. Tilly musiała o tym pamiętać. *Nie zapominać ani na chwilę...*

- Co robisz? - w rozgorączkowane myśli Tilly wdarł się głos Jacka.

- Nic.

Uśmiechnął się.

- To znaczy, że nie chcesz, żebym wiedział.

Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że jej dłonie nie zrobiły się wilgotne. Czują biodra Jacka przyciśnięte do swoich, i już nic bardziej nie mogło jej zdekoncentrować. Nie mogła też uwierzyć, że zastanawia się, czy Jack - poprawiając jej zadartą sukienkę - zauważył może, jak delikatne i jedwabiste były jej nowe różowo-kremowe majteczki z La Senzy.

- Już możesz przestać, naprawdę - wymamrotał Jack.

Przez chwilę pomyślała, że może przestać zastanawiać się, czy spodobałyby mu się jej majtki. Potem zorientowała się, że muzyka przestała grać, a ona wciąż kołysała się z boku na bok. Otrząsnęła się więc i dodała pośpiesznie:

- Myślałam, że od razu zaczną grać następną piosenkę. Chciałam tylko... no wiesz, nie chciałam przerywać rytmu.

- Zatańczymy jeszcze raz? - Kiedy Jack chwycił Tilly w pasie, muzyka znów rozbrzmiała. Teraz, skoro i tak znajdowali się na parkiecie, miało to sens.
- Cóż...
- Ale w końcu odbędniemy obowiązek, prawda? - Jack cofnął ręce, budząc w Tilly wyłącznie rozczarowanie. - Może lepiej zejdziemy i wypijemy jeszcze jednego drinka?

*

Jack obiecał wcześniej, że będzie traktował ją jak damę i zachowywał się jak idealny dżentelmen, ale mimo wszystko Tilly nie oczekiwała, że tak będzie naprawdę. Siedząc w taksówce, przez całą drogę do Roxborough w myślach zaklinała los, by Jack jednak zrobił jakiś ruch. Choćby najmniejszy - na przykład zaproponował, żeby wstąpili do jego domu na kawę.

Ale nic takiego się nie stało. Jack polecił kierowcy, aby jechał do Beech House i właśnie zaparkowali pod domem Maksa.

- No dobrze - odezwał się Jack. - Dowiozłem cię bezpiecznie. Dziękuję, że ze mną dzisiaj poszłaś. Było bardzo przyjemnie.

- Tak, to prawda. - W końcu Tilly zdała sobie sprawę, że Jack nie ma nawet zamiaru pocałować jej w policzek na dobranoc.

Stali przed domem, a ona zaczynała czuć się niepocałowana, niepoderwana i - szczerze mówiąc - trochę nieatrakcyjna.

Ale Jack ani drgnął, więc cóż innego mogła zrobić, jak tylko wysiąść z tej taksówki?

- Cześć. - Kiwnął głową.

- Cześć.

Uważał, że jest brzydka?

Rozdział 19

Tilly wcześniej pomyliła daty: kiedy Max rezerwował bilety do teatru, była przekonana, że bał w Cheltenham odbędzie się w piątkowy wieczór. Na szczęście zanim zdała sobie sprawę z pomyłki - przyjęcie było w czwartek - okazało się, że nie ma już biletów na przedstawienie.

Max wciąż uważał, że pomyliła się specjalnie.

W piątkowe popołudnie po powrocie ze szkoły Lou zaczęła marudzić:

- Nie wiem, czemu tacie zdaje się, że oglądanie paradujących po scenie ludzi sprawi, że polubię Szekspira. Założę się, że nadal będę uważać go za nudziarza.

Tilly próbowała ujarzmić dzikie loki dziewczynki, stosując odżywkę, żeby móc zapleść je w doborany warkocz.

- Nigdy nic nie wiadomo, może ci się spodoba.

- Chcesz iść zamiast mnie?

- Bardzo jesteś wspaniałomyślna, ale wtedy ciebie ominie przedstawienie.

- Możemy zajrzeć na ich stronę internetową, wiele osób odwołuje rezerwacje w ostatniej chwili i na pewno zostały jakieś bilety.

- To miło z twojej strony. - Tilly żartobliwie pociągnęła za jeden z loków. - Ale na szczęście już wcześniej wymyśliłam sobie wymówkę. Któraś z nas musi zostać w domu i zająć się Betty.

- Jasny gwint! - Max właśnie wrócił do domu ze służbowego spotkania w Bristolu. - Myślałby kto, że każę wam spędzić noc w izbie tortur i łamać was kołem bez znieczulenia.

- A jeśli zdarzy mi się przysnąć w teatrze, będzie wbijał mi łokieć pod żebra. - Lou skrzywiła się i klepnęła po nodze, przywołując Betty, która właśnie wmaszerowała do salonu, podążając za Maksem. - Chodź tu, Betty. Chciałabyś pójść dzisiaj wieczorem do teatru, z tatą?

Betty wskoczyła dziewczynce na kolana i polizała ją po twarzy.

- To znaczy „tak”! Dobry piesek, Betty. Dostaniesz mój bilet.

- Mieszkam z bandą ignorantów - narzekał Max. - Dobra, idę pod prysznic. Wyjeżdżamy o szóstej. - Zdjął marynarkę i dodał: - A przy okazji, dzwonił Jack. Zostawiłaś szal w taksówce wczoraj wieczorem. Zabrał go.

- O, to świetnie. - Tilly westchnęła z ulgą. - Już myślałam, że go zgubiłam.

- Jack wspomniał, że może podrzucić szal, kiedy będzie w okolicy, albo możesz wpaść i sama go odebrać.

- Co będziesz robić wieczorem, kiedy pojedziemy? - spytała Lou.

- Wezmę długą gorącą kąpiel, zamówię chińszczyznę, obejrzę trzy odcinki *Brzyduli Betty*. Nie o tobie mowa - sprostowała Tilly, kiedy Betty podniosła głowę z kolan Lou i spojrzała smutno. - To nie ty jesteś brzydka, psino. Ty jesteś piękna. No i zjem kawowo-orzechowe lody.

- Szczęściara. - Dziewczynka westchnęła przeciągle.

- Wiem - zaśmiała się Tilly. - Nie czeka mnie żaden nudny monolog Szekspirowskiego bohatera.

- Jeszcze trochę złościwości z twoich pięknych ust - wtrącił się Max - i pożrę całe pudełko tych lodów, o których wspomniałaś.

Lou odwróciła się i ze smutkiem spojrzała na Tilly, która ze współczuciem poklepała ją po ramieniu.

- Widzisz? I tak nie jest zabawny.

Wyjechali do Stratfordu zaraz po szóstej. Tilly sprawdziła, czy jej ulubione lody tkwią bezpiecznie w lodówce, a potem wzięła Betty na długi bieg po lesie. Gdy wróciły, suczka natychmiast zasnęła w swoim koszyku, a Tilly wzięła kąpiel. Koło ósmej była już przebrana w szary welurowy dres.

- Betty? Jedziesz ze mną? - Zadzwoiła zachęcająco kluczykami, ale suka tylko otworzyła jedno oko, po czym zamknęła je na powrót. - Dobrze, zostań. Niedługo wrócę.

Po drodze do jedynej chińskiej knajpki w Roxborough Tilly wpadła na pomysł, żeby odebrać swój szal, skoro i tak będzie przejeżdżał koło domu Jacka. Niestety, miała na sobie tylko ulubiony kanapowy dres i była bez makijażu. Ale może to lepiej - przynajmniej Jack nie pomyśli, że odstawiła się dla niego. Jeśli w ogóle był w domu. W końcu w piątkowy wieczór bardziej prawdopodobne, że wyszedł.

A jednak się myliła. Podjechała pod bramę i zobaczyła samochód Jacka na podjeździe. W domu paliło się mnóstwo świateł. Kolejna wersja była taka, że został w domu w czyimś towarzystwie. Tilly zawahała się, wyłączyła silnik i wysiadła z auta. Miała zamiar jedynie zapukać do drzwi i poprosić o swój szal. Ile to może zająć? Najwyżej trzydzieści sekund stania w progu. Jeśli w środku był ktoś oprócz Jacka, zapewne pomyśli, że do drzwi zapukał świadek Jehowy czy ktoś podobny.

- O, cześć. Szybko, wejdź do środka. - Jack otworzył szeroko drzwi i stanął z boku. Miał na sobie niebieską bluzę z podwiniętymi rękawami i bardzo sprane dżinsy.

Tilly zawahała się.

- Przyszłam tylko po swój...

- Wiem, ale sos mi się przypali, jeśli zaraz nie wrócę do kuchni. To moment krytyczny.

Ruszyła za nim. Nie było w tym nic zachwycającego, że mężczyzna przyrządzał sobie prawdziwy posiłek, a nie odgrzewał czegoś w mikrofalówce, ale Tilly i tak czuła się oczarowana. I pachniało cudownie. Nawet biorąc pod uwagę to, że pewnie gotował, aby popisać się przed jakąś kobietą.

Która mogła tu być.

- Masz towarzystwo?

- Słucham? - Jack zajmował się przykręcaniem gazu i studiowaniem zawartości rondla. - A, nie, jestem sam. Chwileczkę, muszę tylko coś dodać...

Łyzeczka cukru, trochę porto, odrobina soku z cytryny... Spróbował i z uznaniem kiwnął głową.

- Nie wiedziałam, że umiesz gotować. - Tilly w myślach porównała Jacka do francuskiego mistrza kuchni Jeana-Christophe'a Novellego. Rany, gdyby teraz zaczął mówić z francuskim akcentem, wywołałby w jej głowie kompletny zamęt!

- Nie umiem przyrządzić zbyt wielu dań - przyznał Jack - ale niezłe wychodzi mi sos boloński. To moja popisowa potrawa. Hm, właściwie to jedyne, co umiem - dodał po chwili wahania.

- Wygląda na to, że często go przygotowujesz. - Tilly bardzo chciała spróbować kolacji, ale nie po to przyjechała. - A przy okazji, dzięki, że zabrałaś mój szal. Bałam się, że zgubiłam go na zawsze.

- Upuściłaś go na podłogę w taksówce. Zobaczyłem go, kiedy wysiadałem. - Jack spojrzał na nią. - Bardzo ci się śpieszy?

- Dokąd?

- Z tym szalem. Chodzi o to, że trochę się ubrudził, leżąc w samochodzie. Chyba go podeptałaś. Wrzuciłem go więc do pralki. - Wskazał uchylone drzwi do pralni, przez które Tilly dostrzegła wesoło obracający się bęben.

- Och nie!

- Co się stało?

- Mój szal to stu procentowy kaszmir! Kosztował dwieście funtów u Harveya Nicholasa i czyści się go tylko chemicznie!

Jack przestał mieszać sos.

- Cholera. Serio?

Ha! Udało się.

Tilly nie trzymała go długo w niepewności.

- Nie, to poliester. Uwielbia pralki i kosztował sześć pięćdziesiąt na Camden Market.

Dostrzegła ulgę na twarzy mężczyzny.

- Ja też zawsze kupuję tam szaliki.

- Nabrałam cię. - Tilly uśmiechnęła się szeroko.

- Miałem *déjà vu*. - Jack sięgnął do szuflady po korkociąg. - Kiedyś wpakowałem się w niezłe tarapaty, kiedy wrzuciłem biały koronkowy top razem ze swoim strojem do gry w rugby.

- Nie pomyślałabym, że gustujesz w białych koronkowych topach.

Zdjął ze stojaka butelkę czerwonego wina, otworzył ją fachowo i wlał sporą część do rondla.

- Myślałem, że Rose padnie na zawał, kiedy zobaczyła, co zrobiłem. Miała go na sobie po raz pierwszy - mówił sucho - i ostatni. A ja chciałem być pomocny. Tylko kiedy wyciągnąłem pranie, okazał się...

- ...szary - dokończyła Tilly.

- Szary i zniszczony - potwierdził Jack.

Z niepokojem spojrzała w kierunku pralni.

- Hm... a co wrzuciłaś z moim szalem?

- Nie martw się, dostałem wtedy niezłą nauczkę. Jasne rzeczy, program na wełnę. Możesz mi podać młynek do pieprzu?

Zrobiła, o co prosił, przyglądając się, jak przygotowuje sos, którego wciąż nie pozwolił jej spróbować.

- Kiedy pranie się skończy?

- Za jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć minut.

- Dobrze - powiedziała Tilly. - To może ja pojedę po swoją chińszczyznę, a kiedy będę wracać, odbiorę od ciebie szal.

- Taki masz plan na wieczór? - Jack wzruszył ramionami. - Mogłabyś zostać u mnie i spróbować mojego popisowego dania.

Zrobił to specjalnie? Dlatego do tej pory nie zaproponował jej, by została? Bo to, że pozwolił, aby nabrała ochoty na jego kuchnię, oznaczało, że naprawdę chciał zjeść wspólnie.

No i pachniało cudownie.

- Miałam ochotę na chińszczyznę.

- Ale ugotowałem tego tyle. Max przecież pojechał z Lou do Stratfordu, prawda? Będziesz sama w domu.

Amy, Lisa i Marianne już dawno powiedziałyby „tak”.

- Nie będę sama, mam Betty. Czeka, aż wrócę i przywiozę jej chipsy krewetkowe.

- Ale ona i tak nie ma poczucia czasu.

- Wolę nie zostawiać jej zbyt długo samej.

- Kilka godzin nie zaszkodzi. - Jack wyglądał na rozbawionego. - Możesz do niej zadzwonić i zaszczekać. Wiesz - *hau, hau*. Powiedz jej, gdzie jesteś.

- Nie żartuj sobie ze mnie.

Uśmiechnął się.

- Wiesz, to naprawdę było bardzo urocze.

Tilly za to nie miała pewności, czy podoba jej się słowo „urocze”. Było pozytywne czy nie?

- A jeśli ty pojedziesz do Betty, ja zostanę całkiem sam. - Jack zrobił zboląłą minę. - Tylko ja i wielki gar sosu bolońskiego.

Który bosko pachniał.

Teraz już prawie każdy zgodziłby się zostać, prawda?

- Wiesz, że możesz mi zaufać - powiedział Jack. - Udowodniłem ci to wczoraj wieczorem.

- Dobrze już, dobrze. Zostanę na trochę. - Tilly odłożyła kluczyki, którymi podzwaniała od dłuższej chwili. Musiała przecież przekonać się, jak smakuje ten sos.

- Świetnie. - Jack wydawał się naprawdę zadowolony.

- Ale przed dziesiątą muszę być w domu.

Rozdział 20

Wiesz, że osiągnąłeś sukces, gdy żarty o tobie opowiada w swym programie Jay Leno. Właśnie wtedy dociera do ciebie, że słyszą to i oglądają ludzie na całym świecie.

Tyle że to wyłącznie pośmiewisko.

Kolejne dowcipy nie były nawet specjalnie zabawne. Te same wredne plotki, że podobno Kaye McKenna będzie grała rolę Cruelli De Mon w remake'u *101 dalmatyńczyków*... pisk opon. Oj, przepraszam, zostało tylko sto dalmatyńczyków! Znow pisk opon. Ojej,

dziewięćdziesiąt dziewięć...

Oczywiście publiczność w studiu zaśmiewała się do łez. Widzowie prawie pospadali z krzeseł. Perkusista jak w cyrku walnął w bębny na zakończenie, a Jay zrobił dziwną minę, udając, że węszy jak buldog, po czym przeszedł do dręczenia następnej ofiary, której reputację miał zamiar porwać na strzępy.

- Obudź się, kochana. To tutaj?

Kaye, która bynajmniej nie spała, otworzyła oczy. Znając jej szczęście, pewnie dojechali na północne wybrzeże Szkocji. Ale nie, wysiadając z taksówki, zobaczyła, że GPS zdziałał cuda i przywiózł ją do domu.

No dobrze, teraz nie był to całkiem jej dom. Ale jeszcze trzy lata temu... Zresztą wiedziała, że jest tu mile widziana, co okazało się bardzo ważne w takiej chwili. Chciała być z ludźmi, którzy jej wierzyli, ze swoją rodziną.

Dobrze już, nie płacz, tylko zapłać kierowcy i wyjmij walizki z taryfy.

Nie z taryfy. Z taksówki. Znów jesteś w Anglii.

Chwilę po tym, jak nacisnęła dzwonek, zaczęła żałować, że odesłała samochód. Powinna była najpierw sprawdzić, czy ktoś jest w domu. Założyła, że auta po prostu stoją w zamkniętym garażu, ale teraz wiedziała, że najpewniej ich tam nie ma. Mózg Kaye nie pracował najlepiej - to wina ciągłego braku snu i zmiany strefy czasowej. Kaye uchyliła szparę na listy i wrzasnęła:

- Max? Lou? Jest tam kto?!

Przez kilka sekund miała nadzieję, bo w domu skrzypnęły drzwi i rozległ się odgłos czyichś szybkich kroków...

- Hau! - Betty zaczęła gwałtownie szczekać, podskakując do skrzynki po drugiej stronie drzwi frontowych.

- Betty! - Kaye uklękła i poczuła w oczach łzy. - Betsy-Boo, to ja! Kochana moja, dzień dobry!

Za każdym razem kiedy Betty podskakiwała, Kaye przez ułamek sekundy widziała ją przez szparę na listy. Sućce niestety nie przyszło do psiej głowy, że gdyby trochę odsunęła się od wejścia, mogłyby spojrzeć na siebie prawie normalnie. Ale też nigdy nie był to najmądrzejszy zwierzak, z pewnością nie tak myślący jak Lassie, która przy odrobinie zachęty próbowałaby otworzyć drzwi od środka.

- Hau! Hau!

- Och, Betty, jak dobrze znowu cię widzieć. Tak bardzo tęskniłam. - Kaye wepchnęła palce przez szparę na listy i poczuła mokry język ukochanego psiaka. Mało brakowało, a zaczęłyby histerycznie szlochać. Nagle niechcący puściła listwę od skrzynki i zawyla, ale tym razem z bólu, bo przycięła sobie dłoń. Postąpiła bezsensownie - dlaczego nie zostawiła sobie klucza, jak proponował jej Max? Ale nie, wtedy czuła się głupio, że miałyby zatrzymać klucz do domu byłego męża, więc nalegała, by go zabrał.

Ciałem Kaye wstrząsnął dreszcz. Zapomniała, jak zimno może być tutaj w marcu, mimo tak zwanej wiosny. Dobra, co robić? Jasne, zadzwonić do Maksa. Usiadła na wycieraczkę - nieco mniej niewygodnej niż kamienny stopień - wyjęła komórkę i wybrała numer. Wyłączony. Typowe. Gdzie on się podziewa!?

Spróbowała zadzwonić do Lou. Tym razem włączył się sygnał, dzięki Bogu. Niestety, dźwięk rozległ się gdzieś z domu. Kaye całkiem się załamała, słysząc znajomy dzwonek przez szparę na listy. Może Lou nie było w domu, ale jej telefon widać tu został. I nie była to dobra wiadomość, biorąc pod uwagę to, że pupa Kaye zaczęła drętwieć, palce jej zeszytywniały, a z nosa leciał katar.

Kaye McKenna, niesławna hollywoodzka gwiazda, bohaterka (nie z własnej woli) programu Jaya Leno, kuliła się teraz na ciemnym progu i wycierała nos. W istocie - bardzo szykownie.

A może powinna pójść na tył domu, wybić małe okno i wejść do środka? Ale przecież Max z pewnością włączył alarm, zanim wyszedł z domu, a Kaye nie była pewna, czy pamięta kod. Zresztą i tak pewnie został zmieniony. Jeszcze tego brakowało, żeby aresztowano ją za włamanie i wtargnięcie!

Szczęśliwy powrót do domu...

Pomyśl spokojnie, powtarzała sobie. Co mogła zrobić? Zostać tu i mieć nadzieję, że ktoś wróci do domu, zanim ona zamarznie na śmierć. Albo zostawić walizki i pomaszzerować do Roxborough.

Cóż, w pubie zapewne spotka jakichś znajomych.

Jak w ogóle do tego doszło? Tilly wciąż zastanawiała się, ile może zdziałać upuszczony szalik. Była dziewiąta trzydzieści, przed chwilą skończyli kolację przygotowaną przez Jacka, a teraz siedzieli obok siebie na sofie, wpatrując się w fotografię Rose Symonds.

Tym razem Tilly nie musiała skradać się po domu ani przeszukiwać kolejnych szuflad w poszukiwaniu tej fotografii. Tym razem Jack sam zapytał:

- Wciąż jesteś ciekawa, jak wyglądała Rose?

Tak po prostu. A kiedy skinęła głową, z rozbawieniem dodał:

- Mogłaś przecież spytać o to Maksa. On też ma nasze zdjęcia. Nie wpadłaś na to?

Rany boskie, czy on miał ją za kompletną głuptaskę?

- Myślałam o tym, ale wolałam go nie prosić. - *Bo Max nie omieszkałby wspomnieć i tobie, że prosiłam o zdjęcia.*

Jack wyszedł z salonu i wrócił kilka minut później ze zdjęciem. Siedział teraz na kanapie i patrzył na Tilly.

- Muszę przyznać, że zwykle tego nie robię. Ale nie mogę przestać myśleć, że gdybyście kiedyś się spotkały, bardzo byście się polubiły. Dogadałybyście się na pewno.

Tilly uważnie przyglądała się fotografii. Max nie przesadzał, opowiadając o Rose: miała kasztanowobrazowe oczy i długie, niezwykle błyszczące, ciemne włosy. Na zdjęciu była ubrana w koszulkę z nadrukiem z kreskówki, ubłocone dżinsy i kalosze. W uszach miała duże srebrne obręcze. Stała pośrodku czegoś, co wyglądało na plac budowy, i śmiejąc się, patrzyła w obiektyw. Z jej oczu emanowała miłość. Tilly nie musiała pytać - wiedziała, że zdjęcie robił Jack.

- Też myślę, że dobrze byśmy się razem bawili. Wydaje się... fajna.

- Była fajna. - Jack kiwnął głową, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- A ty zabierałaś ją w najpiękniejsze miejsca świata. - Tilly wskazała plac budowy.

- Zrobiłem je tutaj. W ogrodzie z tyłu, kiedy dobudowywaliśmy kawałek.

Tyle miesięcy pracy włożyli w swój wymarzony dom. A potem ich sen rozpadł się na kawałki. Tilly nie wyobrażała sobie, jak można przeżyć coś takiego. Może trzeba było spać z dziesiątkami kobiet i nie angażować się emocjonalnie w związek z żadną z nich?

Ale czy to rzeczywiście było rozwiązanie? Chciał zapomnieć czy jakoś przetrwać? I czy w wieku sześćdziesięciu lat Jack miał zamiar postępować tak samo?

- Dzięki. - Oddała mu zdjęcie. - Była naprawdę piękna.

- Wiem. - Jack zerknął na fotografię i uśmiechnął się. - Śmiała się wtedy, bo jej babcia właśnie wyszła z domu, niosąc tacę z kubkami. Prosiłiśmy ją o kawę bez cukru, a dostaliśmy herbatę posłodzoną na amen. A na wierzchu pływały winogrona. - Zamilkł na chwilę. - Jestem okrutny? Nie śmialiśmy się z niej, po prostu szukaliśmy w całej sytuacji zabawnych stron. Rose kochała swoją babcie. Oboje ją kochaliśmy.

- Czy babcia Rose wciąż żyła, kiedy... kiedy zdarzył się ten wypadek? - Z jakiegoś powodu Tilly myślała, że chora na alzheimera babcia Rose zmarła wiele lat wcześniej.

- Ależ tak. - Jack powoli wypuścił powietrze. - Na pogrzebie wciąż pytała, kto umarł. A podczas mszy co dziesięć minut rozglądała się po kościele i mówiła: „Gdzie jest ta Rose?”

Czemu jeszcze nie przyszła? Na miłość boską, ta dziewczyna spóźni się na własny pogrzeb”. Co było już mniej zabawne. Za każdym razem kiedy ktoś powtarzał babci, czyj to pogrzeb, ona zachowywała się tak, jakby słyszała tę informację po raz pierwszy. Ciężko było na to patrzeć. - Zamilkł i pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że mówię ci to wszystko. Zwykle tego nie robię.

Gdyby przed chwilą nie opowiedział tej smutnej historii, Tilly zapewne rzuciłaby, że to dlatego, iż zwykle jest zbyt zajęty innymi rzeczami.

Ale rzecz jasna nie mogła czegoś takiego powiedzieć. Zresztą biorąc pod uwagę, że w jej gardle tkwiła gula wielkości piłki tenisowej, w ogóle niewiele mogła z siebie wydusić.

- Nie, właściwie to nieprawda - poprawił się po chwili. - Myślę, że wiem, dlaczego to robię. - Po chwili milczenia znów pokręcił głową. - Może zmienimy temat?

Tilly jedynie kiwnęła głową, uznając, że lepiej jeszcze się nie odzywać. Nagle, bez uprzedzenia, jakby zaszła między nią a Jackiem jakaś reakcja chemiczna, ciało Tilly zaczęło reagować na jego ciało. Jego noga obok jej nogi... Czy Jack czuł, że coś się dzieje? Czy wiedział, że każdy nerw ciała Tilly aż drżał z podniecenia, którego nie potrafiła opanować? Chciała go dotknąć, przytulić, zmniejszyć jego cierpienie, sprawić, by poczuł się lepiej... O Boże, to pewnie syndrom „tragicznego wdowca” - śmiertelnie skuteczne sposoby, którymi Jack przekonywał kolejne kobiety, by zapomniały o swoich zasadach, wolnej woli i godności...

- No dalej. - Spojrzał na nią. - Ty wybierasz.

Kiedy to mówił, delikatnie musnął dłonią rękę Tilly, aż poczuła przepływający między nimi prąd. Słyszała swój przyspieszony oddech.

- Co mam wybierać?

- Zmieniamy temat. Na jakiś bardziej optymistyczny.

Optymistyczny, bardziej optymistyczny... Z trudem przełknęła ślinę.

- Może torebki?

- To by było nie fair. - Jack pokręcił głową.

- Krykiet?

- Dobra, pogadajmy o krykiecie.

- Nienawidzę krykieta. - Zdawało się jej, czy Jack przysunął się bliżej?

- Możemy porozmawiać o Włoszech. - Hm, te usta chwilę temu były zdecydowanie bardziej oddalone. - Byłaś kiedyś we Włoszech?

- Nie.

- O rany, kończą nam się pomysły - przyznał Jack, a po chwili dodał: - Gdybym ci powiedział, że mi się podobasz, to pomyślałabyś, że cię wkręcą?

Tilly z trudem skinęła głową.

- Ale tak nie jest. To szczerą prawdą. Naprawdę mi się podobasz. Bardzo - powtórzył. - Tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Nie jestem pewien, czy chcę, by tak było.

Ciekawe, czy zawsze tak robił? Tak uwodził kolejne kobiety? Pewnie tak. Tilly w myślach widziała te niekończące się parady łatwowiernych kobietek, z których każda była święcie przekonana, że właśnie ona i tylko ona może roztopić sople lodu tkwiący w sercu nieszczęśliwego wdowca...

A jeśli naprawdę jej nie wkręcał? Jeśli tym razem, wyjątkowo, mówił szczerze?

- Gdybyś się zastanawiała - Jack mówił cicho - wczoraj dużo mnie kosztowało trzymanie rąk przy sobie.

Serio? Naprawdę? Wyglądał, jakby nie kłamał. Brzmiał wiarygodnie. I miał najpiękniejsze usta, jakie Tilly widziała w życiu. Prawie bez tchu odparła:

- Zdawało mi się, że nie miałeś z tym problemu.

Uśmiechnął się kącikiem tych niewiarygodnych ust.

- Uwierz, miałem, i to wielki.

Żołądek Tilly wypełnił się w całości fruującymi motylami.

- Chciałabym, żebyś miał lepszą reputację.

- Wiem. Ja też. Nie jestem dumny z niektórych rzeczy, które w życiu zrobiłem.

- Na przykład ta dziewczyna, którą spotkaliśmy w Lisie w zeszłym tygodniu. Amy. Tobie wydaje się, że nic nie znaczyła. Ale przespałeś się z nią, a ona się tym chwaliła - mówiła Tilly.

- Była taka podekscytowana, zauroczona, a to dlatego, że nie zdawała sobie sprawy, iż dla ciebie to tylko przelotny romansik. Właśnie to jest najsmutniejsze. Przez ciebie wyszła na idiotkę.

Jack przyglądał się Tilly przez dłuższą chwilę. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Potem spokojnie powiedział:

- Nie chcę rozmawiać o Amy. Nigdy nie rozmawiam o swoich związkach. Wszyscy to wiedzą.

- A więc to część całej zabawy, tak? Kobiety są spokojne, bo nie zdradzasz ich tajemnic?

- Jestem pewien, że to pomaga. - Uśmiechnął się nieznacznie.

Naturalnie, miał rację. Tilly nigdy nie zapomniła upokorzenia, jakie przeżyła, kiedy przyszła do szkoły po rozstaniu z Benem Thomasem, który - jak się okazało - zdradził wszystkim możliwym znajomym intymne szczegóły ich związku. Jednak zamiast opowiadać im, jak wspaniale całuje Tilly - co powtarzał jej miliony razy, gdy ze sobą byli - z uciechą dzielił się informacjami, że wypycha sobie chusteczkami stanik, a raz tak bardzo śmiała się na filmie z Jasiem Fasolą, że niechęć zmoczyła majtki.

Tylko trochę, oczywiście, ale tego już Ben nie powiedział. Zachowywał się, jakby to naprawdę była najśmieszniejsza scena na świecie. Dowcipy, które Tilly musiała znosić, bawiły kolegów przez cały rok szkolny.

Dlatego w istocie perspektywa związku z kimś, kto potrafi być dyskretny, wydawała się kusząca.

- O czym myślisz? - Mały palec lewej dłoni Jacka musnął jej nadgarstek, przypominając o jego obecności.

Jakby mogła o niej zapomnieć... Dziewczynie znów zaschło w gardle.

O czym myślę? Że mogłabym się z tobą przespać i nikt nigdy by się nie dowiedział. Moglibyśmy pójść na górę, kochać się, i wszystko zostałoby w tajemnicy. Musiałabym tylko wrócić do domu przed północą, kiedy to Max i Lou powinni wrócić ze Stratfordu. Będą myśleli, że spędziłam wieczór, oglądając filmy w towarzystwie Betty, bo w psach wspaniale jest to, że nie mogą po prostu podkręcić węża jak Herkules Poirot i chłodno oświadczyć: „Tak naprawdę, Tilly, wcale nie było cię w domu, ponieważ byłaś u...”.

Drrryń!

Rozdział 21

Dzwonek do drzwi. Do diabła!

Z powrotem na ziemię, i to z hukiem.

- Kto to? - Zapewne ktoś zupełnie bez wyczucia chwili.

Jack wzruszył ramionami.

- Ciągłe nie mogę się zebrać, żeby zainstalować tu sobie kamery telewizyjne. - On także nie wyglądał na zbyt zadowolonego. Nie ruszył się też z kanapy.

- Może pójdziesz otworzyć?

- Może sobie pójdzie.

To pewnie jedna z wielu jego kobiet, która może nie przyjąć zbyt dobrze powitania i pożegnania na progu; może też nalegać na dłuższą wizytę. Jack zapewne wiedział, co robi.

Drrryń - dzwonek znów zadzwonił, a potem usłyszeli dźwięk uchylanej szpary na listy. Tilly wstrzymała oddech. Może ktoś wrzucał kartkę z prośbą, żeby Jack zadzwonił później, kiedy...

- Jaaack! Jesteś?

Kobięcy głos, cóż za niespodzianka. Tilly spojrzała na marszczące czoło mężczyzny.

- Kto to?

- Jack, to jaaa! Proszę, otwórz drzwi, jestem zdesperowana!

Cóż, i nie wstydzi się do tego przyznać.

- Wygląda na to, że będziesz musiał ją wpuścić. - Tilly rozprostowała nogi i dodała: - Jeśli to ktoś obsesyjnie zazdrośny, może lepiej wyjdę tylnymi drzwiami.

Ale Jack zerwał się już z kanapy i z pogodną twarzą powiedział:

- W porządku, wiem kto to. Ale ledwie mogę uwierzyć.

Wybiegł do holu, zostawiając Tilly w salonie jak jakąś zbędną rzecz. Po chwili usłyszała dźwięk otwieranych drzwi frontowych i obustronne okrzyki radości, a potem szybkie kroki na parkiecie i dźwięk otwierania oraz zamykania następnych drzwi.

Jack wrócił do salonu, z uśmiechem kręcąc głową.

- Desperacko poszukiwała toalety.

Ha, stara śpiewka.

- To Amy?

Kobieta nie brzmiała jak Amy.

- Zobaczysz. Będzie tu lada moment.

Usłyszeli dźwięk spuszczonej wody, a potem odkręcanego kranu. W końcu drzwi się otworzyły.

- Dzięki Bogu, że jesteś w domu! - zawołał kobięcy głos. - Chciałam skorzystać z toalety w Lisie, ale Declan ma dzisiaj wolne. Nie znałam tam ani jednej osoby, za to rozpoznały mnie jakieś nastolatki. Kiedy zaczęły mi dogryzać, zwałam stamtąd. Ale już nie mogłam wytrzymać, więc gdybyś nie otworzył drzwi, musiałabym wysuszać się w twoim ogrodzie... O, cześć!

Wytarłszy ręce, tajemniczy gość w końcu zmaterializował się przed nimi w salonie. Tilly otworzyła usta ze zdziwienia, widząc, kto nim jest.

- Ojej, czyżbym w czymś przeszkodziła? - Kaye zrobiła zdziwioną minę. - Przepraszam, wpadłam w bardzo nieodpowiednim momencie, prawda?

Tak, tak, tak.

- Ależ skąd, Kaye. Poznaj Tilly Cole. - Jack zgrabnie ją przedstawił. - Tilly, to Kaye, mama Lou.

- Tilly! - Oczywiście Kaye rozbłysły. - Jak miło cię poznać. - Przeszła przez salon, by uściskać i ucałować Tilly. - Choć byłoby milej, gdybyś otworzyła mi drzwi w domu, kiedy wysiadłam tam z taksówki. Nie było nikogo prócz Betty. Musiałam iść straszny kawał aż z Beech House.

- Max i Lou pojechali do Stratfordu - wyjaśniła Tilly. No i tyle zostało z tajemnicy, że spędziła wieczór z Jackiem.

- Szekspir! - Kaye stuknęła się w czoło. - Lou wspominała o tym, ale zapomniałam, że to dzisiaj. Pamięć mi szwankuje, odkąd zostałam w Stanach wrogiem publicznym numer jeden... O rany, znowu zaczynam o tym myśleć. - Nagle jej szafirowe oczy wypełniły się łzami i Kaye załamała ręce, przepraszając. - Przepraszam, naprawdę, to był koszmarne tygodnie. Po prostu musiałam się wyrwać...

- Hej, cicho już, nie płacz. - Jack natychmiast znalazł się obok, wziął Kaye w ramiona i pocieszająco zaczął głaskać ją po plecach.

- Rany, nawet nie mam chusteczki. - Pociągając nosem, Kaye otarła dłonią oczy. -

Nagromadziło się tyle wszystkiego...

Nad jej głową Jack zwrócił się do Tilly:

- W kuchni jest pudełko chusteczek higienicznych.

Tilly posłusznie przyniosła je, a wracając, zatrzymała się na chwilę w drzwiach, czując ukłucie zazdrości, gdy popatrzyła na Kaye i Jacka stojących razem pośrodku salonu. Natychmiast zrobiło jej się wstyd z powodu tej zawiści - Kaye naprawdę przeszła ostatnio piekło - ale widok kolejnej kobiety kołyszącej się w objęciach Jacka, który szeptał pocieszające słowa i całował czubek jej głowy... Cóż, to był cudowny widok.

- Chusteczki - odezwała się, a Kaye z wdzięcznością spojrzała na nią zażwawionymi oczami.

- Wielkie dzięki. Zwykle nie jestem taką beksą. Nie mogłam zasnąć w samolocie, ciągle jestem zbyt zdenerwowana. - Głośno wydmuchując nos, blada i zapłakana, ale wciąż piękna, spytała: - Kiedy będziesz jechać do domu? Zabierzesz mnie?

- Hm...

- Och, ale może ty planowałaś tu zostać? - Kaye patrzyła to na Tilly, to na Jacka, jakby ta myśl nagle wpadła jej do głowy.

- Ależ nie, nie. - Tilly pośpiesznie potrząsnęła głową. - Oczywiście, że jadę do domu! Wpadłam tylko na chwilę, żeby odebrać swój szal. Właściwie miałam już wychodzić, kiedy zadzwoniłaś do drzwi. Możemy od razu jechać, jeśli chcesz.

- Naprawdę? Nie masz nic przeciw temu? - Oddychając z ulgą, Kaye wyjaśniła: - Dzięki, ale jestem taka zmęczona, no i chciałabym zobaczyć Betty normalnie, a nie machać do niej przez dziurkę na listy. - Uśmiechnęła się gorzko. - Może cała Ameryka mnie nienawidzi, ale ważne, że mój pies uważa, iż jestem cudowna.

Pojechały razem do Beech House, gdzie Kaye bardzo wzruszona przywitała się z Betty, co wywołało kolejne łzy, ale tym razem szczęścia. Ponieważ Max i Lou mieli niedługo wrócić, usiadły, by na nich poczekać, a Kaye otworzyła butelkę wina z domowych zapasów.

- Mam wrażenie, że pojawiając się na progu domu Jacka - stuknęły się z Tilly kieliszkami nad kuchennym stołem - wyświadczyłam ci przysługę.

- Między nami nic nie ma - zaprotestowała Tilly.

- Może ci się tak wydawać. Ale Jack zapewne myśli inaczej. A jeśli chce, potrafi być bardzo przekonujący. Choć zwykle wcale tego nie potrzebuje. - Kaye posłała buziaka Betty. - Większość kobiet w tym mieście przyczepia się do niego jak rzep do psiego...

- Ogona? - odpowiedziała Tilly.

- Właśnie. Tak to wygląda.

Tilly lekko się zarumieniła. Czy sama też się zachowywała podobnie? Gdyby Kaye nagle nie przyjechała, czy też rzuciłaby się na Jacka i przyczepiła do niego jak rzep?

- Z nim jest jak z kolejką w banku - opowiadała Kaye. - Wszystkie te kobiety stoją, ściskając numerek w rękę, i czekają na swoją kolej, by je obsłużono - zaśmiała się.

Tilly bynajmniej nie poczuła się lepiej.

- Nieważne. - Kaye pochyliła się i poklepała ją po ramieniu. - Tobie właśnie udało się tego uniknąć. A przecież ostrzegałam cię przed Jackiem, prawda? Następnym razem, kiedy będziesz musiała odebrać szal, weź ze sobą megafon, zachowuj bezpieczny dystans od drzwi wejściowych jego domu i każ mu wyrzucić szal przez szparę w drzwiach.

Tilly uznała, że w obecnych okolicznościach nie byłoby w porządku wytykać ironii sytuacji, w której dostaje lekcję od kobiety po dziesięciu latach małżeństwa porzuconej przez męża geja. A Kaye próbowała tylko pomóc, nie można było jej nie lubić.

- Obiecujesz? - Kaye zamachała butelką wina, gotowa ponownie napełnić kieliszki.

- Obiecuję - odparła Tilly i dodała przekornie: - Ale on w istocie musi być niezły.

- Och, tak, w istocie.

Słucham?

Co proszę?

Tilly otworzyła już usta, by zapytać, czy dobrze zrozumiała, ale Kaye właśnie zerwała się z krzesła i zrzuciła z kolan Betty. Kuchnię oblały światła samochodowych reflektorów, a pod kołami zachrząścił żwir na podjeździe. Max i Lou wrócili do domu.

Tilly otworzyła im drzwi i spytała:

- I co? Jak było?

- Fantastycznie. - Max cały promieniał. - Cholernie dobre przedstawienie, powinnaś była pojechać z nami.

- Lou?

Dziewczynka przewróciła oczami i grzecznie odparła:

- Fantastycznie. Cholernie dobre.

- Wyrażaj się - skarcił ją ojciec.

- No dobrze, było lepiej, niż gdybym musiała siedzieć i czytać Szekspira z książki. Ale tylko odrobinę.

- Nieważne. - Tilly przytuliła Lou pocieszająco. - Chodźcie do kuchni. Mam dla was niespodziankę.

Lou rozweseliła się i spytała:

- Upiekłaś ciasto czekoladowe?

- Dobra, ja się poddam. Zabierz dziecko na światowej klasy przedstawienie Royal Shakespeare Company, a ono i tak uśmiechnie się dopiero na myśl o cieście czekoladowym.

- Tyle że ja nic nie piekłam - sprostowała Tilly. - Mam coś lepszego.

Przynajmniej taką miała nadzieję - że będzie dobrze. Tyle że właśnie przeszło jej przez myśl, że skoro Kaye na dobre wróciła do Roxborough, Max może zdecydować, iż nie potrzebuje już asystentki i opiekunki, a Tilly zostanie bez pracy.

Rozdział 22

W sobotę o jedenastej rano Jack pojawił się w progu. Przez jedną szaloną chwilę Tilly wyobrażała sobie, że przyszedł, by ją porwać, zabrać do swojego domu i dokończyć to, do czego było tak cudownie blisko poprzedniego wieczoru, gdy przeszkodziła im Kaye.

Ale nie, to już by było zbyt wiele. Zresztą Lou mogłaby mieć coś przeciwko.

- Jejuś, za wcześniej przyszedłeś! - Dziewczynka, ubrana w groszkowe skarpetki, podbiegła do drzwi frontowych i wpadła na Tilly, zanim Jack zdołał otworzyć usta. - Mama jest prawie gotowa. A ja jadę z wami, aby się upewnić, że nie wciśniesz jej jakiegokolwiek nory. Polecę na górę i powiem, że jesteś.

- Od czasu do czasu - zauważył Jack, kiedy Lou pognęła po schodach - żałuję, że to dziecko nie ma przycisku wyłączającego głos.

- Cieszy się, że wróciła jej mama - orzekła Tilly i spytała z ciekawością: - Co się dzieje?

Jack powędrował za nią do kuchni, ściągnął jeszcze ciepłego rogalika z talerza Lou i posmarował go grubo masłem.

- Kaye zadzwoniła do mnie godzinę temu. Chce mieć własne mieszkanie podczas pobytu tutaj, a ja mam kilka wolnych lokali. Tak będzie łatwiej. - Jack wzruszył ramionami. - Może mieszkać tu spokojnie, aż zdecyduje, co zamierza.

- Miło z twojej strony.

Uśmiechnął się lekko.

- Mam dobre chwile. Przecież mówiłem ci już, że kiedy chcę, potrafię być miły.

Znów pachniał tamtą wodą po goleniu. Tilly bardzo starała się zachowywać swobodnie, ale równie mocno chciała zadać pytanie, które wciąż chodziło jej po głowie. Tyle że Lou w każdej chwili mogła wrócić na dół albo Max mógł pojawić się w kuchni, a Kaye zbiec ze schodów i zmarnować jej okazję...

Hau! - do kuchni wbiegła Betty ze znaczącym wyrazem pyska i ustawiła się przy bocznych drzwiach.

No tak, Betty.

- Chcesz wyjść? - Jack ruszył w kierunku psa, ale Tilly go ubiegła. Gdyby teraz czekał na Betty, aż znajdzie sobie właściwy kawałek trawnika, by się załatwić, okazja na pewno będzie zmarnowana. Tilly pośpiesznie odblokowała kuchenne drzwi, wypuściła suczkę i nerwowo zamknęła je za sobą.

Jack wyglądał na zaskoczonego.

- Za minutę będzie chciała wrócić i zacznie drapać.

- Mogę cię o coś zapytać?

Podniósł brew.

- Jasne, wal.

Rany boskie, teraz nie mogła się zmusić, aby powiedzieć to, co chciała. Pytanie zdawało się zbyt osobiste. Jednak byłoby dużo łatwiej, gdyby Tilly знаła odpowiedź, zwłaszcza że Kaye wróciła do Roxborough na bliżej nieokreślony czas.

Zebrała się w sobie i zaczęła:

- Czy jesteś...

- Kim? - Jack spytał tajemniczo. - Wegetarianinem? Miłośnikiem bonsai? Zwolennikiem kary śmierci?

Tilly czuła, że się rumieni. A jeśli wczoraj opacznie zrozumiała to, co działo się między Jackiem i Kaye?

- Czy wciąż jestem prawiczką? O to chodzi? - żartował Jack. - A co ci wczoraj mówiłem? Nie rozmawiam o swoim życiu miłosnym.

No tak, przecież to właśnie powiedział. Co oznaczało, że nie ma sensu pytać go o nic. Tilly powoli wypuściła powietrze. Chwilę później, jak na zawołanie, Betty zadrapała w drzwi, by wpuścić ją do domu. Tym razem pomógł jej Jack. Potem do kuchni wparowała Lou i wydała z siebie okrzyk protestu, widząc pusty talerz.

- Kto zjadł mojego rogała?

- Tilly - odparł Jack.

Z dwóch wolnych nieruchomości - dużego nieumeblowanego mieszkania na pierwszym piętrze w Cirencester i małego, ale uroczo urządzonego domku w Roxborough - Kaye wybrała tę drugą.

- Podoba mi się - oceniła Tilly, kiedy przysła obejrzeć dom w poniedziałkowe popołudnie.

- Jest mały, ale idealny. - Kaye z zadowoleniem rozejrzała się po salonie. - To taki klejnocik. Kompaktowy, niewielki, ale blisko stąd do sklepów, no i do domu. Chciałam powiedzieć - poprawiła się - blisko twojego domu.

To, że od jednego do drugiego domu można było przejść w dziesięć minut, było dość istotne, bo Kaye zupełnie straciła wiarę w swoje umiejętności prowadzenia auta i za żadne skarby nie chciała sięść za kierownicą.

- Mogłaś zostać z nami - zauważyła Tilly. - Tak jak proponował Max. I wiesz, że mówił szczerze, a nie tylko z uprzejmości.

- Wszyscy dobrze o tym wiemy, bo Max nigdy nie jest uprzejmy. - Kaye uśmiechnęła się szeroko, ale pokręciła głową. - Lepiej będzie, jak jest. Może zostanę tu na kilka miesięcy. Zresztą w nowym domku będzie mi dobrze. Zostaniemy przyjaciółmi, ale osobno, to

najlepsze rozwiązanie. - Podniosła walizkę i spytała: - Pomożesz mi z tym?

Na górze, w jedynej w domu sypialni, wyjęły z walizki pościel zabraną z przestronnej szafy w Beech House i zasłały podwójne łóżko.

- Nie żebym potrzebowała takiego podwójnego. - Kaye zrobiła minę, kiedy męczyły się z rogami ciemnoniebieskiej poszwy. - Przez ostatnie dwa lata żyłam jak zakonnica, i to zanim zaczęłam mordować małe bezbronne zwierzątka.

Tilly zaschło w ustach. Każdy zdrowy na umyśle człowiek z odrobiną dobrych manier nie pomyślałby nawet, aby zadać pytanie, które ona chciała w tej chwili zadać, ale nie mogła się powstrzymać: musiała poznać odpowiedź.

- Wiesz, jeśli przedtem zdawało mi się, że trudno będzie znaleźć sobie faceta, to wyobraź sobie, jak bardzo niemożliwe będzie to teraz! - dokończyła Kaye.

- Mogę zadać ci bardzo osobiste pytanie?

Kaye zastygła na chwilę z rozbawieniem na twarzy.

- Chodzi o moje tragicznie nieistniejące życie erotyczne?

- Coś w tym rodzaju. O coś, co powiedziałaś tamtego wieczoru. - Serce Tilly waliło jak młotem. - Kiedy zażartowałam na temat tego, jaki Jack... hm, jaki Jack musi być cudowny w łóżku.

Włosy Kaye opadły na bok, kiedy przechyliła głowę i spytała:

- No i?

Rany, czyżby jednak się obraziła? Czy też miała zamiar być tak wkurzająco dyskretna jak Jack? Czemu ludzie musieli być tajemniczy akurat wtedy, gdy stawało się to takie denerwujące?

- A ty powiedziałaś, że jest.

- Uhm. - Enigmatyczne kiwnięcie głową.

Cóż, skoro zaszła już tak daleko...

- Czy to znaczy, że ty i Jack...?

Oczy Kaye rozblęły.

- Robiliśmy to? Czy spaliśmy ze sobą? O to chodzi? Matko, co za żenująca rozmowa.

Tilly wzruszyła ramionami i potwierdziła:

- Tak, o to. Przepraszam.

- Nie ma za co. Tak, spaliśmy ze sobą. I tak, był. To znaczy był cudowny. W każdym sensie.

- Ojej. - Teraz Tilly nie miała pojęcia, co powiedzieć. - Nie wiedziałam.

- A teraz pomyślisz sobie, że wszyscy tutaj prowadzimy rozwiązły tryb życia, a kobiety chodzą do łóżka z mężami swoich przyjaciółek, no i pewnie zastanawiasz się, czy byliśmy parą. - Nieznacznie się uśmiechając, Kaye przerwała ślanie łóżka i usiadła, poklepując materac obok siebie. - W porządku, też chciałabym wiedzieć. I nie, to nie był stały związek. Można to nazwać bardziej terapią. Wtedy Max i ja rozstaliśmy się już i choć logicznie rzecz biorąc, wiedziałam, że to nie moja wina, psychicznie byłam na samym dnie. Mój mąż okazał się gejem, a uwierz mi, taka wiadomość nie wpływa dobrze na poczucie własnej wartości. Straciłam całą pewność siebie. Nigdy przedtem nie czułam się tak nieatrakcyjna, niepożądana.

- Ale...

- Wiem, to nie ma sensu, ale tak właśnie się czułam. Jakby Max czuł do mnie obrzydzenie i dlatego wolał spać z mężczyzną niż ze mną. Koszmar! A biedny Max też miał wyrzuty sumienia. Nie mógł znieść, że tak cierpiałam. I w końcu pewnego wieczoru wpadłam w złość - a raczej w totalną histerię - i zaczęłam wrzeszczeć na niego, że mam ochotę poderwać pierwszego lepszego faceta i uprawiać z nim seks. Chciałam po prostu zranić Maksa, by zrozumiał, jak bardzo ja czuję się zraniona. Potem rozryczałam się jak bóbr, twierdząc, że i tak nikt by nie chciał się ze mną przespać, bo jestem taka brzydka. - Kaye zamilkła i

wzruszyła ramionami. - A tydzień później wylądowałam w łóżku z Jackiem.

Tilly próbowała przetrwać tę informację.

- To znaczy, że poszłaś i poderwałaś jego zamiast jakiegoś obcego faceta. Wybrałaś go sobie.

- Nie, po prostu spotkaliśmy się, żeby pogadać i wypić drinka, i jakoś tak wyszło. Wszystko stało się w taki miły i naturalny sposób. Ale wiesz co? Nigdy nie miałam pewności, czy to przypadkiem nie był pomysł Maksa. Tyle że żaden z nich nie pisał nigdy ani słowa.

- Myślisz, że Max mógł poprosić Jacka, by to zrobił?

- To możliwe. Zwłaszcza że nie wierzę, iż Jack zrobiłby coś takiego, gdyby Max choćby aluzyjnie nie dał mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciw temu. Zresztą kto wie? Tak czy siak, stało się. - Kaye nie wyglądała na skruszoną. - I podziało. Jack był cudowny i sprawił, że poczułam się lepiej. Przywrócił mi dawną pewność siebie. Wiele mu zawdzięczam. A ta noc była niezapomniana.

Fiu, fiu...

- Ale... nie chciałaś, żeby było między wami coś więcej?

- Szczerze? Nie chciałam. Bo od tak dawna jesteście z Jackiem przyjaciółmi, że i tak nic by z tego nie wyszło. Oboje to wiedzieliśmy. Między nami po prostu nie iskrzyło. W łóżku było świetnie, ale nic poza tym. Zresztą później mogliśmy znów być tylko przyjaciółmi. Może to brzmi dziwnie - podsumowała Kaye - ale to prawda.

Z obojętnego wzruszenia jej ramion Tilly wywnioskowała, że Kaye mówi szczerze. Niezła historia.

- A powiedziałaś o wszystkim Maksowi?

Kaye uśmiechnęła się.

- Powiedziałam tylko, że nocowałam u Jacka. Max się domyślił, nie musiałam mu opowiadać wszystkiego ze szczegółami.

Z całych sił próbując nie wyobrazić sobie tych szczegółów, Tilly i tak poczuła ukłucie zazdrości. Może inne kobiety na wieść o tym, że ich mąż jest gejem, zareagowałyby inaczej niż Kaye, ale w końcu jej rozwód z Maksym przebiegł w przyjaźni, więc nie było się czemu dziwić.

Jeśli coś działa, nie ma sensu tego krytykować. I nie wolno tego krytykować, dopóki samemu się nie spróbuje. Tyle że Tilly nie miała nawet okazji spróbować. Z powodu Kaye, która tamtego wieczoru pojawiła się niczym przyzwoitka i wszystko zepsuła.

Cóż, może tak było lepiej.

Rozdział 23

Komórka Kaye rozzwoniła się, kiedy o czwartej po południu podjechały pod Harleston Hall, by odebrać Lou. Na ekranie wyświetliło się jakieś imię.

- To moja agentka - powiedziała Kaye. - Może Charlene przyznała, że skłamała, i wszyscy znów mnie kochają? Albo Francis Ford Coppola bardzo chce mnie mieć w swoim następnym filmie obok George'a Clooneya... O, a może Francis nie jest tego pewien, ale George nie chce grać beze mnie u swojego boku.

- Tak, na pewno o to chodzi.

Cóż, pomarzyć można. Wracając do rzeczywistości, Kaye odebrała telefon.

- Cześć, Maggie. Czy Ameryka pozwala mi wrócić z angielskiej emigracji?

- Czy to jakiś żart? - Maggie uważała brytyjskie poczucie humoru za dość specyficzne i

zawsze bała się, że ktoś z niej zakpi.

- Przepraszam. Jakies nowiny?

- Charlene wciąż rozpuszcza swoją historyjkę. Teraz chodzi na spotkania z terapeutą, by uporać się z żalobą. I wynajęła rzeźbiarza, żeby zrobił wysoki na dwa metry marmurowy posąg tego cholernego psa.

Dwumetrowa Owieczka. Przerażające.

- A jakieś lepsze wiadomości? Może ktoś chce mnie zatrudnić?

Maggie i tym razem się nie roześmiała. Nawet odrobinę nie zacharowała swoim zdartym od papierosów głosem. Ale kiedy klientka nagle przestaje zarabiać dla ciebie pieniądze - z czego tu się śmiać?

- Nikt nie chce cię zatrudnić, Kaye. Zostań na razie w Anglii, nie wychylaj się za bardzo i trzymaj z daleka od kłopotów. Może trochę podziałaj charytatywnie. Albo daj się przyłapać fotografom, jak wychodzisz ze spotkania AA. Tak, to dobry pomysł. Tylko nie udzielaj żadnych wywiadów i siedź cicho.

- To akurat nie będzie problem. - Jej sława tutaj była zdecydowanie mniejsza niż w Stanach, dzięki Bogu, a w Roxborough raczej nie kłębili się paparazzi. - A więc... dlaczego dzwonisz?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wczoraj dostarczono dla ciebie przesyłkę. Jakiś facet przysłał kwiaty. Całkiem przyzwoite zresztą. Warte z sześćset dolarów, jak mi się zdaje. I pudełko czekoladek. Godiva czy coś w tym stylu.

- Czekoladki Godiva? - Tysiące kilometrów od nich żołądek Kaye wywinął fikołka z tęsknoty. - Uwielbiam je! Kto przysłał to wszystko? - Czyżby George Clooney jakimś cudem odgadł, jak zdobyć jej serce?

- Jakiś byle kto - odparła Maggie nonszalancko. - Widać chciał cię pocieszyć. Widzisz, masz chociaż jednego wielbiciela.

- Chyba że to podstęp i facet spryskał kwiaty cyjankiem. Lepiej się do nich nie zbliżaj - poradziła Kaye. - Jeszcze padniesz trupem.

- Kolejny żart? Bardzo śmieszny. W każdym razie chciałam ci tylko dać znać. Naturalnie wzięłam kwiaty do domu, szkoda, żeby się zmarnowały.

No tak, naturalnie. Kwiaty to kwiaty.

- Jasne - powiedziała Kaye. - Ale czekoladki mi wyślesz?

- Co? Żartujesz, skarbie? Już ich nie ma.

- To znaczy, że je zjadłaś?

- Bardzo zabawne, teraz naprawdę sobie ze mnie kpisz. Wyrzuciłam je do śmieci.

- Ale to Godiva! - wykrzyknęła oburzona Kaye.

- Skarbie, to sam cukier.

- Dobrze już. - Kaye westchnęła i wyrzała przez przednią szybę, słysząc szkolny dzwonek. Powinna była przewidzieć, że Maggie nie pozwoli, aby czekoladki choćby leżały w pobliżu jej biurka, jakby kalorie mogły przechodzić do ciała drogą osmozy. - Ale to miło, że ktoś mnie jednak wspiera. Muszę mu podziękować.

- Daj spokój, nie ma takiej potrzeby. W ten sposób tylko się zachęca podobnych psycholi.

Pierwsi uczniowie zaczęli wybiegać ze szkoły. Kaye spytała więc:

- Pewnie wyrzuciłaś jego adres?

- O, cześć kochany. - Głos Maggie nagle zmienił się nie do poznania. - Usiądź sobie, wyglądasz cudownie... Daj mi tylko chwilę... Kaye, skarbie, przepraszam, ale muszę lecieć. Właśnie przyszedł Damien. Pogadamy jeszcze, pa...

Rozmowa przerwana. Hollywoodzki sposób, aby dać ci do zrozumienia, jak mało jesteś ważny. Damien był najnowszym nabytkiem Maggie, jej wschodzącą gwiazdą, a przy odrobinie starań miał zostać następnym Bradem Pittem.

Kaye zamknęła telefon. Jeszcze nie tak dawno to ona była ulubioną klientką swojej

agentki. Siedząca obok Tilly odezwała się pocieszająco:

- Zatrzymamy się po drodze do domu i kupimy ci batonik. Kto by chciał jeść czekoladki Godiva?

- Hm, czekaj chwilę. Ty? Ja? Lou? Każdy?

- Kto je przysłał?

- Nigdy się nie dowiemy. Wieczna tajemnica. O, już wychodzi Lou... Aaa, czy ten obok niej to Eddie?

Tilly wychyliła się, by mieć lepszy widok.

- Tak, to on.

Przyglądając się uważnie, jak córka i jej kolega schodzą razem po schodach, Kaye powiedziała z dumą:

- Całkiem ładny, prawda? Przystojniaczek. Chciałam cię prosić, żebyś zrobiła mu zdjęcie z ukrycia, abym mogła zobaczyć, jak wygląda, ale wyszłabym na psycholkę. A gdyby Lou się dowiedziała... Hej, popatrz, co tam się dzieje?

Na kilka sekund Lou i Eddie zniknęli z oczu za grupą chuderlawych chłopców. Teraz znów się pojawili: Eddie wymachiwał jakąś kartką, a Lou próbowała mu ją zabrać. Chwilę później chłopak biegł przez żwirowe podwórko, śmiejąc się i machając papierem nad głową.

- Czyż to nie urocze? - Tilly uśmiechnęła się, widząc, że Lou rzuca się w pościg, kopiąc w Eddiego grudkami żwiru i biegnąc za nim jak szalona. - Ach, ta energia. Te buzujące hormony.

Patrzyły z czułością, jak Eddiemu ledwie udało się uniknąć zderzenia z żywopłotem, kiedy Lou w końcu go dorwała. Jednym zgrabnym ruchem wyrwała mu kartkę z ręki i zafundowała solidnego kuksańca. Wciąż się śmiejąc, chłopak udał, że się zatacza, i chwycił się za pierś. Lou dodała jeszcze poważny cios w ramię i odeszła, drąc papier na strzępy, a potem wrzucając go do kosza.

- Moja szkoła. - Kaye poczuła matczyną satysfakcję. - Nie daj sobą pomiatać.

- Ale z drugiej strony, jeśli chłopak ci się podoba, lepiej nie pomiatać nim za bardzo.

- Tak słodko razem wyglądają, prawda? Rany, moja córeczka dorasta. Jak inne matki radzą sobie z dorastaniem dzieci? Jeśli ten śliczny chłoptaş złamie jej serce, jak mam się powstrzymać, by nie złamać mu karku?

- Wolno ci tego chcieć. Tylko nie możesz tego zrobić - poradziła Tilly. - A to kto?

- Gdzie?

Tilly bez słowa wskazała palcem.

- O, niezłe ciacho. - Podążając za dłonią Tilly, Kaye od razu zrozumiała, o co chodzi. Obie gapiły się na dobrze zbudowanego, idealnie umięsnionego, wysportowanego faceta, który na rowerze jechał po podjeździe. Miał jasnobrażowe, krótko ostrzyżone włosy, ciemnozielony dres i cały promieniał zdrowiem i energią.

Fiu, fiu.

- Pewnie wyskoczył na szybką przejażdżkę do Szkocji i z powrotem, tak przed podwieczorkiem - zasugerowała Tilly.

Mężczyzna naprawdę wyglądał imponująco. Kiedy Kaye podziwiała jego umięsnione uda, do samochodu dotarła w końcu Lou, rzucając się na tylne siedzenie.

- Cześć, skarbie. Kim jest ten pan na rowerku?

Dziewczynka przewróciła oczami.

- Tak, dzięki, mam. W szkole wszystko dobrze. Dostałam plusa z matmy, sześćdziesiąt trzy procent z testu z historii, a na lunch mieliśmy kurczaka z sosem czosnkowym, którego uwielbiam.

- Wiesz co? - Kaye pomachała dłonią, odganiając od siebie wyimaginowane wzywy. - Domyśliłam się. To twój nauczyciel?

- Mamo, przyjechałaś tu, żeby odebrać swoje jedyne dziecko, swoją supermądrą i

najukochańszą córeczkę. A nie gapić się na obcych facetów.

- My się nie gapimy, tylko jesteśmy... ciekawe.

- To pan Lewis. Uczy francuskiego i WF-u. Proszę, tylko nie mów, że ci się podoba. Ale byłby wstyd!

Pan Lewis, francuski i WF. Cóż, to wyjaśniało mięśnie. Kaye przypomniała sobie nazwisko - Lou wspominała o nauczycielu od czasu do czasu. Właściwie to...

- Czy nie opowiadałaś mi ostatnio, że durzy się w nim panna Endell?

- Tak, ale on bynajmniej nie jest zainteresowany, panna Endell ma swoje lata. Pan Lewis podoba się też wielu mamom w szkole. I starszym uczennicom - opowiadała Lou. - Ale i tak ma już dziewczynę, więc żadna nie ma u niego szans.

Pan Lewis wjeżdżał właśnie w wysadzaną drzewami ulicę, kierując się w ich stronę.

- Hm, kiedy są następne konsultacje? Nie zapomnij wpisać mnie do niego na spotkanie.

- Mamo! O Boże, on tu podjeżdża! Błagam, nie mów nic głupiego...

Zauważywszy Lou siedzącą z tyłu, pan Lewis zahamował i zatrzymał się tuż obok auta. Z bliska dostrzegły, że jasne włosy na jego przedramionach migotały w popołudniowym słońcu. Wskazał dłonią, by Lou opuściła szybę.

- Louiso, zostawiłaś swój kij hokejowy na ławce koło szatni. Odłożyłem go do pokoju nauczycielskiego, żeby nie zginął. - Kiedy mówił, Kaye poczuła zapach glicerynowego mydła. Szkoda, że biedak musiał znosić czosnkowe wyziewy.

- Przepraszam, profesorze. Odbiorę go jutro.

Pan Lewis zerknął na Kaye i Tilly, witając je skinieniem głowy. Potem, znów zwracając się do Lou, dodał:

- Zagrałaś dzisiaj dobry mecz. Miałaś kilka niezłych przechwyty. Porządna robota.

- Dziękuję, profesorze.

Dziękuję, profesorze, proszę i mnie przechwycić. Nieprzyzwoita myśl przeszła przez głowę Kaye. Gdyby Lou czytała w myślach, padłaby teraz trupem. Usiłując zachować spokój, Kaye spojrzała na Tilly i dostrzegła, że i ona śni na jawie. Cóż, nie ma w tym nic złego, dopóki nie powiedzą niczego na głos.

Pan Lewis odjechał, Lou zamknęła okno, a Kaye i Tilly zgodnie wybuchnęły śmiechem.

- Wiecie co? - Lou stłumiła przeciągłe westchnienie. - Jesteście takie niedojrzałe.

- Co? Dlaczego?

- Tylko dlatego, że powiedział o przechwytych, zaczęłyście chichotać jak nastolatki. A teraz będę przeżywać koszmar, bo następnym razem, kiedy go spotkacie, zaczniecie zachowywać się jak matka Olivera Bensona. Zawsze kiedy widzi pana Lewisa, nie może się powstrzymać i chichra się tym swoim piskliwym śmiechem, jak hiena pod wpływem gazu rozweselającego. Jeśli mi to zrobicie, umrę na miejscu.

- Nic takiego się nie zdarzy, przysięgam.

- I tak jesteś dla niego za stara, mamo. Ma przepiękną dziewczynę, Claudine. Obiecuj mi, że nie zrobisz z siebie pośmiewiska, proszę.

- Wygląd to nie wszystko - droczyła się Kaye. - Jeśli zaczniesz biegać po trawniku, wymachując kartką papieru, to będzie znaczyło, że tak naprawdę mu się podobam? Jeśli uda, że się przewraca, abym mogła go dogonić i dać kuksańca, mam się domyślić, iż jest mną zainteresowany?

- Och, proszę cię. Teraz zachowujesz się jeszcze bardziej dziecinnie. Eddie Marshall-Hicks jest zepsutym gnojkiem i nie znoszę go z całego serca, więc lepiej sobie odpuść.

- Daj spokój, skarbie, nam możesz powiedzieć. Wyraźnie między wami iskrzy. Chłopcy i dziewczęta nie ganiają się tak bez powodu. - Rozbawiona wyrazem twarzy córki, Kaye spytała: - Co to było, list miłosny?

- Tak, jasne, oczywiście, że był to list miłosny, bo przecież nie robię nic innego, tylko wyznaję miłość wszystkim, których nie znoszę. Nie, mamo. To nie był list miłosny -

zaprzeczyła Lou. - I przysięgam ci, że jedyna iskra, jaką zobaczysz między nami, pojawi się w dniu, w którym podpalę włosy temu gnojkwowi!

Rozdział 24

Kiedy jest się dwudziestoosmioletnią, dorosłą i odpowiedzialną kobietą, nie ma żadnego powodu, aby czuć wstyd czy zażenowanie przed wizytą u lekarza, który ma wypisać receptę na tabletki antykoncepcyjne.

Żadnego powodu.

Tyle że Roxborough było miastem tak małym, że ludzie dobrze się znali i dobrze wiedzieli, co u kogo w trawie piszczy. A doktor Harrison mieszkał tu od zawsze - pewnie słyszał najnowsze plotki i miał zamiar wygłosić moralizatorski wykład o przyzwoitości, wspominając, że gdyby jej matka żyła, umarłaby ze wstydu, iż ma taką bezwstydną, rozpustną córkę, która nie tylko nie jest jeszcze mężatką, ale na dodatek sypia z mężczyzną, który...

- Erin Morrison! - zawołała recepcjonistka, aż Erin podskoczyła ze strachu, a trzyletni egzemplarz „Cosmopolitana” spadł na podłogę. - Doktor może panią przyjąć.

Czyżby usłyszała w jej głosie cień dezaprobaty? Erin stanęła na baczność, czując, że patrzy na nią nie tylko recepcjonistka, lecz także pozostali pacjenci w poczekalni. Boże, czyżby oni wszyscy wiedzieli?

Kwadrans później wizyta dobiegła końca. Doktor Harrison, na szczęście, darował sobie wykłady. Ściskając w dłoni receptę, Erin wyszła z gabinetu, czując się o wiele lepiej.

Dopóki nie wróciła do poczekalni i nie zobaczyła, kto siedzi na tym samym krześle, które niedawno zajmowała ona, i czyta ten sam zniszczony egzemplarz „Cosmopolitana”. Nie było co się łudzić, że robi notatki z artykułu *Jak odzyskać godność, kiedy twój były spotyka nową kobietę?*

Najwyraźniej nie. Stella podniosła wzrok, wykrzywiła usta z nienawiścią, a pozostali pacjenci wstrzymali oddech. Erin zdawało się, że recepcjonistka, jak barmani w westernach, zamknie zaraz z traskiem szklane przepierzenie i zniknie pod ladą. Z zainteresowanego wyrazu jej twarzy Erin wywnioskowała, że panna dobrze wiedziała, co robi, zapisując je na sąsiadujące godziny.

Prawdopodobnie Stella nie przyszła tu po receptę na tabletki antykoncepcyjne. Ze sposobu, w jaki siedziała - niczym na rozżarzonych węglach - i trzęsła się zarówno z nerwów, jak i nienawiści, można było wnioskować, że wolałaby dostać końską dawkę leków uspokajających.

Co oczywiście było przykre, bardzo. Ale to naprawdę nie moja wina, myślała Erin.

- Modliszka - odezwała się Stella.

Siedząca obok niej starsza pani odłożyła robótkę i spytała:

- Co? Przepraszam, złotko, co mówiłaś?

No to pięknie.

Stella tym razem odezwała się bardzo głośno i z idealną dykcją:

- Ta tutaj, co właśnie wychodzi. Wie pani, że ukradła mi męża?

- Naprawdę? - Starsza pani zakończyła ścieg i drutem wskazała Erin. - Ona?

Erin, z wypiekami na twarzy, przebiegła koło nich przez całą poczekalnię. Byle tylko wyjść, wyjść jak najszybciej!

- Uff, przepraszam bardzo. Chwileczkę. Christy, zjeżdź pani z drogi. - Jakaś zaambarasowana młoda mama mocowała się w wejściu z opornym podwójnym wózkiem i

trudnym do opanowania brzdącem w stroju Spidermana, zmuszając Erin, by stanęła z boku.

- Właśnie! Ja też nie mogłam uwierzyć, kiedy się dowiedziałam! - Od rozlegającego się z tyłu głosu Stelli nie było ucieczki. - Jestem o niebo bardziej atrakcyjna od niej.

Proszę, błagam, usuńcie mi się z drogi, szybko!

- Ja nie Christy - zawył dziecko. - Ja Spiderman!

Wdrap się więc na ścianę i nie blokuj tych cholernych drzwi!

- Proszę popatrzeć, co to w ogóle jest? Wielkie nic! Gruba i bez gustu - oznajmiła Stella z goryczą. - Nic, tylko zdesperowana, bezwstydną mała gnida.

Zasapana młoda mama spojrzała z rozbawieniem na Erin.

- Ona mówi o tobie?

- Tak, mówię o niej! Lepiej niech pani uważa na swojego męża. Jeśli jest gdzieś blisko, pewnie jego też poderwie.

- Daj Boże. To by było spełnienie moich marzeń. - Młoda kobieta ze skrzywionym uśmiechem wepchnęła niesfornego Spidermana do poczekalni, wrzuciła w wózek wsteczny bieg i za drugim razem udało jej się przeprowadzić pojazd przez drzwi.

Erin, z bijącym mocno sercem, mogła w końcu uciec.

Dwie godziny później pakowała właśnie w bibułkę turkusowo-srebrną spódnicę od Karen Millen, kiedy usłyszała jakiś hałas na zewnątrz.

- Co tam się dzieje? - Dziewczyna, która kupowała spódnicę, zmarszczyła brwi i podeszła do okna.

Boże, tylko nie to, nie, nie, nie...

- Nie róbcie tam zakupów! Właścicielka to ladacznica!

Nie, nie, nie, nie.

Klientka spojrzała na Erin.

- Proszę podejść i zobaczyć. Czy wie pani, kim jest ta kobieta?

- Wiem. - Znow pojawiło się znajome ściskanie w żołądku. Zdenerwowana, ale zdeterminowana Erin włożyła zapakowaną spódnicę do firmowej torby. Tym razem Stella się zagalopowała!

Na zewnątrz, na chodniku, dużo odważniej - choć w istocie cała się trzęsła - stawiała czoło swojej prześladowczyni.

- Nie możesz tego robić, Stello.

- A niby czemu? Zabroniłaś mi wchodzić do sklepu, ale to przecież nie jest już sklep, prawda? Stoję na chodniku - Stella obrazowo rozłożyła ręce - i wyrażam osobistą opinię, która, tak się składa, jest prawdziwa, a ty nie możesz mnie powstrzymać.

Jakaś kobieta, po wysłuchaniu obelg Stelli, odeszła szybkim krokiem, ściskając pod pachą torbę pełną rzeczy, które chciała oddać do sklepu.

- To jest moja firma i nie pozwolę ci jej zniszczyć. Jeśli nie przestaniesz, wezwę policję.

Stella wpatrywała się w Erin, wymanikiurowanymi dłońmi wzięwszy się pod boki.

- Ale ty zniszczyłaś moje życie! Czemu miałabym spokojnie siedzieć i godzić się z tym?

Erin nie wiedziała, co robić. Nie miało sensu dzwonić do Fergusa, który pracował dzisiaj w Cheltenham. Zresztą on także powtarzał Stelli już tysiąc razy, że nie było tak, jak jej się wydaje. Ale ona w ogóle nie chciała go słuchać.

- Czemu nie mogę cię ranić tak, jak ty zraniłaś mnie? - zawodziła Stella. - Jestem lepsza od ciebie! I nigdy nie odebrałabym żonie męża!

Nie było żadnego sposobu, by przemówić jej do rozumu. Niestety, zwróciła na siebie uwagę wielu przechodniów, którzy zatrzymywali się, aby przyjrzeć się dramatycznej sytuacji. Erin odchodziła od zmysłów. Czy naprawdę powinna wezwać policję, czy oni także tylko się uśmiechną i zganią ją, że marnuje ich czas? A może lepiej zadzwonić do prawnika? Albo wynająć zawodowego mordercę, żeby pozbyć się Stelli?

- Hej tam, co się dzieje?

W ich stronę zmierzał Max Dineen. Czy Tilly powiedziała mu o tym, co wyrabia Stella? Erin zadrżała, bo Max i Stella od dawna się przyjaźnili. Jeśli jeszcze on dołączy do awantury i zacznie oskarżać ją, że jest niszczącą małżeństwa modliszką, to ona padnie trupem na miejscu.

Stella odwróciła się na dźwięk znajomego głosu, zerknęła na Maksa i natychmiast wybuchnęła płaczem.

- Jasny gwint! - wykrzyknął Max. - Jestem aż tak obrzydliwy?

Ze spokojnego tonu i sposobu, w jaki na nią spojrział, Erin zrozumiała, że Max zaraz opanuje sytuację.

- Och, Max! - Stella wydała z siebie okrzyk rozpacz. - Jestem taka nieszczęśliwa. Chcę umrzeć!

Erin nie była dumna z faktu, że cichy głos w jej głowie podpowiadał: „Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności”, gdy patrzyła, jak Stella wpada w ramiona Maksa. I on także nieco się załamał. Cholera, w takiej chwili człowiek żałuje, że w ogóle się wtrącał. Nie byłoby problemu, gdyby chodziło tylko o przerwanie babskiej kłótni, ale teraz sytuacja się skomplikowała. Stella była raczej typem dyskutantki, a nie bekisy. Ostatnie, czego oczekiwał, to to, że zacznie szlochać mu na ramieniu - prędzej spodziewałby się ujrzeć ją skaczącą na skakance wzdłuż High Street. Ale tak się stało i czuł lzy Stelli na swojej szyi, a jej palce wbijały mu się w plecy. Była naprawdę roztrzęsiona. Na dodatek jej włosy oblepiały mu twarz, co było nieco niepokojącym przeżyciem, kiedy się pomyślało, że tak naprawdę nie należą do niej, lecz zostały ścięte jakiejś biednej rosyjskiej wieśniaczce...

- Max... Max... N-nie w-wiem, co r-robić.

Za późno, by się wycofać. Brr, a jeśli te kudły należały do jakiejś wielkiej owłosionej rosyjskiej grubaski o imieniu Olga?

- Już dobrze, dobrze. - Max pogłodził Stellę po plecach i wyjął z kieszeni czystą chusteczkę. - Masz, wytrzyj się.

Erin się cofnęła.

- Muszę wracać. Zostawiłam w sklepie klientkę.

- Idź, idź. - Uśmiechnął się przelotnie, współczując dziewczynie. - Zajmę się nią.

Erin rzuciła mu spojrzenie pełne ulgi i pobiegła do sklepu. Max za to popatrzył na przyglądających się im przechodniów i rzekł:

- Przedstawienie skończone, możecie się zabierać. Dzisiaj krew się tu nie poleje.

- Dokąd i-idziemy? - spytała, jękając się, Stella, kiedy Max prowadził ją wzdłuż ulicy.

- Do ciebie. Nie ma mowy, żebyś w tym stanie otwierała dzisiaj sklep. - Dotarłszy do samochodu, Max otworzył drzwi po stronie pasażera. - No dalej, wsiadaj.

- Och, Max, dziękuję. A zostaniesz ze mną choć trochę? Nie zostawisz mnie i nie odjedziesz?

Jasne, w końcu nie miał nic innego do roboty. Cóż, i tak było za późno, żeby się teraz o to martwić. Stella nie była może bliską przyjaciółką, ale znali się od kilkunastu lat, także z powodu koneksji zawodowych, i lubili się, mimo że była zarozumiała, uwielbiała rządzić i okazywała przesadną pewność siebie. Nie zawsze, jak się okazało. Teraz z pewnością ją straciła. Można było tylko jej współczuć.

- Wejść - potwierdził Max. - Na chwilę.

Po przyjeździe do swojego nowoczesnego, sterylnie czystego i uporządkowanego domu Stella otworzyła butelkę białego wina i pierwszy kieliszek wypila jednym haustem.

Max zmarszczył czoło.

- Myślisz, że poczujesz się lepiej?

- Nie wiem. Powiem ci, jak spróbuję. Jestem teraz w strzępach, Max. W strzępach. - Z

desperacją potrząsnęła głową. - Budzę się rano i wszystko mnie boli. Ta kobieta ukradła mi męża.

Tym razem Stella nie wyglądała zbyt dobrze. Twarz miała zmęczoną i nie było na niej śladu zwykle bardzo starannego makijażu. Wszystko przez zazdrość - to ona niszczyła pewność siebie i wżerała się w fizjonomię jak robak zjadający jabłko od środka.

- To akurat nieprawda. Musisz to w końcu zrozumieć - rzekł Max spokojnie.

- Ale ja nie chcę niczego rozumieć, bo wiem, że mam rację! - Stella zacisnęła usta, trwając w swym przekonaniu. Naprawdę nie miała pojęcia, czemu Fergus miałby ją zostawić. Max wiedział, że to bez sensu tłumaczyć jej, jak było naprawdę.

- Musisz spróbować żyć dalej. Najlepiej zemścisz się, jeśli będziesz szczęśliwa.

- Ale jak mam to zrobić?

- Jasny gwint, po prostu bądź szczęśliwa!

- Tylko że jedyne, co mogłoby mnie teraz uszczęśliwić, to dziecko! Jedyne, czego chcę, to mieć dziecko!

- To je miej.

Stella spojrzała jakoś dziwnie. Nalała sobie kolejny kieliszek wina i huśtała butem zawieszonym na końcach palców.

- O co chodzi? - spytał Max.

- Zrobiłbyś to?

- Co? Gdybym był na twoim miejscu?

- Nie. Pytam, czy dasz mi dziecko.

Do diabła!

- Żartujesz sobie.

- Nie! Max, naprawdę nie rozumiesz? To ma sens. - Teraz patrzyła już tak, jakby była przekonana, że w istocie mówi sensownie. - Lubię cię. Zawsze lubiłam. Ty lubisz mnie. I jesteś świetnym ojcem dla Louisy.

- Tylko że jestem gejem - przypomniał.

- Nie całkiem. Nie, nie próbuj zaprzeczać! Tylko pomyśl. Dobrze się dogadujemy. Podobasz mi się od dawna. Oprócz Fergususa jesteś jedynym mężczyzną, z którym mogłabym się przespać. Moglibyśmy chociaż spróbować. Kto wie, może ci się spodoba i zdecydujesz, że już nie chcesz być gejem?

- Stella, przestań, proszę.

- Gdybyś naprawdę był gejem, miałbyś już jakiegoś faceta. - No dobrze - rzuciła w końcu, kiedy Max zerwał się z krzesła. - Zapomnij o prawdziwym związku, możemy załatwić to jedynie za pomocą próbki. Sztuczne zapłodnienie, co ty na to? I nie musiałbyś płacić alimentów ani nic podobnego. Nie płaciłbyś ani grosza. Nie rozumiesz, Max? Jeśli pójdę do banku nasienia, nie będę wiedzieć, co tak naprawdę mi wszczepią. Boże, przecież mogliby mnie zapłodnić jakimiś resztkami, którym kończy się termin ważności! A ja wolałabym wiedzieć, kto jest ojcem mojego dziecka. I bardzo, bardzo chciałabym, żebyś to ty nim był. Jesteś dobry, zabawny i przystojniejszy niż ten cholerny Fergus. Wyobraź sobie, mielibyśmy piękne dziecko...

Max wycofał się. Dobra, dość tego. Pomijając wszystko inne, właśnie wyobraził sobie to cudowne dziecko - powstałe z połączenia przedłużonych włosów i mocnego liverpoolskiego akcentu.

- Stello, nie myślisz teraz logicznie i wcale tego nie chcesz. Uwierz mi, jesteś cudowną kobietą i znajdziesz kogoś idealnego dla siebie, gdy tylko przebolejesz rozstanie z Fergusem. Ale musisz mi obiecać, że przestaniesz nękać Erin.

- Ale to mi poprawia humor - przyznała Stella.

- Skarbie, to ci odbiera godność. - W chwili gdy to mówił, podniosła się klapka w drzwiach i pojawił się Bing. Korzystając z nadejścia kota, Max zerknął na zegarek i skrzywił

się. - Słuchaj, bardzo mi przykro, ale muszę już lecieć. Po południu mam spotkanie z nowym klientem i nie mogę kazać mu czekać. Obiecuj, że nie zrobisz nic głupiego, dobra?

Stella, która ubóstwiała swojego zwierzaka, schyliła się i porwała go w ramiona.

- To tylko ułatwiłoby im sprawę, prawda? Erin i Fergusowi - odparła nieco spokojniej Stella, głaszcząc Binga i obsypując pocałunkami jego włochate uszy. - Nie martw się, nie dam im tej satysfakcji.

- Grzeczna dziewczynka. - Max skinął głową z zadowoleniem.

Uśmiechnęła się i odrzuciła włosy do tyłu.

- Zwłaszcza że akurat odświeżyłam sobie końcówki włosów. Wyobraź sobie, że kosztowały mnie trzysta funtów.

Rozdział 25

Jamie Michaels i jego narzeczona właśnie wprowadzili się do stylizowanego na styl Tudorów domu z sześcioma sypialniami i ośmioma łazienkami usytuowanego w strzeżonej dzielnicy na przedmieściach Birmingham.

- Kumpel mi ciebie polecił. Cal Cavanagh, znasz? Mówił, że jesteś dobry. A kiedy moja pani usłyszała, że robiłeś jego chatę, powiedziała, że my też cię chcemy.

- Co dobre dla Cala Cavanagh, dobre i dla nas - zachichotała Tandy. - No i mamy kupę pomysłów. Już nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy. Może chcecie się czegoś napić, zanim weźmiemy się do pracy? Może różowego szampana na lodzie? Osiemdziesiąt funciaków za butelkę!

Tilly zachowywała powagę, bo Max uprzedził ją, że wystarczy jedno parsknięcie i natychmiast wylatuje z pracy. Przypomniawszy jej też, że nawet jeśli młodzi piłkarze Premiership mają więcej kasy niż rozumu, nie oznacza to, iż trzeba od razu kręcić nosem na ich pomysły. „Płacą dobre pieniądze za nasze usługi i musimy im dać to, czego chcą. Są projektanci wnętrz próbujący narzucić swoją wersję dobrego smaku klientom, którym ona wcale nie odpowiada. I potem w ciągu pół roku ci klienci wzywają mnie, żebym dokonał przeróbek. A przecież to klienci będą mieszkali w tych domach, więc niech mają, co im się podoba”.

Max miał rację i Tilly absolutnie się z nim zgadzała. Wszystko, co mówił, sprawdziło się i tu. Kiedy wędrowali za Jamiem i Tandy po ich domu, usłyszeli pomysły, które w istocie przyprawiały o gęsią skórę.

- Tak sobie myślę, że chciałabym mieć błyszczące tapety w srebrno-różową szkocką kratę, ręcznie malowane - to w jadalni. Bo kiedy byłam mała, miałam lalkę Barbie w sukience w taki deseń. - Tandy była drobną, przypominającą laleczkę blondynką, tryskającą entuzjazmem, ubraną w baaardzo krótką białą spódniczkę i top w kolorze khaki. Pachniała perfumami Chanel No. 5 i samoopalaczem. Zaręczynowy pierścionek na jej palcu wielkością przypominał orzech włoski. - A pamiętasz ten żyrandol, który wybrałaś do kuchni Cala? To my chcemy jeszcze większy. I taką kolorową podświetlaną podłogę jak w *Gorączce sobotniej nocy*.

Zadaniem Tilly było zapisywanie wszystkich pomysłów, podczas gdy Max proponował ich łagodniejsze rozwiązania: wyjaśniał, że jeśli żyrandol będzie większy, Jamie uderzy się w głowę za każdym razem, gdy będzie pod nim przechodził, a dyskotekowa podłoga to świetny pomysł, ale może lepiej zamontować ją w sali do karaoke, a nie w kuchni, gdzie raczej nikt nie będzie tańczył.

Łazienka w turkusowe i grafitowe leopardzie cętki? Tandy trzymała kciuki, widać ten

pomysł był jej ukochanym. Świetnie, odparł Max, znam odpowiednich dostawców. Może zamontujemy też krany od Versacego?

Po dwóch godzinach wstępne spotkanie dobiegło końca. Tandy zarzuciła Maksowi ręce na szyję i wykrzyknęła:

- Cudownie! Uwielbiam twoje pomysły! Będzie super, już nie mogę się doczekać, kiedy wszystko skończymy.

- Chwileczkę - odezwał się Max. - Jeszcze nie oszacowałem kosztów. Szybko mnie puścisz, kiedy się dowiesz, ile to wszystko będzie kosztowało.

Jamie zmarszczył brwi i potarł dłonią krótkie tlenione włosy.

- Więcej niż dwieście tysięcy?

- Nie. - Max pokręcił głową. - Nie ma tu żadnych zmian budowlanych. Pojadę do domu i wszystko obliczę, ale myślę, że zamkniemy się w stu osiemdziesięciu.

- Tylko tyle? Super, nie ma sprawy. - Twarz piłkarza pojaśniała. - Niedługo mamy sesję zdjęciową dla jakiejś gazety, za dwie stowy. Żaden problem.

Rany, dwieście tysięcy funtów za sesję i wywiad!

- Urządzamy wielkie przyjęcie, aby oficjalnie uczcić nasze zaręczyny. - Policzywszy coś w pamięci, Tandy dodała radośnie: - Zostanie nam dwadzieścia tysięcy! Może zbudujemy sobie w ogrodzie taki śliczny mały kościółek, żeby tam wziąć ślub?

- Albo - podpowiedział Max - weźmiecie ślub w jakimś bardziej spektakularnym miejscu, a za te pieniądze zamówimy wielką wannę z jacuzzi?

- Jesteś genialny! - Tandy klasnęła w dłonie i uściskała Tilly. - Ty też. Musicie oboje przyjść na naszą imprezę, kiedy już wszystko urządzimy. A moje koleżanki na pewno będą chciały skorzystać z waszych usług, kiedy zobaczą, co zrobiliście z naszym domem.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi i Tandy zeszła na cotygodniową sesję ze specjalistką od paznokci. Jamie odprowadził Maksa i Tilly do wyjścia, a potem sami już przeszli przez podjazd, mijając błękitne maserati, jaskrawoczerwone porsche i słodką różową terenówkę z kierownicą wysadzaną brylancikami i różowymi zamszowymi siedzeniami.

- Ona ma dziewiętnaście lat! - zachwyciła się Tilly. - Chyba właśnie w tym wieku popełniłam błąd.

- Znajdź sobie piłkarza. Zostaniesz jedną z WAGs* - powiedział Max.

Tyle że Tilly nie miała predyspozycji do tego, aby stać się ekskluzywną utrzymanką: niekończące się wizyty w solarium, u fryzjera i u manikiurzystki doprowadziłyby ją do szaleństwa.

- Ja jestem raczej jak LIPA - Leniwa I Podstarzała Abnegatka.

- A może jak PANDA? - Jak zwykle pomocny Max otworzył samochód i wyjaśnił: - Pulchna, Arogancka, Nieznośna, Denerwująca Aferzystka? Au!

- Przepraszam - powiedziała Tilly. - Noga mi się omsknęła.

Im bardziej nie chcesz na kogoś wpaść, tym bardziej jest prawdopodobne, że lada moment go spotkasz. Kiedy Erin po pracy zajrzała do pobliskiej drogerii, minęło już kilka dni od ostatniego spotkania ze Wściekłą Stellą. Spędziła miłe dziesięć minut na testowaniu cieni do powiek oraz szminek, nie przypuszczając, że w tym samym sklepie znajduje się Stella. Dopiero w kolejce do kasy, gdzie miała zapłacić za ponętny beżowy błyszczący, mocno brązową kredkę do oczu i bardzo eleganckie wkładki higieniczne, Erin zrozumiała, co się święci. Gdy na chwilę się wyłączyła, aby przyjrzeć się opakowaniu witamin obiecujących jasne spojrzenie i lepszą cerę, sprzedawczyni skończyła obsługiwać stojącego przed nią mężczyznę. Sprowadzona na ziemię - „Czym mogę służyć, kochana?” - już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, kiedy zza jej pleców rozległ się głos:

* WAGs (ang. Wives and Girlfriends) - akronim utworzony przez brytyjską prasę dla określenia żon i narzeczonych angielskich piłkarzy (przyp. tłum.).

- Cóż, ona ma romans z moim mężem, więc pewnie przysłała tu po zapas prezerwatyw.

Ten złośliwy, zbyt dobrze znany, cedzący słowa głos! Erin już знаła to uczucie strachu, które mu towarzyszyło, nagle rumieńce i zeszywnienie całego ciała, które...

A właściwie... Nie, dość tego! Czemu niby ma się tak denerwować? Dlaczego, do jasnej cholery, ma stać i przyjmować ciosy? Adrenalina, która pojawiła się nie wiadomo skąd, nagle wzięła górę i Erin powoli się odwróciła, aby zmierzyć się ze Stellą. Dostyc pomiatania! W końcu teraz wszyscy w sklepie patrzyli na nią, prawda? Stelli tylko wydawało się, że ma przewagę, kiedy tak stała z koszykiem pełnym najdroższych kosmetyków do włosów i tabletek przeciwbólowych.

Głosem równie donośnym i wyraźnym, choć zdecydowanie słodszy niż głos Stelli, Erin oświadczyła:

- Prezerwatywy? Właśnie! Niesamowicie, jak szybko nam się kończą!

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. - Kiedy godzinę później Fergus przyjechał do jej mieszkania, Erin wciąż drżała.

- Co się stało potem?

Wzdrygając się na samo wspomnienie, Erin odparła:

- Stella z hukiem rzuciła koszyk na podłogę i wrzasnęła: „Nie wiem, jak możesz patrzeć w lustro!”. A potem wybiegła.

Fergus wziął ją w ramiona i pocieszał.

- Cicho, skarbie, uspokój się. Nie zrobiłaś nic złego.

- Do dzisiaj nie. Ale to, co powiedziałam, było okrutne. - Koszula Fergusa pachniała proszkiem do prania i biurem. - Jakbym zesłała do jej poziomu. Myślałam, że jeśli w końcu zaprotestuję, pocuję się lepiej, ale zamiast tego tylko znienawidziłam samą siebie.

- Tak nie można. Boże, ale mi przykro. Nie powinienem narażać cię na takie sytuacje. Zapytam prawnika, co możemy zrobić.

- Nie rób tego. - Kręcąc głową, Erin wyobraziła sobie kolejnych zaangażowanych w sprawę ludzi, przez co sytuacja szybko mogła wymknąć się spod kontroli - wszystkie ich awantury i obelgi trzeba by cytować w sądzie; nigdy nie miałyby spokoju. I nie chciała żyć z takim wstydem. - Daj spokój, zostaw to. Po prostu wyjedziemy stąd na zawsze.

Fergus wyglądał na zmartwionego.

- Naprawdę chcesz wyjechać?

- Nie. - Uśmiechnęła się blade. - Chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło.

Ucałował ją w czubek głowy i powtórzył:

- Przepraszam. Kocham cię.

- Ja ciebie też. - Mimo wszystkich koszmarów Erin i tak czuła się szczęśliwa. Nawet nie brała pod uwagę rozstania z Fergusiem - był wszystkim, o czym marzyła całe życie: delikatnym, ciepłym i dobrym człowiekiem. Co ważniejsze, był fizycznie atrakcyjny, ale nie doskonały, co najwyraźniej bardzo irytowało Stellę, ale dla Erin było bardzo podbudowujące, gdyż jej samej także trochę brakowało do ideału.

Ale nie lubiła go - nie kochała go - tylko z tego powodu. To, że przy Fergusie nie musiała wciągać brzucha i udawać, że jest o dwa rozmiary mniejsza, było tylko cudownym bonusem.

- Wiesz, moglibyśmy wyjechać za granicę - zaproponował Fergus, pocieszająco głaszcząc Erin po plecach.

- Ale ja lubię żyć tutaj. Tylko żartowałam, mówiąc o tym wyjeździe. - Rany, nawet po plecach głaskał cudownie. - No i mamy tutaj takie dwa drobiazgi... Jak to się nazywa? A, tak. Praca.

- Myślałem o czymś mniej drastycznym. Słuchaj, dwa następne tygodnie w pracy będą bardzo ciężkie, ale potem na pewno uda mi się wyrwać na tydzień. Może zarezerwuję nam jakieś wakacje? Na mój koszt. Jakies ciepłe miejsce.

Erin odwróciła się, by na niego spojrzeć, ale na chwilę ją zamurowało.

- Co myślisz? - spytał Fergus. - Zaslugujemy na odpoczynek, prawda?

- Zaslugujemy. - Pokiwała tylko głową. Czymże sobie zasłużyła na takiego cudownego faceta? - Z pewnością tak.

- Znajdziesz kogoś, kto mógłby zastąpić cię w sklepie?

Prawdopodobnie, raczej tak, może... może nie. A do diabła z tym! Niektórych propozycji po prostu nie można odrzucić.

- Jeśli nikogo nie znajdę, zamknę interes na tydzień. - Boże, ależ potrzebowała wakacji! - Odsapniemy trochę i nie będziemy się martwić, że nagle pojawi się ktoś, kto przyniesie nowe kłopoty. Całując kochany kłujący podbródek Fergusa, Erin powtórzyła: - Kocham cię. Dziękuję.

- Dobra, to postanowione. Powiedz, dokąd chcesz jechać. Marbella, Florencja, Paryż, Rzym. Podaj nazwę, a ja załatwię resztę.

- Jakiegokolwiek miejsce?

- Jakiegokolwiek.

- Chciałabym pojechać do Gdańska.

- Serio?

Kolejny powód, by go kochać. Erin uśmiechnęła się i znów pocałowała ukochanego.

- Nie. Ale zawsze bardzo chciałam pojechać do Wenecji.

Rozdział 26

Był piątkowy wieczór i Max zabierał Kaye do Bristolu, na kolację ze starymi przyjaciółmi.

- Chcą uczcić swoją rocznicę ślubu - opowiadał Tilly Max, wkładając marynarkę. - Pobraliśmy się mniej więcej w tym samym czasie.

Kaye podziwiała turmalinowy naszyjnik w dużym lustrze w salonie.

- Tyle że Paula miała więcej szczęścia - odezwała się. - Jej mąż nie okazał się gejem.

- Może nie, ale za to jest piekielnie nudny, zwłaszcza gdy zaczyna gadać o golfie. Jeśli choć raz wspomni o swoich ukochanych kijach - powiedział Max - to przysięgam na Boga, że zacznę śpiewać piosenki z musicali.

- Nie znosisz musicali - zauważyła wesoło Kaye.

- Wiem, ale jeśli to wyprowadzi Terry'ego z równowagi, nie zawaham się. Będę śpiewać w restauracji. Nawet stanę na stole, jeśli będzie trzeba.

- Zawstydzanie Terry'ego jest życiowym celem Maksa - wyjaśniła Kaye. - Dobra, możemy już jechać? Gdzie jest Lou?

- Nieee! Nie możecie pojechać, zanim mnie nie obejrzyicie! - Lou zbiegła po schodach i wylądowała na dole z głuchym tąpnięciem. - Patrzcie, co wy na to?

Przebrała się właśnie w trzeci strój w ciągu pół godziny - wszystko z powodu szkolnej dyskoteki. Zamieniła dzinsy i fioletową koszulkę na nieco inne dzinsy i błękitną koszulkę w groszki, a teraz miała na sobie T-shirt w białe i szare paski, szare dzinsy i tenisówki.

Cóż, dyskoteka w szkole to ważne wydarzenie.

- Wyglądasz ślicznie, skarbie. - Kaye spojrzała z nadzieją. - Ale czy nie wolałabyś włożyć jakiejś ładnej sukienki?

Lou wyglądała na przerażoną.

- Mamo, oczywiście że nie chcę włożyć ładnej sukienki! I nie chcę też ślicznie wyglądać.

Chcę wyglądać jak ja.

Max wtrącił się do rozmowy:

- W takim razie wszystko w porządku, wyglądasz jak ty. Na policji od razu bym cię wskazał. Tamta dziewczynka z szopą rudych włosów i wielkim pryszczem na brodzie to moja córeczka.

- Bardzo śmieszne, tato. Nie mam żadnych pryszczycy. Ale czy włosy rzeczywiście za bardzo mi stoją? - Dziewczynka podeszła do lustra i łapiąc się za rude loki, spytała zmartwiona: - Powinnam je związać w kucyk?

- Wyglądasz naprawdę dobrze. Zignoruj go. - Kaye uściskała córkę i ucałowała ją głośno.
- Baw się dobrze wieczorem. I bądź grzeczna.

- Zawsze jestem grzeczna. - Lou przewróciła oczami.

- Żadnego picia - ostrzegł Max.

- Tato, to jest szkolna dyskoteka. Wybór między pepsi, dietetyczną pepsi i wodą.

- I żadnego przytulania.

- Tato! - zawyła dziewczynka. - Przestań!

- Jestem twoim ojcem. Moim zadaniem jest zawstydzanie cię. I żadnych wolnych tańców, jasne? Jeśli usłyszę, że robiłaś jakieś przytulańce i takie tam...

- Dobrze już, dobrze. Nie będziemy tańczyć żadnych przytulańców, bo nie jesteśmy dinozaurami. A w tej rodzinie to akurat tobie brakuje tanecznych talentów.

- Święta prawda. - Kaye rzuciła Maksowi kluczyki do auta. - A my, jeśli zaraz nie wyjedziemy, spóźnimy się na kolację. Chodź, matuzalemie, pora na nas.

Tego wieczoru czas był dla Lou niczym pole minowe. Dyskoteka miała trwać od siódmej trzydzieści do dziesiątej. Ale oczywiście tylko największe sieroty przychodziły punktualnie, o wpół do ósmej. Nie można było jednak pojawić się zbyt późno, bo wtedy wieczór zwykle kończył się, zanim człowiek miał czas się odprężyć i pobawić. Tak, dobre wejście o odpowiedniej porze było kwestią życia i śmierci. Po wymianie setek SMS-ów Lou i jej koleżanki ustaliły, że optymalna godzina to dziesięć po ósmej.

Co dawało Lou jeszcze trochę czasu, by porzucić trzeci strój i przebrać się w pierwszą parę dzinsów, oliwkowozieloną bluzkę z dekoltem w łódkę, srebrne japonki oraz pleciony, zielono-srebrny skórzany pasek.

- Idealnie. - Tilly poważnie pokiwała głową. Widać Lou bardzo chciała zrobić na kimś wrażenie.

- A co z kolczykami? Nie są zbyt wiszące?

- Pasują doskonale.

- Nie... Czekaj. - Dziewczynka odwróciła się i pognąła po schodach na górę. Dwie minuty później wróciła - teraz miała w uszach średniej wielkości błękitne koła. - Tak lepiej?

- Świetnie. - Tilly z rozbawieniem spytała: - A nie masz srebrnych kółek?

- Mam, ale wtedy wszystko będzie wyglądało, jakbym długo nad tym myślała. Rozumiesz? Jakby mi zależało.

- No tak. W takim razie weź te błękitne. - Tilly miała nadzieję, że Eddie Marshall-Hicks doceni wysiłek, jaki Lou włożyła w to, by nie wyglądać, jakby zbyt się wysilała.

Mała zerknęła na zegarek.

- Jest za piętnaście ósma?

- Tak. Gotowa?

Głęboki oddech.

- Wyglądam dobrze? Może powinnam włożyć inne buty?

- Jeśli je zmienisz, pasek do niczego nie będzie pasował.

- A wtedy będę zupełnie niedopasowana, a to niedobrze. Okej. - Lou podjęła decyzję. - Jestem gotowa. Idziemy.

*

Kluczyk przekręcił się w stacyjce, ale silnik nie zapalił.

Tilly spróbowała raz jeszcze. Wciąż nic.

- Żartujesz sobie ze mnie? - spytała Lou.

- Nie. Czekaj, nie panikuj. - Zdenerwowana Tilly wyjęła kluczyk i włożyła go powtórnie - może tym razem lepiej. Wcisnęła pedał gazu i przekręciła.

Silnik milczał.

- Co się stało? - spytała Lou.

Tilly otworzyła bagażnik i wyskoczyła z auta. Gdyby wiedziała, co się stało, byłaby mechanikiem samochodowym, ale istniała maleńka szansa, że powodem jest coś absolutnie oczywistego - jak na przykład wtedy, kiedy człowiek zastanawia się godzinami, czemu suszarka do włosów nie działa, a potem okazuje się, że podłączył do gniazdka prostownicę.

Niestety, w silniku nie było żadnych niepodłączonych suszarek. Wszystko wyglądało brudno, oleiście i - jak to bywa w silnikach - bardzo tajemniczo. Tilly nerwowo pociągała i trącała kolejne rurki, a u jej boku Lou równie nerwowo przestępowała z jednej japonki na drugą.

Przy kolejnej próbie odpalenia Tilly zyskała wyłącznie tłuste ślady na kierownicy.

- Ominie mnie dyskoteka! - Lou zaczęła histeryzować. - Zaczęła się już dwadzieścia minut temu.

Teraz nie chodziło już tylko o to, by zgodnie z trendami pojawić się później, ale by pojawić się w ogóle.

- Wszyscy będą się bawili beze mnie! - zawodziła Lou.

- Dobra, leć po książkę telefoniczną. Znajdź numer firmy Berta, zadzwonimy do niego. Ja będę próbować z autem.

Lou pobiegła do domu, a Tilly próbowała wytrzeć kluczyk koszulką, na wypadek gdyby akurat drobinki kurzu spowodowały problem. Przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda? Zwłaszcza gdy chodzi o samochody.

Kiedy Lou pojawiła się z powrotem, w jednym ręku ścisnęła książkę telefoniczną, a w drugiej bezprzewodową słuchawkę.

- Halo? Cześć, Bert, mówi Lou Dineen. Czy mógłbyś przyjechać i odebrać mnie z domu za jakieś, hm, trzydzieści sekund?

Serce Tilly zamarło, kiedy dostrzegła wyraz twarzy dziewczynki.

- Nie, to za późno. Dobra, dzięki, pa. - Dziewczynka skończyła rozmowę, rzuciła książkę na kolana Tilly i powiedziała: - Odbiera jakiegoś klienta w Malmesbury. Masz jakiś inny numer? Boże, czemu to zawsze spotyka właśnie mnie?

Ósma nadeszła i minęła. Telefon w drugiej korporacji taksówkowej wciąż był zajęty, a w trzeciej czas oczekiwania wynosił półtorej godziny. Nesh, przyjaciółka Lou, wyjechała z rodzicami na weekend. Zdesperowana Tilly próbowała nawet zadzwonić do Erin, ale jej telefon był wyłączony.

- To takie niesprawiedliwe. - W wielkiej panice Lou przerzucała kolejne strony książki telefonicznej. - Myślisz, że możemy uznać tę sytuację za nagły wypadek? Czy policja miałaby mi za złe, gdybym wykręciła numer alarmowy?

Żartowała, ale z nietęgą miną. Telefon na kolanach Tilly nagle się rozdzwonił, więc odebrała szybko, modląc się, żeby to Erin odpowiadała na jej błagania.

- Halo?

To nie była Erin.

- Cześć, to ja. - Dziwnie było w tak histerycznej sytuacji słyszeć spokojny głos Jacka. - Wiem, że Maksa nie ma, ale przekaż mu, proszę, że jutro rano elektryk skończy robotę przy Etloe Road, więc koło południa Max może wchodzić z ekipą.

- Kto to? - Lou znalazła kolejną firmę taksówkarską i zaznaczyła numer palcem.
- Hm... Jasne. - Nieprzytomna Tilly odparła tylko: - To nie Erin.
- W takim razie kończ - zarządziła dziewczynka.
- A jeśli masz pod ręką długopis, znalazłem też numer do nowego dostawcy marmuru, który może się przydać Maksowi.
- Powiedz, że to sprawa życia lub śmierci. - Tilly dostała kuksańca w bok.
- Eee, nie mam długopisu.
- Wszystko w porządku? - spytał Jack.
- Hm... - Tilly nie mogła się skupić, kiedy Jack tak szeptał do jej lewego ucha, a Lou jak znerwicowana pszczoła mówiła coś do prawego. - Przepraszam, Jack, po prostu...
- JACK?! - Lou wydała z siebie okrzyk, po czym porwała komórkę Tilly, razem z jej uchem. - Czemu nic nie mówisz? Jack, gdzie jesteś? Samochód nie chce zapalić, ugrzęźliśmy pod domem, a ja mam dyskotekę...

Jaguar podjechał siedem minut później. Lou wpakowała się na przednie siedzenie i oświadczyła:

- Jesteś moją najbardziej ulubioną osobą na świecie.
- Wielkie dzięki. - Widok Jacka wzbudził w Tilly drżenie serca. - Nie wiedzieliśmy, co robić.
- Nie ma sprawy. Odwiozę Lou i wrócę sprawdzić, czy da się coś zrobić z waszym autem. Tilly zaczęła się jękać:
- N-nie, n-nie musisz, naprawdę. Serio. Max zadzwoni rano do warsztatu i...
- Przepraszam bardzo, czy możecie o tym podyskutować kiedy indziej? - Lou z niedowierzaniem kręciła głową. - Troszeczkę się śpieszę! Błagam już, jedźmy!

Rozdział 27

- Mój bohaterze! - odezwała się Tilly, kiedy trzydzieści pięć minut później wrócił Jack. - Moje życie byłoby nic niewarte, gdyby Lou ominęła jej wielka impreza. - Zerknęła na zegarek i dodała: - Prędko wróciłeś.

- Potrafię być szybki, jeśli muszę. No i Lou siedziała koło mnie, wrzeszcząc „Szybciej! Szybciej!”.

- W każdym razie - dzięki. Za to, że wróciłeś, także. Chociaż nie mam pojęcia, jak naprawisz samochód, skoro jest już ciemno. Nie mogę nigdzie znaleźć latarki.

- Ja też nie wiem, jak go naprawię, bo w ogóle nie znam się na samochodach. - Jack uśmiechnął się i podążył za Tilly do kuchni. - Zresztą nieważne, zostawimy to Maksowi. Wstaw wodę. Mamy czas do za dziesięć dziesiąta, ponieważ Lou zażądała, by ją odebrać dziesięć po.

- Nie musisz tego robić, wezwę taksówkę.

- Żaden problem. I tak nie mam dziś wieczorem nic innego do roboty. I moja stawka jest bardzo rozsądna.

Czy to była prowokująca uwaga? Czyżby oczekiwał, że Tilly zapyta go, jak może się odwdzięczyć?

- Kawa czy herbata? - spytała tylko.

- Kawa, czarna, kostka cukru. - Jack znów się uśmiechnął. - Zapominasz, jak ekscytujące są szkolne dyskoteki, gdy ma się trzynaście lat. Pamiętam, że podobała mi się wtedy pewna

dziewczyna, Hayley, i wciąż zastanawiałem się, jak mam ją odciągnąć od znajomych i pocałować.

Tilly podała Jackowi kawę i usiadła przy kuchennym stole.

- I co, udało się?

- O tak, byłem bardzo przebiegły. Powiedziałem Hayley, że dyrektor chce ją zobaczyć na zewnątrz, i muszę ją tam zaprowadzić.

- W istocie, przebiegły i uprzejmy. A co zrobiła Hayley, kiedy już ją pocałowałeś?

- Dalej żuła gumę i kazała sobie kupić colę. A nie, to nie całkiem prawda... - Jack zamilkł, przypominając sobie coś. - Kazała kupić colę sobie i trzem swoim przyjaciółkom.

Tilly roześmiała się.

- Kupiłeś?

- Skąd! Powiedziałem, że nie mam dość pieniędzy, na co ona odparła, że w takim razie nie stać mnie na nią. I poszła z powrotem na zabawę.

- A więc nie zawsze działałeś na kobiety. - Tilly podobało się, że Jack potrafi śmiać się z siebie.

- Pewnie, że nie. Pierwszych kilka lat było fatalnych. Ale człowiek szybko się uczy.

- Hayley była ładna?

- Bardzo. Choć oczywiście mam cichą nadzieję, że brzydko się starzeje.

- Tyle lat, a ty taki pamiętliwy. - Tilly, śmiejąc się, wymierzyła w Jacka łyżeczkę. - Musisz to wpisać na listę swoich życiowych doświadczeń i zapomnieć. Jak ja pewnego chłopaka, który wypaplał wszystkim w szkole, że wypycham sobie stanik chusteczkami.

- To okrutne - ocenił Jack. - Kiedy miałem piętnaście lat, chodziłem z jedną dziewczyną, która opowiedziała wszystkim koleżankom, jak potknąłem się pod kinem i wywaliłem jak długi.

Opowiadanie zabawnych historii o sobie było dobrym pomysłem, ale mimo to Tilly jakoś nie mogła się zmusić, by opowiedzieć o swojej przygodzie z Jasiem Fasolą. Niektóre rzeczy były po prostu zbyt osobiste, by się nimi dzielić.

- Miałam chłopaka, który zabrał mnie do domu, abym poznała jego mamę, i musiałam udawać, że bardzo smakuje mi zapiekanka, którą ona przygotowała na kolację. A była obrzydliwa, pełna jakichś grudek, jelit i chrząstek. - Tilly aż wzdrygnęła się na samą myśl. - Na dodatek jego mama gotowała to samo za każdym razem, kiedy do nich wpadałam. Mówiła: „Wejźdź i usiądź, zrobiłam twoje ulubione danie!”.

Jack skierował na Tilly swoją łyżeczkę.

- Chyba że po prostu uznała, że nie jesteś dość dobra dla jej kochanego syneczka i próbowała się ciebie pozbyć w ten sposób.

- O mój Boże, nigdy o tym nie pomyślałam! - Jakby odkryła Amerykę, Tilly radośnie klasnęła w dłonie. - A przecież kiedyś zrobiłam to samo! Kilka lat temu spotykałam się z pewnym facetem i gotowałam mu coraz okropniejsze posiłki, ale dopiero gdy nie wytrzymał i zwrócił mi uwagę, zdałam sobie sprawę, że robiłam to specjalnie!

Jack podniósł brew.

- To znaczy...?

- Nie chciałam już z nim być, ale nie chciałam też zranić jego uczuć. Nie jestem taka jak ty - odparła. - Nie lubię być tą, która kończy związki.

- Jasne, lepiej zostawić facetowi całą brudną robotę, żebyś nie miała potem wyrzutów sumienia. - Jack sprawiał wrażenie rozbawionego. - A co się dzieje, jeśli oni mimo wszystko z tobą nie zerwą? Jeśli nie chcą cię zostawić?

Wzruszyła ramionami.

- Robię się coraz bardziej paskudna i paskudna, aż w końcu nie wytrzymują.

Jack sięgnął po kawę.

- I to właśnie stało się z twoim ostatnim facetem? Max opowiedział mi, jak któregoś dnia

wróciłaś z pracy i zobaczyłaś, że wyprowadził się z waszego mieszkania.

Hm, czy to oznacza, że Jack wypytywał o nią Maksa?

- Tak właśnie zrobił - przyznała.

- Bo byłaś dla niego paskudna?

- Nie nazwałabym siebie „paskudną”. Po prostu... nieco się oddaliłam.

- A więc to dlatego nie martwiłaś się zbytnio, kiedy zniknął.

- Na to wygląda. - Tilly napiła się kawy. - On po prostu nie był... Tym jedynym. Rany, ale to jest pokrecone, prawda? Postawisz obok siebie dziesięć tysięcy facetów i od razu wiesz, że dziewięć tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu zupełnie do ciebie nie pasuje. Zostaje ci dziesięciu sensownych i musisz ich po kolei wyeliminować. A kiedy wydaje ci się, że wszystko idzie dobrze, że jeden z nich jest dla ciebie idealny, wtedy on robi albo mówi coś głupiego, a ty nagle zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie będziecie razem.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy tak o tym nie myślałem. Że trzeba odrzucić dziesięć tysięcy facetów, zanim znajdzie się tego właściwego. Trudny wybór, prawda?

- I nie chodzi o to, żeby po prostu znaleźć kogoś na jedną randkę. Mówię o tej jedynej osobie, z którą spędzisz resztę życia. Zresztą z wiekiem stajesz się coraz bardziej wybredny. - Tilly próbowała wyjaśnić, co ma na myśli. - Kiedy byłam w szkole, wszystkie dziewczyny wyobrażały sobie, że wychodzą za męża za któregoś z trzech, czterech najprzystojniejszych facetów w klasie. Ćwiczyłyśmy nawet nasze nowe podpisy w zeszytach. Hm, Nick Castle jest całkiem fajny, jak będzie brzmiało „Tilly Castle”? Albo Liam Ferguson z tymi swoimi długimi rzęsami. Tak, spróbujmy zapisać i to: „Tilly Ferguson”... - Udawała, że ozdabia podpis zawijasem. - Hej, wygląda świetnie, zdecydowanie powinniśmy się pobrać!

- Widzisz, to jest charakterystyczne dla facetów. My nigdy nie robimy takich rzeczy - zauważył Jack z poważną miną.

- Cóż, nie wiecie, co tracicie. To niezła zabawa. Można robić jeszcze inne fajne rzeczy, które wskażą, z kim możesz się związać. Na przykład wypisuje się oba imiona i nazwiska jedno nad drugim, następnie wykreśla wszystkie litery, które się w nich powtarzają, potem dodaje te, które zostały, i dzieli się ostateczną liczbę chłopaka przez liczbę dziewczyny, a jeśli wychodzi liczba bez ułamka, to jesteście idealną parą.

Jack zrobił dziwną minę.

- Żartujesz sobie. Naprawdę tak robiłaś?

- Wiele, wiele razy. - A teraz znów zaczynała podobnie kombinować. - Gdy się nie otrzymało żądanej odpowiedzi, można było dowiedzieć się, jakie jest drugie imię chłopaka, dodać je do równania i zacząć od nowa.

- Moment. - Jack zdawał się jeszcze bardziej zaskoczony. - Przecież dziewczyny w szkole też ciągle pytały mnie o drugie imię!

- Teraz wiesz dlaczego. Właśnie tak liczyły. Ale dzięki tym wszystkim obliczeniom - tłumaczyła Tilly - miałyśmy dobre stopnie z arytmetyki.

- Dziewczyny wciąż to robią? - spytał rozbawiony Jack.

- Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Możemy spytać Lou. - Uśmiechnęła się Tilly.

- Wiem, czyje imię i nazwisko ona będzie analizować. Eddiego Marshalla-Hicksa.

- Lou ma chłopaka? - Jack znów wyglądał na zaskoczonego.

- Jeszcze nie. Gdybyś ją zapytał, powie ci, że go nienawidzi. Ale widziałyśmy ich razem pod szkołą - opowiadała Tilly. - Wyglupiają się, flirtują, jak to dzieciaki - gonią się i udają, że nic między nimi nie ma. To słodkie - wyraźnie się sobie podobają, ale oczywiście za żadne skarby nie chcą się do tego przyznać.

Jack ze zrozumieniem pokiwał głową, po czym przechylił ją na bok, by spojrzeć na Tilly.

- Robiłaś tak kiedyś?

Chwila, chwila, czy to podchwytliwe pytanie? Chodziło mu o tutaj? Teraz? Z nim?

- Pewnie, że tak - nonszalancko przytaknęła. - Kiedy miałam piętnaście lat, zakochałam się w chłopaku, który jeździł ze mną rano autobusem. Zerkał na mnie, a ja patrzyłam na niego. Trwało to tygodniami, wiedziałam, że mu się podobam. Potem zaczął się uśmiechać, mówić „cześć”, i każdego ranka prawie mdlałam z podekscytowania. Nic o nim nie wiedziałam, ale stał się dla mnie całym światem. Wyobrażałam sobie, że będziemy razem na wieczność. Pobierzemy się, urodzę mu trójkę dzieci - dwie dziewczynki i chłopca. I każdego dnia wymyślałam coraz to nowe teksty, by do niego zagadać. Ale zamiast tego siedziałam nieruchomo i czekałam, aż to on zrobi pierwszy ruch - bo co by się stało, gdybym podeszła, a on zacząłby się śmiać? - Jejku, skąd jej to teraz przyszło do głowy? Nie myślała o tamtym chłopaku od stu lat.

- I co się stało?

- Nic. Przez kolejne miesiące co rano jeździliśmy razem. Aż pewnego dnia go nie było i już nigdy więcej się nie widzieliśmy. - Tilly ze smutkiem pokręciła głową. - Lubię myśleć, że porwali go kosmici. Nie mogłam uwierzyć, że tak po prostu zniknął i nie dał mi znać, dokąd wyjeżdża. W końcu wmówiłam sobie, że pewnie jego rodzice postanowili wyemigrować, ale do ostatniej chwili nic mu nie powiedzieli, tylko wsadzili do samolotu, więc nie miał nawet szansy się ze mną pożegnać. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jaką wpadłam depresję. Ogromną!

- A nie poznałaś nawet jego imienia. Gdyby to się zdarzyło w filmie, wpadlibyście na siebie kilka lat później.

- Niestety, to nie był film i tak się nie stało. Dostałam za to nauczkę. Łap okazję i nie marnuj kolejnych szans. Nie pozwól, by coś ci uciekło.

- Dlatego zdecydowałaś się pracować dla Maksa i zamieszkać w tym domu. Cieszysz się, że to zrobiłaś, prawda? - Jack usiadł na krześle, a w jego ciemnych oczach tliły się ogniki. - Znaczą, że miałaś rację.

Onieśmielona jego wzrokiem Tilly spytała:

- A ty, kiedy byłeś w szkole, przeżyłeś kiedyś taką sytuację, że jakaś dziewczyna naprawdę ci się podobała, ale nie wiedziałeś, jak jej to powiedzieć?

Przechylił kokieteryjnie głowę.

- Bo mogła mnie odrzucić? O, tak.

- Serio? To takie słodkie. Nie przypuszczałam, że możesz się przyznać.

- Słodkie? - Jack zrobił przerażoną minę.

- Przykro mi, ale tak jest. Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie zdenerwowanego, nawet w szkole.

- Ale tak było.

- I co się stało? Najpierw flirtowaliście, a potem zebrałaś się na odwagę, żeby się z nią umówić?

Pokiwał smutno głową.

- Tak. Ale ona wyjaśniła mi, że nie byłby to dobry pomysł, skoro uczyła mnie matematyki.

Tilly ledwie udało się nie rozlać kawy.

- Nauczycielka! Ile miała lat?

- Dwadzieścia pięć. A ja siedemnaście. No i mnie odrzuciła. - Jack zamilkł na chwilę. - Za to trzy lata później, ni z tego, ni z owego, zadzwoniła do mnie i zaproponowała, żebyśmy się wybrali na drinka. Trochę to zajęło, ale w końcu się spotkaliśmy.

Za piętnaście dziesiątą, zostawiwszy Betty śpiącą w koszyku, wyjechali, by odebrać Lou.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiła. - Kiedy pędzili wiejską drogą, Tilly wyobrażała sobie akcję w szkolnej auli. - A co, jeśli Eddie poprosił ją do tańca? A jeśli nie poprosił? A jeśli puścili wolny kawałek i wszystkie koleżanki Lou poszły tańczyć, a Eddie był zbyt nieśmiały, by podejść? - Skrzywiła się, gdy kolejna myśl przyszła jej do głowy. - A co, jeśli

poprosił jakąś inną dziewczynkę? O Boże, biedna Lou, została tam sama, podpierając ściany i udając, że jej nie zależy...

- Tobie chyba się to przytrafiło.

- Może raz. Albo dwa. Zamknij się - zareagowała Tilly na uśmiech Jacka. - To okropne uczucie. A chłopcy potrafią czasem być ostatnimi świniami i ignorują cię specjalnie, bylebyś tylko poczuła się gorsza. Nic nie wiemy, a może Lou przeżywa teraz męczarnie, patrząc, jak wszyscy tańczą przytulańca, a ona próbuje nie płakać... Co robisz?

Rozdział 28

Byli jeszcze dwadzieścia kilometrów od Harleston Hall, kiedy Jack nagle zwolnił. Zjechał na zarośnięte krzakami poboczne, zatrzymał się i wyłączył światła. Czyżby wypił za dużo kawy? Szukał jakiegoś żywopłotu, żeby się wysikać? Bo jeżeli tak (a przecież wyjechali z Beech House dopiero dziesięć minut wcześniej), należało to do kategorii „drobiazgów, które dyskwalifikują mężczyzn na dobre”. Może to niesprawiedliwe, ale trudno. I może z jednej strony rozczarowujące, ale z drugiej strony lepiej, że stało się to wcześniej, a nie później.

Klik. Jack odpiął swój pas i odwrócił się, by spojrzeć na Tilly. W zupełnej ciemności widziała tylko zarys jego twarzy i błyszczące oczy. Dlaczego się nie odzywał? Pewnie się wstydził - słaby pęcherz raczej nie jest w stylu macho, prawda? Raczej nikt się tym nie chwalił.

Aby wybawić Jacka z kłopotu, powiedziała cicho:

- W porządku, nie będę patrzeć.

- Słucham? - odezwał się po chwili milczenia.

- Wsiadasz?

- Po co?

O Boże, czyżby teraz go obraziła? Miał zamiar udawać, że nie wie, o co jej chodzi? Czemu mężczyźni zawsze muszą być tacy dumni?

- Słuchaj, to ty zatrzymałaś samochód. Musimy odebrać Lou, pamiętasz? Nie wstydź się - odparła. - Nie ma czego. Jeśli musisz iść, to idź.

Jack zaśmiał się i pokręcił głową.

- O to ci chodziło? Rany, i kto tu mówi o niejasnych aluzjach. Z pęcherzem akurat nie mam problemów.

- Aha. No... i dobrze. - Tilly poczuła się głupio, więc zmieniła temat. - Ale musimy jechać już do szkoły. Lou będzie się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

- Albo świetnie się bawi i modli się, żebyśmy nie przyjechali zbyt wcześnie.

- Ale...

- Tilly, nie będziemy siedzieć tu przez następne dwie godziny, bawiąc się w szarady. Chciałem w końcu przestać, choć na kilka minut. A ty właśnie zmarnowałaś przynajmniej dwie z nich, próbując wygonić mnie z samochodu.

- Nie chciałam cię wyganiać - oznajmiła obojętnie Tilly. - Chciałam tylko pomóc.

Głos Jacka zmienił barwę.

- Pomogłabyś bardziej, gdybyś przestała wysnuwać pochopne wnioski.

Powiedziawszy to, zapalił silnik, wyjechał zgrabnie na drogę i ruszył do Harleston Hall. Zanim Tilly zdążyła jakoś zareagować. Jeśli nawet przez głowę przemknęły jej ciekawe odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jack się zatrzymał, to swoim ostatnim zdaniem zniweczył wszelkie jej nadzieje. Jakby Święty Mikołaj wmaszerował do sypialni z workiem prezentów

dla ciebie, pokazał ci je i zwiął. Tilly czuła, że ktoś spuścił z niej powietrze. A teraz miała się już nigdy nie dowiedzieć, czy Jack zrobiłby to, co miała nadzieję, że chciał zrobić.

Samochód przyspieszył tak, że żywoplot przy drodze stał się tylko zieloną smugą, a przerośnięte gałęzie obijały się o jego drzwi. W ciągu dwudziestu sekund dojechali do następnego skrzyżowania i skręcili w lewo, w Harleston Road. Tilly podskoczyła przestraszona, kiedy w świetle reflektorów pojawiła się nagle ćma, która chwilę później odbiła się od przedniej szyby. Biedny owad, niezbyt ciekawe zakończenie wieczoru. Brzmi znajomo... Było pięć po dziesiątej, dotrą do celu za...

- Chrzańić to. - Jack zniemacka wcisnął hamulec. Tym razem nie miał gdzie skręcić, zatrzymał się więc w zatoczce i wyłączył silnik. - D l a t e g o się przedtem zatrzymałem.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Na ten pocałunek Tilly czekała od miesiący. Święty Mikołaj jednak wrócił, przynosząc wszystkie prezenty. Czuła usta Jacka, jego palce gładzące jej szyję, włosy opadające na jej lewy policzek... Rany, ależ on całował! Jakby połknęła ją wielka fala i niosła na swoim grzbiecie w niekończącej się przejażdżce.

Hm, niestety nie całkiem „niekończącej się”. Po dłuższej chwili jednak przestał. Bardzo próbując złapać oddech i nie wyglądać na zbyt zachwyconą, Tilly spytała:

- A to za co?

- A tak, z ciekawości. - Jack zdawał się uśmiechać. - Tylko mi nie mów, że ty też nie byłaś ciekawa.

Jak niby miała normalnie oddychać, skoro jej serce biło teraz szybciej niż hiszpańskie kastaniety? I jak miała się swobodnie odezwać, skoro cała drżała, wciąż czując usta Jacka na swoich? Czy działał tak na wszystkie kobiety, które całował?

Powoli wypuściła powietrze. Podświetlony zegar na desce rozdzielczej wskazywał, że jest prawie dziesięć po dziesiątej.

- Musimy odebrać Lou.

- Masz absolutną rację. - W ciemności dostrzegła, że Jack kiwnął głową.

Dyskoteka dobiegła już końca. Sznurowadła samochodów parkował wzdłuż ulicy przy Harleston Hall, a grupy nastolatków snuły się koło szkoły, czekając na rodziców. Pierwszą osobą, jaką rozpoznała Tilly, był Tom Lewis, tym razem bez dresu, pilnujący grupy podekscytowanych uczniów i obejmujący ramieniem uderzająco piękną dwudziestokilkuletnią brunetkę.

- Tam, na schodach, stoi facet, który uczy Lou WF-u. - Tilly wskazała mężczyznę. - To pewnie jego dziewczyna. Lou nam o niej mówiła. Ooo, tam jest i Eddie!

- Który to?

- Ten w czarnych obcisłych dżinsach i koszulce z Jackiem Chanem. - W tej chwili Eddie odłączył się od kolegów, z którymi rozmawiał, i podbiegł do stojącej niedaleko grupki dziewcząt. - A tam jest Lou, za tą dziewczyną w różowej spódnicy. Podchodzi do niej... Aj, nie pozwól, by nas zobaczyła!

Utknęli w wolno poruszającej się kolejce samochodów, więc Jack niewiele mógł zrobić, by się ukryć. Tilly skuliła się na siedzeniu i patrzyła przez palce. Jeśli mieliby się przytulać, Lou umarłaby ze wstydu, gdyby wiedziała, że ktoś patrzy.

Ale przytulania nie było. Eddie powiedział coś do Lou, ona odpowiedziała, i koniec. Chłopak wrócił do swoich kolegów, a Lou odrzuciła głowę i odwróciła wzrok, nonszalancko obojętna. O rany, pomyślała Tilly, oby się tylko nie pokłócili.

W końcu dotarli do szkoły. Jack nacisnął klakson, a Lou, dostrzegłszy ich, podbiegła i rzuciła się na tylne siedzenie.

- Cześć wam!

Hm, wyglądała na zadowoloną. Tilly odwróciła głowę, żeby spytać:

- Dobrze się bawiłaś?

- Cudownie. Wypiłam trzy pepsi i zjadłam dwie paczki chipsów.

Pięknie.

- Chyba nie serowo-cebulowych? - Tilly wiedziała, że to ulubiony smak Lou, ale który chłopak chciałby się całować z dziewczyną śmierdzącą cebulowymi chipsami?

- Nie mieli takich. Tylko solone.

- Tańczyłaś trochę?

- Jasne! - wesoło odparła Lou. - Szkoda, że nie widzieliście Gemmy: pokazywała krok księżycowy na parkiecie! A potem didżej zaczął grać muzykę z *Grease* i wszyscy ćwiczyliśmy układy z filmu. Było fantastycznie.

- Chłopcy też tańczyli? - No, no, sporo się zmieniło, odkąd Tilly chodziła do szkoły. Wyobraziła sobie zabawę, tańce, śpiewy, flirtowanie - jak w musicalu. Czy Eddie był dla Lou jak Danny Zuko?

- Chłopcy? Mieliby tańczyć do muzyki z *Grease*? Chyba żartujesz! - Lou była wyraźnie oburzona. - Stali i podpierali ściany. Chłopcy z naszej szkoły woleliby rozebrać się do naga i dać się pomalować na różowo, niż zrobić coś takiego.

- Aha. Ale kiedy zaczęły się wolne tańce, chyba ruszyli się spod tych ścian?

Lou rzuciła Tilly typowe spojrzenie trzynastolatki, które sugerowało, że jest absolutnie zażenowana takim pytaniem.

- Oczywiście, że nie! Kilka starszych osób tańczyło, nikt więcej. Pan Lewis ze swoją dziewczyną, pani Thomsett z mężem, który miał brodę i wyglądał, jakby był baaardzo nieszczęśliwy. Nikt więcej. Didżej spytał, czy chcemy jeszcze jeden wolny kawałek, ale wszyscy krzyknęli, że nie, więc puścił *Girls Aloud* - hurra! - i wszyscy totalnie odjechali!

- A więc żadnego przytulania. - Jack spojrzał ukradkiem na Tilly.

- Pewnie, że nie.

Uśmiechnął się.

- Może następnym razem ci się poszczęści.

- Faj, a kto by się chciał przytulać z którymkolwiek chłopakiem z naszej szkoły? Oni wszyscy są obrzydliwi.

Tilly nie mogła się powstrzymać i spytała:

- Nawet Eddie?

- Rany, nie zaczynaj znowu, proszę. Nie znoszę go - odparła szorstko Lou. - Jest okropny. Gdybym utknęła na bezludnej wyspie z Eddiem, zrobiłabym z niego łódkę.

Dwadzieścia minut później dotarli do Beech House.

- Dzięki, Jack. - Lou uściskała go wylewnie i pocałowała w policzek. - Gdybyś nie przyszedł nam na ratunek, straciłabym cały wieczór.

Patrzyli, jak dziewczynka wbiega do domu, aby przywitać się z Betty, która obudziła się i szaleńczo szczekała na nich z kuchennego okna.

Tilly wygramoliła się z auta i powiedziała:

- Tak, dzięki za pomoc.

Jack uśmiechnął się lekko.

- Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie.

Hm, to była niezręczna chwila. Lou, wszedłszy do domu, stała teraz w oświetlonym oknie, trzymając Betty w górze i machając jej łapkami. Widząc, że jest obserwowana, Tilly dodała:

- Może wejdiesz na jeszcze jedną kawę? Zapraszamy.

- Dzięki, ale lepiej pojedę do domu. Mam trochę papierkowej roboty.

Skinęła głową. Jasne, na pewno chodziło o papierki. Czy Jack także miał w pamięci to uczucie, kiedy ich wargi zetknęły się po raz pierwszy? Boże, a może jemu ten pocałunek wcale się nie spodobał?

- Dobrze, jasne. Jeszcze raz dzięki za podwiezienie.

Lou i Betty wciąż do nich machały. Jack odmachął, a potem zwrócił się do Tilly i spojrzał

jej w oczy.

- O co chodzi? - Musiała powiedzieć cokolwiek, aby przerwać tę ciszę.

- Pytałaś wcześniej, czy kiedykolwiek miałem problem, by powiedzieć dziewczynie, że mi się podoba.

Żołądek Tilly wywinął potrójne salto i zawisł w przestrzeni.

- Powiedziałeś mi o tej nauczycielce.

- Ale chodzi też o ciebie. - Jack uśmiechnął się nieznacznie.

Żołądek Tilly wciąż nie wykazywał chęci powrotu na miejsce. Czując suchość w gardle, wydusiła tylko:

- Aha.

- Brzmi jak kiepski podryw, prawda? - spytał ponuro. - Taki tekst, którego nie bierze się na poważnie, bo przecież nie mogę mówić serio, bo mi nie ufasz, bo mam fatalną reputację i pewnie fundowałem go już setkom innych kobiet.

Oprócz ucisku w żołądku Tilly czuła także, jak w gardle rośnie jej wielka gula. Tym razem udało się jej powiedzieć:

- Tylko setkom?

Wzruszył ramionami i zapalił silnik.

- Widzisz? A co, jeśli nikomu tego nie mówiłem? A co, jeśli to prawda?

Czy Jack naprawdę sądził, że Tilly uwierzy, iż on mówi prawdę? Może jeszcze oczekiwał, że odpowie na jego pytanie? Tilly trzymała się otwartych drzwi, aż zbieleły jej kostki.

- No i? - spytał Jack.

Do diabła, naprawdę tego oczekiwał!

- Powiedziałabym, że masz coś do udowodnienia.

- W porządku. - Znów się uśmiechnął. - To ma sens. Sprawdźmy, jak bardzo potrafię być przekonujący.

Rozdział 29

Erin nie widziała Kaye od jej ostatniej wizyty w domu, w Boże Narodzenie. Ucieszyła się, kiedy przyszły z Tilly do sklepu, i mogła opowiedzieć Kaye całą historię Strasznej Stelli, podczas gdy przyjaciółka w przebieralni próbowała się wcisnąć w sukienkę zawiązywaną na plecach - śliczną, ale o jakieś dwa rozmiary za małą.

- Stella? Nie widziałam jej, od kiedy wróciłam - skrzywiła się Kaye. - Ale wiesz co? Ona zawsze mnie stresowała. Kiedyś poszłam do jej sklepu i wyszłam stamtąd z numerem kosmetyczki od regulowania brwi. Poczulałam się po prostu bosko, mówię ci.

- Ani trochę się nie zmieniła. Tyle że mnie wołałaby dać numer miejscowego kata. A Fergus jest cudowny... - westchnęła Erin. - Tak nam dobrze razem, a nie możemy cieszyć się sobą, bo bezustannie zastanawiamy się, jaki numer wykręci Stella.

- Nie mogę się wcisnąć w tę sukienkę! - wysapała Tilly zza drzwi przebieralni. - Jest za mała! Nie uszyli jej na kobietę, tylko na lalkę Barbie.

- Może porwać Maksa i zmusić go do uprawiania seksu - zaśmiała się Kaye.

- O rany, tylko nie to - jęknęła Erin. Dowiedziała się o przygodzie Maksa dopiero po awanturze w aptece. - Tak mi przykro, że jego też w to wciągnęła.

- Nie martw się o Maksa, on potrafi o siebie zadbać. O, czy to szalik od Von Etdorfa? - Kaye zawiązała sobie wyszywany, jasnożółty aksamitny szal wokół szyi. - I nie czuj się winna z powodu Stelli. Przez lata traktowała Fergusa jak ścierkę do podłogi. - Przejrzała się w

lustrze. - Podoba mi się.

- I do twarzy ci w tym kolorze. - Erin nie musiała reklamować szala; mówiła prawdę.

- Ha, pamiętam, co kiedyś powiedziała mi Stella: „Biedactwo, jesteś taka błada. Na pewno chciałabyś mieć tak opaloną skórę jak ja”. Dobra, wezmę ten szal. Wiesz, w kupowaniu w takich sklepach jak twój cudowne jest to, że nigdy nie mam wyrzutów sumienia, bo wszystko jest takie tanie.

- No i jest to jakaś forma recyklingu. - Bezcielesny głos Tilly dobiegał wciąż z przebieralni.

- Jak ci tam idzie? - spytała Erin.

- Kiepsko.

- Czekaj, mam tu coś, co ci się spodoba. Dostałam dzisiaj rano. - Wróciwszy z zaplecza, Erin przyniosła wiązaną na szyi jasnoróżową jedwabną sukienkę, wyszywaną pod biustem perełkami. Podała ją przyjaciółce przez drzwi. - Przymierz tę.

Tilly wyszła chwilę później. Sukienka pasowała do jej karnacji i leżała jak ulał. Erin klasnęła w dłonie.

- Uwielbiam swoją pracę! Wyglądasz... bosko.

Rumieniąc się z radości, Tilly odparła:

- Miałam wczoraj atak paniki. Byliśmy w domu Jamiego Michaela i Tandy zaczęła mnie wypytywać, co włożę na ich przyjęcie. Potem odebrała telefon od innej panienki jakiegoś piłkarza i słyszałam, jak mówi, że najbardziej boi się, by nikt nie przyszedł ubrany jak ze sklepu przy High Street.

- Okropna! - oburzyła się Kaye. - Ja bym zrobiła jej na złość.

- Wiem, ale nie chodzi o mnie, prawda? To zlecenie Maksa i nie chcę wszystkiego zepsuć.

- W Stanach mam tyle przepięknych sukienek. - Przypomniała sobie z żalem Kaye. - Właściwie i tak mogę je wszystkie sprzedać, bo minie przynajmniej pięćdziesiąt lat, zanim ktokolwiek zaprosi mnie na jakieś przyjęcie.

- Jedziemy na tym samym wózku, prawda? - spytała Erin ze współczuciem. - Obwiniają nas za coś, czego nie zrobiłyśmy.

- Ale ty miałaś szczęście, przynajmniej Fergus jest przy tobie. A spójrz na mnie - mówiła Kaye. - Moja kariera legła w gruzach, mieszkam w domku dla lalek, a ostatnim mężczyzną, jaki się mną zainteresował, był ten zezowaty dziadek, który zbiera wózki w supermarkecie.

- Nie tylko on - zaprotestowała Tilly. - Jest jeszcze ten wielbiciel, od którego dostałam czekoladki.

- Których nawet nie mogłam zjeść. Zresztą on mieszka tysiące kilometrów stąd. I nigdy się nie poznaliśmy. - Kaye wyliczała na palcach. - Więc on się nie liczy.

- Przez ciebie będę się czuła winna, że chcę się z wami podzielić dobrymi wiadomościami. - Erin wyciągnęła spod lady katalog biura podróży. Zwinęła go w rulon i pacnęła Tilly po głowie, żeby przyjaciółka przestała w końcu przyglądać się swemu odbiciu w wielkim lustrze. - Hej, słuchasz mnie? Jadę na wakacje!

Tilly przebudziła się.

- Co? Ale przecież od lat nigdzie nie wyjeżdżałaś.

- Właśnie! - Erin uśmiechała się jak wariatka. - Fergus mnie zabiera.

- Zawsze mówiłaś, że nie stać cię, by zamknąć sklep.

- Tak, ale tym razem po prostu to zrobię. Potrzebujemy urlopu. Wyobraź sobie: przez cały tydzień nie będziemy się martwić o Straszna Stellę. Zgadnijcie, dokąd jedziemy?

- Na błotniste pole namiotowe w północnej Walii.

- Blisko. Do Wenecji!

- O rany!

- To już - oceniła Kaye - jest poważnie romantyczne.

- Wiem - radośnie potwierdziła Erin. - Zawsze chciałam tam pojechać, jestem taka

podekscytowana. Popatrzcie, tu będziemy mieszkać: w starym *palazzo* z widokiem na Canal Grande. - Z entuzjazmem pokazywała im hotel w katalogu. - Z czternastego wieku, widok na most Rialto, mają nawet ogród na dachu.

- Brzmi fantastycznie. - Tilly uściśnęła rękę przyjaciółki. - Zasłużyłaś sobie.

- Kiedy Fergus mi powiedział, rozplakałam się - przyznała Erin. - Wyjeżdżamy na tydzień, pod koniec miesiąca. Nie mogę się już doczekać.

- Zamykasz sklep? - spytała Kaye, kiedy Tilly znów zniknęła w przebieralni, aby zdjąć nową sukienkę.

Erin skinęła głową. Wprawdzie poprosiła o pomoc Barbarę, która poprzednio pomagała jej w takich sytuacjach, ale tym razem znajoma nie mogła zająć się sklepem.

- Nic nie szkodzi, w końcu to tylko tydzień.

- Bo wiesz, mogłabym poprowadzić sklep w czasie twojej nieobecności. Jeśli chcesz - dodała Kaye, widząc zdziwienie na twarzy Erin.

- Mówisz poważnie?

- Czemu miałabym żartować?

Erin w podnieceniu zamachała rękami.

- Przepraszam, po prostu się tego nie spodziewałam. To znaczy... Kaye, jesteś hollywoodzką gwiazdą. To tak, jakbym weszła na pocztę, a znaczki sprzedawałyby tam Joan Collins.

- Tyle że Joan wciąż robi karierę - zauważyła Kaye - a ja nie. Przez nieokreślony czas nikt mnie nie zatrudni. A siedzenie i nicnierobienie doprowadza mnie do szału. Z chęcią poprowadzę twój sklep przez tydzień, jeśli masz do mnie zaufanie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Lubię ciuchy. A tutaj jest miło i spokojnie.

- Chyba że wpadnie Stella i zacznie cię obrzucać stekiem wyzwisk. Ale nie bój się - pośpiesznie wyjaśniła Erin - tego nie zrobi. W końcu to na mnie jest cięta.

- O nic się nie martw. Rety, już tak późno? Mam wizytę u fryzjera. - Płacąc za żółty szalik, Kaye dodała z goryczą: - Widzisz? Na tym spędzam dni - na farbowaniu odrostów i przyciemnianiu rzęs. Smutne, co?

Rozległ się dzwonek telefonu Tilly. Wygrzebała komórkę z torebki i odebrała.

- Witam, nazywam się Heron, dzwonię ze szkoły Harleston Hall.

- O, dzień dobry. - Pani Heron, wysoka i przerażająca, była dyrektorką szkoły Lou. Tilly podświadomie wyprostowała się i słuchała uważnie. - Czy wszystko w porządku?

- Louisa czuje się dobrze. Ale obawiam się, że doszło do pewnego... zajścia. - Pani Heron z rozwagą dobierała słowa. - Próbowałam się skontaktować z matką Louisy, ale nie odbiera telefonu.

- Och, ale ona jest tu ze mną! - Zakrywając ręką mikrofon, Tilly spytała Kaye: - Gdzie jest twoja komórka?

- W domu, ładuje się. Kto to?

- Pani Heron. - Tilly szybko wcisnęła telefon w dłonie Kaye.

- Halo? Tu mama Lou. Co się stało?

Tilly i Erin obserwowały twarz Kaye, która w skupieniu słuchała dyrektorki. W końcu powiedziała:

- Już jedziemy. - I rozłączyła się.

- Co to za „zajście”? - Tilly czuła gulę w gardle.

- Dyrektorka powiedziała, że wszystko nam wyjaśni, kiedy dotrzemy do szkoły. Ale to ma coś wspólnego z Eddiem Marshalllem-Hicksem.

- Co? - Matko, Lou ma tylko trzynaście lat. Chyba nie zrobiła niczego, co miałyby związek z seksem? - Czy oni... hm, całowali się? - Ale to chyba nie uzasadniałoby telefonu od dyrektorki?

- Nie wiem. Chyba nie o to chodzi. - Zaskoczona i zdezorientowana Kaye dodała: - Powiedziała, że doszło do jakiejś kłótni.

Kłótnia. Cóż, to nie brzmiało jak pocałunek.

- Lepiej zadzwońmy do Maksa. - Tilly sięgnęła po telefon, ale Kaye wyrwała jej komórkę.

- Nie, nie dzwoń. Pani Heron prosiła, żeby tego nie robić. Lou nie chce, aby wiedział.

Rozdział 30

- Cofam to, co mówiłam o spędzaniu wolnego czasu. - Zadzwonivszy do fryzjera, by odwołać spotkanie, Kaye puściła teraz wodze wyobraźni. - Jeśli ten chłopak próbował czegoś z Lou, każę go aresztować. Albo nie, uduszę go gołymi rękami!

W rekordowym czasie dojechały do Harleston Hall. Tilly z piskiem opon zatrzymała się przed wejściem, wyskoczyła z auta i pobiegła za Kaye po kamiennych stopniach.

Sekretarka czekała na nie w portierni. Zaprowadziła je do wysokiego pokoju z kasetonami na suficie. Był to gabinet dyrektorki.

- O mój Boże, kochanie... Co on ci zrobił?

Twarz Lou była blada i zmęczona. Koszulka - porwana i ubrudzona błotem, a w czarnych rajstopach widniały wielkie dziury. Szlochając, Kaye przebiegła przez pokój i przytuliła córkę.

- Och, skarbie, nie martw się, zaraz wezwiemy policję. Ten chłopak za wszystko zapłaci, pożałuje, że się w ogóle urodził...

- Pani Dineen... To znaczy, pani McKenna, czy pozwoli mi pani coś powiedzieć? - Astrid Heron, niczym tyran siedzący za biurkiem, skinieniem głowy zasugerowała, by Kaye usiadła obok córki. - Powinna się pani uspokoić i uważnie posłuchać tego, co...

- Uspokoić? USPOKOIĆ? Jak pani może tak mówić? - zawodziła Kaye. - Moja córka została pobita i trzeba natychmiast wezwać policję!

- Mamo, to nieprawda - odezwała się Lou.

- Ale... ale... - Kaye patrzyła z niepokojem to na córkę, to na panią Heron, to na Tilly. - Pani powiedziała, że doszło do kłótni.

Pani Heron odparła ponuro:

- Zgadza się. I niestety, rozpoczęła ją pani córka. Przypuściła poważny fizyczny atak na innego ucznia i obawiam się, że musi ponieść tego konsekwencje...

- Chwileczkę, chce pani powiedzieć, że moja córka kogoś zaatakowała? Lou! - Potrząsając głową z niedowierzaniem, Kaye spytała: - Czy to prawda? Naprawdę biłaś się z inną dziewczynką? O Eddiego Marshalla-Hicksa?

- Nie, mamu, nie. - Lou z desperacją pokręciła głową. - Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć? Oczywiście, że nie biłam się z inną dziewczyną!

- To Edward Marshall-Hicks został przez nią pobity - oświadczyła dyrektorka.

- Słucham?

- Podbiłam mu oko. - Lou nie miała wyrzutów sumienia. - I prawie złamałam mu nos.

Psiakość! Tilly, przyglądając się sytuacji z przeciwległego kąta, usłyszała w głosie Lou, że jest z siebie dumna.

Kaye zakryła dłonią usta.

- Ale dlaczego? Czemu to zrobiłaś?

- Bo sobie zasłużył.

- Ale... Myślałam, że go lubisz.
- Mamo, mówiłam ci, że go nie znoszę. To drań.
- Louiso! - zagrzmiała pani Heron. - Czyżbyś nie miała już dosyć kłopotów? Nie będę w tej szkole tolerować takiego języka.
- A co tam, i tak mnie pewnie wyrzucą. - Lou wzruszyła ramionami i założyła ręce. - Właściwie może od razu posprzątam szafkę i odejdę?
- Przestań! - Kaye prawie wychodziła z siebie. - Przestań gadać bzdury i powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś.
- Dobrze, naprawdę chcesz wiedzieć? Dlatego, że już od dawna musiałam znosić żałosne komentarze tego kompletnego debila, a uwierz, że opowiadał paskudne rzeczy, więc dzisiaj uznałam, że dłużej tego nie zniosę. Kazałam mu przestać. - Lou podniosła głos. - A on tylko się zaśmiał. Więc zmusiłam go, żeby przestał. I nie każ mi się kajać, bo niczego nie żałuję. Nie znoszę Eddiego Marshalla-Hicksa i dzisiaj dałam mu nauczkę. Zasłużył zresztą na każdy cios.
- Kochanie, co takiego wygadywał ten chłopak? Wyśmiewał się z twoich włosów? - Zdenerwowana Kaye pytała dalej: - A może z twoich piegów?
Lou zagryzła wargi i nic nie odpowiedziała.
- Louiso! - Pani Heron przybrała dyrektorski ton nieznoszący sprzeciwu. - Musimy to wiedzieć.
- Dobrze. Nie chodzi o moje rude włosy ani o piegi. Może nie uwierzycie, ale nie chodziło nawet o to, że jestem płaska, mam krzywe nogi i wystające kolana. Jeśli naprawdę musicie wiedzieć - oświadczyła w końcu Lou - poszło o to, że tata jest gejem.

Kaye zażądała spotkania z Eddiem Marshall-Hicksem. Tilly została z Lou, a pani Heron zaprowadziła Kaye do mniejszego pokoju. Kiedy otworzyły się drzwi, Kaye zebrała siły.

Eddie stał przy oknie. Na biurku siedział pan Lewis, nauczyciel WF-u. Ale tym razem nie było czasu, by podziwiać jego imponującą tężyznę.

- Dzień dobry, jestem mamą Lou. - Kaye kurczowo ścisnęła torebkę. Nie powinna zdradzać, że drżą jej ręce. - Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz.

Eddie odwrócił się i spytał:

- Nie wiem, a jak pani sądzi, że się czuję?

Biorąc pod uwagę okoliczności, jego sarkazm był uzasadniony. Chłopak miał spuchnięte lewe oko i nos, a na przedzie jego wyjętej ze spodni białej koszuli widniały plamy krwi. Wyglądał, jakby napadła go banda rabusiów.

Kaye poczuła nagły przyływ dumy, że jej chudziutka trzynastoletnia córka poradziła sobie z takim chłopakiem. Powiedziała spokojnie:

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Ale wiem, że Lou została przez ciebie sprowokowana.

- Całkiem jej odbiło. Zaczęła na mnie wrzeszczeć, a potem rzuciła się i zaczęła zadawać ciosy. Jakby zaatakowało mnie jakieś dzikie zwierzę - z wściekłością opowiadał Eddie. - Niech pani spojrzy, co zrobiła z moją twarzą!

Hurra!

- Pielęgniarka już go zbadała - wtrącił się Tom Lewis. - Nos nie jest złamany. Oko też wydobrzeje, nie ma trwałych uszkodzeń.

- Cóż, to dobrze. Ale mam nadzieję, że rozumiesz, czemu Lou wpadła w złość - powiedziała Kaye. - Okazuje się, że od kilku miesięcy czyniłeś złośliwe komentarze na temat jej taty.

Twarz Eddiego poczerwieniała. Wsadził ręce do kieszeni.

- Po prostu sobie żartowałem.

- Dla ciebie to żarty, a ona poczuła się zraniona. Bardzo.
- Och, czyżby? - wskazał na swoją twarz. - Właśnie widzę.

W kieszeni Eddiego zaczął dzwonić telefon. Chłopak sprawdził numer i odebrał.

- Tato? Eee... tak, wiem, że jesteś zajęty. Przepraszam. W szkole powiedzieli, że mam do ciebie zadzwonić i powiedzieć ci, że wdałem się dzisiaj w bójkę. - Zamilkł, słuchał ojca i odparł: - Nie, to nic poważnego. Nic mi nie jest. I nie ja zacząłem, rozumiesz? Pani Heron powiedziała, że mam cię zapytać, czy chcesz przyjechać i o tym porozmawiać. - Kolejna pauza. - Nie, w porządku, idź na spotkanie. Zobaczymy się wieczorem. Cześć! - Eddie skończył rozmowę i wymamrotał: - Tata jest zajęty w pracy. Zresztą on się nie przejmuje.

Tomowi Lewisowi wyraźnie ulżyło - prawdopodobnie nauczyciele martwili się, że ojciec Eddiego może zrobić aferę, wystrzelić z wszystkich dział i zaatakować armią prawników choćby na wspomnienie bójki. Teraz Eddie wydawał się rozdarty między wstydem z powodu tego, że oberwał od dziewczyny, a żądzą zemsty. Ale sytuacja nie była jeszcze opanowana. Zajęty tatuś mógł zmienić zdanie, kiedy zobaczy, jakie straty poniosła uprzednio śliczna twarz jego synalka.

- Nie chciała, żebyś się dowiedział - opowiadała Kaye Maksowi, kiedy wrócił wieczorem do domu - ale wyjaśniłam jej, że musimy ci powiedzieć. Och, Max, ona jest w fatalnym stanie!

Max przymknął oczy. A zdawało mu się, że dzisiejszy dzień był stresujący, bo Jamie Michaels i Tandy kombinowali na tysiąc sposobów, aż w końcu zdecydowali, że lazurowe włoskie kafelki położone w garderobie są w niewłaściwym odcieniu koloru lazurowego.

A teraz to! Wyobraził sobie, jak córka musiała cierpieć w szkole z jego powodu, i poczuł, że serce mu pęka.

Cholera! Skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że mimo jego egoizmu Lou świetnie sobie poradzi? Czując ucisk w piersi, Max zostawił Kaye i Tilly w salonie, a sam powędrował na górę.

- Tatusiu, tak mi przykro. - Gdy tylko Lou go zobaczyła, wybuchnęła płaczem. - Prosiłam, żeby ci nie mówiły.

Max przeszedł przez pokój. Najlepszą cechą uścisku było to, że przytulana osoba nie dostrzegała, iż w twoich oczach także gromadzą się łzy. Obejmując mocno córkę, powiedział:

- Nawet się nie waż przepraszać. To moja wina.

- Nie, to jego wina. Chłopcy są tacy niedojrzali. I niedouczeni. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę Eddiego Marshalla-Hicksa. - Ocierając wściekle mokrą twarz rękawem, Lou dodała: - Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale wiesz co? Naprawdę żałuję, że nie wybiłam mu jeszcze zębów.

W gardle Maksa tkwiła wielka gula. Poglaskał Lou po chudych ramionach.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Nie mogłam ci powiedzieć. A kiedy to się zaczęło, mama była jeszcze w Los Angeles. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Zresztą po jakimś czasie człowiek po prostu się przyzwyczaja, żeby nic nie mówić. Chłopcy są okropni, oni po prostu lubią wyśmiewać się z ludzi. Najśmieszniejsze jest to, że i mama, i Tilly, były przekonane, że Eddie mi się podoba, bo wciąż widziały nas razem. - Wykrzywiła usta z obrzydzeniem i rozbawieniem zarazem. - A widywały nas, bo Eddie wciąż za mną laził, opowiadał wstrętne rzeczy i w ogóle był okropny. Kiedyś zobaczyły, jak gonię go i wrywam mu kartkę papieru, no i pomyślały, że to list miłosny. Żart.

- A co to było?

- Wstrętne kartka, którą przykleił mi na plecach. I nie prosz, żebym ci powiedziała, co tam napisał.

- Mój skarbie. - Max wolno wypuścił powietrze. - Na co ja cię narażam?

- Tato, to nie twoja wina. Jesteś sobą.

Koniec złudzeń, że szczerść i otwartość w ich sytuacji przyniosą efekty. Max w tej chwili żałował, że nie zdecydował się wieść życia w kłamstwie. To, że wszyscy w Roxborough - przynajmniej pozornie - nie mieli nic przeciw niemu, dał mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tyle że popełnił błąd, wierząc Lou, która mówiła, że jej znajomi także zachowują się w porządku.

- Nie wstydę się ciebie - zdecydowanie powiedziała dziewczynka, jakby czytała w jego myślach. - Jestem dumna.

Jasny gwint, teraz to ona przestała płakać, a on był na krawędzi załamania. Czym zasłużył sobie na taką córkę?

- To tylko ten jeden chłopak? - spytał poważnym tonem. - Czy jeszcze ktoś?

Lou zawahała się na moment.

- Są jeszcze inni. Ale Eddie jest najgorszy.

- A dziewczyny?

Wzruszyła ramionami.

- Czasem śmieją się z tego, co opowiada Eddie. Ale zazwyczaj są w porządku.

- Chcesz zmienić szkołę?

- Nie. - Pokręciła głową, przytuliła się i dodała: - Myślisz, że w innej szkole będzie inaczej? Zawsze znajdują się idioci, którzy nie wiedzą, o czym mówią.

- Jeśli będziesz chciała odejść, tylko powiedz. Poważnie.

Skrzywiła się.

- Może będę m u s i a ł a odejść. Jeszcze nie wiadomo. Być może w przyszłym tygodniu mnie wydalą.

- Upewnij się, że tak się nie stanie. Po tym, przez co przeszedłeś za sprawą tego drania? Nie ma mowy. Jutro spotkam się z panią Heron. - Max badawczo wpatrywał się w Lou. - Tak czy owak, jakoś to rozwiążemy.

Rozdział 31

Jeśli ktoś podobał ci się jak diabli, trzeba było włożyć więcej wysiłku w dbanie o swój wygląd, aby - jeśli niespodziewanie na siebie wpadniecie - przynajmniej o to być spokojną.

I nie wystarczyło tylko staranny makijaż. Chodziło też o ciuchy, a nawet o bieliznę. Tilly wiedziała, że to zupełnie irracjonalne postępowanie, ale i tak nie mogła się powstrzymać. Zamiast wskoczyć w jakiegokolwiek majtki i stanik, wybierała ostatnio... no, może nie najlepszą bieliznę, ale taką, w której nie wstydziłaby się pokazać. Wkładała też ładniejsze ubrania, dbała o włosy i makijaż oraz zmieniła częstość golenia nóg z „raz-na-dwa-tygodnie-jeśli-mi-się-chce” na dwa razy w tygodniu.

Na początku udawała, że wcale się nie stara. Potem przyznała się, że tak jest, ale udawała, że robi to wszystko dla siebie. Kiedy Max coś zauważył i zaczął podpytywać, Tilly oświadczyła, że dba o siebie, bo w porównaniu z Tandy i jej błyszczącymi, supermodnymi koleżankami czuje się bardzo byle jaka.

Ale naturalnie Tilly wiedziała, że robi to wyłącznie dla Jacka. Co oznaczało, że do szaleństwa doprowadzało ją to, że nie widziała go od prawie dwóch tygodni. Każdego z minionych dni subtelnie doprowadzała się do przyzwoitego stanu, a Jack wciąż się nie pojawiał. Dlatego podsumowując, była to zupełna strata czasu, tuszu do rzęs i odpowiedniej bielizny.

Tilly nie wiedziała nawet, gdzie podziewa się Jack. Max pracował jak szalony nad projektem dla Tandy i Jamiego. Może Jack wyjechał gdzieś na wakacje? Może spotkał jakąś dziewczynę i zakochał się, co zajmowało cały jego czas? Im bardziej rozważała taką możliwość, tym bardziej źle się czuła. A może po prostu Jack zajmował się rozbudowywaniem swojego nieruchomościowego imperium... tak, tę wersję łatwiej było znieść. O matko, robiła się z niej prawdziwa Stella! Czy właśnie w ten sposób ludzie zaczęli tracić zmysły? Podstępny wąż zazdrości wślizgiwał się i pełzył w górę, aż owinał się wokół twojej szyi?

- Aaa! - Lou uskokczyła z drogi, kiedy Tilly, zupełnie zapomniawszy, co właśnie robi, niechcący polala ją wodą z ogrodowego węża.

- Przepraszam, wybaczone. - Dzień był jednak tak gorący (jak dotąd najcieplejszy w tym roku), że Tilly nie miała nawet wyrzutów sumienia. Dla żartu polala dziewczynkę jeszcze raz. Lou usunęła się na bok, chlapiąc na wszystkie strony, a potem zniknęła z pola widzenia, chowając się za garażem.

Rozbawiona Tilly wróciła do mycia samochodu. Wiedziała, że za chwilę Louisa przybiegnie z powrotem i będzie chciała się zemścić, musiała więc mocno trzymać wąż, by nastolatka jej go nie wyrwała. Nie minęła chwila, kiedy usłyszała dźwięk kroków na zwirowym podjeździe. Dobra, nadeszła pora, by przemoczyć tę małą od stóp do...

- Aaa! - Tym razem to Tilly wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, kiedy kaskada lodowato zimnej wody prawie zwała ją z nóg. Zataczając się do tyłu, zdała sobie sprawę (zbyt późno), że Lou wylała na razie tylko połowę zawartości wiadra. Plusk! - i druga połowa sięgnęła celu, mocząc cały przód koszulki Tilly, jej dzinsy i włosy.

- Dobra, doigrałaś się! Będziesz miała kłopoty. - Ocierając wodę z oczu i otrząsając się jak pies, Tilly przekreśliła przełącznik na wężu i ustawiła najmocniejszy strumień. Ściskając broń w obu rękach niczym Brudny Harry, przygotowała się do ataku. - Jeszcze pożałujesz, że to zrobiłaś!

- Ratunku! Molestują dziecko! - piszcząc i śmiejąc się, wrzeszczała Lou, kiedy lodowaty strumień trafił w jej nogę. - Niech ktoś zadzwoni na niebieską linię!

- Wygrałam? - Tilly wycelowwała w drugą nogę dziewczynki.

- Nigdy! Patrz, ktoś idzie. Teraz ty będziesz miała kłopoty. - Lou zaczęła energicznie wskazywać coś palcem, próbując zmusić Tilly, by się odwróciła. - To pewnie opieka społeczna, przyszli cię aresztować.

- Tak, jasne. - Czyżby Lou myślała, że ma do czynienia z pięcioletką? - Oczywiście, że się zaraz odwrócę, żebyś mogła zabrać mi wąż, bo jestem tak baaardzo naiwna...

Lou, przeskakując z nogi na nogę, zamachała rękami do wymyślnego wybawiciela i żałośnie zawyla:

- Ratunku! Na pomoc!

Wytrząsnawszy wodę z uszu, Tilly usłyszała zgłuszony dźwięk samochodu wjeżdżającego na podjazd i zrozumiała, że dziewczynka wcale nie żartowała. Co prawda - i na szczęście - nie był to nikt z opieki społecznej. Wciąż zerkając na Lou, na ugiętych kolanach i z wyciągniętymi rękami, mocno dzierżąc swoją broń, Tilly powoli odwróciła głowę.

Psiakość, do diabła i niech to szlag trafi!

Czy innym ludziom też zdarzały się w życiu takie żenujące sytuacje, czy miała po prostu wielkiego pecha?

- Jack, pomóż mi, Tilly się nade mną znęca...

Tilly w odpowiedzi prysnęła jeszcze wodą w stronę Lou, po czym zdjęła palec ze spustu. Jack wysiadł z samochodu i podszedł bliżej, podnosząc ręce do góry w geście poddania.

Trzydzieści dni nakładania tuszu, podkładu, szminki, dobierania ubrań, dopasowywania majtek, golenia nóg i spryskiwania się perfumami. Wszystko na nic. A teraz to. Akurat teraz

musiał się pojawić. Nie ma to jak pokazać się z najlepszej strony. A ta strona zdecydowanie nie była jej najlepszą.

Za to Jack, opalony i umięśniony, robił, delikatnie mówiąc, piorunujące wrażenie - co do tego nie miała wątpliwości.

- W porządku, już nie będę się znęcać. - Czyżby był za granicą? Na pewno, skoro jest taki czekoladowy. Zabrał kogoś ze sobą? Dobrze się bawili? Pewnie uprawiali fantastyczny seks. Matko, znów robiła się z niej Stella! Przestań, Tilly, przestań, weź się w garść.

- Cieszę się - odezwał się i wskazał swojego jaguara. - Możesz teraz umyć także mój samochód. Maksą jeszcze nie ma?

- Jest u Jamiego Michaela. Montują im fontannę w kształcie delfina.

- Jasne. Przyjechałem pożyczyć piłę łańcuchową, bo moja nawaliła. Nie wiesz, czy znajdzie ją w garażu?

- Ojej, spodnie mi się przyklejają. - Lou skrzywiła się, wylała wodę z tenisówek i dodała: - Idę się przebrać.

Kiedy zniknęła w domu, Tilly pierwsza ruszyła do podwójnego garażu.

- Po co ci ta piłka? Będiesz członkować ciała kłopotliwych lokatorów?

- Nie powiem, czasem naprawdę mnie kusi - odparł Jack. - Taki jest minus bycia właścicielem: lokatorom wydaje się, że będę odwaliał za nich całą brudną robotę. Ale tym razem muszę po prostu ściąć kilka drzew i przyciąć gałęzie.

Nie wytrzymała, musiała go zapytać.

- Byłeś na wakacjach?

- A co, stęskniłaś się?

- Nie, tylko pytam. Opaliłeś się.

- Przez ostatnich kilka dni pracowałem na zewnątrz, porządkując ogrody ludzi, którzy są zbyt leniwi, żeby sami się do tego zabrać. A więc zastanawiałaś się, czemu mnie nie było. To miłe.

Czy on naprawdę musiał mówić takie rzeczy? Podniósłszy drzwi od garażu, Tilly rozejrzała się wśród stojących tam pudeł.

- Dobra, poszukajmy tej piłki.

- Właściwie o to mi chodziło - mówił dalej Jack.

Proszę?

- Właściwie to... Specjalnie trzymałem się od ciebie z daleka - przyznał.

Do diabła, przecież nie może tak tu stać jak ociekająca wodą idiotka! Czując, jak przyśpiesza jej puls, spytała:

- A to dlaczego?

- Żeby sprawdzić, czy zrobi to jakąś różnicę.

- I? - Tilly zaschło w ustach.

Rany, znów to spojrzenie.

- Myślę, że oboje znamy odpowiedź, prawda?

Boże święty, jeśli Jack ją teraz pocałuje, do garażu na pewno wpadnie Lou, płasząca wesoło jak Tygrysek na skakance.

- Ja w każdym razie wiem, co czuję - mówił Jack. - Z tobą może być inaczej.

Ale przecież nie był głupi, dobrze wiedział, jak wygląda sytuacja. Nie dało się nie zauważyć chemii, która pojawiła się między nimi; największy baran nie przeoczyłby strzelających w powietrzu iskier.

Nie zauważyła ich, niestety, pewna trzynastolatka z talentem do ekspresowego przebierania się.

- Rany, jeszcze jej nie znaleźliście? - Lou, przebrana w suchą koszulkę i obszarpane dżinsowe spodnie, potrząsnęła z niedowierzaniem głową i wskazała na pudełko, w którym leżała piłka. Nucając coś pod nosem, dodała: - Tutaj leży, za kosiarką. Ślepi jesteście jak dwa

krety.

Na ułamek sekundy spojrzenia Tilly i Jacka się spotkały. Potem on przeszedł przez garaż, wyjął piłę, odwrócił się do Lou i podniósł narzędzie, pytając:

- Skoro tu jestem, może obetnę ci włosy?

- Nie ma mowy. W ten weekend jedziemy na wesele cioci Sary. - Lou uskokczyła w bok, kiedy Jack zbliżył się do niej. - Nie chcę wyglądać jak strach na wróble.

- Wesele Sary? W Szkocji?

Tilly skinęła głową. Sara była kuzynką Maksa i w sobotę, w Glasgow, wychodziła za mąż. Max, Lou i Kaye lecieli tam w piątek po południu na pełen atrakcji weekend w szkockim stylu. Na tę okazję dziewczynka zgodziła się nawet włożyć sukienkę.

Czy Jack myślał o tym, o czym miała nadzieję, że myśli?

Na szczęście tak. Kiedy już załadował piłę do bagażnika jaguara, odczekał, aż Lou zniknie z zasięgu wzroku, i przywołał Tilly. Próbowała przybrać obojętny wyraz twarzy, który mówiłby, że absolutnie jej nie obchodzi, co teraz usłyszy. Z kiepskim skutkiem. Czowała się wspaniała, piękna i pożądana jak bogini.

- A więc zostajesz sama?

- Uhm - potwierdziła Tilly bogini.

- W takim razie, jeśli nie masz innych planów, może przyjadę po ciebie w piątek? Około ósmej?

Nareszcie przeszedł do rzeczy. W końcu zaczynało się coś dziać. Gdyby Lou nie stała za nimi, kończąc mycie samochodu, Tilly pocałowałaby Jacka od razu. Miała na to wielką ochotę. Ale już niedługo. To tylko dwa dni.

Uśmiechnęła się do niego subtelnym uśmiechem bogini.

- Zgoda.

- Świetnie. - Jack także się uśmiechnął. Odjeżdżając, pomachał jeszcze do Lou. Dziewczynka odmachnęła i odwróciła się, by spojrzeć na Tilly.

- Tylko mnie znów nie oblej. - Tilly podniosła rękę.

- Nie zrobię tego. I przy okazji, przepraszam za tę twarz.

- Co? A co jest nie tak z moją twarzą?

Lou wzruszyła ramionami.

- Jest trochę... no wiesz...

Psiakość! Zerkając na swoje odbicie w bocznym lusterku, Tilly natychmiast zapomniała o wizerunku bogini.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło - mówiła Lou. - Znalazłam wiadro wody w ogrodzie. Nie wiedziałam, że na dnie jest pełno błota i śmieci...

Rozdział 32

Skoro Jackowi nie przeszkadzało, że ostatnio wyglądała jak ubłocony potwór z Loch Ness, pewnie nie zauważyłby różnicy, gdyby włożyła srebrnoszary top zamiast niebieskiego.

Ale dla Tilly okazało się to śmiertelnie poważną sprawą. Bardzo chciała wyglądać jak najlepiej. Po tych wszystkich tygodniach wykrętów, zastanawiania się, czy popełnia błąd swojego życia, wiedziała już, że tego wieczoru sprawy w końcu się... rozwiążą.

Jej serce robiło fikołki na samą myśl o tym, co może się wydarzyć. W końcu jak długo można się bronić przed prawdziwym uczuciem? Jack także o tym wiedział, prawda? I przecież to on zaproponował spotkanie. Dziś wieczorem wszystko miało się zmienić. Ich

związek przejdzie na wyższy poziom zaangażowania. Teraz będzie mogła naprawdę zaufać Jackowi. I nie wyglądało to na kolejny romansik bez znaczenia, bo w grę wchodziły uczucia, prawdziwe uczucia. Nareszcie odkrył, że czas leczy rany, a kiedy spotka się tę właściwą osobę, można znowu zacząć żyć.

Spokojnie, takie myślenie sprawiało, że Tilly trzęsła się ręka, a to powodowało rozmazywanie się tuszu do rzęs. Musiała oczyścić umysł - wzięła kilka głębokich oddechów, wytarła ręcznikiem włosy i zwróciła się do Betty:

- Piesku? Szary top czy niebieski?

Betty leżała na łóżku z pyskiem opartym na przednich łapach. Podniosła teraz znudzoną brew i na powrót ją opuściła.

- Jasne, przepraszam, to nie twoje zmartwienie. Włożę szary. - Tilly pośpiesznie przyłożyła do siebie srebrnoszarą bluzkę. - Nie, lepiej niebieski. - Zerknęła na ciuchy wiszące w szafie. - Albo może białą koszulę?

Matko, co za zamieszanie... Czy Jack też tak się męczył, szykując się na wieczór, czy po prostu wskoczył pod prysznic, sięgnął po pierwsze lepsze czyste ubrania, nie szukając niczego więcej niż koszulki i dżinsów?

No tak, ale z dziewczynami było zupełnie inaczej. One musiały podjąć dużo więcej istotnych decyzji: założyć wiszące kolczyki czy wkręcane, pomalować paznokcie subtelnym czy jaskrawym lakierem, wybrać klapki czy normalne buty, włożyć figi czy stringi...

A może w ogóle nie wkładać bielizny...

*

Telewizor był włączony, prezenterka kończyła właśnie czytać wiadomości, ale Jack za żadne skarby nie potrafił przypomnieć sobie choćby jednej informacji z programu. Patrzył na ekran, słuchał głosu kobiety, ale nic - zupełnie nic - nie trafiało do jego mózgu. A to dlatego, że myślał wyłącznie o jednej rzeczy - dzisiejszym wieczorze. I o Tilly. Cholera, sprawa była poważna.

Co ważniejsze, Tilly nie wiedziała, jak jest naprawdę. Zresztą skąd miałyby wiedzieć, że Jack planował, iż ten wieczór odmieni jego życie? Nawet nie przypuszczała, co się z nim działo. Jack sam nie mógł w to uwierzyć. Kiedy umarła Rose, jego świat zmienił się na zawsze. Jakby zamknęły się za nim żelazne drzwi jakiegoś więzienia. Tak właśnie reagował człowiek, który zakochał się bez pamięci, a potem odebrano mu ukochaną osobę - ból i żal okazały się niewyobrażalne.

Dlatego przysięgł sobie, że nigdy więcej się nie zakocha. Że nie otworzy bramy tego wewnętrznego więzienia. Było łatwiej żyć mu jako kobieciarzowi, bawić się i unikać jakiegokolwiek formy emocjonalnego zaangażowania. Co prawda zasłużył sobie na reputację babiarza, ale co z tego? Zawsze był szczerzy wobec kobiet, nigdy nie dawał im złudnych nadziei.

Ale teraz wszystko miało się zmienić. Mimo że Jack bardzo się starał, Tilly udało się otworzyć od dawna zamknięte drzwi. I choć zdawało się to nieco przerażające, to i tak zwyciężała radość, jakby po czterech latach ktoś nareszcie uwolnił go z więzienia.

Suszarka zatrzymała się z kliknięciem. Jack otworzył pokrywę, wyciągając ciepłe, niegniotące się, ciemnozielone poszewki na poduszki, kołdrę i ogromne dopasowane prześcieradło. Czy jeśli Tilly poczuje zapach płynu do zmiękczenia tkanin, to pomyśli, że Jack był pewien, iż wylądują dzisiaj w łóżku? Czy nie obrazi się i nie uzna, że potraktował ją jak pierwszą lepszą? Ale przecież oboje, w głębi serca, wiedzieli, że to zdarzy się właśnie dzisiaj.

Niosąc pościel na górę, Jack zastanawiał się, co robiła w tej chwili. Tilly nie należała do kobiet, które spędzają godziny przed lustrem, namyślając się, co włożyć. Pewnie jest na

spacerze z Betty, a potem wróci do domu, wskoczy pod prysznic i szybko przebierze się w jakąś koszulkę i dżinsy. To była jedna z jej największych zalet - nie była próżna ani rozpieszczona, tak jak wiele tutejszych dziewczyn, które znał.

Dobra, łóżko zostało świeżo posłane. Jack odsunął się o krok, by podziwiać ostateczny efekt. Wysprzątał sypialnię, wszystko było czyste, a światło idealnie subtelne. Nagle wydało mu się to niezwykle ważne: chciał, by Tilly czuła się tu swobodnie, i by spodobał się jej wygląd sypialni. W poprzednie Boże Narodzenie Monica podarowała mu pudełko świec w małych witrażowych świecznikach, mówiąc: „Możesz porozstawiać je na półkach koło łóżka, gdyż nie ma nic bardziej romantycznego niż światło świec w sypialni”.

Naturalnie, świece wciąż leżały w ozdobnym opakowaniu w szafie. Przez chwilę Jack zastanawiał się, czy powinien je wyjąć. Z jednej strony chciał zrobić wrażenie na Tilly, ale z drugiej strony wołał, aby wchodząc tu, nie pomyślała, że znalazła się w jakiejś jaskini rozpusty.

W porządku, lepiej dać sobie spokój ze świecami. Bardziej pasowały do damskiej sypialni. Jack zatrzymał się na chwilę przed lustrem, sprawdził, czy włosy po myciu dobrze się ułożyły, i podszedł do okna, by zasunąć zasłony. Kiedy sięgał po pierwszą, ręką musnął niebiesko-srebrną ceramiczną misę stojącą na parapecie. Rose kupiła ją na kiermaszu w Tetbury i sama domalowała srebrne gwiazdki i kropki, twierdząc, że naczynie idealnie nadaje się do eksponowania polnych kwiatów. Ale tego akurat Jack nigdy nie próbował. Od śmierci Rose misa stała pusta. W końcu był mężczyzną, a mężczyźni nie zrywają kwiatów ani nie zapalają świec. Przesunął więc naczynie do szyby i zaczął zaciągać zasłony.

Kiedy na podjeździe pojawił się samochód, Jack zamarł. To nie był jakiś tam samochód, tylko czerwone audi z tablicą rejestracyjną, którą nie tylko rozpoznawał, ale którą znał na pamięć. Przecież to niemożliwe... Na moment wstrzymał oddech, bo Rose zawsze miała wyczucie czasu. Złapał się parapetu, by nie upaść. Ogarnęła go fala nadziei, zdziwienia i mdłości, kiedy patrzył, jak audi wjeżdża przez otwartą bramę. Nie miał halucynacji.

To był samochód Rose.

Rozdział 33

Zupełne szaleństwo. Jack potrząsnął głową i zmusił się, by otrzeźwieć. Rose umarła. Może to i jest samochód Rose, ale nie ona go prowadzi. *Bo nie żyje.*

Wiedział o tym. Po prostu widząc auto, doznał szoku ze zdziwienia. Na ułamek sekundy jego mózg uwierzył, że tamten wypadek nigdy się nie wydarzył, a Rose wciąż żyje. Poczul nawet dziwne wyrzuty sumienia - w końcu zaraz żona dowie się, że zamierzał ją zdradzić, a wymówka „ale przecież ty nie żyjesz!” na pewno nie spotkałaby się ze zrozumieniem...

Jack odetchnął głęboko kilka razy, próbując się uspokoić. Rose nie wróciła. To był tylko jej samochód. Po śmierci żony nie wiedział, co zrobić z jej ukochanym czerwonym audi. A kiedy stara fiesta rodziców Rose w spektakularny sposób padła na autostradzie, ucieszył się, że może oddać im auto. Dzięki temu od kilku lat było regularnie myte, woskowane i odprowadzane na parking, i rzecz jasna nikt nie przekraczał nim dozwolonej prędkości.

Ale jednak niedoszli teściowie nieźle go nastraszyli, prawie przyprawiając o atak serca. I dlaczego pojawili się akurat dzisiaj, akurat dzisiaj wieczorem? Jakby Rose przysłała ich tutaj specjalnie.

W samochodzie stojącym na podjeździe otworzyły się drzwi. Najpierw wysiadł z niego Bryn, potem Dilys. Wyglądali jakoś starzej, poruszali się wolniej, jakby byli zmęczeni,

przytłoczeni żalobą. Jack, który nie widział rodziców narzeczonej od dwóch lat, poczuł, jak na ich widok coś ściska go w żołądku.

Może nie zostaną długo. Za godzinę musiał jechać po Tilly.

Bryn Symonds miał już prawie siedemdziesiąt lat, rzadkie siwe włosy i zmęczoną twarz. Kiedyś był duszą całego miasteczka - od trzydziestu lat prowadził własny sklep z artykułami żelaznymi. Jednak za sprawą wielkich supermarketów firma zaczęła podupadać. Udało mu się utrzymać na rynku jedynie dzięki pomocy lojalnych znajomych klientów, ale nie było to łatwe. Potem umarła Rose i Bryn przestał być towarzyski jak kiedyś. Sprzedał sklep i odszedł na emeryturę.

Dilys natomiast nigdy w życiu nie pracowała. Była dumną walijską gospodynią domową - spędzała czas na myciu okien, sprzątaniu, szorowaniu podłóg i pieczeniu chleba. Ich mały domek był zawsze nieskazitelnie czysty.

A Rose, jedyna i ukochana córka, była dla obojga całym światem.

Dzwonek do drzwi odezwał się, kiedy Jack był w połowie drogi na dół. Przeszedł przez hol i otworzył, bojąc się tego, co miało nadejść, i czując wyrzuty sumienia, że w ogóle zrodziło się w nim takie uczucie.

- Och, Jack. - Dilys tylko spojrzała na zięcia i rozpląkała się od razu, jak zawsze kiedy spotykali się po śmierci Rose. Rozumiał dlaczego: przypominał starszej pani o szczęśliwym życiu, jakie powinna teraz prowadzić jej córka.

I kto mógłby ją za to winić? Gdyby nie zdarzył się tamten wypadek, Bryn i Dilys byłiby teraz dumnymi dziadkami, którzy wpadliby z wizytą do córki i zięcia, aby obsypać prezentami i uczuciami ukochanego trzyletniego wnuczka. Kto wie, może Jack i Rose mieliby już drugie dziecko, a Dilys robiłaby na drutach kolejne ubranka? Bryn budowałaby skomplikowane budowle z klocków lego i uparcie naprawiałaby wszystko, co wymagało naprawy... Dobrze już, lepiej o tym nie myśleć, tylko wymazać z pamięci i nie wyobrażać sobie, jak mogłyby wyglądać te dzieci.

Przytulił Dilys, uścisnął dłoń Brynowi i zaprosił oboje do środka.

- Dziękuję ci, kochany. - Dilys osuszała oczy świeżo wyprasowaną chusteczką, kiedy Jack postawił przed nią na stole filiżankę z herbatą. - Przepraszam, że wpadamy tak bez zapowiedzi. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy.

Cóż innego miał odpowiedzieć?

- Oczywiście, że nie. Dobrze was widzieć.

Kolejne kłamstwo, kolejna fala wyrzutów sumienia.

- Tak, minęło trochę czasu. - Bryn w milczeniu mieszał łyżeczką herbatę.

- Wiem, przykro mi z tego powodu.

- Dwadzieścia trzy miesiące.

- Byłem bardzo zajęty. - Jack czuł się coraz gorzej.

- W porządku, kochany. Wiemy. Rozumiemy - powiedziała Dilys. - Masz pracę, którą musisz się zająć.

- A jak wy sobie radzicie? - Zadał to pytanie z niechęcią, wiedząc od razu, w którą stronę potoczy się rozmowa.

- Cóż, nie za dobrze. - Dilys ze smutkiem pokręciła idealnie ufryzowaną trwałą. - Staramy się czymś zająć, ale właściwie nic nie pomaga.

Bryn przerwał żonie:

- Jacyś chuligani włamali się na cmentarz i nabazgrali graffiti na nagrobkach.

- Co?

- Och, Bryn, niepotrzebnie mu mówisz. - Dilys ścisnęła rękę Jacka. - Przepraszam cię, ale nie mieliśmy zamiaru o tym wspominać.

- Ale on powinien wiedzieć. To grób jego narzeczonej. Napisali brzydkie słowa. - Bryn

zrezygnowany potrząsnął głową. - Złamali nam serca.

- Kiedy to się stało? Można zmyć te napisy? - pytał porażony Jack. - Kto to zrobił?

- Nikt nie wie, pewnie jakieś głupie dzieciaki. Ale już wszystko w porządku, udało nam się wyczyścić kamień.

- Zajął mu to trzy tygodnie - dopowiedziała Dilys. - Chodził na cmentarz każdego dnia, ale w końcu mu się udało. Zdarł sobie skórę na dłoniach, prawda, skarbie?

- Nie mogłem przestać, dopóki grób mojej córki znów nie wyglądał idealnie. Kwiaty, które posadziliśmy dokoła też ładnie rosną.

Jack skinął głową. Wyobrażał sobie ten widok, ale nie mógł nic powiedzieć.

- Popatrz, kochany, możesz obejrzeć. Zrobiliśmy zdjęcia, żeby ci pokazać. Ale mam nadzieję, że niedługo sam tam pojedziesz, prawda? - Dilys wyjęła z kremowej skórzanej torebki mały album ze zdjęciami i podała go Jackowi. - Byłoby miło, prawda, Bryn? I mógłbyś oczywiście zostać z nami tak długo, jak... j-jak z-zechcesz. Ojej, co ja zrobiłam z chusteczką?

Starsza pani znów się rozplakała, tym razem na dobre. Bryn, próbując jakoś pocieszyć żonę, zwrócił się do Jacka:

- Wiesz, przechodzimy teraz trudny okres. Zdaje nam się, że wszyscy powoli zapominają o Rose. Kiedyś pytali nas, czy wszystko w porządku, i rozmawialiśmy o niej. A teraz chyba ludzie uważają, że powinniśmy zostawić tamto za sobą. Żyć dalej. Ale oni nie rozumieją. Nie możemy i nie chcemy zapominać o Rose. Do miasteczka przyjeżdżają też nowi mieszkańcy, którzy jej nie poznali i dla których nic nie znaczy. Tak pewnie jest. A dla nas ona wciąż jest całym światem.

- Dlatego przyjechaliśmy dzisiaj do ciebie. - Wciąż szlochając, Dilys potrząsnęła głową i otarła zaczerwienione oczy. - Bo jesteś jedyną osobą, która kocha Rose tak bardzo jak my. Tylko ty nas rozumiesz; przecież także za nią tęsknisz. Wiem, że to niczyja wina, ale mamy wrażenie, że Rose znika, że jej obraz staje się coraz słabszy i słabszy. Ludzie po prostu żyją dalej, jakby nasza córka nigdy nie istniała.

Jack uciekł na chwilę z kuchni i poszedł na górę. Była już ósma trzydzieści, a on z tego wszystkiego zapomniał, czy miał pojechać po Tilly o ósmej czy o dziewiątej. Żaloba rodziców Rose wpłynęła także i na niego. Jedyne, co w tej chwili czuł, to wstyd i poczucie winy. Upewniwszy się, że drzwi do sypialni są zamknięte, wyjął telefon. Jaki miał inny wybór?

Co się stało? Jack mówił, że przyjedzie o ósmej. Przedtem ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że coś może się nie udać, a teraz z niepokoju bolał ją żołądek. Ósma nadeszła i minęła, a ona wciąż nerwowo przechadzała się po kuchni - ubrana i gotowa do wyjścia. Jakby znów miała szesnaście lat, a chłopak, który od miesiący się jej podobał i który obiecał, że spotkają się na przystanku, wystawił ją do wiatru.

Niedowierzenie pomieszane ze smutkiem narastały, kiedy wskazówki zegara przesunęły się powoli na ósmą trzydzieści. Co kilka minut Tilly chciała sprawdzić, czy telefon aby na pewno działa. O ósmej trzydzieści jeden oczywistym wyjaśnieniem stał się ewentualny wypadek samochodowy - niezbyt poważny, ale taki, który uwięził Jacka w samochodzie i uniemożliwił mu sięgnięcie po komórkę. Gdy tylko strażacy uwolnią go z auta, może nieco poobijanego i posiniaczonego, ale ogólnie w dobrym stanie, na pewno zadzwoni, przeprosi, a ona powie, żeby się nie wygłupiał, bo przecież liczy się tylko to, że wszystko z nim w porządku, a on będzie powtarzał, że mu przykro, chociaż sanitariusze każą mu wyłączyć komórkę, bo będą chcieli go zbadać, a chwilę później w słuchawce Tilly usłyszy, jak Jack opowiada im: „Jest tylko jedna osoba, która może mnie oglądać, i znajduje się właśnie po drugiej stronie słuchawki”.

Drrryń. W rzeczywistym świecie telefon na stoliku w końcu zadzwonił i Tilly rzuciła się nań jak atakujący niedźwiedź. Naturalnie, że zadzwonił, na pewno miał jakiś ważny powód, by się spóźnić, a zaraz powie jej, że już jedzie i dotrze do Beech House za dwie minuty...

- Halo?

- Cześć, to ja. Słuchaj, przykro mi, ale nie dam rady się dzisiaj z tobą spotkać. Coś mi wypadło.

Głos należał do Jacka, ale był jakiś zmieniony: rozkojarzony, odległy, zupełnie niepodobny.

- Wszystko w porządku? - Tilly czuła, jak pocała jej dłonie. - Jesteś chory? - Kiedy to mówiła, usłyszała, jak gdzieś w tle otwierają się drzwi i kobiecy głos mówi: „Och, przepraszam”.

- Nie, wszystko w porządku. Hm, nie mogę teraz rozmawiać. Przepraszam za dzisiejszy wieczór. Zadzwonię jutro, pa.

- Poczekaj... - Ale było już za późno, Jack odłożył słuchawkę. Tilly patrzyła na nią, próbując wyobrazić sobie, co mogło skłonić go do takiego zachowania...

Tyle że...

Tyle że знаła odpowiedź na to pytanie, prawda? Na pewno miało to związek z inną kobietą. Albo z kobietami. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: w centrum życia Jacka Lucasa były głównie kobiety. Otaczał się nimi, bawił i łamał im serca.

A ona prawie, już prawie, dała się wciągnąć w ten krąg. Niewiele brakowało, a poddałaby się, dołączyłaby do jego haremu, robiąc z siebie kompletną idiotkę. Ponieważ Jack był niejako zaprogramowany, żeby ranić kobiety pojawiające się w jego życiu - przychodziło mu to tak łatwo jak oddychanie. Podczas gdy Tilly marzyła, że tym razem będzie inaczej, on w myślach odhaczał jej imię na swojej długiej liście podbojów.

Właśnie o to chodziło: Jack nie był zainteresowany żadnym prawdziwym, głębszym związkiem. Jego wielką miłością była Rose, a kiedy ją stracił, uodpornił się na uczucia i nie chciał pozwolić, by nim zafundowały. Żadnego ryzyka, żadnego stresu. W porządku, może i było to rozsądne, ale tylko w teorii. Dopóki po drugiej stronie nie pojawiała się jedna z tych biednych, łatwowiernych, uwiedzionych kobiet.

Którą Tilly prawie się stała. Ale tak naprawdę bardzo tego pragnęła.

Bolało. Była nieszczęśliwa. Zamknęła oczy. Skoro teraz bolało tak bardzo, dobrze, że nie trwało dłużej.

Rozdział 34

Za każdym razem kiedy Erin słyszała dzwonek do drzwi, jej żołądek aż kurczył się na myśl, że może to być Straszna Stella. Kiedy brzęczyk znów odezwał się o dziesiątej wieczorem, spojrzała na Fergususa.

- O Boże, czy to ona?

- Zostaw to mnie. - Fergus wstał z kanapy i zszedł na dół.

Po chwili wrócił, mówiąc:

- To ktoś nieco mniej straszny.

- Tilly! - Ulga ustąpiła miejsca zmartwieniu. - Rany, co się stało? Wyglądasz okropnie!

- Bardzo ci dziękuję. Przyniosłam wino. - Tilly klapnęła na kanapę i wydała z siebie przeciągły jęk, podając butelkę Fergusowi. - Dla mnie duży kieliszek, bardzo proszę. O, przepraszam, zajęłam twoje miejsce?

- Nic nie szkodzi. - Erin pogładziła przyjaciółkę po ramieniu. Gdy ktoś tak jak Tilly pojawiał się niespodziewanie i był w potrzebie, Fergusowi nigdy nie przyszłoby do głowy uważać tego za najście - i to było w nim cudowne.

Po chwili dziewczyny usłyszały dźwięk otwieranej butelki, a zaraz potem Fergus wrócił z kuchni z dwoma kieliszkami. Tilly wzięła swój, mówiąc:

- Dzięki. Także możesz się napić, naprawdę.

- Miałem właśnie jechać odebrać jedzenie, bo zamówiliśmy coś z hinduskiej knajpy. Wziąć też coś dla ciebie czy się podzielimy?

- Jestem zbyt zestresowana, by jeść. - Tilly głośno napiła się wina. - Albo może kilka papadów... Wygląda na to, że zostałam wystawiona do wiatru.

- Przez kogo? - spytała Erin.

- Głupia byłam.

- Przez kogo? - powtórzyła przyjaciółka.

- I naiwna.

- PRZEZ KOGO?

- To moja wina, powinnam była to przewidzieć.

- Zabiorę ci wino, jeśli mi nie powiesz.

- Nie zabieraj. - Tilly przestawiła swój kieliszek. - Dobrze, dobrze. Przez Jacka.

- Jacka Lucasa?

- Zabraniam ci mówić „a nie mówiłam”. Wiem, że miałaś rację. - Tilly spojrzała na Fergus, który czując się nieco niezręcznie, stał jeszcze w drzwiach. - Wielki błąd, co?

- Przykro mi. Jack to dobry kumpel, ale...

- Ale nie materiał na szczęśliwe zakończenie.

Fergus spojrzał ze współczuciem.

- Już taką ma reputację.

- Nic mi nie powiedziałaś! - Erin była szczerze zdumiona. - Nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedziałaś!

- Bo nie było o czym mówić. Nic... no wiesz, nic się nie wydarzyło. - Cóż, nie było sensu owijać w bawełnę. - Miało się zdarzyć dziś wieczorem. Ale Jack zadzwonił i odwołał spotkanie. Właśnie wtedy, kiedy zastanawiałam się już, czy nie wjechał samochodem w drzewo. I pomyśleć, że zdawało mi się, iż jestem inna od całej reszty. Naprawdę uwierzyłam, że coś nas łączy.

Wyraz twarzy Erin mówił, że przyjaciółka doskonale rozumie, o co chodzi. Każda kolejna uwiedziona przez Jacka kobieta wierzyła, że jest lepsza od pozostałych. Potrafił je zdobywać w tak wyrafinowany sposób, że zaczynały myśleć, iż istnieje między nimi coś więcej.

- Co powiedział, kiedy do ciebie zadzwonił?

- Nic. Że nie uda mu się przyjechać, i tyle. Coś mu wypadło. Ha! - Tilly zaśmiała się gorzko. - I szybko odłożył słuchawkę. Jakby nie mógł się doczekać, aż skończymy rozmowę. A w tle słyszałam damski głos.

- Może naprawdę miał dobry powód. - Obie jednak wiedziały, że Erin powiedziała to, aby Tilly poczuła się lepiej.

- Właśnie przejeżdżałam koło jego domu. Jest tam. Światła są włączone, a na podjeździe stoi zaparkowany samochód.

- Jakiej marki? - spytał Fergus.

- Nie wiem, jakiś czerwony. Zresztą to nieważne. Potrzebowałam po prostu czyjegoś towarzystwa. I wyciągnęliście krótszą słomkę. Pech. - Tilly znów napiła się wina. - A teraz jesteście uwięzieni ze mną przez następnych kilka godzin, bo mam zamiar użalać się nad sobą jak nigdy dotąd. - Pogroziła oboju palcem. - I nie wolno wam nikomu powiedzieć. Nie chcę, żeby całe miasto wiedziało, jaką zrobiłam z siebie idiotkę. Ręka na sercu i przysięga krwi! To jest tajna informacja. - W tej chwili głośno zaburczało jej w żołądku. Zniesmaczona tym, że

mimo złamanego serca jej organizm domaga się tak przyziemnej rzeczy jak jedzenie, dodała:
- Dobra, lepiej przywieź mi torbę wegetariańskich samosów.

Samochodowe reflektory obmywały drogę przed Jackiem. Bryn i Dilys wyjechali w końcu o jedenastej trzydzięci. Ich wizyta obudziła w nim na powrót wszystkie emocje, które - jak sądził - udało mu się już opanować. Kiedy Dilys rozejrzała się po salonie i drżącym głosem spytała: „Och, Jack, a gdzie są zdjęcia Rose?”, poczuł się jak morderca. Nieudolne próby wyjaśnienia, dlaczego pochował fotografie, tylko zwiększyły ich dezorientację i smutek. A w Jacku rosło poczucie winy, gdy pomyślał o Tilly. W żadnym wypadku nie mógł powiedzieć rodzicom Rose, że w końcu spotkał kogoś dla siebie ważnego - potraktowaliby to jako najgorszego rodzaju zdradę. Kiedy słuchał, jak wciąż i wciąż opowiadali o córce, wróciły stare wspomnienia. Bez zdziwienia zauważył, że mają rację, bo związek, w który chciał się zaangażować, byłby po prostu czymś niewłaściwym.

Kiedy tylko pożegnał niedoszłych teściów, poczuł, że ból i żal są znów tak świeże, jak zaraz po śmierci Rose. Jakby umarła po raz drugi. Żegnając się z Brynem i Dilys, obiecał, że niedługo pojedzie na cmentarz.

Ale spać i tak nie mógł. Zmęczony i emocjonalnie wypompowany, zupełnie nie potrafił się zrelaksować. Poczucie winy wywołane tym, że na chwilę zapomniał o Rose, walczyło z wyrzutami sumienia spowodowanymi tym, że tak źle potraktował dzisiaj Tilly. Zapewne zastanawia się cały czas, o co, do diabła, może chodzić. Był jej winien przynajmniej słowo wyjaśnienia. Nawet jeśli w tej chwili sam nie bardzo wiedział, co się dzieje.

Jack wiedział, że jedzie za szybko, ale droga i tak była prawie pusta. Kiedy dotarł do Beech House, wciąż nie miał pojęcia, co zrobić. A przecież zupełnie inaczej wyobrażał sobie ten wieczór. Próbował wcześniej dzwonić do Tilly, ale nie odpowiadała. Zresztą i tak zasługiwała na coś więcej niż rozmowa telefoniczna. Jack zahamował z piskiem, wjeżdżając na podjazd. Prawdopodobnie Tilly niekoniecznie ucieszy się z jego wizyty.

Cholera, życie jest dużo prostsze, kiedy nie trzeba się angażować emocjonalnie.

A chwilę później okazało się, że Tilly nawet nie ma w domu. Podjechawszy bliżej, zauważył, że na podjeździe nie ma jej samochodu. Mogła teraz być wszędzie - zresztą co w tym dziwnego?

Objechał jaguarem podjazd i zawrócił. Dobra, nici z tłumaczenia. Może to nawet lepiej, bo w tym stanie ducha i umysłu nie powinien wdawać się w żadne dyskusje. Czas wracać do domu.

- Jest! To on! To jego samochód! - Tilly wydała z siebie serię pisków i rzuciła się w lewo.

- Nie naciskaj na...

Biiip!

- Drań! - wrzasnęła Tilly. - Zatrzymaj wóz!

Przejeżdżali właśnie przez most na Brockley Road. Fergus zahamował, Jack także.

- No to pięknie - odezwał się zrezygnowany Fergus. - Teraz pewnie wrzuci mnie do rzeki.

Ale Tilly, ośmielona butelką wina, już gramoliła się, by wysiąść. Kiedy dotarła do szczytu mostu, drzwi jaguara otworzyły się i Jack stanął przed nią w srebrnej poświacie księżyca zbliżającego się do pełni. To, że wyglądał tak idealnie, ułatwiło Tilly sprawę. Jak w ogóle mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić, że czeka ich wspólna przyszłość?

- Dzięki za dzisiaj. - Jej głos zabrzmiał wyraźnie, mimo dzielącej ich odległości.

Jack potrząsnął głową.

- Przepraszam. Powiedziałem ci już, jak mi przykro. Byłem przed chwilą u ciebie, ale nikogo nie zastałem. I dzwoniłem.

- Nie musisz przepraszać. To nie było ironiczne podziękowanie, naprawdę ci dziękuję - mówiła Tilly. - Dziękuję, że mnie dzisiaj wystawiłeś, nawet dobrze, że tak się stało. Zresztą

jestem przekonana, że spędziłeś miły wieczór, kimkolwiek była twoja towarzyszką - jakaś nowa czy może członkini dawnego haremu? Nie, żeby mnie to interesowało. - Podniosła obie ręce, zanim zdołał odpowiedzieć. - Jestem tylko ciekawa. Chyba musiała być to któraś ze starej ekipy, bo jakaś obca kobieta chyba nie pojawiłaby się tak po prostu na progu twojej sypialni, prawda? Chociaż, kto wie, mogę się mylić. Może jeśli nazywasz się Jack Lucas, właśnie tak się dzieje. Zresztą nieważne, istotne, że dobrze się bawiłeś.

- Halo! Czy wolno mi coś powiedzieć? - Jeśli jeszcze przed chwilą mówił przeprosającym tonem, teraz było inaczej. Spokojnie dodał: - Zupełnie nie o to chodziło.

- Ha! Jasne, oczywiście. Słyszałam jej głos, Jack.

- Przyjechali rodzice Rose.

Och.

Tilly nie znosiła takich sytuacji, kiedy zbierała wszystkie siły, gotując się do kłótni, a przeciwnik nagle rzucał coś, co obalało wszystkie argumenty. Zamknęła oczy i poczuła, że lekko się kołysze - niedobrze, wypila za dużo wina, by dyskutować w cywilizowany sposób.

- Mogłeś mi to powiedzieć, kiedy do mnie dzwoniłeś. - Oczywiście, że współczuła Jackowi i rodzicom Rose, pewnie, że tak. Ale czy to znaczyło, że automatycznie powinna mu wybaczyć? Nawet nie wspomniał jej w rozmowie, że przyjechali.

- Może. - Jack skinął głową. - Ale się zdenerwowałem. Dilys strasznie płakała. To był cholernie przykry wieczór.

- Hm... Przepraszam, że przeszkadzam! - zawołał z samochodu Fergus. - Ale to jest wąska droga, a my ją blokujemy.

- Dobrze, już idę. - Tilly odwróciła się i ruszyła w kierunku auta.

- Przecież ja mogę cię odwiedzić. - Jack spojrzał na Fergususa i dodał: - Pozwól mi ją zabrać do domu.

Tilly, odwrócona plecami do Jacka, pokręciła głową.

Znów czując się głupio, Fergus odparł:

- Dzięki, ale nie ma problemu. Zawiozę Tilly do domu.

- Tilly, przepraszam za dzisiaj. Porozmawiamy jutro.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Jest. Musimy porozmawiać. - Sfrustrowany Jack westchnął głęboko. - Nie chciałem, żeby tak się potoczył ten wieczór.

Tilly wgramoliła się z powrotem do auta Fergususa.

- Wiem, ale tak się stało. Nie próbuję cię za nic karać, Jack. Robię to, by chronić siebie.

Niektórzy ludzie są szczęściarzami: kiedy budzą się rano z powalającym kacem, po prostu odwracają się na drugi bok i znów zapadają w błogi sen, który trwa, dopóki ból głowy nie minie.

Tilly niestety nie miała takiego szczęścia. Jej kac budził się bardzo wcześnie i uniemożliwiał jakiegokolwiek spanie, zmuszając do przeżywania kolejnych godzin tortur. Kiedy o siódmej rano Betty wdrapała się na górę i nosem otworzyła drzwi do sypialni, Tilly nie spała już od półtorej godziny. Co za niesprawiedliwość!

I nie chodziło tylko o kaca.

O Boże, co za koszmarny wieczór! Kiedy zdaje ci się, że twoje życie wreszcie zaczyna zmierzać w odpowiednim kierunku, ono nagle hamuje gwałtownie i robi zwrot. To jakby stać na środku sceny w La Scali, przygotowując się do arii *Nessun dorma* z opery *Turandot* Pucciniego, i nagle zdać sobie sprawę, że orkiestra zaczyna grać *Wlazł kotek na płotek*.

Około jedenastej zaczęły działać tabletki przeciwbólowe, ból głowy minął i Tilly podjęła decyzję. Kiedy zadzwonił dzwonek, zebrała siły i poszła otworzyć drzwi.

Tyle że to nie był Jack.

Na progu stał listonosz Dave, trzymając w rękach dużą, płaską, kwadratową paczkę.

- Co słyhać, kochana? Cześć, Betty!
- Cześć, Dave. - Paczka zapewne zawierała gigantyczne pudło czekoladek, co ewentualnie mogłoby ją rozweselić. - Masz dla mnie prezent?
Oczywiście, że nie.
- Przykro mi, kochana. - Energicznie podrapawszy Betty za uchem, Dave wyprostował się i podał Tilly przesyłkę. - Paczka jest dla Kaye, zaadresowana na Maksa. Z samej Ameryki. - To, że listy i paczki mogły się przedrzeć przez ocean do Roxborough, było dla Dave'a źródłem nieustającego zdziwienia.
- Dzięki. - Wzięła od listonosza paczkę i na próbę nią potrząsnęła, z nadzieją, że w środku nie znajduje się zmiądzona chihuahua. - Wyjechali na weekend. Przekażę ją Kaye, kiedy wróci. - Przez ramię Dave'a dostrzegła, że na podjazd wjechał jaguar. Na dźwięk mielonego żwiru także i listonosz się odwrócił.
Chwilę później spojrzał na Tilly pytająco.
- Max i Kaye wyjechali? To znaczy, że między wami coś się dzieje?
- Nie. - Rany, czy wścibstwo to element pracy listonosza? - Nie, nic się nie dzieje. Zupełnie nic - powtórzyła zdecydowanie.
- Jasne. Oczywiście. - Ścisząc głos, Dave pochylił się ku Tilly i rzekł: - Ten to dostaje dużo kartek na walentynki, mówię ci.
- Nie wątpię. Ale nie ode mnie.
Listonosz wrócił do furgonetki, po drodze jeszcze skinął głową i przywitał się z Jackiem, mijając go. Potem spojrzał na Betty, która co prawda zniosła drapanie za uchem przez Dave'a, ale teraz z całą energią wyskoczyła na podjazd, by powitać nowego przybysza, jak podekscytowana nastolatka. Ostatnie spojrzenie, jakie listonosz posłał Tilly, mówiło: psy czy kobiety, to bez znaczenia. Wszyscy kochali Jacka.

Rozdział 35

- Przecież powiedziałem ci, jak bardzo mi przykro. - Stojący w kuchni Jack zmarszczył czoło. - Wiem, że cię wczoraj zawiodłem, ale naprawdę miałem powód. Chyba rozumiesz, jak się czułem? Wszystkie uczucia wróciły i zdawało mi się, że zdradzam Rose. Ale to były tylko wyrzuty sumienia. Przespałem się i wiem, że nie musi tak być. Wszystko sobie przemyślałem.
- Potrząsnął głową. - To nie musi być dla nas koniec.
Tilly trwała przy swoim:
- Nie można kończyć czegoś, co jeszcze się nie zaczęło. - W głębi serca sama dziwiła się, skąd ma tyle siły. Ale nie było innego wyjścia. Wczoraj wieczorem była na wpół pijana i wściekła. Dzisiaj - trzeźwa i zrezygnowana, bo przyszło jej podjąć najtrudniejszą decyzję w życiu. Wiedziała jednak, że robi to dla własnego dobra. Aby siebie chronić. Związek z Jackiem nawet się nie zaczął, a ona już zbyt mocno zaangażowała się emocjonalnie. A skoro i tak czekał ich nieszczęśliwy koniec, kto - oprócz jakiegoś masochisty - zdecydowałby się ciągnąć to dalej?
- Nie możesz tego robić. - Jack wyraźnie nie mógł uwierzyć w to, co zamierzała Tilly. - Bryn i Dilys pojawili się zupełnie niespodziewanie. To nie była moja wina. Co niby miałem zrobić? Wyrzucić ich z domu?
- To nie z ich powodu zmieniałam zdanie. Wczorajszy wieczór dał mi po prostu powód do przemyśleń. I uważam, że powinniśmy zapomnieć o... no wiesz, o t a k i m związku. - Tilly machnęła ręką, by opisać jego romantyczny aspekt. - Zostańmy przyjaciółmi, dobrze? Tego

właśnie chcę.

Jack nie przestawał się w nią wpatrywać.

- Serio?

Czemu musiał tak spoglądać? Skinęła głową.

- Tak.

- Dlaczego?

Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa. Może dlatego, że poprzedniego wieczoru obserwowała, jak swobodnie czują się ze sobą Erin i Fergus, jak dobrze im razem, i zrozumiała, że naprawdę kochają się bezwarunkowo i ufają sobie całkowicie. Wiedziała też, że zbudowanie takiego związku było bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe, ale z Jackiem - w ogóle nie miało prawa się zdarzyć.

Czyż to nie ironia losu, że Stella próbowała ze wszystkich sił uprzykrzyć życie Fergusowi, a w życiu Jacka nagle pojawili się rodzice Rose, którzy nieświadomie zadziałali tak samo? Nawet jeśli nie mieli pojęcia, co spowodowali, to z pewnością ucieszyliby się, wiedząc o swoim sukcesie.

Tilly czuła, że serce zaczyna jej bić coraz szybciej - rzeczywiście wyświadczyli jej przysługę. Bo noc, tydzień czy miesiąc z Jackiem nie wystarczyłby na pewno, a to, czego naprawdę pragnęła, okazało się zupełnie niemożliwe. Wcześniej czy później na pewno by się wycofał, jak zawsze, zostawiając ją poranioną i przeżartą zazdrością, jak Stella. Ze złamanym sercem, wystawioną na pośmiewisko całego miasta.

Jack wciąż czekał na jej odpowiedź.

Wzruszyła tylko ramionami i powiedziała:

- Bo tak.

- Jesteś gotowa negocjować?

- Nie. - Tilly potrząsnęła głową, czując jednocześnie ulgę i wielki smutek. - Podjęłam decyzję. I koniec.

- Ooo, skarbie mój, Betsy-Boo, jak się masz? - Kaye porwała suczkę z podłogi i zakręciła się dookoła. - Byłaś grzeczną dziewczynką?

- Obie byłyśmy grzeczne - odparła Tilly, która cały dzień spędziła na dokładnym sprzątnięciu domu. - Jak tam wesele? - spytała.

- Było głośno, dużo alkoholu, dużo tańczenia z facetami w kiltach i z owłosionymi nogami. Ci Szkoci naprawdę umieją się bawić.

- A jeden z nich pokazał mi, co miał pod kiltem - oświadczyła Lou.

- Rany, serio? Fuj.

- Tak, raczej obrzydliwe. Wielkie różowe bokserki w błękitne serduszka. - Lou intensywnie wpatrywała się w paczkę leżącą na kuchennym stole. - Co to? Ktoś przysłał mi prezent?

- Nie, to dla twojej mamy.

- Dla mnie? Ooo, uwielbiam prezenty. - Odstawiwszy Betty, Kaye podeszła do stołu. Mina jej zrzędała, gdy zobaczyła amerykańskie znaczki. - Chyba że to stos papierów od prawników Denzila i Charlene, którzy mają zamiar obedrzeć mnie ze skóry.

- Ja otworzę - wyrwała się Lou i rozdarła pierwszą warstwę papieru. Potem wyjęła bąbelkową folię, a na końcu obraz oprawiony w prostą czarną ramę.

- O matko, przecież to Dinny Jay! - Kaye wydała z siebie okrzyk niedowierzania i wyrwała obraz z rąk córki. - Kto mi go przysłał? Uwielbiam Dinny'ego Jaya!

Tilly spojrzała na obraz rozmiaru A3, na którym widniały dziwacznie namalowane postacie łyżwiarzy na lodowisku w Central Parku. Nigdy nie słyszała o takim malarzu.

- Z tyłu jest przyklejona koperta - zauważyła Lou. Kaye oderwała kopertę, otworzyła i na głos przeczytała:

Droga Panno McKenna,

jakiś czas temu przeczytałem wywiad, w którym wspominała Pani, że podobają się jej prace Dinny'ego Jaya. W zeszłym tygodniu w pewnej galerii zobaczyłem jedną z nich i pomyślałem, że pewnie się pani spodoba. Mam nadzieję, że przyjmie pani ode mnie ten drobiazg i że dotrze on do Pani nieuszkodzony. Przeczytałem w gazetach, że wróciła Pani do Wielkiej Brytanii, dlatego wysyłam paczkę na adres Pani byłego męża, który znalazłem na jego stronie internetowej. Proszę się nie martwić, nie chcę Pani prześladować, po prostu dobrze Pani życzę i chcę, by Pani wiedziała, że są w Ameryce ludzie, którzy wciąż Panią lubią.

Życzę zdrowia i szczęścia.

Serdeczne pozdrowienia,

P. Price

PS Mam nadzieję, że smakowały Pani czekoladki, a kwiaty się podobały.

- Normalny świr. - Skrzywiła się Tilly. - Każdy, kto mówi, że nim nie jest, w rzeczywistości ma obsesję.

Kaye z zachwytem wpatrywała się w obraz.

- Może to po prostu miły człowiek.

- Ile to go mogło kosztować?

- Nie wiem. Muszę sprawdzić w Internecie. Trzy albo cztery tysiące dolarów, coś koło tego.

- Czy nie powinnaś odesłać takiego prezentu?

- O rany, nie wiem. Powinnam? A tak bardzo mi się podoba! Przecież zraniłabym uczucia tego człowieka, gdybym odesłała obraz. Jeśli ktoś kupuje drugiej osobie taki idealny podarunek, to jak byście się czuły, gdyby go wam odesłano? Uważam, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli z wdzięcznością przyjmę ten obraz i napiszę jakiś miły liścik. Przynajmniej tym razem mam jego adres. A że mieszka w Nowym Jorku, więc raczej nic mi nie grozi.

Pojawił się Max, niosąc bagaże.

- Dopóki nie pojawi się na twoim progu, dzierżąc siekiere.

- Coś ty, przecież nie dam mu swojego adresu! - Kaye przytuliła obraz do piersi i uśmiechnęła się. - Podam twój.

Jeszcze dwa dni. Właściwie to nawet mniej niż czterdzieści osiem godzin! Za czterdzieści sześć i pół godziny wejdą na pokład samolotu i wystartują z lotniska w Bristolu prosto do Wenecji, hurra! Na najbardziej wyczekane, potrzebne i romantyczne wakacje w jej życiu.

Pragnąc, by dzisiejszy dzień już się skończył, Erin zerknęła na zegarek. Druga trzydzieści. Jeszcze trzy godziny i będzie mogła pobiec na górę i dokończyć pakowanie. Walizki leżały otwarte na podłodze w salonie, a Erin między kolejnymi klientkami wciąż poprawiała swoją listę. Uwielbiała robić listy, jeszcze kiedy była dzieckiem. Wtedy spisywała sobie: „Wstać. Umyć zęby. Zjeść śniadanie” dla samej przyjemności odfajkowania potem kolejnych pozycji i tego cudownego uczucia spełnienia, dobrze wykonanej roboty. Listy znaczyły bowiem, że miała wszystko pod kontrolą, panowała nad całością. Ludzie, którzy nie robili list, nie wiedzieli, co tracą. A najbardziej wyjątkowe były właśnie spisy wakacyjne, które stanowiły integralną część tego ekscytującego, cudownego wydarzenia.

Dodatkowym plusem było to, że Erin nie musiała się obawiać, iż przyjedzie do owego wspaniałego czternastowiecznego *palazzo* na przykład bez prostownicy do włosów. O, jeszcze odżywka do włosów, ją także musiała dopisać do listy. I lepiej kupić zapasową butelkę - mogło się okazać, że akurat w Wenecji jej nie sprzedawano.

Drzwi do sklepu otworzyły się z hukiem i Erin ze strachu upuściła długopis. W progu

stała Stella z ponurym i niemalże nienaturalnym wyrazem twarzy. Mój Boże, zupełnie jak w tych koszmarnych historiach, które drukowali w gazetach, o porzuconej kochance wpadającej w szal i mordującej kolejne osoby!

- Muszę porozmawiać z Fergusiem. - Nawet głos Stelli brzmiał jakoś dziwnie, jakby jej drugie „ja” dawało o sobie znać.

- Nie ma go tutaj.

- Wiem, że go tu nie ma. Ma wyłączony telefon. Gdzie jest?

Erin nie odważyła się schylić i podnieść upuszczonego długopisu. A co, jeśli Stella skorzysta z okazji i ją zaatakuje?

- Nie wiem. Pewnie na spotkaniu z klientem. - *Dobra, powiedz to, powiedz od razu.* - Czy mogłabyś, proszę, opuścić mój sklep? Nie chcę cię tutaj.

- Okej, w takim razie muszę tobie powiedzieć. - Stella ani drgnęła. - Chcę, żeby Fergus zaopiekował się Bingiem. Wyjeżdżam, więc musi go odebrać ode mnie dzisiaj po pracy. Zostawię na wierzchu jedzenie, koszyk Binga i...

- Moment, Fergus nie może tego zrobić - wyrzuciła z siebie Erin, ignorując ogarniający ją strach. - Musisz znaleźć kogoś innego do opieki nad kotem.

- Musi. Nie ma nikogo innego.

- Zawieź go do hotelu dla zwierząt, po to są.

Stella zacisnęła usta.

- Bing nie pójdzie do żadnego hotelu. Nie spodobałoby mu się tam. - Błyskając oczami, dodała lodowatym tonem: - I nie jest on zwykłym „kotem”.

- Tak czy owak, Fergus nie może się nim zaopiekować, bo go tu nie będzie. - Tym razem żołądek Erin zawiązał się na supeł. - My też wyjeżdżamy.

Ha! Mam cię.

Stella wyglądała, jakby otrzymała cios.

- Wyjeżdżacie?

- Tak.

- Na jak długo?

- Na tydzień. - Ale to nie twoja sprawa.

- Ale ktoś musi zająć się Bingiem.

To było jakieś szaleństwo.

- Poproś więc jakąś koleżankę. Amy na przykład - podsunęła Erin.

- Amy jest zbyt zajęta nowym facetem. - Stella wciąż była spięta. - Nie ma nawet czasu porozmawiać przez telefon.

- Cóż, może w takim razie...

- Słuchaj, nie ma nikogo, kto mógłby to zrobić, rozumiesz? Nie mam kogo poprosić. I nie oddam Binga do hotelu, bo tego nie zniesie. A dokąd wy w ogóle wyjeżdżacie?

No pięknie, może zaraz poprosi, żeby zabrali tego kota ze sobą?

- Do Wenecji - odparła w końcu.

- Wenecja. Jak miło. - Głos Stelli z zimnego zrobił się lodowaty.

- Słuchaj, przykro mi. Gdybyśmy nie wyjeżdżali, wzięlibyśmy Binga. - Do diabła, jeszcze pięć minut temu nie przyszłoby jej do głowy, że może coś takiego zaproponować, i to szczerze. Ale Stella wyraźnie była w kiepskiej formie. Mimo mocnego makijażu i stylowego kremowego kostiumu wyglądała na spiętą i podenerwowaną.

- Jasne. Doskonale. Cóż, w takim razie powiedz Fergusowi, że... Albo nie, zapomnij. - W oczach Stelli zaświeciły się łzy, ale szybko odwróciła się i wyszła.

Erin patrzyła, jak wsiada do samochodu, który zaparkowała przedtem wbrew przepisom na zakazie. Chwilę potem auto ruszyło ostro do przodu, cudem omijając jakąś starszą panią z kraciastym wózkem na zakupy. Stella wycofała pod kątem, wjechała na chodnik i wpakowała się prosto w stojącą za nią latarnię. Kiedy Erin wybiegła na ulicę, Stella oddychała ciężko,

kołysząc się w przód i w tył.

- N-nie wiem, c-co mam z-zrobić - wyjąkała.

- Stello, co się dzieje? Powiedz.

Zdecydowanie pokręciła głową.

- N-nie powiem.

- Nie możesz prowadzić w takim stanie, przed chwilą walnęłaś w latarnię!

- A kto zaopiekuje się moim Bingiem?

Erin podniosła głos.

- A dokąd ty się wybierasz?

- W mniej miłe miejsce niż ty. - Kryjąc twarz w dłoniach, Stella wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „pita”.

O, matko!

- Co? Pita? Jedziesz do Turcji?

Stella odsłoniła twarz i powiedziała tępym głosem:

- Nie do Turcji. Do szpitala. Muszę dziś po południu jechać do szpitala.

- Dlaczego? - wpatrywała się w nią Erin.

- Nie twoja sprawa. I tak nic cię to nie obchodzi. Jedź sobie do Wenecji z moim mężem. I bawcie się dobrze.

- Powiedz mi, czemu musisz iść do szpitala.

- Och, to nic takiego. Mam tylko raka. Czy mogłabyś teraz zamknąć drzwi? Proszę.

- Co?

- Zamknij drzwi. - Łzy płynęły strumieniem po twarzy Stelli, zostawiając smugi na policzkach.

- Masz raka? Naprawdę?

- Naprawdę. Z ręką na sercu i w ogóle... - Stella przerwała i pokręciła głową. - Muszę już jechać.

- Nie możesz prowadzić w takim stanie. Już i tak wgniotłaś zderzak.

- Jeśli rozwalę samochód, to, uwierz mi, nie będzie to koniec świata.

- Ale jeśli w kogoś wjedziesz i go zabijesz, to będzie koniec jego świata. Czekał tu. - Dla pewności Erin sięgnęła do stacyjki i wyciągnęła z niej kluczyki. - Zawiozę cię. Daj mi tylko dwie minuty, muszę zamknąć sklep.

Rozdział 36

Na szczęście samochód miał automatyczną skrzynię biegów, bo w innym wypadku Erin równie mocno ryzykowałaby wypadkiem co Stella w obecnym stanie. Kiedy jechały przez Roxborough, Erin przyszło jeszcze do głowy, że historia o chorobie to kłamstwo. Stella zastawiła na nią pułapkę, by zwabić do swojego domu...

Ale tak nie było, wiedziała o tym dobrze. Stella mówiła prawdę.

Boże, miała raka.

- Czuję się, jakbym w zwolnionym tempie spadała z klifu - mówiła Stella. - Chyba jestem w szoku. Wszystkie te bóle i skurcze, które pojawiały się przez kilka ostatnich lat, to nie były zwykłe przeziębienia - a ja je ignorowałam. Brałam kilogramy środków przeciwbólowych, piłam litry wina. Myślałam, że czuję się tak paskudnie, bo rozpadło się moje małżeństwo. Przecież to dobry powód, prawda? Miłość boli. Jeśli dowiadujesz się, że twój mąż spotyka się z inną kobietą, to normalne, że ci źle. Poszłam do lekarza tylko po to, żeby doktor Harrison

przepisał mi jakieś leki przeciwdepresyjne. Ale ponieważ ostatnio schudłam, zaczął mnie badać i wypytywać. Skręć tu w lewo, mój dom to ten przy drugiej latarni, z zielonymi drzwiami. - Teraz, kiedy Stella się rozgadała, trudno ją było powstrzymać. Erin zaparkowała przy krawężniku i obie wysiadły z auta. - A potem powiedział, że dla bezpieczeństwa trzeba zrobić jakieś prześwietlenie, więc umówiłam się na poniedziałek, tylko po to, by lekarz w końcu dał mi spokój, a dzisiaj po południu wróciłam do doktora Harrisona, aby dostać receptę na prozac, a on poinformował mnie, że mam raka. Przecież to bez sensu, prawda? Takie rzeczy nie przydarzają się mnie. - Dłonie Stelli drżały tak mocno, że nie mogła włożyć klucza do zamka. Mówiła jednak dalej: - Cały czas myślę, że się obudzę i wszystko będzie tak jak przedtem. Jakby nie dość mi było tego raka, to na dodatek ty pojawiłaś się w moim domu, a to jeszcze dziwniejsze.

- Daj, otworzę. - Erin przejęła klucz, otworzyła drzwi i usunęła się, by wpuścić Stellę. Ona natomiast wydała z siebie potworny szloch, gdy tylko Bing podszedł do niej, ocierając o jej nogi swoim niebieskoszarym futrzanym ciałem. Stella porwała go w ramiona i kompletnie się załamała, podczas gdy kot, patrząc bez niepokoju żółtozielonymi oczami, mrugał spokojnie na Erin, jakby chciał powiedzieć: „O Boże, co znowu?”.

Takie właśnie były koty. Oczywiście jakoś znosił wyrazy uwielbienia, ale głównie zastanawiał się, co dostanie na podwieczorek.

Godzinę później, kiedy Stella spakowała torbę do szpitala, wyjechały z domu. Wszystkie listy spisane przez Erin można było teraz wyrzucić do kosza - nie panowała nad sytuacją. W samochodzie Stella zaczęła powtarzać:

- Boję się. Bardzo się boję. Czy to w porządku, że się tak boję?
- Każdy by się bał, to normalne.
- Chcę do mamy.
- Gdzie ona jest? Chcesz do niej zadzwonić?
- Nie żyje. - Stella otarła łzy. - Ale i tak jej potrzebuję.

O matko. W gardle Erin utkwiała wielka gula.

- To naprawdę nie powinno się w ogóle wydarzyć, wiesz? Nie chcę mieć raka. Chcę mieć dziecko.

Zupełnie bezradna Erin powiedziała:

- Przecież tysiące ludzi choruje na raka i udaje im się wygrać. Po terapii będziesz mogła mieć dziecko. Pomyśl tylko, przecież istnieją różne nowoczesne terapie, lekarze potrafią wyleczyć prawie wszystko!

- A kto się zaopiekuje Bingiem? Będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

- Jakoś to załatwimy, obiecuję. - Dojechały do szpitala. Erin kierowała się znakami, aż dotarły do oddziału, gdzie znajdowała się właściwa izba przyjęć. Zahamowała i powiedziała niezręcznie: - No to jesteśmy.

Stella przejrzała się w lusterku wstecznym i wytarła chusteczką rozmazany tusz do rzęs. Potem odwróciła się, spojrzała na Erin i zapytała, równie niezręcznie:

- Pójdiesz ze mną? Nie chcę być tam sama.

Szpital obudził w Erin wiele wspomnień, większość z nich bardzo bolesnych. Spędziła tu wiele tygodni, siedząc na krześle przy łóżku matki po jej pierwszym wylewie. Potem życie ich obu było zależne od kolejnych niekończących się wizyt na oddziale rehabilitacji, fizjoterapii, w ambulatorium. Godziny czekania, kiedy siedziała i za wszelką cenę próbowała odnaleźć w sobie odrobinę radości, choć w środku czuła, że nie znajdzie jej za żadne skarby. Kolejne próby nawiązania zwykle jednostronnych konwersacji, kiedy prawie natychmiast kończyły się tematy i zapadało milczenie. Milion razy czytane gazety, zapach moczu, pacjenci pozbawieni zdolności mowy zawodzący z frustracji, uwięzienie w wąskim korytarzu za kimś, kto przy balkoniku poruszał się z prędkością żółwia, wszechobecny smród środka

dezynfekującego i rozgotowanych warzyw...

Kiedy matka umarła, oznaczało to na szczęście koniec bezustannych wizyt w szpitalu. Erin ucieszyłaby się, gdyby nigdy więcej nie musiała przekraczać jego progu. Tak czy owak - to był inny oddział, inny personel, inni pacjenci. Tylko krzesła wyglądały tak samo. Erin usiadła na jednym potwornie niewygodnym, jasnopomarańczowym plastikowym siedzisku, jasnowłosa pielęgniarka przycupnęła na drugim, a Stella położyła się na łóżku. Pielęgniarka wypełniała stronę informacyjną w karcie Stelli równym, pełnym zawijasów pismem. I robiła to baaardzo powoli.

- Dobrze... Wyznanie?

- Brak - odparła Stella.

- W porządku, w takim razie wpiszemy anglikańskie, co? - Trzydzieści sekund zajęło jej wpisanie tego do odpowiedniej rubryki. - Świetnie. Krewni?

Stella nerwowo skubała szpitalne prześcieradło. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała łzy.

- Matka? Ojciec? - podpowiadała pielęgniarka. - Brat albo siostra?

- Nie mam żadnej rodziny. - Coraz bardziej zdenerwowana Stella spojrzała w końcu na Erin i szorstko spytała: - A może ciebie tam wpisać?

- Bardzo ładnie - odezwała się pielęgniarka pocieszająco. - Nie ma sprawy. Kim pani jest?

- To dziewczyna mojego męża - odparła Stella.

- O! A czy w takim razie nie powinnam wpisać tu jego nazwiska?

- Nie wiem. Jego nie obchodzę. Zresztą w szpitalach i tak do niczego się nie nadaje - wyjaśniła Stella, kręcąc głową. - Proszę tam wpisać nazwisko Erin. Jak długo tu zostanie?

- Hm, cóż, to wszystko zależy przecież od lekarzy, prawda? - Pielęgniarka, wciąż uśmiechając się radośnie, odpowiadała oględnie, za wszelką cenę chcąc uniknąć kolejnych niezręcznych pytań. - Doktor Wilson przyjdzie niedługo, by panią zbadać.

- Potrzebuję środków przeciwbólowych. - Stella nie owijała w bawełnę.

- Nie ma sprawy, to też załatwimy.

Erin wyszła przed szpital, usiadła na nasłonecznionej ławce, trzęsąc kolanami, i znów zadzwoniła na komórkę Fergusa. Tym razem odebrał.

- Cześć, skarbie, jak idzie pakowanie? - Dziwnie było słyszeć jego głos, taki swobodny i normalny. - Słuchaj, czy masz przełącznik do gniazdka, bo nie mogę znaleźć swojego?

- Fergus, poczekaj chwilę, coś się stało. - Erin za późno zorientowała się, że nie przygotowała sobie tego, co ma powiedzieć. - Chodzi o Stellę.

- Rany boskie, co ona znowu zrobiła? Dobra, mam tego dość. Gdzie ty jesteś?

- W szpitalu.

- Co? Jezu, coś ci zrobiła? Jesteś ranna?

- Ona jest chora, Fergus. Nie zaatakowała mnie. Przyjęli ją na badania.

Wyraźnie zdezorientowany Fergus powiedział:

- W porządku. Ale nie rozumiem, co ty tam robisz.

Kiedy wróciła na oddział, pomarańczowo-niebieskie zasłony wokół łóżka Stelli były zaciągnięte. Nagle ktoś odsłonił je zamasztywym gestem i pojawił się wysoki, całkiem przystojny mężczyzna w białym fartuchu. Dostrzegłszy Erin, wskazał ją palcem i zapytał:

- Pani jest przyjaciółką Stelli?

Ze wszystkich rzeczy na świecie akurat tego pytania nigdy sobie nie wyobrażała. Z powodu wyschniętego gardła nie mogła wydusić słowa, skinęła więc tylko głową i podążyła za lekarzem.

- Porozmawiajmy chwilę, dobrze? W tym czasie pobierzemy Stelli krew. Jestem doktor Wilson.

Lekarz poprowadził Erin korytarzem do małego biura bez okien, pełnego podręczników i

dokumentów. Zaproponował, by usiadła, sam usiadł naprzeciwko i powiedział:

- Cóż, nie będę owijał w bawełnę. Pani przyjaciółka Stella będzie teraz potrzebowała całego wsparcia, jakiego może jej pani udzielić. Bardzo mi przykro. Co prawda, jeszcze dziś po południu musimy zrobić biopsję, ale już na zdjęciu tomograficznym widać, że nowotwór jest bardzo zaawansowany. Pani też będzie musiała być silna. Przykro mi, wiem, że to dla pani szok.

Erin zdawało się, że ogląda jakiś serial telewizyjny. Jakby jakimś cudem trafiła do jednego z odcinków *Ostrego dyżuru*. Chwila raczej nie była odpowiednia, aby powiedzieć lekarzowi, że właściwie to wcale nie jest przyjaciółką Stelli, a co więcej, powinna teraz wrócić do domu i dokończyć pakowanie, bo wyjeżdża na wakacje.

- Ale ją wyleczycie. - Nie potrafiąc spojrzeć lekarzowi w oczy, patrzyła na jego długie zgrabne palce.

- Rozważymy oczywiście wszystkie możliwe sposoby leczenia. Ale muszę panią uprzedzić, że sytuacja nie wygląda dobrze. Obawiam się, że są już przerzuty. Na prześwietleniu widzieliśmy zmienione komórki w jelitach, płucach i wątrobie. To agresywny nowotwór.

No tak, ktoś taki jak Stella nie mógł mieć przecież nieśmiałego, kryjącego się raka, prawda? Erin wzięła chusteczkę z pudełka stojącego na biurku i wytarła wilgotne dłonie. W jej głowie pojawiły się okropne, niegodne, wstydlive myśli, które walczyły o pierwszeństwo z poczuciem obowiązku. Oczywiście, że było jej żal Stelli, ale to przecież ona zamieniła jej życie w koszmar... I co z Wenecją, z czternastowiecznym *palazzo* z ogrodem na dachu i widokiem na Canal Grande?

O Boże! Wątroba, jelita, płuca. A g r e s y w n y .

Zrobiło jej się niedobrze.

Ale właściwie jaki miała inny wybór?

- Odwołać? - Fergus, który wiedział, jak bardzo Erin czekała na te wakacje, spojrzał na nią, jakby postradała zmysły. - Stella jest chora, więc chcesz odwołać nasz wyjazd?

Stali przed szpitalem. Erin trzymała Fergusą za rękę. „Chcieć” nie było tu odpowiednim słowem.

- Musimy. Ona nie ma nikogo bliskiego. Byłam z nią dzisiaj po południu, kiedy dzwoniła do swoich przyjaciółek. Deedee i Kirsten.

Fergus ugryzł się w język.

- Tak, znam je.

- W każdym razie są zbyt zajęte, aby odwiedzić Stellę w szpitalu. Okazuje się, że Deedee przytyła ostatnio kilka kilogramów, więc za nic nie może opuścić wizyty w siłowni. Kirsten za to ma bardzo dużo pracy i musi pilnować ekipy remontującej jej kuchnię. A Amy znalazła sobie nowego faceta. Bardzo miło z jej strony. - Erin miała przedtem wielką ochotę wyrwać szpitalny telefon z chudej, idealnie wymanikiurowanej dłoni Stelli i nawrzeszczeć na jej tak zwane przyjaciółki, żeby ruszyły swoje kościste tyłki i natychmiast przyjeżdżały do szpitala.

- Słuchaj, ja też jestem w szoku, ale to nasz urlop. A Stella zawsze była dla ciebie wredna. - Fergus zmarszczył czoło, zdziwiony nagłą zmianą relacji między kobietami. Po telefonie od Erin natychmiast przyjechał do szpitala. Był głodny i wściekły. Stella uwielbiała dramatyczne akcje, więc mogło się okazać, że jej choroba to nic takiego i że z łatwością można ją wyleczyć. Wzruszyła go troska Erin (do diabła, ile kobiet zachowałyby się tak jak ona, po tym co urządziła ostatnio Stella?), ale nie musiała posuwać się aż tak daleko. - Wiesz, bardzo miło, że się martwisz, ale ona sobie poradzi. Nie będzie nas tylko tydzień. Jeśli po powrocie Stella wciąż będzie w szpitalu, to ją odwiedzimy. Ale nigdy nic nie wiadomo, może niedługo wypiszą ją do domu.

Ale Erin wcale się nie uspokoiła. Jej twarz była zatroskana i bardzo blada, a ciało sztywne

z nerwów.

- Rozmawiałam z lekarzem. To bardzo zaawansowane stadium raka. - Łamiącym się głosem dokończyła: - Fergus, przerzuty są w s z ę d z i e .

Rozdział 37

Czy to właśnie znaczyło „rzucić kogoś na głęboką wodę”? Wszystko zdawało się przecież takie proste i zrozumiałe tamtego dnia, kiedy Erin uczyła ją, co powinna wiedzieć... A teraz zmieniło się w przeraźliwie skomplikowany proces. Kiedy Erin zdecydowała, że zostaje u Stelli w szpitalu, Kaye musiała dzień wcześniej zjawić się w sklepie, i szybko okazało się, że jest zupełnie do tego nieprzygotowana. Jeszcze przed południem udało się jej śmiertelnie obrazić pewną arogancką starszą panią, proponując - według klientki - zbyt niską cenę za przyniesione przez nią męskie tweedowe spodnie.

- Słucham?! Ile? To za mało! - Krzaczaste brwi trzęsły się z oburzenia. - Zapłaciłam za nie dziewięćdziesiąt funtów!

Chyba w sklepie Czerwonego Krzyża, pomyślała Kaye. Spodnie były obrzydliwe i nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby ich kupić. Kaye, patrząc jak oburzona kobieta wychodzi ze sklepu, zrozumiała, że Erin ma większy talent do grzecznego odmawiania, a ona sama powinna raczej zasiadać w jury *Idola*. Może nauka, jak być większą dyplomatką, przyda się na przyszłość.

Było jednak trudno nie obrażać ludzi, którzy przymierzali ubrania zupełnie dla nich nieodpowiednie albo nie zauważali niedoróbek w towarach oddawanych do sklepu. Nim nadeszła pora lunchu, Kaye zdołała już obrazić kolejnych czterech klientów. A kiedy o wpół do drugiej do sklepu przyszła Tilly, została powitana z wielką ulgą:

- Cześć! Wyglądasz cudownie!

Tilly spojrzała podejrzliwie.

- Przed chwilą cyklinowałam podłogę. Jestem cała zakurzona.

- Och, ale masz taką piękną koszulkę! I dzinsy idealnie na tobie leżą, chociaż z taką figurą we wszystkim wyglądałabyś bosko! A kolor bluzki idealnie pasuje do twoich oczu.

- Zaczynasz mnie przerażać - rzekła Tilly. - Czy to jakiś program z ukrytą kamerą?

- Ćwiczę, jak być miłą i prawić komplementy - skrzywiła się Kaye. - Klient, który przymierza jakiś ciuch, nie lubi, gdy mówisz mu, że wygląda jak hipopotam.

- Bo trzeba to wyrazić delikatnie. Erin potrafi to najlepiej. Jest szczerą, ale taktowną.

- Tak, wiem, że mnie brakuje taktu. Jeśli teraz ktoś przyniesie cokolwiek do przyjęcia, to powiem, że musi poczekać, aż wróci Erin.

Tilly westchnęła przeciągle.

- Nie mogę uwierzyć, że nie jadą do Wenecji. Odwołać takie wakacje na kilka godzin przed wyjazdem!

Kaye pokiwała głową ze współczuciem i podała jej klucz do mieszkania Stelli.

- Ja też nie mogę uwierzyć, że na zmianę opiekujemy się kotem Strasznej Stelli.

Ponieważ Bing był kompletnie rozpuszczony, zdecydowały, że lepiej zostawić go w jego własnym domu. Cztery lub pięć razy dziennie ktoś wpadał tam, by nakarmić zwierzątko, zmienić mu wodę, upewnić się, że ma czystą kuwetę, i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Skoro Bing był dzieckiem Stelli i najważniejszą rzeczą w jej życiu, uznała, że będzie wolał mieszkać w znajomym otoczeniu. Zresztą jeśli kuweta nie będzie idealnie czysta, mówiła Stella, Bing załatwi się na dywan. Dlatego Erin zorganizowała dyżury. A kiedy Tilly odważyła

się zaproponować - czysto hipotetycznie - że skoro Stella jest w szpitalu, nie dowie się, jeśli umieszczą Binga w hotelu dla zwierząt, Erin powiedziała: „Czy nie możemy po prostu się nim zająć? Proszę. Ostatnie, czego trzeba Stelli, to martwienie się o kota”.

- Zgadza się. - Tilly zwróciła się do Kaye. - Pojadę tam i zajrzę do Binga. Spróbuj nie doprowadzić sklepu do ruiny pierwszego dnia. - Grożąc palcem, dodała: - Pamiętaj: szczerłość i takt.

Kaye skinęła głową.

- Oczywiście. Na przykład: „Jakie to szczęście, że pani nos jest taki wielki, przynajmniej odwraca uwagę od podwójnego podbródka”.

- Właśnie tak. Idealnie.

Godzinę później do sklepu weszła wysoka kobieta około sześćdziesiątki. Zmierzyła Kaye zaskoczonym wzrokiem:

- Pani tu zwykle nie pracuje.

- Jestem w zastępstwie.

- Ale wie pani coś o modzie? Mam nadzieję, bo ja jestem zupełną ignorantką! Dwie sprawy. Potrzebuję nowej wieczorowej sukienki, nic zbyt fikuśnego ani kwiecistego, rozmiar XL. Ale chcę się też poradzić. - Nie przestając mówić, klientka położyła na ladzie plastikową torbę. - Przysięgam, że robiąc to, czuję się okropnie, ale nie mam innego wyjścia. Widzi pani, teściowa mojego syna dała mi ją na gwiazdkę. Wiem, że to drogi projektant, więc torba kosztowała majątek, bo ta kobieta ma mnóstwo pieniędzy i wciąż powtarzała, jak dużo zapłaciła. Tyle że dla mnie to za elegancka rzecz, a że odpadła nam jedna z dużych nagród na aukcji charytatywnej, pomyślałam, że oddam ją właśnie tam. - Wyjęła z reklamówki damską torebkę i z nadzieją spojrzała na Kaye. - No i zastanawiałam się, czy mogłaby mi pani powiedzieć mniej więcej, ile jest warta, żebyśmy mogli ją wystawić jako „Przepiękną torbę od Hermesa jedynie za sześć milionów funtów”... No dobrze, może nie za sześć milionów, ale za jakąś dużą kwotę.

O matko! Szczerłość i takt? Grając na czas, Kaye obejrzała dokładnie pasek torby i pociągnęła za wystającą nitkę.

- Hm, bardzo mi przykro, ale to nie jest torebka od Hermesa. To fałszywka.

- O nie! Naprawdę? A ile jest warta?

Kaye pokręciła głową, z jednej strony przerażona, że musi powiedzieć prawdę, a z drugiej zaskoczona, że klientka nie rozpoznała od razu kiepskiej podróbki.

- Nic - odparła w końcu. - To bardzo kiepska kopia. Proszę spojrzeć na te nierówne szwy tutaj. I krzywą boczną kieszeń. No i nie jest uszyta ze skóry, tylko z plastiku.

A już prawie sprzedano ją na aukcji charytatywnej... Co za pech!

- Cóż, dziękuję. Do diabła! - Starsza pani stłumiła westchnienie.

- Naprawdę mi przykro.

- Co tam, to przecież nie pani wina. Mam nadzieję, że wymyślimy coś na tę aukcję. Przynajmniej nie muszę już czuć się winna, że oddaję na nią prezent! Mówiąc między nami, i tak nie znoszę teściowej mojego syna. Zawsze chełpi się swoimi milionami. Okropna kobieta. Nie ma co o niej rozmawiać. Może przynajmniej pomoże mi pani znaleźć jakąś sukienkę na wieczór. - Klientka zamilkła, zmarszczyła brwi i przyjrzała się uważnie Kaye. - Cały czas mi się zdaje, że panią znam. Ale się nie spotkałyśmy, prawda?

- Raczej nie.

- A jednak pani twarz jest znajoma. Pracowała pani w jakimś innym sklepie?

- Hm, nie. - Kaye zaczęła przeglądać wieczorowe suknie i po chwili wyjęła spośród nich jedną: piękną, błękitną, uszytą z tafty. - Może przymierzy pani tę? Kolor pasuje do...

- Może w hotelu? Albo w restauracji? Bo wie pani, znam też pani głos. - Zaciekawiona kobieta kręciła głową. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... zdaje mi się, że widziałam, jak pani płacze.

- Cóż, przez ostatnich kilka lat mieszkałam w Stanach.
- W zeszłym roku byliśmy w Teksasie! Cały miesiąc. Pani też tam była?
- Nie, mieszkałam w Los Angeles. Jestem aktorką - odparła Kaye.
- Na miłość boską! Serial *Over the Rainbow*! - Starsza pani krzyknęła z podekscytowania.
- Oglądaliśmy ten film - pani mąż uciekł z pani siostrą!
- Zgadza się. - Kaye uśmiechnęła się, bo ani przez chwilę nie pomyślałaby, że ta kobieta mogłaby okazać się fanką jej serialu.
- Jejku, uwielbiliśmy *Over the Rainbow*! Nie mogę uwierzyć, że występowała pani tam, a teraz jest tutaj! - Klientka aż klasnęła z radości w ręce, nie wykazując ani odrobiny zainteresowania sukienką, którą proponowała jej Kaye. - Wie pani co? To musi być przeznaczenie.

Przeznaczenie?

- Dlaczego?

- Dlatego że jest pani znaną hollywoodzką aktorką! I gdyby zechciała pani wyświadczyć mi przysługę, będę bardzo wdzięczna.

Kaye zmierzyła kobietę podejrzliwie. Sama miała tylko jedną naprawdę designerską torbę i uwielbiała ją do szaleństwa. Charytatywnie czy nie, wolałaby umrzeć niż oddać coś tak drogiego tej osobie.

- Jaką przysługę? - spytała ostrożnie.

- Wie pani, jestem w ogromnym kłopotcie, ponieważ Antonella Beckwith wycofała się z imprezy. Może pani o niej słyszała?

Równie dobrze mogłaby spytać, czy Kaye zna Rolling Stonesów. „Taki zespół. Słyszała pani?”. Antonella Beckwith była młodą supermodną piosenkarką, która w ciągu ostatnich dwóch lat sprzedała mnóstwo płyt. Kaye przytaknęła, czując pewien niepokój.

- Cóż, ja też niewiele o niej wiem. Ale najwyraźniej mieliśmy szczęście, że się zgodziła. Jedna z jej ciotek jest koleżanką jednej z naszych organizatorek i jakoś się dogadały. Tyle że zostały dwa tygodnie do aukcji, a ta paskudna dziewczyna wystawiła nas do wiatru i odwołała przyjazd. Podobno zaproponowano jej coś dużo ciekawszego w Londynie, więc raz-dwa zapomniała o naszej aukcji. A my łamiemy sobie głowę, jak znaleźć inną sławę, bo wszyscy znani ludzie mają już zobowiązania. Co oznacza, że jesteśmy naprawdę zdesperowane!

- Powiem pani dwie rzeczy - oświadczyła Kaye. - Po pierwsze, nie jestem żadną celebrytką. Na pewno nie tutaj. Nikt nie będzie wiedział, kim jestem.

- Ja wiem, kim pani jest! Mój mąż także! Powiemy wszystkim, że jest pani gwiazdą Hollywood!

Sytuacja robiła się coraz bardziej żenująca.

- Po drugie, niedawno spowodowałam pewien... wypadek i prasa nie jest dla mnie zbyt przychylna. - Skrzywiła się. - Zresztą nie gram już w tym serialu. Wyrzucili mnie. Dlatego wróciłam.

- Ale to przecież doskonale! Nie rozumie pani? - Klientka zaczęła grzebać w torebce i wyjęła wizytówkę. - Skoro ludzie tutaj pani nie znają, nie będą wiedzieli o tych problemach, prawda? Więc to żaden kłopot!

Nieznajoma parła naprzód z siłą wodospadu. Spoglądając na wizytówkę, Kaye przeczytała, że kobieta nazywa się Dorothy Summerskill.

- Aukcja odbędzie się za tydzień w sobotę w hotelu Mallen Grange - dodała Dorothy.

Właśnie w tym momencie Kaye powinna zrobić zbolaną minę i przepaszająco wykrzyknąć: „Och nie, w przyszłą sobotę? Co za szkoda!”, a potem wymyślić jak najbardziej przekonującą wymówkę. Ale powstrzymały ją dwie rzeczy: nie potrafiła na poczekaniu wymyślić dobrej wymówki, a nawet gdyby jej się udało, miała wrażenie, że pani Summerskill i tak by nie uwierzyła.

- Mamy bardzo szczytny cel - ciągnęła przekonująco. - Pomoc chorym na alzheimera.

- Naprawdę? Mój znajomy także wspiera tę organizację. Jack Lucas.

- Zna pani Jacka? To cudownie! On także będzie na aukcji, więc to nawet jeszcze lepiej!

- Dobrze, przyjdę - zgodziła się Kaye, choć zdała sobie sprawę, że i tak nie miała wyboru. Właściwie mogło być sympatycznie. A agentka powiedziała jej przecież, że powinna zaangażować się w działalność charytatywną, aby ludzie przestali jej nienawidzić. - A co miałabym robić? Otworzyć całą imprezę?

- O, tak - Dorothy skwapliwie przytaknęła - to też. Ale najważniejsza naturalnie będzie aukcja.

Aukcja? O rany! Kaye wpadła w panikę.

- Wie pani, znam co prawda kilka osób, które doskonale umiałyby poprowadzić aukcję, ale nie wydaje mi się, żebym sobie poradziła.

- Kochanie, ależ my nie będziemy cię prosić, żebyś prowadziła aukcję! Zajmiesz miejsce Antonelli w kupowaniu gwiazd!

Co proszę?

- To jest atrakcja wieczoru - wyjaśniała Dorothy. - Uczestnicy aukcji będą licytować kolację z tobą. Prawda, że to cudowne!?

- Nie będzie cudowne, jeśli nikt nie złoży oferty. - Matko święta, ta kobieta całkiem oszalała. W porównaniu z Antonellą Beckwith przyciągnie mniej więcej tyle zainteresowania, co... mrówka chociażby.

- Nie bądź niemądra, moja droga. Któżby nie chciał pójść na kolację z prawdziwą hollywoodzką gwiazdą?

- Pani nawet nie zna mojego nazwiska - zaprotestowała Kaye.

- Nieważne, obiecuję ci, że nie będziesz musiała się wstydzić. Nasi dobroczyńcy są zawsze bardzo hojni. A aukcja odbędzie się po kolacji, więc prawdopodobnie będą już mieli za sobą wiele drinków! - Dorothy cała promieniała, zadowolona, że załatwiła sprawę. - A więc postanowione. Teraz musisz mi tylko pomóc znaleźć suknię na ten wieczór. I nie martw się - dodała wesoło, biorąc od Kaye niebieską sukienkę. - Będzie wesoło!

Rozdział 38

Stella po wyjściu z szoku zaczęła całkowicie wypierać z umysłu swoją chorobę. Erin wiedziała, że rozmawiała z lekarzem o wynikach biopsji, ale pacjentka postanowiła, że nie chce być chora, i unikała jakichkolwiek dyskusji o stanie swojego zdrowia. Zamiast tego nalegała, by rozmawiali o nadchodzących wakacjach, siedziała w łóżku i nakładała kolejne warstwy makijażu. W ciągu tygodnia zaczęły być jednak widoczne zmiany w jej wyglądzie. Coraz trudniej było je obserwować, a jeszcze trudniej udawać, że nic się nie dzieje. Za każdym razem kiedy wchodziła na oddział, Erin na nowo zbierała siły - choroba co dnia czyniła większe spustoszenie - i obserwowała ten proces jak serię zdjęć w przyspieszonym tempie. Gdy Stella po raz pierwszy powiedziała o chorobie, wydawało się, że nowotwór może rozwijać się latami. Ale było zupełnie inaczej. Skóra Stelli zrobiła się zielonożółta, oczy zapadnięte, a waga spadała właściwie z godziny na godzinę. Ruszała się wolniej, bez przerw cierpiąc z bólu, ale i tak upierała się, by poprawić szminkę na ustach, nałożyć grubszą warstwę cieni na powieki i hojnie osypywać twarz i dekolt pudrem brązującym.

Lekarz znów poprosił Erin na rozmowę, potwierdzając to, czego bardzo nie chciała usłyszeć.

- Przykro mi, ale jest tak źle, jak mówiłem. Możemy zmniejszyć ból, ale nowotwór jest

nieuleczalny. Próbowałem z nią rozmawiać, jednak Stella nie chce słuchać. Niestety, trzeba także poinformować o sytuacji jej męża. - Uśmiechnął się współczująco do Erin. - To miło, że się tak dogadujecie. - Ponieważ była właściwie jedyną osobą odwiedzającą chorą, wołała nie mówić, jak jest naprawdę. - Zatrzymamy ją w szpitalu - dodał lekarz. - Nie ma sensu oddawać Stelli do hospicjum. To już tylko kwestia dni.

Nawet nie tygodni. Dni. Erin zamknęła oczy - nie miała pojęcia, że rak może postępować tak szybko.

- Ominęłaś kawałek - skarciła ją Stella.

Leżała na łożu śmierci i narzekała, że ma krzywo pomalowane paznokcie. Erin poprawiła lakier i rzekła:

- Przepraszam.

- Chcę wyglądać ładnie dla Maksa. Czemu jeszcze go nie ma?

- Pewnie próbuje znaleźć miejsce do parkowania. Tutaj to czasem istny koszmar.

Drzwi do sali otworzyły się z hukiem.

- Nareszcie jesteś - powiedziała Stella. - Spóźniłeś się.

Max podszedł do jej łóżka. Jeśli zaszokowała go zmiana w wyglądzie Stelli, jaka nastąpiła od jego ostatniej wizyty, to nie pokazał tego.

- Po tylu latach ciągle się mnie czepiasz. Jasny gwint, kobieto, odpuść trochę! Niektórzy z nas muszą czasem popracować i powalczyć z żonami piłkarzy. - Schylił się i uściskał chorą. - Tandy przechodzi właśnie etap kryształów: uparła się, żeby w holu postawić dwumetrową piramidę z niebieskiego kryształu. Ale nieważne. Jak się czujesz?

- Paskudnie. Nie znoszę tego miejsca. A Erin zupełnie zniszczyła moje paznokcie. - Nastawiając twarz do pocałunku, spytała: - Ładnie wyglądam?

- Bosko. Pewnie flirtujesz ze wszystkimi lekarzami po kolei.

- Pewnie. Tyle że oni wolą zajmować się wewnętrznym wyglądem mojego ciała. - Stella skrzywiła się i poprawiła fryzurę. - Wiesz, kokietuję i mrugam rzęsami, ale oni psują wszystko, pytając, czy udało mi się dzisiaj wypróżnić.

- Okropnie nieromantyczne pytanie - potwierdził Max. - Zabija urok każdej chwili. Masz, przyniosłem ci gazety.

- Dzięki. Tę już czytałam. I tę też.

Max potrząsnął głową.

- Mogłem sobie darować. Nikt ci nigdy nie powiedział, że gdy ktoś ofiarowuje prezent, to wypada przynajmniej udawać wdzięczność?

Stella zmusiła się do uśmiechu, a jej wybielone zęby wyglądały nieco upiornie w kontraście z brązowożółtą cerą.

- Znalazł się dobrze wychowany... Przepraszam. Reszty akurat nie czytałam. - Przeglądając jeden z magazynów, Stella zatrzymała się na okładce. - A tę wybrałaś specjalnie?

- Nie, czemu? - Max spojrzał na Erin, myśląc o tym samym co ona. Boże, żeby to tylko nie był artykuł *Dziesięć rzeczy, które musisz zrobić przed śmiercią...*

Stella wycelowała wciąż niewyschnięty bordowy paznokieć w nagłówek: *Zegar biologiczny zaczął bić? Zadzwoń do zaprzyjaźnionego geja!*

- Chociaż może w ten sposób chciałaś mi powiedzieć, że zmieniłaś zdanie.

- Nie.

- Ale mógłbyś.

- Nie, do cholery, nie mógłbym! - zaprotestował Max.

- Oczywiście nie teraz. Dopiero kiedy poczuje się lepiej. - Stella wpatrywała się w niego intensywnie. - Chcę mieć dziecko, Max. Proszę.

Erin też patrzyła na mężczyznę. Max pokręcił głową.

- Wiem, że chcesz, ale ja ci nie pomogę. Znajdź sobie innego jelenia.

- Dobra, znajdę. - Zmuszając się do kolejnego słabego uśmiechu, Stella dodała: - Zresztą i tak nie chciałabym, żeby moje dziecko miało taki nos jak twój.

Max został z nimi jeszcze czterdzieści minut, dyskutując ze Stellą, dzieląc się najnowszymi plotkami z Roxborough i zjadając nie tylko owoce leżące w miseczce przy łóżku, lecz także większość herbatników należących do pacjentki z łóżka obok.

Kiedy wyszedł, Stella z westchnieniem opadła na poduszki.

- Jest cudowny, prawda?

- Uhm. - Erin wzruszyła ramionami i kiwnęła głową, w głębi duszy oburzona wcześniejszym zachowaniem Makska. Nic by mu się nie stało, gdyby poudawał, że...

- Sprawił, że poczułam się dużo lepiej.

Wielkie dzięki! Max wpada na chwilę, i to już poprawia jej humor, a niektórzy odwołują wakacje i spędzają tu prawie cały tydzień... Jak to miło, że jedna krótka wizyta czyni tak wielką różnicę...

- Czuję się głupio, mówiąc to, ale teraz przynajmniej wiem na pewno, że nie umieram.

- Słucham?

- No wiesz, o czym mówię. - Stella wyglądała na zmieszaną. - Kiedy czujesz się tak paskudnie, a ludzie są dla ciebie mili, to może przyjść ci do głowy najgorszy scenariusz. A to nieco przerażające, prawda? Ale gdybym naprawdę umierała, Max zgodziłby się na wszystko, co proponowałam, czyż nie? Chcąc poprawić mi humor, obiecałby tyle dzieci, ile tylko chcę. Podaj mi to. - Wskazała na pudełko chusteczek, bo łzy płynęły już po jej policzkach. - Ale tego nie zrobił. Powiedział, że mam się wypchać. A to znaczy, że wyzdrowieję.

- To dobrze. - Erin nie wiedziała, co powiedzieć.

- Boże, co za ulga! Teraz muszę tylko zebrać siły, żeby mogli zacząć terapię. A tak w ogóle, kiedy planujecie z Fergussem ślub?

Erin nie nadążała za tokiem myślenia Stelli.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Przecież nie macie rozwodu.

- To nie potrwa długo, jakoś wszystko załatwimy. Już mnie nie obchodzi, możesz go sobie wziąć. Masz mi tylko coś obiecać.

Matko, co znowu?

- Co takiego?

- Że zaprosisz mnie na wasz ślub. Żebym mogła się tam pokazać, wyglądając bosko, w jakimś wystrzałowym stroju. Będę szczupła, elegancka i cudowna - oznajmiła Stella - i wszyscy będą się zastanawiać, czemu Fergus mnie zostawił.

- Wiesz co? - rzekła Erin. - Mam jakieś dziwne przeczucie, że zaproszenie dla ciebie może w niewyjaśnionych okolicznościach zaginać na poczcie.

- Nie martw się, wejdę tam siłą. - Stella drgnęła z bólu, ale zdołała się uśmiechnąć. - Ha! Zrobię furorę na weselu własnego męża. Fajnie, prawda?

Rozdział 39

- Zgadnij, co robiłam cały dzień? - Tilly wpadła jak bomba do sklepu i wyrzuciła ręce do góry. - Nigdy nie zgadniesz!

Kaye, która ostrożnie goliła elegancki kaszmirowy sweter, spojrzała na Tilly i jej podniesione ręce, mówiąc:

- Udawałaś, że jesteś orangutanem? Zwisiałaś z gałęzi? O, już wiem, uczyłaś się, jak ćwiczyć na trapezie!

- Wszystko to byłoby bardziej zabawne. Przyklejałam kryształki Swarovskiego do ciemnoniebieskiego sufitu. Piętnaście tysięcy kryształków! Moje ręce lepią się od kleju, a w palcach straciłam czucie. - Opuściła ręce, mrugnęła i dodała: - Miałam nawet genialny pomysł, żeby pokryć klejem cały sufit, a potem rzucać w niego kryształkami, ale Max mi nie pozwolił.

- Wstrętny dyktator.

- Wiem coś o tym. A przy okazji, musisz zobaczyć stronę internetową fundacji dla chorych na alzheimera. - Tilly sięgnęła przez ladę i poruszyła myszką, aby obudzić monitor. - Jack dzwonił dzisiaj do Maksa i kazał mu spojrzeć.

- O matko! - zawyła Kaye, kiedy otworzyła się strona. Tilly, która widziała ją już na laptopie Maksa, pocieszająco ścisnęła ramię aktorki.

Pod wielkim nagłówkiem WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI! widniał tekst:

Z powodu nieprzewidzianych okoliczności Antonella Beckwith musiała wycofać swój udział w naszej aukcji charytatywnej. Jednakże miło nam poinformować, że zastąpi ją prawdziwa gwiazda, uwielbiana przez wszystkich aktorka, prosto z Hollywood: KAYE MCKENNA!!!

- O rany! - Kaye wydała kolejny jęk i zasłoniła twarz. - To takie żenujące.

- Nie jest tak źle. - Cóż, czasem kłamstwo było koniecznością.

- Jest! To tak jakby milion ludzi stawiało się na Wembley, aby posłuchać Madonny, a na scenę weszłabyś ty, twierdząc, że zaśpiewasz.

- Czyż to nie byłoby cudowne? - spytała z entuzjazmem Tilly. - Moim sekretnym marzeniem jest zaśpiewać na Wembley.

- Tyle że nigdy nie dostałabyś szansy, bo publiczność rozdarłaby cię na strzępy, zanim zdążyłabyś otworzyć usta. I tak właśnie będzie ze mną. Wściekli starszacy poczują się oszukani, wygwizdają mnie i obrzucą sztucznymi szczękami. I założę się, że Max uzna to za bardzo zabawne.

- Tylko troszkę.

- Nie mogę uwierzyć, że Dorothy tak mnie wrobiła. Spytała, czy zdobyłam jakieś Oscary albo nagrody Emmy, a ja oznajmiłam, że jedyne, co kiedykolwiek wygrałam, to wyścig w worku, kiedy miałam siedem lat.

- Przecież to dobroczyzna impreza. Ludziom nie robi różnicy.

- Może i tak, tylko kto zapłaci choć pensa, by siedzieć ze mną kilka godzin przy kolacji? - Kaye dramatycznie wskazała na pusty sklep. - Jeśli będą chcieli, mogą przyjść tutaj i posiedzieć ze mną za darmo. A jedyne, co musieliby robić, to pomóc mi w obieraniu tego swetra.

Nagle drzwi do sklepu otworzyły się i do środka wmaszerowały dwie kobiety, których twarze Tilly kojarzyła. Dobrze ubrane, nieco po trzydziestce - gdzieś je widziała. Pewnie w Leniwym Lisie. Żywo o czymś rozprawiły. Tilly przyglądała się, jak Kaye przygotowuje swój powitalny uśmiech i czeka, aż potencjalne klientki także uśmiechną się i przywitają.

Ale tak się nie stało. Ignorując obie dziewczyny stojące przy kasie, kobiety zaczęły przeglądać ubrania na wieszakach. Kaye lekko wzruszyła ramionami i odwróciła się do komputera. Tilly spojrzała na zegarek - powinna już ruszać do Harleston Hall, żeby odebrać Lou ze szkoły.

- ...no wiesz, nie mogę w to uwierzyć. Ona zawsze była puszczalska, ale żeby nie wiedzieć, kto jest ojcem twojego dziecka? Mój Boże, to po prostu niesmaczne.

- Ha, za to mogę się założyć, że wiem, kto według niej byłby wymarzonym ojcem tego dziecka.

Tilly i Kaye wymieniły spojrzenia. Równie dobrze mogłyby włożyć peleryny niewidki. Chociaż nie miały nic przeciw temu, by dowiedzieć się czegoś ciekawego. Erin zawsze przyznawała, że zaletą pracy w sklepie było to, iż znało się wszystkie najnowsze plotki.

- Cóż, jeśli to dziecko Andrew - odezwała się wyższa kobieta z blond włosami - to pewnie będzie miało takie same krzywe nóżki jak tatuś.

- A jeśli jest Ruperta - skrzywiła się brunetka - to niech Bóg ma je w opiece! Będzie miało łysą główkę i włosy wystające ze szpiczastych uszu, a urodzi się w musztardowych sztruksach!

Obie parsknęły śmiechem. Puszczalska czy nie, Tilly współczuła kobiecie, z której się wyśmiewały. Wskazując na zegarek, zwróciła się cicho do Kaye:

- Lepiej już pójść.

- No tak, nic dziwnego, że się martwi - kontynuowała blondynka. - Dobrze wie, że jeśli to Jack jest ojcem, to przynajmniej dziecko nie będzie wyglądało jak gargulec. Tak czy owak, powinniśmy trzymać za to kciuki, choćby dla dobra tego malucha. O, spójrz na guziki przy tej koszuli. Czy nie wyglądają zbyt formalnie?

Tilly poczuła, że brakuje jej powietrza. Jak w kreskówce *Tom i Jerry*, kiedy Tom zamiera nagle w pół kroku, a potem pada bez ducha na ziemię. Spojrzała na Kaye, która wpatrywała się w obie kobiety równie zaskoczona.

- Te ramiona są jakieś kwadratowe. I nie podoba mi się kołnierzyk. Jeśli to dziecko Ruperta - zachichotała brunetka - to pewnie będzie się śmiało tak samo jak on, niczym hiena pod wpływem gazu rozweselającego.

O kim one rozmawiały? O kim?

- A jeśli to jednak Andrew, maleństwo będzie musiało nosić te okropne pasiaste skarpetki!

Tilly zamknęła oczy. Błagam, niech to będzie jakiś inny Jack!

- Ona musi desperacko pragnąć, żeby to było dziecko Jacka. Ooo, spójrz na to. - Nieznajoma triumfalnie zdjęła z wieszaka szarą sukienkę odcinaną pod biustem. - Kosmiczna! - Tilly też poczuła się tak, jakby porwało ją UFO. Serce waliło jak szalone i zrobiło się jej niedobrze.

- Przynajmniej - ciągnęła blondynka - będzie miała porządne nazwisko. Wiesz, co by było, gdyby wyszła za Ruperta?!

- Nawet o tym nie pomyślałam. Naprawdę okropne! - parsknęła koleżanka. - Nazywałyby się Amy Baran!

Amy, tylko nie to. Tilly wciąż doskonale pamiętała przesłuchanie, które urządziła jej chuderlawa, nosząca wysokie szpilki Amy w wieczór urodzin Declana. Była wtedy zupełnie zauroczona Jackiem. A teraz okazało się, że jest w ciąży, i być może to jego dziecko. Jak Jack mógł być tak nieodpowiedzialny? Cóż, to było raczej pytanie retoryczne. Odpowiedź na nie brzmiała: ponieważ jest mężczyzną, a kiedy chodzi o seks, mężczyźni nie mają zwyczaju myśleć o ewentualnych konsekwencjach. Tilly poczuła się słabo, ale ku swemu przerażeniu zdała sobie sprawę, że jest także odrobinę zazdrosna.

- A co na to ten nowy facet Amy? - Blondynka wciąż oglądała uważnie „kosmiczną” sukienkę.

- Nie słyszałaś? Dał nogę. Rzucił ją i ani okiem nie mrugnął. Wiesz, mogłabyś do niej włożyć te złote szpilki od Manola Błahnika.

- To znaczy, że będzie się uganiała za wszystkimi trzema.

- Biedacy. Założę się, że teraz bardzo żałują, iż nie trzymali rąk przy sobie.

- Hm, przepraszam. - Kaye, marszcząc brwi, wtrąciła się do rozmowy. - Czy rozmawiacie o Jacku Lucasie?

Obie kobiety odwróciły się, by na nią spojrzeć, i obie uniosły brwi tak wysoko, jak tylko pozwalał im na to botoks. Odpowiedziała blondynka:

- Tak. A co, zna go pani?

- Tak, znam. Doskonale. - Kaye była wyraźnie poruszona.

- Aaa. - Brunetka ze zrozumieniem pokiwała głową. - Pani jest jedną z nich. Cóż, przypadki chodzą po ludziach. Oczywiście to wyłącznie jego wina, ale pani nie może być z

tego powodu przykro.

Tilly kompletnie zaschło w ustach. Istniała jedna szansa na trzy, że Jack „niechący” zapłodnił Amy. I ta informacja zwała Tilly z nóg. Ciemnowłosa kobieta pokręciła głową.

- Pewnie pani wie, jaka jest Amy, jeśli chodzi o pieniądze. Będzie się modlić, żeby to było dziecko Jacka. Jeśli on okaże się ojcem, prawnik Amy będzie pracował po nocach, żeby wyciągnąć z Jacka ostatniego pensa.

Rozdział 40

Fergus kręcił się nerwowo na jasnopomarańczowym szpitalnym krześle. Widok zupełnie odmienionej żony, jakby skurczonej, bledszej i z każdym dniem coraz słabszej, budził w nim najróżniejsze emocje, które nie do końca potrafił zdefiniować. Wiele lat temu pokochał Stellę, wystarczająco mocno, by się z nią ożenić. Ale nigdy nie stworzyli tak swobodnego, normalnego związku, jaki zbudował z Erin. Onieśmielające ego Stelli, jej przesadna pewność siebie i nieustanne krytykowanie innych spowodowały, że miłość Fergususa gdzieś zniknęła. Ale teraz, gdy widział ją w takim stanie, cierpiał: czuł się winny, rozżalony, było mu wstyd za swoje zachowanie, i jeszcze bardziej czuł się winny, bo gdyby Stella nie składała swych problemów zdrowotnych na karb rozstania z mężem, to może wiele miesięcy wcześniej poszłaby do lekarza, a wtedy zdążyliby zapobiec przerzutom nowotworu.

- No dalej, dalej, powinieneś nawiązać uprzejmą konwersację. - Stella nawet w obecnej sytuacji musiała z niego kpić.

Choć miała trochę racji: w końcu Fergus był agentem nieruchomości, sprzedawcą. Sztuka prowadzenia rozmów powinna być jego najmocniejszą stroną, i zwykle tak właśnie było. Ale tu, w szpitalu, nie mógł wydusić z siebie słowa. Nie rozumiał, jak się to udawało Erin. Właśnie Erin, dla której Stella była tak okropna. Trudno było uwierzyć, że można o tym w ogóle zapomnieć. W dzień i w nocy, przez wiele godzin, Erin siedziała tu i dotrzymywała jego żonie towarzystwa, gawędząc o szpitalnym personelu, ulubionych lekarzach i pielęgniarzach, innych pacjentach, ubraniach, telewizji, czasach szkolnych - o wszystkim i o niczym.

- Wyglądasz jak dłużnik, który przyszedł po poradę do dyrektora swego banku - dodała Stella.

Fergus spróbował zrobić weselszą minę, ale czuł się dokładnie tak, jak mówiła. Zerkając na zegar wiszący obok, dostrzegł, że zbliża się trzecia. Na szczęście Erin wkrótce powinna tu być. A on spokojnie wróci do pracy. Patrząc na Stellę, zastanawiał się, czy w głębi duszy jest świadoma tego, że umiera. A jeśli tak, jakie to uczucie? Chciał jej zadać tak wiele pytań, ale nie potrafił. Boże, kto by pomyślał, że stanie się coś podobnego?

- Zawsze możemy zagrać w pomidora. - Stella znów się wyłośliwiła.

Znowu to poczucie winy. Fergus okazał się zupełnie nieprzydatnym gościem.

- Naprawdę chcesz?

Przewróciła oczami.

- Oczywiście, że nie.

- Erin wkrótce przyjedzie.

- I dzięki Bogu. Jest o niebo lepszym towarzystwem od ciebie. Serio, wołałabym tu siedzieć z patelnią.

- Przykro mi.

- Wiesz, lubię Erin. Jest miła.

Fergus pokiwał głową. Nareszcie.

- Będę na waszym ślubie, mówiła ci? - Stella uśmiechnęła się. - A kiedy ksiądz dojdzie do tego kawałka, w którym mówi: „Jeśli ktoś zna przyczynę, dla której to małżeństwo nie może być zawarte”, wstanę i powiem: „Ja znam. Fergus nosi w łóżku damską bieliznę”.

Tym razem to Fergus się uśmiechnął. Nie była to prawda, ale łatwo wyobraził sobie Stellę w podobnej sytuacji. Tyle że nie będzie miała ku temu okazji, prawda? Bo w tym czasie... O rany, nie mógł się teraz rozpląkać...

Ale emocje opadły go bez ostrzeżenia i nie potrafił opanować ich wybuchu. Przypominając nieco przestraszoną gęś, wydał z siebie dziwny zduszony krzyk, ukrył twarz w dłoniach i zupełnie się rozkleił. Szlochał i szlochał, nie mogąc przestać, aż Stella podała mu z łóżka pudełko wielkich chusteczek higienicznych.

W końcu powoli się uspokoił. Otarł twarz, wydmuchał nos i podniósł wzrok, widząc, że Stella leży oparta o poduszki i bacznie się w niego wpatruje.

- Przepraszam. - Fergus potrząsnął głową, sam zdziwiony takim wybuchem. - Nie wiem, skąd mi się to wzięło.

Czy Stella domyślała się, że umiera? A jeśli nie, to czy teraz zdradził swoją reakcją, że wie?

Przesunęła chudą dłoń po prześcieradle i chwyciła męża za rękę. Miała suchą cienką skórę, za obszerną dla kryjących się pod spodem kości.

- W porządku, wiem, czemu płaczesz - z cieniem uśmiechu na twarzy rzekła Stella. - Właśnie zdałeś sobie sprawę, że utknąłeś przy Erin na zawsze. A wolałbyś jednak zostać ze mną.

Znów nie było wiadomo, czy Stella mówi serio, czy żartuje. Fergus, który wołał się tego nie dowiadywać, po raz kolejny spojrzął na zegarek i powiedział:

- Ona zaraz tu będzie. Pójdę poszukać kogoś, kto pomoże mi posadzić cię na wózku.

Chwilę później razem z wesołą pielęgniarką udało im się umieścić Stellę na wózku inwalidzkim. Skrzywiła się z bólu, ale nie narzekała. W końcu, po zawieszeniu na stojaku kroplówki, była gotowa do wyjścia.

To był kolejny pomysł Erin, jedyna rozrywka Stelli w ciągu dnia. Fergus wyprowadził ją na wózku z sali, a potem długim korytarzem do wyjścia ze szpitala. Przed budynkiem w słońcu zbierali się palacze. Niedaleko na ławce pod kasztanowcem czekała na nich Erin. Tym razem to oczy Stelli wypełniły się łzami. Fergus zaparkował wózek koło ławki, a Erin otworzyła wiklinowy koszyk. Ze środka wysunął się Bing, miaucząc niecierpliwie, i dostojnie wszedł na chude, przykryte kocem kolana Stelli.

- Och, Bing, moje kochanie! - Stella głaskała kota z miłością, a zwierzę, jak zwykle z dość obojętnym wyrazem pyszczka, poddawało się jej pocałunkom. Bing tolerował tę wylewność jak nieznośny nastolatek, którego zmusza się do wizyt u wąsatej babci nadmiernie okazującej uczucia. Przynajmniej został przy Stelli i nie próbował wiać. Erin przyglądała się, jak pani głaszcze ukochanego kota i szepcze mu do ucha czułości. Wizyty Binga bardzo podnosiły Stellę na duchu i dawały jej powód, by czekać z niecierpliwością na każdy kolejny dzień, choć bardzo męczące było zaganianie kota do koszyka, a potem znoszenie jego denerwujących miauków i jęków podczas podróży samochodem. - Już dobrze, mój skarbie, mamusia wkrótce wróci do domu. - Stella ucałowała przednie kocie łapy. - Tęsknisz za mną, co?

- Wczoraj zjadł puszkę łososia. - Cóż, „zjadł” było dość ogólnym określeniem. Kiedy Erin postawiła przed nim miseczkę, Bing obdarzył ją najbardziej pogardliwym ze swoich spojrzeń, mówiących, że takiego pospolitego pokarmu konsumować nie będzie, i oddalił się dostojnie. Ale do rana większość ryby i tak zniknęła.

- On woli wędzonego łososia pokrojonego w grubą kostkę. Kochanie moje, czy oni zmuszali cię do jedzenia tych wstrętnych puszek? Biedactwo, są dla ciebie tacy okrutni.

Erin nie przejęła się tym komentarzem, bo przecież nie oczekiwała żadnej wdzięczności.

Usiadła tylko i leniwie wpatrywała się w ludzi wchodzących i wychodzących ze szpitala, śledząc wzrokiem jakiegoś chłopca, który o kulach powoli podążał w stronę bramy.

Chwileczkę, kim jest kobieta idąca w ich stronę? Czy to nie...? Tak, to ona.

- Stello.

- Ooo, jakie masz cudowne wąsy, takie jedwabiste... - rozczuliła się właśnie Stella.

- Stello. - Erin delikatnie trąciła wózek. - Wygląda na to, że masz następnego gościa.

- Co?

- Ktoś do ciebie przyszedł. - Dopiero teraz, ale zawsze lepiej późno niż wcale. Ciesząc się ze względu na Stellę, Erin wskazała na nadchodzącą kobietę.

Zmierzająca w ich stronę Amy miała na sobie jaskrawożółtą koszulkę z dekoltem, kremowe dżinsy i sandały na szpilce. Stella uśmiechnęła się, także zadowolona, że w końcu widzi przyjaciółkę. Amy podeszła bliżej. Rozpoznała Erin oraz Fergusa i przywitała się, lekko skinąwszy głową. A potem poszła dalej. Zaskoczeni patrzyli, jak oddała się, stukając obcasami, i podchodzi do szklanych rozsuwanych drzwi głównego budynku szpitala.

- Amy! - zawołał Fergus i na dźwięk jego głosu kobieta się zatrzymała. Gdy się odwróciła, dodał: - Tutaj jesteśmy!

Zdezorientowana Amy spojrzała najpierw na niego, a potem na Erin. W końcu jej wzrok spoczął na Stelli siedzącej w wózku i wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, przechodząc ze zdziwienia w przerażenie i zrozumienie. Erin nagle zdała sobie sprawę, że Amy nie przyszła tu odwiedzić Stelli - nawet nie przyszło jej do głowy, że może tu spotkać chorą koleżankę.

- Stella? Jak się miewasz? - Nie ruszając się z miejsca, Amy pomachała z pewnej odległości, jakby witała daleką znajomą na torze wyścigowym w Ascot. - Jak miło cię widzieć! Wyglądasz... hm...

- Oszłamiająco. - Sucho odpowiedziała Stella. - Wiem o tym.

- Ojej, chętnie bym posiedziała i z wami pogadała, ale już jestem spóźniona na wizytę. Mam dzisiaj pierwsze badanie USG. - Amy aż promieniała z ekscytacji.

- Erin mówiła mi, że jesteś w ciąży... Gratulacje.

- Dzięki! No, lepiej już pójdę, nie chcę, żeby lekarz na mnie czekał. Życzenie mi szczęścia - zaświergotała Amy. - Na razie!

Patrzyli w milczeniu, jak Amy przechodzi przez szklane drzwi.

Stella wciąż głąskała Binga. W końcu przemówiła:

- Biedne dziecko. Nawet nie będzie wiadomo, kto jest jego ojcem. Myślicie, że na USG można zobaczyć, czy ma uszy Ruperta?

Rozdział 41

Po raz pierwszy szkolny parking ożył już o siódmej rano. Max zaparkował samochód i wziął z tylnego siedzenia turkusową walizkę Lou. Dziewczynka zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała w oba policzki i dodatkowo uściaskała mocno na szczęście - był to zwyczaj, który narodził się, kiedy była mała, a Max miał nadzieję, że nigdy nie przestanie tego robić. Gdyby policzyć wszystkie dodatkowe uściski, które dostał przez te wszystkie lata, pewnie uzbierałoby się ich dziesiątki tysięcy. I nie oddałby żadnego z nich nawet za milion dolarów.

- Dzięki, że wstałeś tak wcześnie, żeby mnie odwieźć. - Loki Lou łaskotały Maksa w nos. - Kocham cię. Pa, tato!

- Poczekaj chwilę. - Puściwszy córkę, Max podszedł do auta i otworzył bagażnik.

- Co tam masz? - Zciekawiony wzrok Lou zmienił się w zaniepokojony, kiedy ojciec wyciągnął drugą walizkę. - Co się dzieje? Dla kogo ta torba?

Autokar zaczął się już wypełniać uczniami i nauczycielami - za dziesięć minut mieli odjeżdżać na wycieczkę do Paryża.

- Dla mnie.

- Co? Przecież ty nie jedziesz.

- Jadę.

- Och, tato, nie! - Lou ogromnie się zdenerwowała, a ojciec doskonale wiedział dlaczego. Zrobiło mu się przykro.

- Hej, nie martw się. Będzie dobrze.

- Nie będzie dobrze! Eddie Marshall-Hicks też jedzie na wycieczkę, i jego kolega Baz... Będą gadać różne rzeczy...

- Jeśli tylko spróbują, przysięgam, że złapię ich za kołnierze i zrzucę z wieży Eiffla. To znaczy - poprawił się Max - zrobiłbym to, gdybym tylko mógł.

Dokoła kłębili się już inni rodzice i tłum uczniów. Lou zaczęła niespokojnie zerkać na każdy podjeżdżający samochód, wyraźnie niezadowolona z obrotu sprawy.

- Ale tato, oni są okropni. Będzie bardzo nieprzyjemnie.

Co tylko potwierdziło obawy Maksa, że w przeciwieństwie do tego, co mówiła do tej pory, głupie uwagi wcale nie ucichły.

- Kochanie, naprawdę myślisz, że nie poradzę sobie z paroma rozpuszczonymi bachorami? Wyjazd na tę wycieczkę to mój pomysł, a zdecydowałem się po rozmowie z panią Heron. Całkowicie mnie poparła.

- A więc knułeś to wszystko od kilku tygodni i o niczym mi nie wspomniałeś? - wyrzucała ojcu Louisa. - Tato, to jest m o j a wycieczka.

- Dlatego właśnie ci nie powiedziałem. Błagałabyś, żebym nie jechał.

- Teraz cię błagam.

- Za późno. Już tu jesteśmy. I nie patrz na mnie wzrokiem zbitego psa. - Max w duchu modlił się, żeby jego zamiar nie okazał się koszmarną pomyłką. - Nie robię tego, by cię ukarać. Pani Heron sądzi, że to doskonały pomysł.

Lou zmrużyła oczy.

- Oczywiście, że tak sądzi. Przecież nie jesteś jej ojcem, prawda?

Ale było już za późno na zmianę decyzji. Ojciec postawił Lou przed faktem dokonanym. W ciągu następnych piętnastu minut czterdziestu uczniów i czterdzieści cztery sztuki bagażu wsadzono do autokaru. Astrid Heron pojawiła się, aby wszystkich pożegnać. Stąpawszy obok miejsca dla kierowcy, wygłosiła krótkie dyrektorskie przemówienie.

- Kochani! Znacie już pannę Endell i pana Lewisa, pozwólcie więc, że przedstawię wam dwoje rodziców, którzy zgodzili się z wami pojechać. Pani Trent, mama Sophie.

Stojąca obok Maksa uśmiechnięta Fenella Trent zerwała się na równe nogi, pomachała z entuzjazmem i zaświergotała:

- Dzień dobry wszystkim!

- I tata Louisy, pan Dineen.

Z pewnością nie będę się szczyrzył ani machał, pomyślał Max. Wstał, spojrzał na dziecięce twarze i powiedział:

- Cześć, możecie mówić do mnie Max.

Nie trzeba było geniusza, by domyślić się, gdzie siedzą Eddie i jego kompan. Wszyscy w autobusie usłyszeli dochodzące z tylnego rzędu chichoty i scenicznym szeptem wypowiedziane zdanie:

- Albo nazywajcie mnie Ciotą.

Oburzona pani Heron warknęła:

- Kto to powiedział?

- W porządku - Max zatrzymał ją z uśmiechem. Czy nie umawiali się, że sam będzie sobie radził z tymi małolatami? Zwracając się do siedzących z tyłu, odparł:

- Możecie mnie tak nazywać, ale raczej nie spodoba wam się, co na to odpowiem.

Astrid Heron wyglądała, jakby zaczęła żałować swojej wcześniejszej decyzji.

- No cóż. Bawcie się dobrze na wycieczce. I pamiętajcie, że reprezentujecie Harleston Hall, więc zachowujcie się godnie. Żebyśmy byli z was dumni. *À bientôt! Bon chance! Au revoir!*

Ostatnie spojrzenie na dyrektorkę - i już autobus toczył się po słonecznym podjeździe wysadzonym drzewami. Max usiadł i zaczął się zastanawiać, czy słowa „zachowujcie się godnie” odnosiły się także do niego. Czy jeśli morze będzie wzburzone i nadarzy się okazja, postąpi bardzo źle, wyrzucając Eddiego i jego koleżkę za burłę, prosto do kanału La Manche?

Fenella poprawiła różową opaskę na włosach i wesoło powiedziała:

- No to jedziemy! Będzie świetnie, prawda?

- Miejmy taką nadzieję.

Pochyliła się ku niemu i zniżyła głos:

- O co właściwie chodziło przed chwilą? Chyba nie zrozumiałam.

- Chłopcy próbowali sobie ze mnie żartować - wyjaśnił Max. - Bo jestem gejem.

Kobieta uniosła brwi w zdumieniu.

- Żartujesz sobie?

- Nie.

- Ale przecież... jesteś ojcem Louisy!

Max wzruszył ramionami.

- Ale gejem.

Fenella nagle zarumieniła się i odsunęła zdecydowanie.

- Ja... Hm... Nie miałam pojęcia... Dobry Boże!

- Wiem, to szokujące, prawda? - podsumował Max.

Pilnowanie czterdziestki rozemocjonowanych trzynasto - i czternastolatków było absolutnym koszmarem. Po popołudniu spędzonym na zwiedzaniu - wieża Eiffla, Luwr, Łuk Triumfalny - jedli kolację w ogródku przy dużej pizzerii (*Pizza? Mais naturellement!*). Po jedzeniu zaczęli gadać, zamieniać się miejscami i obserwować inne grupy nastolatków siedzące w pobliżu. Kilku chłopców kopało do siebie kulki z folii aluminiowej, żonglując między stolikami i popisując się.

Max wypił tylko czarną kawę i obserwował teraz język ciała Josie Endell, która z ożywieniem rozmawiała z Tomem Lewisem. Po drugim kieliszku wina - *Mon Dieu!* - zaczęła pochylać się ku koledze, odkrywając kolejne centymetry dekoltu i żywo gestykulując, żeby zilustrować to, co właśnie opowiadała. Po prostu zachowywała się nieco... bardzo... zalotnie. Aby podkreślić jakieś słowo, dotykała ramienia Toma. Za każdym razem kiedy się śmiała, odrzucała do tyłu włosy. O tak, klasyczny rytuał godowy jasnookiej nauczycielki historii. Bez wątplenia panna Endell była (wcale tego nie ukrywając) oczarowana panem Lewisem.

Zresztą nie tylko ona. Rozbawiony Max obserwował scenę, która rozgrywała się tuż przed nim. Nastoletnie panny obsiadły Toma Lewisa jak ćmy, zadając mu setki pytań i wyrażając zabawne ich zdaniem uwagi. Ogólnie biorąc, ćwiczyły swoją zdolność uwodzenia w najbezpieczniejszy możliwy sposób - na kimś atrakcyjnym, ale niegroźnym.

- Proszę pana? Może pan popilnować mojej MP-czwórki?

Ciekawe też było obserwowanie relacji między...

- Proszę pana?

- Och, przepraszam cię. - Max nieprzytomnie odwrócił się w lewo. - Nie wiedziałem, że mówisz do mnie. Nikt do tej pory nie zwrócił się do mnie „proszę pana”. Oczywiście, schowam ją. - Włożył odtwarzacz do kieszeni kurtki. - Ale byłoby łatwiej, gdybyś mówiła do

mnie Max.

- Dobrze, panie... Max. - Dziewczyna zachichotała.

- Zabrzmiało dużo lepiej. „Panie Max”. Podoba mi się. - Skinął głową. - A w ogóle dobrze się bawisz? Wszystko w porządku?

- Tak, Paryż jest odjechany. Podobała mi się Mona Lisa. Kiedyś widziałam w telewizji program o Leonardzie da Vinci. Robił niesamowite rzeczy.

Jedna z foliowych piłeczek potoczyła się pod krzesło Maksa. Eddie Marshall-Hicks, próbując bez powodzenia wykopać ją stopą, parsknął śmiechem i z pogardą wtrącił:

- Leonardo da Vinci był gejem.

Dziewczyna przewróciła oczami.

- A ty jesteś debilem.

Udał niewinnego.

- Ale to prawda! Tylko przypominam.

- Zgadza się. Był geniuszem - zauważył Max. - Jednym z najbardziej utalentowanych ludzi, jacy żyli na tym świecie.

Eddie, wydobywszy piłeczkę spod krzesła, kopnął ją na chodnik i wymamrotał pod nosem:

- No i pedałem.

Dziewczyna z oburzeniem pokręciła głową.

- Przepraszam za niego, panie... Max. Jest taki niedojrzały.

- Wiesz co? Zauważyłem!

- Było super, kiedy Lou go wtedy walnęła. Zresztą nie wszyscy myślimy jak Eddie. Ja uważam, że jesteś w porządku.

Max uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz co? Masz absolutną rację.

Kiedy nastolatka wróciła do przyjaciół, Tom Lewis podniósł rękę, by uciszyć na chwilę Josie Endell, i zwrócił się do Maksa.

- W porządku? Mam z nim pogadać?

- Nie, dzięki, wszystko gra. - Max zaprzeczył i poprosił ładną kelnerkę o kolejną kawę.

Kiedy ją przyniosła, z uznaniem i cieniem pożądania zmierzyła perfekcyjnie umięśnione ciało Toma, który miał na sobie rozpinaną koszulę khaki i czarne dżinsy uwydatniające cechy fizyczne, którym kobiety nie potrafiły się oprzeć.

- *Non, merci.* - Tom Lewis potrząsnął idealnie ostrzyżoną głową, kiedy spytała, czy coś mu podać. Za to Josie Endell, zapewne zupełnie nieświadomie, odprawiła kelnerkę dłonią, z władcym i zaborczym uśmiechem.

Max wsypał cukier do filiżanki i zamieszał. Czy to Superman miał w oczach promienie rentgenowskie, dzięki którym patrzył na ludzi i widział ich bez ubrania? Bo tak właśnie czuł się teraz, jako jedyny wiedząc na pewno, że Josie marnuje swój czas.

Nie ulegało wątpliwości. Gejowski radar zadziałał bezbłędnie.

Rozdział 42

Następnego ranka wsiadając do autokaru, Max współczuł kolegom i koleżankom swojej córki. Kiedy się ma trzynaście czy czternaście lat, a Disneyland oddalony jest o kilkanaście kilometrów, trudno ekscytować się wycieczką do pałacu w Wersalu. Ale cóż, takie są uroki szkolnych wycieczek. Kto powiedział, że ma być fajnie? A naprawdę ciężki dzień czekał

Eddiego Marshalla-Hicksa.

- Cześć, ja będę dzisiaj tutaj siedział. A ty - Max wskazał palcem Baza - przejdź, proszę, do pierwszego rzędu i udowodnij pani Trent, jakim jesteś uroczym rozmówcą.

- He? - Baz gapił się na niego z otwartymi ustami.

- A ja sobie posiedzę obok Paskudnego Eddiego.

Eddie drgnął.

- Co? Ale dlaczego? Nie chcę, żeby pan siedział koło mnie.

- Przykro mi, ale taka będzie kara za twoje wczorajsze mało inteligentne docinki. Zresztą jestem tutaj jakby wychowawcą, więc masz robić, co każe.

Dziewczyna, z którą wczoraj rozmawiał - teraz wiedział, że ma na imię Saskia - wykrzyknęła:

- Super, panie Max! Dobra robota!

Baz i Eddie wymienili oburzone spojrzenia. Niczym podenerwowany goryl Baz wygramolił się z fotela i pomaszerował do przodu. Fenella na pewno się ucieszy.

Kątem oka Max dostrzegł zaniepokojoną twarz Lou zerkającą na niego z jednego z wcześniejszych rzędów. Sama wolała radzić sobie z Eddiem, własnymi sposobami, więc nie bardzo jej się podobało, że ojciec - źródło całego zamieszania - wtrącał się i angażował. Max zignorował córkę i usiadł.

Pierwotny plan zdobycia sympatii Eddiego inteligencją, dobrocią i nieodpartą osobowością... cóż, spalił na panewce. No i trudno go było zrealizować w trzy dni. Nadszedł więc czas, by wprowadzić w życie plan B. Tyle że plan B zależał w dużej mierze od pomocy niebios i wciągnięcia Eddiego w jakąś śmiertelnie niebezpieczną sytuację, z której tylko Max, z heroicznym poświęceniem, mógłby go uratować.

Niestety, szanse, że coś podobnego się zdarzy, były dość nikłe. Co oznaczało, że konieczny będzie plan C. Max nie był z tego powodu specjalnie dumny, ale czasem człowiek musiał jak najlepiej korzystać z tego, co ma. Taktyka może niezbyt zręczna, ale najważniejsze, żeby zadziałała.

W tym czasie Eddie ostentacyjnie obrócił się na siedzeniu, zwracając się twarzą do okna.

- Czekasz na wycieczkę do Wersalu? - zaczął Max.

Czyżby kolejna kpiąca mina? Eddie zdawał się w tym mistrzem.

- Nie - odparł.

- Wiesz, pałac jest naprawdę piękny.

- Jeśli ktoś lubi żyrandole, lustra i wielkie zasłony. - Wciąż wpatrując się w widok za oknem, Eddie dodał: - Ja nie lubię.

- No tak, to raczej moje hobby. Lou mówiła ci, że jestem dekoratorem wnętrz?

Eddie parsknął.

- Co za niespodzianka...

- Hm, to jest całkiem niezły zawód, zdziwiłbyś się. Można spotkać bardzo ciekawych ludzi.

- Chyba Eltona Johna.

Max wzruszył ramionami i rozłożył wczorajszą gazetę. Kiedy autokar wyjechał z hotelu, zaczął rozwiązywać krzyżówkę. Dwadzieścia milczących minut później wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do domu.

- Tilly? Cześć, kochana, to ja. Słuchaj, czy ekipa skończyła kafelkowanie podłogi w łazience wczoraj wieczorem?

- Skończyli o dziesiątej - odparła Tilly. - Jak ci idzie?

- Och, świetnie. Doskonale się dogadujemy - uśmiechnął się Max. - Wszyscy mnie tu kochają.

Eddie wydał głośne westchnienie irytacji i beznadziei.

- Teraz wiem, że kłamiesz - roześmiała się.

- Dzięki. Tak czy owak, wracając do łazienki: Jamiemu się podoba, prawda? - Ścisząc nieco głos, dodał: - A Tandy?

Eddie nagle przestał wyciągać nitki z rozdartych na kolanie dżinsów.

- Obojgu bardzo się podoba. Kiedy Tandy zobaczyła tę podłogę, rozplakała się.

- Tandy się rozplakała? Ależ ona jest miękka. Zacznie płakać dopiero wtedy, kiedy zobaczy rachunek za tę przebudowę.

- Ale pamiętasz, że koszty im się zwróca?

Max zachichotał.

- Dzięki Ci, Boże, że stworzyłeś brukowce. Przepraszam, ale zaraz dojedziemy do Wersalu, więc muszę kończyć. Zadzwoń, jeśli będą jakieś problemy.

- Biedaku ty mój! Nie ma nic nudniejszego.

- Wiem - potwierdził Max. - Nie mów nic Jamiemu, bo będzie mi zazdrościł. Dobra, pogadamy później. Cześć!

Wyłączył telefon. Eddie wciąż wpatrywał się w okno, nieruchomy jak pomnik Rodina. Max powrócił do rozwiązywania krzyżówki. Nie znosił tego, uważał za najgłupsze zajęcie pod słońcem. Po co w ogóle robić coś takiego? Po co marnować cenne komórki mózgowie na wpisywanie jakichś literek w kwadraciki? A mówiąc o rzeczach głupich i bezcelowych, ciekawe, czy Eddie kiedyś się odezwie, czy wciąż będzie się gapił się w to cholerne...

- A w ogóle to o co chodziło?

Hurra! Przynęta chwyciła!

- Hm? Słucham? - Max podniósł wzrok znad gazety i spojrzął na chłopca zza okularów. - A, to nic, rozmawiałem ze swoją asystentką. Upewniałem się, że klienci są zadowoleni.

- Aha. - Eddie nonszalancko wzruszył ramionami. Ale tym razem jego ciekawość prawie się zmaterializowała, emanując spod koszulki Led Zeppelin. - A... co to za klienci?

To właśnie było cudowne w Jamiem i Tandy. Jako para byli doskonale rozpoznawalni. Mieli być nowymi Beckhamami albo Rooneyami - jeśli tylko Tandy uda się postawić na swoim.

- Nie wolno mi rozmawiać o klientach... - Max zawahał się i po chwili powiedział: - To pewien piłkarz i jego dziewczyna.

Eddie zamiast w okno, patrzył teraz na Maksa.

- Jamie Michaels i jego dziewczyna? Serio? Dla nich pan pracuje?

- Cicho, nie mów tak głośno.

- O rany! Naprawdę ich pan spotkał? Tak... normalnie?

- Oczywiście, że ich spotkałem.

- Ale przecież Jamie Michaels nie jest... no wie pan... gejem.

- Nie, nie jest. - Maksa fascynowało, jak działa mózg czternastolatka. - W zeszłym roku odnawiałem dom jego kolegi, który polecił mnie potem Jamiemu i Tandy.

- A co to za kolega?

- Chyba Colin... - Marszcząc czoło, jakby próbował sobie coś przypomnieć, Max powiedział w końcu: - Nie, miał na imię Cal. Cal Cavanagh.

Eddie nagle poderwał się i wrzasnął:

- Żartuje pan! Cal Cavanagh?!

- Możesz tak nie wrzeszczeć?

- Ale to... Ale to najslawniejszy piłkarz na świecie!

- Naprawdę? Nie znam się za bardzo na piłce nożnej. Dla mnie to po prostu stary dobry Cal.

Eddie zaczął oddychać nerwowo i przymknął oczy.

- To jakaś pułapka?

Max wzruszył ramionami i spytał:

- Czemu miałbym cię wkręcać?

Nareszcie przekonany Eddie oparł głowę o welurowe siedzenie.

- To niesamowite! Nawet pan nie ma pojęcia. Cal Cavanagh i Jamie Michaels grają w najlepszej drużynie piłkarskiej na świecie, a pan ich zna osobiście. W każdej chwili może zadzwonić pańska komórka i po drugiej stronie odezwie się ich głos. To też moja ulubiona drużyna, rozumie pan. Odkąd byłem chłopcem. Wczoraj miałem na sobie ich koszulkę.

Max wiedział i o tym, choć poprzedniego dnia zajęło mu chwilę, zanim się zorientował. Nie kłamał - naprawdę niewiele wiedział o piłce.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówił dalej Eddie. - I przez cały ten czas Lou nic mi nie powiedziała.

- Ona też nie interesuje się futbolem.

- Rany, Cal Cavanagh. Czy on mieszka w takim wielkim domu?

Max przytaknął.

- Całkiem sporym. Elektrycznie otwierana brama, osiem sypialni, dziewięć łazienek, sala do bilardu i kryty basen, na którego dnie ze złotych kafelków ułożone są imiona Cala i Nicole. - Dojeżdżali już do Wersalu.

- Cal i Nicole? - Eddie szeroko otworzył oczy. - Ale oni zerwali pół roku temu. Rzucił ją!

- Wiem. - Max skinął głową. - Mówiłem mu, że te kafelki to błąd.

W sobotni wieczór jedli kolację na hotelowym dziedzińcu. Księżyc prawie w pełni lśnił na czystym, rozgwieżdżonym niebie, a wokół czuć było mieszaninę aromatów: bugenwilli, czosnku, francuskich papierosów oraz dużo mniej egzotycznych, ale typowych dla nastolatków z Harleston Hall, zapachów okresu dojrzewania i przeпоconych tramppek.

Kiedy dzieci rozładowywały energię, grając w bule przeciwko francuskim rówieśnikom, Max i Fenella Trent usiedli przy długim stole z Tomem Lewisem i Josie Endell. Już dość długo rozmawiali o pałacu w Wersalu. Nalewając wina sobie i Josie, Maksowi udało się (dzięki *Marii Antoninie* w reżyserii Sophie Coppoli) skierować konwersację na ulubione filmy.

- *To wspaniałe życie!* - Fenella zarzuciła lśnącymi włosami, w podekscytowaniu klaszcząc w dłonie. Jasny gwint, a przecież piła tylko sok pomarańczowy. - I jeszcze *Błękitna parada*. Albo *Panowie w cylindrach!* Wszystkie filmy z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers! - Złapała się filmowym gestem za serce i wykrzyknęła: - Mogłabym ich oglądać c a ł e ż y c i e !

Rany, ileż ona miała lat? Dziewięćdziesiąt?

- W takim razie nie zaproszę cię do kina. - W typowy dla siebie nonszalancki sposób Tom Lewis oparł się na krześle i licząc na palcach, wymieniał: - Moja trójka hitów to *Terminator*, *Gladiator*, *Rambo*.

Josie Endell żartobliwie trąciła go łokciem.

- Ach, wy i ten wasz testosteron. Ależ z ciebie typowy facet!

Na ułamek sekundy Max napotkał spojrzenie Toma i coś między nimi zaiskrzyło. Tom wiedział, że Max wie. Zaistniało milczące porozumienie. Po chwili jednak spytał:

- Co w tym złego? Po prostu lubię oglądać takie filmy.

- Audrey Hepburn! - znów wykrzyknęła Fenella.

Max zrobił poważną minę.

- Grała w *Rambo*?

- Nie, głuptasie! W *Śniadaniu u Tiffany'ego!*

Josie wtrąciła swobodnie:

- Chłopcy lubią męskie filmy, a dziewczyny babskie. Ja uwielbiam *To właśnie miłość* i *Kiedy Harry poznał Sally*. Nie ma nic lepszego niż porządna komedia romantyczna. - Z uśmiechem zwróciła się do Toma. - Założę się, że Claudine myśli tak samo, prawda?

Claudine, no tak. Max przypomniał sobie, jak Lou opowiadała mu o bardzo pięknej dziewczynie pana Lewisa. Pytanie tylko - czy Claudine wiedziała, że jej facet jest gejem?

- No pewnie, też lubi te wszystkie babskie filmiki. - Tom napił się piwa i otarł dłonią pianę z ust, a potem dłoń o dżinsy. - Ogląda swoje filmy, kiedy ja jestem na treningu. A ja swoje, kiedy ona kupuje torebki albo idzie do fryzjera. Jest tylko jeden film, który lubimy oboje. To *Wielka ucieczka*. - Spojrzał na Maksa i spytał: - A ty?

- Cóż, jeśli chodzi o kino, to jestem raczej purystą - rzekł Max. - Najlepiej, żeby filmy były czarno-białe i z napisami. Na przykład Fassbinder, Wenders, Almodóvar, Truffaut. - Zawahał się, w zamyśleniu kiwając głową. - Ale jeśli miałbym wybrać trzy, to na pewno *Borata*, *Jasia Fasolę* oraz *ET*.

Tom uśmiechnął się, a Josie chwyciła go za nadgarstek i zaśmiała się piskliwie. Eddie i Baz, którzy snuli się niedaleko, podeszli bliżej. Fenella spojrzała na Maksa ze współczuciem.

- Wszyscy są odmieńcami szukającymi akceptacji, prawda? Czy dlatego lubisz te filmy najbardziej, bo identyfikujesz się z głównymi bohaterami?

- Nie, lubię je, bo są śmieszne - odparł Max. - To, że podoba ci się *Śniadanie u Tiffany'ego*, nie oznacza od razu, że tak naprawdę chcesz zostać prostytutką.

Chichocząc pod nosem, Eddie i Baz bez stresu odsunęli sobie krzesła i usiedli przy nauczycielach.

- *Jaś Fasola* jest przezabawny - odezwał się Eddie. - Też go lubię. Widział pan tę część, w której gra szpiega?

- Pewnie, podobała mi się - przytaknął Max.

Baz wtrącił się ochoczo:

- A *Obcy - ósmy pasażer Nostromo*, proszę pana? O ludziach, którzy siedzą na statku kosmicznym i to coś, ten obcy, wychodzi nagle z brzucha jednego faceta?

- Na miłość boską! - wykrzyknęła przerażona Fenella. - Nie mogę uwierzyć, że rodzice pozwalają wam oglądać takie filmy.

- Jest świetny - poparł kumpla Eddie.

- Co ty powiesz - sapnęła Fenella z oburzeniem.

- Oni mają czternaście lat - przypomniał Max. - Dzieciaki w ich wieku oglądają takie rzeczy.

- Moja Sophie nie ogląda! Nie pozwalam jej! Oglądamy wyłącznie programy edukacyjne.

Co wyjaśniało po części, czemu afektowana, ale nieśmiała mała Sophie zawsze snuła się samotnie, przyglądając się, jak jej koledzy dobrze się bawią. Max ugryzł się w język, by nie powiedzieć tego głośno. Zamiast tego odwrócił się do Eddiego i Baza, mówiąc:

- A filmy z Bruce'em Lee? Widzieliście jakieś?

- Pewnie! Bruce Lee jest super! - Eddie przybrał pozycję karate i zaczął zawodzić jak kot.

- Mam wszystkie na DVD. Właściwie *Wejście smoka* powinienem wpisać do mojej wielkiej trójki.

- Trzy filmy to za mało. - Tom pokręcił głową. - Jeszcze nikt nie wspomniał o tych z Jamesem Bondem.

- Bond jest porządku. - Max zauważył grymas na twarzy Eddiego. - Ale i tak wolę *Shreka*.

- *Shrek* też jest kapitalny - powiedział chłopak, ochoczo przytakując. - Przepraszam pana, ale czy oprócz piłkarzy... no wie pan, czy zna pan jakieś gwiazdy filmowe?

Max przez stół zerknął na Toma. Znowu pojawił się między nimi ten błysk porozumienia. Myślał przez chwilę, wzruszył ramionami i odparł:

- Znalazłaby się jedna czy dwie.

Rozdział 43

- Rany, muszę siku. Zaraz umrę ze strachu. - Kaye naprawdę trzęsa się z przerażenia, kiedy podjechały taksówką pod hotel.

Tilly wcale to nie dziwiło. Gdyby to ją ktoś miał wylicytować na aukcji, też padłaby ze zdenerwowania. Ale skoro przyjaciele są po to, by pomagać, odrzekła jedynie:

- Będzie dobrze, tłumy będą się o ciebie bić. Zresztą Dorothy nie pozwoli im się nie bić.

- Tak, jasne. - Kaye wciąż nie była przekonana. - To będzie jedna wielka żenada. Boże, czemu nie mogłabym być Beyonce albo Helen Mirren, albo kimś, kogo lubią faceci?

- Hej, uspokój się. Spróbujemy się tylko zabawić. - Tilly wypychała Kaye z samochodu. - A poza tym to szczytny cel, pamiętasz? Nawet jeśli zbierzesz tylko pięć dych, to i tak będzie pięć dych więcej, niż mieliby bez ciebie.

- Pięć dych! - zawyła z oburzeniem Kaye.

- Dobra, dobra, to tylko przykład. Zbierzesz sto razy więcej, sama o tym wiesz.

- Ale o to właśnie chodzi, że nie wiem. W takim stanie zaraz sama zacznę siebie licytować.

Wewnątrz hotelu porwała je ożywiona atmosfera. Tilly rozpoznała kilka twarzy, które znała z balu. Zauważyła też Dorothy oraz Harolda, więc poprowadziła Kaye w ich stronę. Najpierw wylewnie ją powitali - choć zachowywała się jak cielę prowadzone na rzeź - po czym poznali z kilkoma potencjalnymi „kupcami”.

Biedna Kaye.

- Nic jej nie będzie - odezwał się jakiś głos z tyłu.

Serce podskoczyło jej w piersi jak na sprężynie. Odwróciła się i zamiast współczuć Kaye, zaczęła współczuć sobie. Wiedziała, że Jack przyjdzie na aukcję, i próbowała psychicznie się przygotować na spotkanie z nim, ale i tak zdołał się pojawić z zaskoczenia.

Jack miał patent na łamanie kobiecych serc. Był poraniony, rozczarowany życiem i niezdolny do całkowitego oddania. Trudno było też mu się oprzeć, ale Tilly podjęła decyzję. **M u s i a ł a** mu się oprzeć, bo nie widziała innego wyjścia. Paradoks polegał na tym, że sama do tej pory nie potrafiła zakończyć żadnego związku, a teraz niejako została zmuszona, by odrzucić Jacka, który znaczył dla niej więcej niż jakikolwiek mężczyzna do tej pory.

A jednak - zrobiła to dla własnego dobra. Bolało jak diabli, ale i tak postąpiła właściwie, bez wątpienia. Jackowi Lucasowi nie można było ufać, stał się symbolem braku jakiegokolwiek zaangażowania emocjonalnego i mógł przynieść ze sobą tylko kłopoty. Jeśli ktoś jeszcze w to wątpił - wystarczyło spojrzeć na Amy. Powinien zawiesić sobie dzwonek u szyi, aby wiadano, skąd nadchodzi.

A teraz czekał, aż Tilly coś odpowie. Psiakość, o czym właściwie mieli rozmawiać? No tak, o Kaye.

- Jest przerażona - odezwała się w końcu.

- Tylko patrz. - Przysuwając się bliżej, Jack skinął głową, wskazując Dorothy Summerskill, która właśnie przedstawiała Kaye hałaśliwej grupie mężczyzn. - Lada moment przejdzie na tryb aktorski. Ha, widzisz? Już to zrobiła.

Miał rację. Kaye wcisnęła tajemniczy guzik i przeszła natychmiastową przemianę. Dla nieświadomego obserwatora była pewna siebie, czarująca, swobodna; uśmiechała się, gawędziła i bez wysiłku od razu zdobyła sobie sympatię wszystkich obecnych.

- Niezła sztuczka - podziwiała Tilly. - A w środku trzęsie się jak galareta.

- To się nazywa trzymać fason.

Tilly przełknęła ślinę. Pewnie wiedział, że ona robi teraz dokładnie to samo. Przywołała na twarz radosny uśmiech.

- Tylko mi nie mów, że przyszedłeś sam.

Jack pokręcił głową.

- Moją parę coś zatrzymało. Pojawi się później. Widzisz tego wielkiego siwego faceta? - Wskazał grupę towarzyszącą Kaye. - To Mitchell Masters. Właściciel połowy nocnych klubów w tej części Londynu. Bardzo nadziany.

Może i tak, ale brzuch miał jak Święty Mikołaj. Bez zastanowienia Tilly zażartowała:

- Wygląda trochę jak w ciąży. O, rety!

- Nie martw się. - Jack wyglądał na uradowanego. - Dam głowę, że nie jest.

Upił łyk ze szklaneczki, zupełnie niespeszony gafą popelnioną przez Tilly. Czy myślał, że ona nic nie wie o Amy? Teraz, kiedy już zaczęła, nie mogła się powstrzymać i palnęła:

- Co tam słyhać u Amy?

Jack przyglądał się jej spokojnie.

- No tak, ona akurat j e s t w ciąży - odparł.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie. - Wzruszył ramionami.

- Ale przecież możesz być ojcem! - Zdziwiona jego nonszalanckim stosunkiem Tilly mówiła podniesionym głosem. - To dwunasty tydzień. Wtedy właśnie z nią spałeś. A jeśli носи twoje dziecko?

Jakaś przechodząca obok para odwróciła się, by na nich spojrzeć. Jack wymamrotał pod nosem:

- Może skombinować ci megafon?

Boże, robiła się z niej istna jędza! Z trudem, ale się opanowała.

- Przecież ona może mieć rację. W ogóle cię to nie obchodzi?

Jack w żadnym razie nie wyglądał na zmartwionego.

- Słyszałem, że spała też z innymi facetami. Wątpię, czy dziecko jest moje.

Jak on mógł się tak zachowywać?

- Chodzi ci o to, że się zabezpieczyłeś, więc uważasz, że możesz mieć pewność, tak? Żaden sposób nie jest w stu procentach skuteczny - zauważyła Tilly. - Z wyjątkiem kastracji.

- Au! - rzucił z rozbawieniem. - Bolało!

- To nie jest śmieszne - zaprotestowała. - Co zrobisz, jeśli okaże się, że dziecko jest twoje? Ożenisz się z Amy?

Jack uniósł brew.

- Myślę, że akurat na to pytanie z pewnością mogę odpowiedzieć przecząco.

- Zamieszkaś z nią?

Pokręcił głową.

Czy naprawdę nie rozumiał, jak denerwujące jest jego zachowanie? Gdyby Tilly znalazła się na miejscu Amy, to ją by teraz odrzucał. W desperacji zadała kolejne pytanie:

- A będziesz chciał chociaż zobaczyć to dziecko?

Jack podniósł ręce w obronnym geście.

- Naprawdę sądzisz, że jestem aż takim draniem? Uwierz, że nie jestem. Chcesz, to ci coś obiecuję. Jeśli okaże się, że jestem ojcem tego dziecka, będę je widywał i wspierał finansowo. Słowo harcerza.

Jakby jedynie o to chodziło...

- Pieniądze to nie wszystko - powiedziała, wciąż zdenerwowana.

Jack tylko się uśmiechnął.

- Idź i powiedz to Kaye. Coś mi się zdaje, że będzie miała inne zdanie.

*

Najważniejsza część wieczoru rozpoczęła się po kolacji. Aukcja okazała się wesołym,

wcale nie nadętym wydarzeniem, w trakcie którego wszyscy zgodnie śmiali się, bawili i stosowali żartobliwe szantaże. Pierwsze nagrody wystawione na licytację stanowiły przedziwną mieszalinę: kolacja dla sześciu osób w hinduskiej restauracji, koszulka piłkarska z autografem, zrobienie na drutach swetra z wyszytą postacią z kreskówki (wybór własny).

- No dalej, Mitchell, pokaż nam, co potrafisz! - Dorothy Summerskill stała na scenie razem z prowadzącym aukcję, jak zwykle pełna energii.

Mitchell Masters posłusznie usiadł i wyciągnął rękę w górę, licytując za dwieście funtów i zdobywając tajemniczy przedmiot. Gdy okazało się, że właśnie kupił miesięczny abonament w klubie fitness, wydał z siebie jęk niezadowolenia i musiał duszkiem wypić podwójną brandy, żeby jakoś ochłoniąć. Ale widać skąpstwo nie było jego wadą, bo kilka minut później znów bardzo hojnie licytował, tym razem lekcje salsy.

- Przydałyby ci się, oj tak - żartowała Dorothy ze sceny. - Nie zapominaj, że wszyscy byliśmy świadkami twoich tak zwanych tanecznych popisów.

- Ty złośliwa kobieto. Jeszcze ci pokażę moje tańce połamańce.

- O matko - szepnęła Kaye do Tilly, kiedy Masters wygrał także i kurs tańca. - Niech on przestanie już wydawać pieniądze, bo nie wystarczy mu na kolację ze mną.

Zlicytowano kilka następnych nagród. Kaye robiła się coraz bardziej nerwowa. Tilly właśnie wrzucała do ust odświeżającą miętówkę, kiedy przy ich stoliku pojawił się Jack.

- Jak leci? - Położył dłoń na nagim ramieniu Kaye, ale to Tilly dostała gęsiej skórki na samą myśl o tym dotyku.

- Może wyglądam na spokojną, ale tylko od pasa w górę. Pod stołem kopię właśnie tunel, by stąd uciec.

Ścisnął ją pocieszająco.

- Max właśnie zadzwonił z Francji. Kazał mi cię wylicytować, jeśli nie będzie innych ofert.

- Lepszy rydz niż nic - ponuro oceniła Kaye.

- Hej, wszystko będzie dobrze! I tak bym licytował. Jezu, co to było?

Miętowa landrynka Tilly z głuchym trzaskiem połamała się pod naciskiem jej zębów.

- To nic, tylko mój cukierek. Twoja para się pojawiła?

- Tak, właśnie przyszła. A co, martwiłaś się o mnie? - spytał jak zwykle rozbawiony Jack.

- Myślałaś może, że wystawiła mnie do wiatru?

Tilly odwróciła się i kopnęła się w kostkę za karę, że w ogóle zapytała. Zdenerwowała się jeszcze bardziej po chwili, bo kiedy Jack wrócił do swojego stołu na drugim końcu sali, okazało się, że nie widać, kim jest jego towarzyszką. Chyba że Tilly wspięłaby się na krzesło i rozglądała ponad głowami innych gości, ale istniało niebezpieczeństwo, że Jack by ją zauważył.

- Boże święty, nie pozwól, żeby mnie się to przytrafiło! - modliła się Kaye, obserwując, jak na scenie prowadzący aukcję próbował wymusić cenę wywoławczą za lunch z miejscową pisarką. Biedna kobieta w nieco obwisłej sukni wyglądała na przerażoną i cały czas mrugała oczami niczym sowa.

- Dalej, panie i panowie, to wasza szansa, by poznać prawdziwą, żywą pisarkę. Marjorie napisała cudowną książkę o staroangielskich kościołach! Dorzuci nawet podpisany egzemplarz do nagrody! Czekam. Kto zaproponuje mi trzydzieści funtów?

Wyraźnie nie mogąc znieść cierpienia pisarki, Kaye wykrzyknęła:

- Ja!

Tilly zaschło w ustach. Trzydzieści funtów było koszmarnie niską sumą i wiadomo, że zaferowaną wyłącznie z litości. Jeśli nikt nie zaproponuje więcej, biedna kobieta spali się ze wstydu.

- Mamy trzydzieści funtów. - Prowadzący odetchnął, ale wciąż daleko mu było do szczęścia. - Czy usłyszę czterdzieści?

A niech tam! Tilly podniosła rękę. Widząc zmieniający się wyraz twarzy Marjorie, wiedziała, że było warto.

Rozdział 44

- Świetnie, drodzy państwo - ekscytował się prowadzący. - Pani z przodu w różowym przebija. Świetny początek. A teraz - czy usłyszę pięćdziesiąt?

- Tak. - Męski głos, z tyłu sali. Najprawdopodobniej należący do Jacka.

- Doskonale! Sześćdziesiąt?

Tilly szybko skinęła głową. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła wyjaśnić, uznała za absolutnie konieczne, by zabrać coś Jackowi, tak chełpiącemu się, że zawsze dostaje to, czego chce.

- Jest sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt?

- Tak. - To z pewnością był Jack. Tilly czuła, że dostaje gęziej skórki.

- Osiemdziesiąt?

- Tak!

- Dziewięćdziesiąt? - Prowadzący naprawdę się zaangażował.

Cisza. Jack się wahał.

- Tak - rzucił w końcu.

- Sto funtów! - Aukcjoner z triumfem zwrócił się do Tilly: - Czy usłyszę sto funtów?

Tilly powoli traciła oddech. Sto funtów to spora sumka, zwłaszcza gdy trzeba płacić z własnej kieszeni. Być może serce za wszelką cenę chciało wygrać z Jackiem, ale głowa doznała naraz ataku kompletnej paniki. O czym ja w ogóle myślałam? karciała się Tilly. Wszystko to nie miało najmniejszego sensu, z pewnością. Chociaż miała zamiar pokręcić głową i uznać swą porażkę, zamiast tego skinęła twierdząco.

- Sto funtów! - zakrzyknął z radością prowadzący aukcję. - Wspaniale!

Na miłość boską, co ja zrobiłam? To licytowanie było zupełnie absurdalne. Nie mogła sobie pozwolić na takie szaleństwo. Jeśli Jack jej nie przelicytuje, będzie musiała wypisać czek, który powiększy debet na...

- Dwieście funtów. - Głos Jacka dobiegał z tyłu sali i wszyscy wyraźnie słyszeli w nim nutkę poirytowania.

Dzięki Bogu, nareszcie! Tilly poczuła się jak złowiona ryba nagle zdjęta z haczyka i wpuszczona do morza. Pokręciła głową, patrząc na prowadzącego, napiła się wina i odetchnęła z ulgą. Jeśli Jack tak bardzo chciał wygrać - proszę bardzo.

Nie było już dalszego przebijania. Marjorie prawie płakała z radości, prowadzący stuknął młotkiem i przeszedł do numeru piętnastego.

- O rany, potem będę ja. - Kaye odsunęła krzesło i oznajmiła: - Znowu muszę siusiu.

Gdy tylko wyszła, pojawił się Jack i zajął puste miejsce.

- Wielkie dzięki - rzucił.

- No co? - obojętnie spytała Tilly. - Przecież wygrałeś, prawda? Dostałeś to, czego chciałeś.

- Próbowałem ci pomóc. Po co licytowałaś?

- Bo było mi szkoda tej kobiety.

- Mogłaś sobie pozwolić na wydanie czterdziestu funtów?

- Raczej nie.

- Właśnie. Dlatego przebijałem, żeby uratować twój portfel. - Pokręcił głową. - A ty

miałaś przestać.

- Hm, tak. - Dopiero teraz zaczęła rozumieć. - Psiakość, myślałam, że po prostu chcesz ze mną wygrać.

- Chciałem, ale przyświecała mi dobra intencja. Max przez telefon wspomniał, że jesteś splukana. Chciałem ci pomóc.

- Jasne. Przepraszam. - A ona kosztowała go dwieście funtów.

- Nie mogę uwierzyć, że podbijałaś cenę - powiedział Jack.

- Nie chciałam, żebyś wygrał.

- A teraz jesteś mi coś winna. I wiesz co, mogłabyś wyświadczyć mi przysługę.

Możliwości było nieskończenie wiele. Tilly spytała więc ostrożnie:

- Jaka przysługa?

- Pójść na lunch z tą pisarką.

- Bardzo miło z twojej strony. Ale nie mogłabym.

- Czemu?

- Bo nie chcę! Ona napisała książkę o angielskich kościołach! Umrę z nudów.

- Ale ja też nie chcę się z nią spotykać - oświadczył Jack.

- To masz pecha. Podbijałaś stawkę i wygrałaś licytację.

- Ale...

- Twoja wina. Teraz nie możesz się wycofać. Zresztą popatrz, jak ona się cieszy. Macha do ciebie!

- Kto macha do kogo? - Kaye wróciła z toalety i wygoniła Jacka ze swojego krzesła.

- Marjorie. Tam, z boku sceny. - Tilly skinęła głową i obie patrzyły, jak starsza pani energicznie gestykuje i posyła pocałunki w stronę Jacka.

- Jesteś ugotowany - zauważyła Kaye.

- Hm, wygląda na to, że dostanę nagrodę wartą wydanych pieniędzy - mrugnął żartobliwie. - Lepiej wróć do swojego stolika, zanim moja partnerka zrobi się zazdrosna.

Tilly nie mogła się opanować, by nie powiedzieć:

- A kiedy pójdziesz na lunch z panią Kościelną, spróbuj jej nie zapłodnić.

- Będę się bardzo starał - odparł Jack.

Sprzedano następny fant, a potem przyszła kolej Kaye. Dorothy wygłosiła najpierw pochwalny hymn na cześć aktorki, zaprosiła ją na scenę i podgrzewała oklaski. Kilka stolików dalej Mitchell Masters włożył tłuste paluchy do ust i zagwizdał przeciągle, aż wszystkich zabolowały uszy. Obiecujący wstęp. Kaye uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Siedząca za Tilly kobieta gderiała:

- Jaka Kaye? Nigdy o niej nie słyszałam. - Tilly świerzbiła ręką, żeby palnąć babę w głowę łyżeczką, ale opanowała się grzecznie i zamiast tego klaskała najgłośniej, jak potrafiła.

Kaye znów po mistrzowsku ukryła swoje zdenerwowanie, kiedy prowadzący rozpoczynał aukcję. Na szczęście tym razem nie było niezręcznego milczenia przy określaniu ceny wywoławczej.

Mitchell Masters ruszył z kopyta, dołączyło się kilka innych osób, a przy trzystu funtach Tilly usłyszała Jacka licytującego z końca sali.

- Czteryście! - wrzasnął Mitchell.

Tilly odetchnęła. Nareszcie Kaye mogła przestać się martwić. Czteryście funtów wydawało się bardzo przyzwoitą sumą zapobiegającą publicznemu upokorzeniu i głupim żartom.

- Pięćset? Czy usłyszę pięćset funtów? Taaak! - krzyczał aukcjoner, wskazując kogoś z tyłu sali. - Dziękuję bardzo, proszę pana. Mamy pięćset funtów.

Jasny gwint, Jack nieźle szalał, próbując zmusić Mitchella do podbicia stawki.

- Sześćset! - zawołał milioner.

- Siedemset, pan z tyłu sali - potwierdził prowadzący, a ludzie zaczęli cmokać z

zadowoleniem.

- Jest warta każdego pensa! - wtrąciła się Dorothy.

- Osiemset. - Mitchell zawahał się, a potem potrząsnął głową i wrzasnął: - Nie, do cholery! Niech będzie tysiąc!

Tilly wypuściła z płuc powietrze. Cierpliwość Jacka była godna podziwu. Osiągnął to, do czego zmierzał. Teraz mógł dać sobie spokój i...

- Tysiąc dwieście! - obwieścił prowadzący, wskazując młotkiem na Jacka.

- Tysiąc pięćset! - huknął Mitchell.

- Tysiąc osiemset! - liczył aukcjoner.

W co ten Jack pogrywał? Stojąca na scenie Kaye także wyglądała na zaskoczoną. Nie mogąc się opanować, Tilly wstała i spojrzała ponad głowami klaszczących gości. Dostrzegła Jacka w chwili, kiedy Mitchell zakrzyknął:

- Dwa tysiące!

Jack zauważył, że Tilly mu się przygląda. Tymczasem ze sceny rozległo się:

- Pan z tyłu sali? Czy usłyszę dwa dwieście?

Dziewczyna z niedowierzaniem patrzyła na Jacka. On natomiast wzruszył ramionami, wyraźnie zdezorientowany. Wtedy dostrzegła, że za plecami Jacka stoi jakiś starszy pan, który kiwa głową i podnosi w górę sękatą dłoń. Mężczyzna wyglądał na jakieś osiemdziesiąt lat, w rękę trzymał puszkę piwa, a ubrany był w workowaty szary sweter i kapcie. Mój Boże, nic dziwnego, że Kaye się przeraziła. Kto to, u licha, jest? A co jeśli to jakiś bezdomny, pijany facet, który przypadkiem przechodził ulicą?

- Dwa tysiące dwieście!

- Dwa pięćset! - Mitchell najwyraźniej nie lubił przegrywać.

- Trzy tysiące!

- Cztery!

- Pięć tysięcy!!! - zawył licytujący. - Mamy pięć tysięcy funtów od pana z tyłu sali!

- A niech to szlag! - Mitchell pokręcił głową, westchnął i opróżnił szklaneczkę z brandy. - Poddaję się. Koniec.

I to był koniec. Staruch w swetrze wygrał licytację. Wszyscy w sali klaskali i wiwatowali, a Tilly czekała, aż zwycięzca wejdzie na scenę, by przedstawić się Kaye.

Zamiast tego, po krótkiej rozmowie z jednym z organizatorów, wyszedł przez podwójne drzwi i zniknął. Organizator podszedł do sceny i powiedział coś do Kaye i Dorothy. Niedługo potem Kaye wróciła do stolika.

- O mój Boże! - Tilly nalała wina do obu kieliszków. - Kto to był? Jakiś wariat? I gdzie on teraz zniknął?

- Kojarzysz właścicielkę tego hotelu? To był jej ojciec.

- Ma chyba sto lat! Ale przynajmniej wiesz, że nie będzie się do ciebie przystawiał. - Tilly wpadło do głowy coś okropnego. - Przynajmniej miejmy nadzieję, że nie będzie.

- Nie z nim mam iść na tę kolację. On tylko licytował w czyimś imieniu.

- Serio? Czyim?

Kaye cała drżała i z trudem łapała oddech.

- W imieniu kogoś, kto nie mógł tu dzisiaj przyjechać.

- Coś ty! - Tilly była pod wrażeniem. - Max dał pięć tysięcy funtów?

- Nie, to ktoś, kto nie mógł przyjechać, bo mieszka w Nowym Jorku. Nazywa się Price - wyjaśniła Kaye. - Parker Price.

Chwileczkę. Skądś znała to nazwisko. Price... Price...

- O mój Boże! - Tilly aż podskoczyła i rozlała na siebie wino. - Ten świrus!

Kaye automatycznie pokiwała głową.

- Wiem.

- Kim on jest? - Nagle pojawił się Jack, prowadząc swoją partnerkę. Była nią Monica,

której jaskrawoturkusowy cień do powiek idealnie pasował do spandeksowej sukienki w stylu Mae West.

- To ten facet, który wysyła jej prezenty. - Tilly skinęła na Kaye. - Wiesz, chyba nie będzie oczekiwał, że polecisz do Nowego Jorku, by zjeść z nim kolację. To by było głupie.

- Ale nie muszę. On przyleci tutaj, musimy tylko ustalić datę. - Ale... ale to świr! Prześladowuje cię! Nie, nie możesz się zgodzić. - Tilly znów pokręciła głową ze zdenerwowania.

- Nie możesz się z nim spotkać.

- Muszę. Zapłacił tyle pieniędzy... Wciąż nie mogę uwierzyć, że w ogóle dowiedział się o tej aukcji. To takie dziwne...

- Informowali o niej w Internecie, prawda? - zawsze praktyczna Monica wtrącała swoim gardłowym, seksownym głosem. - Wystarczy, że ustawi sobie wyszukiwarkę i wyskoczy mu każda nowa informacja o tobie, moja droga. Może śledzić każdy twój krok.

Jack zmarszczył czoło.

- Odpisałaś mu i podziękowałaś za ten obraz, który przysłał?

- Oczywiście, że tak. Byłam bardzo miła i uprzejma. Ale przysięgam, że w żaden sposób go nie zachęcałam. - Kaye nerwowo łamała sobie palce u rąk. - I przez myśl mi nie przeszło, że może zrobić coś takiego.

- Nie zakładaj od razu najgorszego, kochana. Ale bądź ostrożna - radziła Monica. - Płaci za kolację z tobą pięć tysięcy. Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem oznacza to, że jest kompletnym świrem.

Rozdział 45

Była jedenasta piętnaście, a Lou nie mogła zasnąć. Wszystkich uczniów wysłano do pokojów o wpół do jedenastej, ale dorośli zostali na dole, w barze. Podjąwszy decyzję, cicho wyslizgnęła się z łóżka, by nie obudzić Nesh, włożyła koszulkę i dżinsy, a potem na palcach wyszła z pokoju.

W barze na dole wciąż było mnóstwo ludzi, ale nigdzie nie mogła dostrzec ojca. Ani pana Lewisa. Tylko panna Endell i pani Trent siedziały przy małym stoliku, zagadywane przez jakichś Francuzów w średnim wieku. Co wyglądało nieco obrzydliwe. Panna Endell wyglądała na rozbawioną, za to pani Trent nerwowo przyciskała do piersi szklanekę z sokiem pomarańczowym. Zastanawiając się, czy może Max i pan Lewis poszli do innego baru, Lou postąpiła chwilę w drzwiach, a potem ruszyła do stolika.

- Ależ na Boga, oczywiście, że to nie są nasi mężowie, skąd! - Matka Sophie Trent wydawała się oburzona samym pomysłem. - Przyjechaliśmy na szkolną wycieczkę jako opiekunowie! A w ogóle ten w okularach jest gejem!

- A ja nie jestem żoną tego drugiego. Jeszcze. - Panna Endell mrugnęła, chichocząc. Wyraźnie miała za sobą już kilka kieliszków wina. I na dodatek mrugnęła do tego Francuza. Fuj! - Ale staram się to zmienić. Co prawda, ma w tej chwili jakąś dziewczynę, ale coś mi się zdaje, że z łatwością ją odprawię!

Gadała zupełnie bzdury, prześmieszne na dodatek, bo przecież dziewczyna pana Lewisa, Claudine, była sto razy ładniejsza od panny Endell.

- Ekhm. - Zauważywszy Lou, pani Trent zakaszła i głośno powiedziała: - Witaj, Louiso. Powinnaś już spać.

Lou zachowała spokój. Ha! Ciekawe, jak zenująca była ta sytuacja dla panny Endell?

- Przepraszam, chciałam porozmawiać z tatą. Myślałam, że będzie tutaj z paniami.

Panna Endell szarpała się z guzikiem przy bluzce, który w tajemniczy sposób się rozpiął.

- Poszedł na górę... Jakies dwadzieścia minut temu. Z panem Lewisem - wyjaśniła pani Trent. - Obaj byli zmęczeni. Pewnie twój ojciec już dawno śpi. I ty też powinnaś, moja panno.

I pani też, pomyślała Lou. Rany, pani Trent mówiła chyba wyłącznie podobnymi zdaniem. Na dodatek pogroziła jej palcem, jakby dziewczynka miała sześć lat.

- Dobrze, już wracam na górę. - Lou dziękowała niebiosom, że nie jest córką pani Trent.

- Prosto do łóżka. - Może wino wylewało się z kieliszka panny Endell, ale i tak wyrażała się bardzo składnie. - I od razu spać. Do zobaczenia rano.

- Tak, proszę pani. - Tyle że ja nie będę miała potwornego kaca, a pani tak, pomyślała Lou z radością.

Max na pewno jeszcze nie spał. Było dopiero wpół do dwunastej, a on nigdy nie chodził do łóżka przed północą. Kierując się na górę, Lou dotarła na trzecie piętro i podążyła cichym korytarzem po grubym dywanie. Liczyła drzwi po lewej stronie. Pokój 303 - tu mieszkał pan Lewis. Następny był 305 - pokój panny Endell. Potem 307 - „szczęśliwie” zajmowany przez panią Trent. W końcu doszła do numeru 309, w którym mieszkał Max.

Zapukała do drzwi - musiała się z nim zobaczyć. Nikt nie odpowiadał. Chyba nie zasnął aż tak wcześnie? Zapukała raz jeszcze.

- Tato? To ja.

Drzwi w końcu otworzyły się i Max spytał:

- Cześć, skarbie, co tam? Wszystko dobrze?

- Tak, dzięki. - Lou weszła za nim do pokoju. Max skończył myć zęby w łazience i dołączył do córki. Widać przedtem czytał coś w łóżku. Dziewczynka podniosła po wielokroć czytany egzemplarz i spytała: - Dobrze to?

- Tysiąc razy lepsze niż siedzenie na dole w barze z Fenellą i Josie. - Wzruszył ramionami i wszedł z powrotem pod kołdrę. - Musiałem się stamtąd zmyć.

- Wiem, byłam tam przed chwilą. Panna Endell trochę się upiła i zagaduje Francuzów. Ale nie po to przyszedłam. - Lou wskoczyła na łóżko i uklękła.

- Au! Wiem, po co przyszedłaś - żeby pogruchotać mi wszystkie kości.

- Maruda. Kiedy szliśmy na górę do naszych pokoi, Eddie mnie zaczepił.

Max spojrzał z uwagą:

- I co?

- Szturchnął mnie w plecy, jak to zwykle robi, nic nowego. Więc ja obróciłam się, żeby mu nagadać i zepchnąć ze schodów, ale uskoczył.

- Bezczelny gówniarz - wycodził Max.

- Czekał, potem rzucił: „Hej, odpuść sobie, chciałem tylko coś powiedzieć”. Na to ja: „Co, palancie?”. A on spojrzał, jakby naprawdę zrobiło mu się przykro, i dodał: „Chciałem ci tylko powiedzieć, że rozmawiałem z twoim staruszkiem. Całkiem długo. I wiesz co? Jest nawet fajny”.

Max poprawił okulary.

- Naprawdę tak powiedział?

- Naprawdę. - Lou uśmiechnęła się szeroko, rzuciła się naprzód i mocno uściskała ojca. - Nawet nie masz pojęcia, co to znaczy. To jakby Paris Hilton powiedziała, że uwielbia... Rany, nie wiem, może Marthę Stewart?

- Och, świetnie. Teraz porównujesz mnie do skazanej za utrudnianie śledztwa gospodyni domowej.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi. Nie mogłam uwierzyć, że słyszę to wszystko. I jeszcze powiedział, że masz fajne poczucie humoru.

- To rzeczywiście niespodzianka. Zwłaszcza że naprawdę jestem zabawny.

- Tak czy siak, Eddie cię lubi.

- Bo mnie nie można nie lubić - zauważył Max.

- Hm. Najśmieszniejsze jest to, że Eddiemu się wydaje, iż przyjaźnisz się z różnymi sławnymi ludźmi.

- Cal Cavanagh, Jamie i Tandy. - Ojciec skromnie wzruszył ramionami.

Lou uniosła brwi.

- Nie wspominając o Johnnym Deppie.

Pociągnął ją zartobliwie za włosy i powiedział:

- Chyba lepiej już nie wspominać o Johnnym Deppie.

- Tato! Skłamałeś. To okropne!

- No i co z tego? - spytał Max, błyskając niewinnym uśmiechem. - Przecież ten dzieciak nigdy nie dowie się prawdy. Jeśli jest tak głupi, że można zrobić na nim wrażenie jednym nazwiskiem, to ja mogę sobie pozwolić na żart.

Autokar z warkotem wjechał na podjazd Harleston Hall o dziesiątej wieczorem w niedzielę. Czterdzieścioro wymęczonych, ale szczęśliwych dzieci wybiegło na spotkanie rodzicom. W ciemności wszyscy kłębili się wokół, czekając, aż kierowca wyjmie z luku ich walizki. Max, pomagając innym znaleźć bagaże, wyciągnął też swoje i podał je Lou.

- Masz. - Rzucił córce kluczyki do auta. Trzęsa się ze zmęczenia, a na dodatek zaczęło padać. - Włóż moją torbę do bagażnika i zaczekaj w samochodzie. Zaraz tu skończymy.

Lou skinęła głową, ziewnęła przeciągle i pomaszerowała w ciemność, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Stojący obok Maksa Tom Lewis, wyłowiwszy ciemnozieloną walizkę, zauważył:

- Zaśnie, zanim dotrzecie do domu.

- Ta jest moja. - Eddie przecisnął się koło Toma i sięgnął po zielony bagaż. - Dziękuję, proszę pana. - Potem, odwracając się, dodał: - Cześć, Max. Do zobaczenia. Fajna wycieczka, co?

Max przytaknął z poważną miną.

- Świetna wycieczka. Cześć, Eddie.

- A jeśli kiedyś potrzebowałbyś pomocy z... no wiesz z czym, gdybyś był bardzo zajęty i szukałbyś kogoś do roboty, to tylko zadzwoń.

- Dzięki - poważnie odpowiedział Max. - Zapamiętam. Przyjechał ktoś po ciebie?

- Tak. - Zadowolony z siebie Eddie wysunął rączkę walizki i odszedł.

- Dobra robota. - Tom Lewis uśmiechnął się lekko. - Udało ci się.

- Oszukiwałem. - Max wyjął z luku niebieską walizkę ze srebrnym dzwoneczkiem przy rączce i jeszcze raz popatrzył na Eddiego. Chłopak dotarł właśnie do błyszczącego mercedesa i witał się z matką, podczas gdy ojciec wkładał jego walizkę do bagażnika.

- Cóż, jeśli to pomogło. - Tom zmarszczył czoło, widząc czarny sportowy plecak. - Ten nie ma przywieszki z nazwiskiem.

Jedna z dziewczynek, podchodząc do leżącego obok stosu wyładowanych bagaży, zauważyła:

- To plecak Eddiego. Czy mógłby pan sięgnąć po moją walizkę? To ta w kratkę, leży z tyłu.

- Może go dogonię. - Chwyając plecak, Max puścił się biegiem przez parking. Mercedes już ruszał z włączonymi światłami, ale Eddie dostrzegł Maksa z tylnego siedzenia. Chwilę później otworzyły się drzwi od strony kierowcy i ojciec chłopca wysiadł z auta.

- Witam. Bardzo dziękuję. Jestem Ted Marshall-Hicks. - Jowialny ton, mocny uścisk dłoni. Ojciec Eddiego miał imponujące wąsy i mówił głosem bogatej klasy wyższej. - Eddie właśnie nam o panu opowiadał. To pańska córka podbiła mu oko, prawda?

Max potwierdził skinieniem.

- Tak, moja dziewczynka.

- Dobrze zrobiła, co? Chłopakowi nie zaszkodzi, jeśli raz na jakiś czas dziewczyna da mu

nauczkę. - Odebrał plecak od Maksa i mówił dalej wesoło: - No, ale już po wszystkim. Wygląda na to, że mój syn w końcu zrozumiał, co źle robił. Tak to jest z nastolatkami, prawda?

- Zgadza się - odparł Max.

- Porządny z pana facet. A na wypadek gdyby się pan zastanawiał, to Eddie na pewno nie odziedziczył swoich poglądów po mnie, o nie. - Ted Marshall-Hicks pokręcił głową jak wielki niedźwiedź i zniżył głos do szeptu.

- Oczywiście teraz mam żonę i dzieci, ale kiedy chodziłem do szkoły z internatem, z samymi chłopakami, też trochę eksperymentowaliśmy. Światła gasły i zaczynała się zabawa. Wie pan, o czym mówię. Beztrudne lata. Ale, ale lepiej już pojedziemy. Miło było pana poznać. - Ucisnął rękę Maksa z entuzjazmem, potem odwrócił się i wszedł do samochodu.

Eddie pomachał jeszcze z tylnego siedzenia.

Max automatycznie odwzajemnił pozdrowienie, kiedy mercedes wyjeżdżał z podjazdu.

Proszę, proszę. Wracając do autokaru, Max uśmiechał się do siebie. Czasem wszystko dzieje się na odwrót. W czasach szkolnych to on akurat eksperymentował z dziewczynami...

Rozdział 46

Gdy w środowy poranek Tilly spojrzała na Maksa, wiedziała już, co się stało.

Zazwyczaj wstawał obrzydliwie wcześnie, brał prysznic, stroił się i był gotowy do wyjścia. Za to tym razem zszedł tylko w szlafroku i wyglądał jakby przez ostatni tydzień ostro imprezował!. Chociaż gdyby miała powiedzieć to głośno... lepiej dobrałaby słowa.

- Przykro mi to mówić, ale... A nie mówiłam? - odezwała się.

Dowlókł się do najbliższego krzesła i z jękiem usiadł.

- Nie możesz sobie darować, co?

- Przecież to wyłącznie twoja wina! Nie mogę uwierzyć, że pomyślałeś, że nic ci się nie stanie. - Tilly nieco zmiękła. - Mój Boże, wyglądasz potwornie! Naprawdę jest tak źle?

Max skinął głową. Jego skóra robiła się blada i zielona na zmianę.

- Pozwę tę cholerną chińską knajpę!

- Cóż, tego akurat nie możesz zrobić. To nie ich wina, że zostawiłeś jedzenie na noc i dokończyłeś je rano.

- Nie lubię, jak żarcie się marnuje. A smakowało normalnie. - Zdusił westchnienie i złapał się za żołądek. - Jezu, aż bolą mnie mięśnie. Wiesz, ile razy wymiotowałem?

- Obejdę się bez tej wiedzy, dzięki. Zastanawiam się tylko, jak damy sobie dzisiaj radę. Nie pojedę sama do Jamiego i Tandy.

- Wiem, wiem. Zawieź Lou do szkoły, a ja coś wykombinuję. - Max wziął swoją komórkę z kuchennego stołu i z wysiłkiem się podniósł.

W samą porę Lou wpadła do kuchni i aż stanęła w pół kroku, widząc ojca.

- Aaaj, tato, jesteś zielony!

- Ja też cię kocham.

- Czy to ten kurczak po sycuańsku?

- Zapewne - przytaknął Max.

- Och, mój biedny tatku! Przecież mówiłyśmy, że ci zaszkodzi.

- Jasne. Dzięki, że mi o tym przypomniałaś. Znowu.

- A ty powtarzałaś, że nic ci nie będzie. Co oznacza, że my miałyśmy rację - zauważyła dziewczynka - a ty nie.

- Wiesz co? - Max zamachnął się, by szturchnąć córkę, ale nie trafił. - Zawsze mogę oddać cię do adopcji.

Zanim Tilly wróciła ze szkoły po odwiedzeniu Lou, Max zdążył już zaplanować jej dzień.

- Mamy za dużo zajęć, żeby wszystko odwoływać. Zadzwoń mi więc do Jacka, już tu jedzie.

Jeszcze tego było jej trzeba! Teraz nie tylko Maksa bolał żołądek. Ale w tych okolicznościach nie miała zbyt wielkiego wyboru. Jack przyjechał dziesięć minut później, więc Max otworzył folder z projektami i razem przejrzyli listę prac, które trzeba było skończyć.

- Nie ma sprawy, zajmiemy się tym. - Jack przejrzał resztę planów i włożył teczkę pod ramię.

- Dzięki - zachrypiał Max.

- Lubię czasem kogoś uratować.

- Tak, jasne. Po prostu chcesz się rozejrzeć po domu Jamiego Michaela.

Jack uśmiechnął się.

- To też. O, wiesz co? Robisz się bardziej zielony.

- Jezu, znowu się zaczyna. - Wypraszając ich z kuchni, Max zajęczał: - Odwalcie się ode mnie, oboje. Dajcie mi chorować w spokoju.

Kiedy ładowali potrzebne rzeczy na tył furgonetki Jacka, zadzwoniła jego komórka. Tilly, chcąc nie chcąc, musiała stać obok i słuchać, jak jakaś kobieta ze wszystkich sił stara się przekonać Jacka, by spotkał się z nią następnego wieczoru. Odmówił jednak - delikatnie, acz stanowczo. Włożył komórkę do kieszeni i rzucił żartobliwie:

- Widzisz? Potrafię odmówić, kiedy chcę.

- To jakiś cud.

- A pamiętasz sobotę wieczorem? Sama przyznaj - mówił dalej - spodziewałaś się, że przyjdę z kimś nieco innym, prawda? Ale tego nie zrobiłem. Monice spodobał się pomysł spędzenia wieczoru, więc zaprosiłem ją i...

- Czy możemy to sobie darować? - Tilly zrobiła krok w tył i podniosła ręce. - Musimy dzisiaj razem pracować, w porządku, ale wolałabym trzymać się tematów zawodowych, bo naprawdę nie chcę słuchać opowieści o twoim życiu towarzyskim.

- Ale...

- Mówię poważnie. Przepraszam. - Uśmiechnęła się pojednawczo, żeby załagodzić nieprzyjemną sytuację. - Obiecuj, że mnie posłuchasz, bo inaczej nie wsiądę.

Wyraźnie zaskoczony Jack spróbował ponownie:

- Ani nawet...

- Ani nawet nic. Nie żartuję. - Tilly trwała przy swoim, kiwając głową, aby podkreślić wagę swych słów. I w istocie mówiła bardzo poważnie - spędzenie dnia w towarzystwie Jacka było już wystarczająco dużym stresem, żeby jeszcze musiała przejmować się jego życiem prywatnym.

Spoglądał na nią bacznie przez dłuższą chwilę, ale Tilly ani drgnęła. W końcu wzruszył ramionami i rzucił:

- Jasne.

Pierwszym niepokojącym znakiem było poruszenie panujące przed bramą wjazdową.

- Czy tu zawsze jest tylu paparazzich? - spytał Jack, kiedy mijali czekający na coś tłum fotografów.

- Nie. - Rozpoznawszy Tilly i samochód, strażnik otworzył bramę i wpuścił ich do środka.

- Cześć pracy! Co się tutaj dzisiaj dzieje? - zapytała wesoło Tilly, kiedy Tandy otworzyła drzwi. Chwilę później dostrzegła jej podpuchnięte, zapłakane oczy i z przejęcia zasłoniła sobie dłonią usta. - O mój Boże, co się stało?

- Zaręczyny zerwane! Jamie bzyka się z jakąś obrzydliwą striptizerką! Wejdźcie. - Tandy nieprzytomnie patrzyła na Jacka, który wyładowywał właśnie z samochodu zdobione platyną płaskorzeźby. - Kto to jest?

- Jack Lucas. Max zatrął się chińszczyzną. Rany, nie mogę uwierzyć, że Jamie zrobił coś takiego. Jest tutaj?

Nieszczęśliwa Tandy pokręciła głową. Świeże łzy popłynęły strumieniem z jej oczu.

- Wyprowadził się wczoraj wieczorem. Powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć. Nie do wiary, że nic nie wiecie. Herbaty?

Tilly podążyła za gospodynią do wielkiej kuchni, gdzie na stole leżały stosy świeżych gazet. Na wszystkich okładkach widniała uśmiechnięta, szczęśliwa twarz Tandy. Za to prawdziwa Tandy - drobna i bez makijażu - stała teraz obok w jaskraworóżowym swetrze i ocierała łzy za długim rękawem.

- Biedactwo ty moje. - Tilly naprawdę współczuła dziewczynie. Przytuliła ją i dodała: - Drań i tyle. Nie zasługujesz na takie traktowanie.

- Wiem. A ona jest... nawet nie jest ładna. Jakaś zdesperowana mała zdzira, która tańczy na rurze i myśli, że jest fantastyczna. To takie... to takie upokarzające.

Tilly gładziła Tandy po szczupłych ramionach. I pomyśleć, że zazdrościła jej, iż spotkała takiego faceta jak Jamie i zakochała się. Choć miała zaledwie dziewiętnaście lat, spełniała wszystkie swoje marzenia, a teraz one runęły jak domek z kart.

- Jak on mógł mi to zroobić? - zawodziła Tandy. - Mam ochotę krzyyczeć!

Au! Zdecydowanie za blisko bębenka.

- Oczywiście, to normalne. - Tilly odsunęła się nieco, wiedząc, że Jack czeka w drzwiach. Odwróciła się więc do niego i powiedziała: - Płaskorzeźby na ścianę idą do głównej sypialni. Na górze schodów skręć w lewo, czwarte drzwi na prawo.

- Hej! Przykro mi z powodu Jamiego - Jack zwrócił się do Tandy. - Czy to znaczy, że piątkowe przyjęcie zostało odwołane?

Gruboskórny niczym hipopotam. Tilly z niedowierzaniem skarciła Jacka wzrokiem. Przyjęcie i tak go nie dotyczyło.

- Oczywiście, że zostało odwołane. - Tandy posłała mu oburzone spojrzenie. - To miało być przyjęcie z a r ę c z y n o w e . - Podniosła dłoń upstrzoną pierścionkami. - A ja już nie jestem zaręczona, prawda?

W takim razie nici z przyjęcia. Tilly współczuła Tandy, ale także samej sobie. W końcu kupiła nową sukienkę, chciała zrobić się na bóstwo i wkręcić w towarzystwo sław - miała zapewne pierwszą i jedyną w życiu okazję, by pojawić się w rubrykach towarzyskich.

Za to Jack zaczął kręcić głową.

- A więc... bardzo cię przepraszam, ale Max wspomniał, że jakaś gazeta kupiła prawa do dokumentowania przyjęcia, a honorarium miało pokryć koszty remontu.

- Taaak. - Tandy pokiwała głową.

- Skoro więc nie ma przyjęcia, nie będzie też honorarium. Naturalnie, nie chcę być niegrzeczny - ciągnął Jack - ale czy to nie sprawi ci problemu?

Tilly mrugnęła nerwowo. O tym nie pomyślała.

- Przyjęcie jest odwołane - Tandy z dumą podniosła spiczasty podbródek - ale i tak robię dla nich szesnaście stron, więc nie martw się o zapłatę dla Maksa. Mój agent wynegocjował nawet dla mnie podwyżkę.

- Co? Za same zdjęcia domu? - zdziwiła się Tilly.

Dziewiętnastolatka spojrzała tylko z politowaniem. Podniosła chudą dłoń i zaczęła liczyć na palcach.

- Po pierwsze, to będzie materiał na wyłączność. Po drugie, moje złamane serce i zdrada Jamiego. Myślałam, że jesteśmy szczęśliwi, żyłam jak w bajce, ale on postąpił tak okrutnie, że teraz jestem absolutnie zrozpaczona i w głębokiej depresji. - Zawahała się na moment. - Po

trzecie, myślałam, że jestem w ciąży, i tak bardzo się ucieszyłam, bo zawsze pragnęliśmy dziecka, ale kiedy dowiedziałam się o tamtej dziewczynie, nieszczęśliwie poroniłam.

- Moment - przerwała Tilly. - Porońska wczoraj? Chyba powinnaś być w szpitalu?

- Dlaczego?

- Bo po poronieniu trzeba chyba przeprowadzić jakieś badania?

Tandy rzuciła obronnym tonem:

- M y ś l a ł a m , że jestem w ciąży. Okres spóźniał mi się o jeden dzień. Tak czy siak, nigdy się po tym nie pozbieram. A Jamie zdradził mnie, choć tak ciężko pracowałam, by stworzyć nam przytulne gniazdko - dlatego muszą zrobić mnóstwo zdjęć mnie i domu. I musi tu być idealnie.

- W takim razie lepiej zabierzemy się do tego, z czym przyszliśmy. - Jack podniósł płaskorzęby i zaniósł je na górę.

Kiedy nie mógł ich już słyszeć, Tilly pocieszająco zwróciła się do Tandy:

- Wiem, że teraz zdaje ci się, jakby to był koniec świata, ale poradzisz sobie, wiem to na pewno. Spotkasz kogoś innego i znów będziesz szczęśliwa.

- Nie spotkam. - Dziewczyna z przekonaniem pokręciła głową.

- Spotkasz.

- Nie, bo nie mam zamiaru spotykać nikogo innego.

- Och, tylko teraz tak myślisz, ale daj sobie trochę czasu - twierdziła Tilly - a na pewno zmienisz zdanie. Gwarantuję ci.

Tandy znów spojrzała na nią jak na wariatkę.

- Ty chyba nic nie rozumiesz. Chodzi o to, że nie spotkam nikogo innego, bo ja i Jamie wrócimy do siebie w przyszłym tygodniu.

- Słucham?

- Zabawił się. Dał się przyłapać. Z chęcią zabiłabym go za to, co zrobił. - Tandy westchnęła przeciągle, a potem głośno wypuściła powietrze. - Ale on wcale nie chce, żebyśmy się rozstawali. Przecież nie zakochał się w tamtej dziewczynie ani nic takiego. Rzuciła się na niego.

Tilly kręciła głową.

- Chcesz mu wybaczyć?

- Och, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie rozumiesz? Muszę mu wybaczyć. Bo co się ze mną stanie, jeśli tego nie zrobię?

- Ale...

- Bez Jamiego będę tylko kolejną byłą kobietą piłkarza. - W oczach Tandy lśniły łzy. - Musiałabym wrócić do domu i mieszkać z mamą. A ona kazałaby mi iść do pracy. A tam wszyscy śmialiby się za moimi plecami, bo przecież nie wiem na pewno, czy udałoby mi się znaleźć innego piłkarza. Co gdybym musiała żyć z jakimś tępakiem, który pracuje w fabryce i jeździ rozpadającym się fordem fiesta?

- Ale jeśli zostaniesz z Jamiem - rozważała Tilly - to przecież cały czas będziesz się zastanawiać, czy znów cię nie zdradził.

- Sama nie wiem. - Tandy wzruszyła ramionami. - Pewnie tak. Ale taka jest cena, którą muszę zapłacić.

- A Jamie będzie wiedział, że może zdradzać cię na prawo i lewo, a ty i tak przy nim zostaniesz.

- Nie tylko ja tak postępuję, wiesz? Wszystkie dziewczyny to robią.

- Ja bym nie mogła! - Tilly podniosła głos.

- Nie mówię o dziewczynach takich jak ty. - Tandy złagodniała. - Tylko o takich jak ja, które chodzą z pierwszoligowymi piłkarzami. Tak po prostu jest. Wkurzamy się, gdy nas zdradzają, ale potem im wybaczymy. Bo jeśli tego nie zrobimy, na nasze miejsce czeka kolejka chętnych.

- I naprawdę myślisz, że warto? - spytała Tilly.

Dziewczyna przewróciła oczami, jakby rozmawiała z pięciolatka.

- Spójrz tylko na ten dom. Na moją kolekcję butów. Mieszkam z Jamiem Michaelsem i miliony dziewczyn na świecie marzą, by być mną. Jestem uosobieniem ich marzeń, rozumiesz?

Tilly już otwierała usta, aby odpowiedzieć, ale zamknęła je szybko, bo Jack wrócił na dół i rzucał jej ostrzegawcze spojrzenia.

- Tak. - Poddała się. Tandy zawarła układ sama ze sobą i w głębi serca wiedziała, że postępuje źle. - Lepiej już pójść i zabiorę się do pracy.

Jack zaniósł resztę rekwizytów na górę i zaczęli mocować płaskorzeźby na ścianach. Po dziesięciu minutach to on odezwał się pierwszy.

- Słyszałem kiedyś takie powiedzenie, że jeśli wychodzisz za męża dla pieniędzy, to musisz zapracować na każdego pensa.

- Hm. - Tilly wciąż nie potrafiła zaakceptować jawnej niesprawiedliwości, do której doszło: Jamie nie potrafił być wierny, a rozumowanie Tandy, która pozwalała mu na wszystko, było...

- Jesteś na nią zła?

- Nie nazwałabym tego złością. - Tilly umocowała jedną z dużych ozdobnych rzeźb na ścianie, a Jack, stojąc za nią, wkręcił korek rozporowy w ścianę. - Raczej wściekłością.

Zaśmiał się, aż poczuła jego ciepły oddech na swojej szyi.

- Tak myślałem.

- Jamie złamie jej serce. - Boleśnie świadoma bliskości Jacka, Tilly podtrzymywała drugą krawędź rzeźby. - Właściwie to już je złamał, i będzie to robił raz po raz, bez przerwy.

- Rozumiem i zgadzam się z tobą. - Dłoń Jacka musnęła jej rękę, kiedy zamierzał się do wkręcenia kolejnego kołka. - Jestem po twojej stronie.

- Dzięki.

- Zawsze byłem wierny Rose.

- Cóż innego miałbyś powiedzieć. - Tilly wiedziała, że jest niesprawiedliwa.

Drrr - rozległ się dźwięk wiertarki.

- Taka jest prawda. - Usta Jacka znalazły się niebezpiecznie blisko jej ucha.

- Jasne. Wierzę ci. - Uważając, by nie nawiązać żadnego kontaktu fizycznego, Tilly puściła rzeźbę i uciekła z niewygodnej pozycji między ścianą a ciałem Jacka. - Zrobione, zabieramy się do reszty? Mamy mnóstwo roboty, a ja o czwartej muszę odebrać Lou ze szkoły.

Rozdział 47

Koniec był bliski. Zasłon wokół łóżka już nie rozsuwano, a Stella trwała w niespokojnym półśnie. Od mniej więcej czterdziestu ośmiu godzin zachowywała się jak zegar na baterie, który powoli tracił siły do tykania. Dla Erin, siedzącej przy łóżku i trzymającej chorą za rękę, okresy milczenia trwały coraz dłużej i dłużej. Dokoła wciąż słychać było paplaninę pielęgniarek, gości, przejeżdżające wózki, ale wewnątrz zasłoniętej przestrzeni rozlegał się już tylko chropawy oddech Stelli oraz miarowe pompowanie i syczenie elektronicznej pompy dawkującej morfinę prosto do żyły.

Kiedy nagle chora poruszyła się i wymamrotała coś niezrozumiałego, Erin nachyliła się nad łóżkiem i spytała:

- Słucham?

Stella otworzyła oczy, choć powieki miała ciężkie, a białka żółte.

- Nie boję się.

- I tak powinno być. - W gardle Erin rosła wielka gęsia kępa. Wczoraj po raz pierwszy chora przyznała: „Wiem, że to koniec. Nie chcę tylko mówić tego głośno”.

Teraz wyszeptwała:

- Nic mnie nie boli. To chyba dobrze, prawda? Czuję się, jakbym płynęła.

- Spokojnie, jesteś bardzo dzielna. - Erin ścisnęła lekko jej dłoń.

- Szkoda, że ominię mnie pogrzeb. - Stella zdobyła się na słaby uśmiech i odezwała nieco głośniej: - Nie usłyszę, jak ludzie mówią o mnie miłe rzeczy. Nawet jeśli będą kłamać.

Nie było dobrej odpowiedzi na takie stwierdzenie; Erin mogła tylko dalej gładzić wychudzoną dłoń.

- Tylko żadnej czerni - powiedziała po chwili Stella.

- Słucham?

- Nie chcę, żeby ktokolwiek włożył czarne ubranie na mój pogrzeb. Upewnij się, że nikt tego nie zrobi. Tylko jasne kolory.

- W porządku. - Erin kiwnęła głową. - Jasne i wesołe.

- Ha, moje tak zwane przyjaciółki nie będą zadowolone. Jedyne powody, dla którego chodzą na pogrzeby, to żeby wyglądać szczupło i pięknie w czerni. Dam tym sukcom nauczkę!

Kropłówka wciąż syczała i pompowała lek.

- I upewnij się, że z Bingiem wszystko dobrze. - Stella przymknęła oczy.

- Oczywiście, zajmę się nim.

- Obiecuj. - Głos chorej słabł.

- Obiecuję, słowo honoru.

- ...dobry... dom.

Dobry dom? O co jej chodziło? Czy Stella chciała, żeby Erin dała jej kotu dobry dom? Czy może rozumiała, że Erin nie będzie mogła go zatrzymać, więc chciała się upewnić, że znajdą Bingowi dobry dom u kogoś innego?

- Co powiedziałaś?

Cisza.

Erin nachyliła się i delikatnie potrząsnęła dłonią Stelli.

- Stello? Chcesz, żebym znalazła kogoś, kto zaopiekuje się Bingiem, tak?

Chora wciąż milczała. Oddychała powoli, ale spokojnie. W tej chwili Erin nie mogła uzyskać żadnej odpowiedzi. Musiała poczekać, aż Stella obudzi się i wróci do rozmowy o kocie. Oby chodziło o to drugie rozwiązanie.

Po godzinie chora otworzyła oczy, nieprzytomnie popatrzyła w sufit i zamknęła je ponownie, zanim Erin zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie. Jedną z pielęgniarek, która chwilę później zajrzała do sali, położyła dłoń na ramieniu Erin i cicho powiedziała:

- Chyba powinna pani zadzwonić do Fergususa. To już nie potrwa długo.

Erin wpadła w panikę.

- Co? Ale ja muszę o coś zapytać Stellę!

- Myślę, że powinna pani go wezwać.

- Tak, ale co z moim pytaniem? To naprawdę ważne.

Pielęgniarka ze zrozumieniem pokiwała głową, ale rzekła tylko:

- Myślę, że nie musi się pani już o to martwić. A teraz - zadzwoni pani czy ja mam to zrobić?

*

Fergusus przyjechał czterdzieści minut później, w szarym garniturze pachnącym światem

zewnątrznym, w którym życie toczyło się dalej. Stella oddychała już bardzo wolno. W czasie burzy Erin zawsze liczyła, ile sekund upływa między błyskawicą a następującym po niej grzmotem, by obliczyć, jak daleko od niej znajduje się epicentrum. Teraz zorientowała się, że robi to samo - liczy czas między kolejnymi chrapliwymi oddechami. Było w tym jakieś przerażające poczucie nieuniknionego końca... Dziewięć... Dziesięć... Jedenaście.

Pierś Stelli podnosiła się i opadała.

- Czy to już? - wyszeptał Fergus.

Erin skinęła smutnie głową.

- O Boże! - Przysunął sobie krzesło i usiadł. - Ona nie cierpi, prawda?

Erin potwierdziła, a potem podskoczyła nagle, kiedy ktoś po drugiej stronie parawanu wrzasnął: *Nienawidzę cię, nienawidzę cię z całego serca. Wynoś się z mojego życia!*

Kobieta leżąca w łóżku obok odezwała się przez zasłonę:

- Ojej, przepraszam - i pośpiesznie ściszyła fonię w telewizorze.

Dziesięć... jedenaście... dwanaście. Erin także wstrzymywała oddech, licząc i próbując nie słuchać dwóch serialowych aktorek kłócących się wściekle tak niedaleko od łóżka Stelli.

- Mój Boże... - Fergus spojrzał na nieruchomą pierś żony.

Czternaście... piętnaście... szesnaście...

Erin nie przestawała gładzić dłoni chorej. Przestała liczyć przy trzydziestu i wtedy dopiero odgarnęła zabłąkany kosmyk włosów z marmurowogładkiego czoła Stelli. Stało się. Już. Już jej z nimi nie było.

Dokąd odeszła?

Dziwnie było nie znać odpowiedzi.

Elektroniczna pompa wciąż syczała, podając kolejne dawki morfiny do ciała, które już jej nie potrzebowało.

Tilly odebrała telefon i wesoło zawołała:

- Cześć, kochana, jak się masz?!

Erin odrywała płatki odłóżającej zielonej farby ze szpitalnej ściany.

- Stella umarła.

- Och. - Głos Tilly zmienił się natychmiast. - Erin, tak mi przykro.

Gula w gardle Erin znowu urosła. Przez moment milczały, ale wiedziała, że obie dostrzegają ironię kryjącą się w dwóch ostatnich słowach. Ale Tilly mówiła szczerze, a ona, Erin, była wdzięczna za te kondolencje. Przełykając wielką gulę, dodała:

- Odeszła spokojnie, nie cierpiała.

- To dobrze. Fergus jest z tobą?

- Tak. Też jest przygnębiony.

- Kochana moja, Stella miała szczęście, że byłaś przy niej. Powiem Maksowi, dobrze? I zawiadomię innych.

- Dzięki, zrób to. - Łzy zaczęły płynąć po twarzy Erin. Oparła się o ścianę i powiedziała: - Czy to dziwnie zabrzmiało, jeśli powiem, że będę za nią tęskniła?

- Ciii... Oczywiście, że nie - odparła Tilly pocieszająco. - Nie ma w tym nic dziwnego.

Rozdział 48

- Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu przed aukcją mówiłam, że się boję?

- No tak, martwiłaś się, że nikt nie wylicytuje kolacji z tobą - odparła Tilly.

- A teraz, kiedy jednak ktoś zapłacił, boję się jeszcze bardziej. Sto razy bardziej. - Kaye

rozglądała się niespokojnie po hotelu, palcami skubiąc marszczone końce jedwabnego szala. - Czuję się tak, jakbym zaraz miała skoczyć na bungee z najwyższego mostu na świecie.

- Przestań, wszystko będzie dobrze. Jesteśmy tutaj z tobą, prawda? Nic złego się nie wydarzy.

- Niedobrze mi.

- Jesteś najzupełniej bezpieczna. - Tilly spojrzała znacząco na Maksa: to przez niego i jego głupie dowcipy jak z horrorów Kaye była teraz taka niespokojna.

- Idziesz do toalety? Sprawdź, czy ten świr nie chowa się za drzwiami.

- Tato, daj spokój - wtrąciła Lou. - Nie pomagasz.

Była za dziesięć ósma. Cała czwórka siedziała w barze Biały Anioł, popularnej restauracji w Tetbury, znanej z dobrego jedzenia. Max wszystko zaplanował, wybrał miejsce i czas. Parker Price miał przyjechać o ósmej. A kiedy on i Kaye będą jedli kolację, reszta zamierzała siedzieć przy pobliskim stoliku i dyskretnie ich obserwować, a w razie konieczności - interweniować, jeśli największy fan Kaye zrobiłby lub powiedział coś nieodpowiedniego.

W tej chwili zadzwonił telefon Maksa. Max sprawdził nazwisko na ekranie i powiedział:

- To on.

Kaye szeroko otworzyła oczy. Wszystkie słuchały uważnie słów wypowiedzianych przez Maksa, a były to głównie „tak”, „jasne”, „dobrze”, „nie ma sprawy” i „jeśli jest pan pewien”. W końcu rzucił „do widzenia” i rozłączył się.

- Spóźni się? - Lou wyrwała się pierwsza.

- Nie przyjedzie.

- Co? - Tilly usiadła prosto. - Dlaczego?

- Uważa, że to nie jest w porządku. - Max wzruszył ramionami. - Postanowił więc nie przychodzić. Dla mnie bomba.

- Żartujesz sobie? - Kaye podniosła głos. - Wcale nie bomba! Właśnie... O mój Boże, właśnie zostałam zignorowana przez... natręta!

- Myślałem, że się ucieszysz - powiedział Max.

- Ale się nie cieszę. Dawaj mi ten telefon. - Wyrываяc mu komórkę z ręki, Kaye zaczęła nerwowo stukać w klawisze. - Halo? Halo? To pan? Oczywiście, że to ja... Tak, cóż za spostrzegawczość, Einsteinie. Naturalnie, że jestem wściekła, jak pan śmie tak mnie traktować? - Lou zastanawiała się, czy Kaye całkiem oszalała. Patrzyła, jak matka słucha wyjaśnień Parkera Price'a. - Nie, wcale nie jestem zadowolona. Nikt nigdy tak mnie nie obraził! Gdzie pan teraz jest? - Pauza. - W takim razie niech się pan zbiera i natychmiast tu przychodzi. Zapłacił pan, żeby zjeść ze mną tę kolację i, do diabła, ma pan to zrobić!

Cała rodzina uznała, że Kaye mocno przesadziła, ale jej to nie obeszło. Przygotowywała się do spotkania z tym facetem, nadenerwowała się jak nigdy, więc nie miała zamiaru dopuścić, by poszło to na marne.

Parker Price nie wyglądał jak natręt. Wyglądał zupełnie normalnie. Miał ciemne włosy, przetykane siwizną na skroniach; jakieś czterdzieści lat, ciepłe szare oczy i zaczątki drugiego podbródka oraz dobre zęby i ładne dłonie. Był opalony i ubrany w dobrze skrojony, ciemnoszary garnitur.

W chwili gdy Kaye na niego spojrzała, wiedziała już, że nie ma się czym denerwować, i całkowicie się uspokoiła. Co prawda po drugiej stronie sali Max, Tilly i Lou obserwowali ich jak sępy, ale tu, przy stoliku, to Kaye była panią sytuacji.

- Niech mi pan powie, czemu chciał pan odwołać kolację.

Parker Price skrzywił się.

- O Boże, przepraszam bardzo! Nie mogłem uwierzyć, że była pani aż tak wściekła, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

- A ja nie mogę uwierzyć, że przyjechał pan tu aż ze Stanów i nagle w ostatniej chwili

zdecydował się wycofać. Nie rozumiem dlaczego. To po prostu dziwne.

- W porządku, będę z panią szczerzy. Siedziałem wieczorem w hotelu, zacząłem zbierać się do wyjścia i bardzo, ale to naprawdę bardzo czekałem na to spotkanie. A potem nagle do mnie dotarło. - Parker potrząsnął głową i dokończył z ironią: - Zastanawiałem się, jak pani się czuje przed spotkaniem ze mną, i doszedłem do wniosku, że zapewne piekielnie się pani boi. - Zawahał się. - Miałem rację?

- Cóż, chyba... Może nie „piekielnie”, ale raczej... - pomyślała Kaye - byłem ostrożna.

- Teraz próbuje pani tylko być uprzejma. Zresztą tak byłoby pewnie cały wieczór, ale tylko z pozorów. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: mógłbym być przecież jakimś psychopata. Właściwie to nadal mogę nim być.

- Nie jest pan. - Kaye emanowała spokojem.

- Ja wiem, że nie jestem. - Uśmiechnął się. - Ale pani nie. A fakt, że zapłaciłem pięć tysięcy funtów za to, by zjeść z panią kolację, to w istocie powód do niepokoju. W każdym razie właśnie dlatego postanowiłem, że nie mogę się z panią spotkać. Nie potrafiłem znieść myśli, że będzie pani siedzieć naprzeciw mnie przy stoliku, marząc, by być gdziekolwiek indziej, i męcząc się coraz bardziej. Pieniądze nie mają znaczenia. Chciałem panią od siebie uwolnić, bo wszystko jest lepsze niż świadomość, że pani się mnie boi.

- Już się nie boję - powiedziała Kaye. - Naprawdę.

- Cieszę się. I dziękuję, że nie pozwoliła mi pani odwołać spotkania. - Wyraźnie się odprężył. - Naprawdę się cieszę, że mogę panią poznać.

- Mnie też jest bardzo miło. - Kaye nie potrafiła w tej chwili opisać, co czuła wobec tego miłego, wrażliwego mężczyzny; wiedziała tylko, że jest osobą, której nie wahałaby się powierzyć życia.

- Ktoś nas obserwuje - zauważył Parker.

- Wiem. Przepraszam.

- Ekipa ochroniarska? Moglibyśmy ich zaprosić do nas, jeśli pani chce. Jeśli poprosimy, kelnerzy na pewno przestawią stoliki, żebyśmy mogli siedzieć razem.

- Nie, dzięki. Niech zostaną tam, gdzie są. - Kaye nie chciała, by Max i Lou bez przerwy im przeszkadzali, zadawali pytania i psuli wieczór. - Nie potrafię opisać, jak bardzo podoba mi się obraz, który od pana dostałam. Wisi w moim salonie. Tak miło, że ktoś o mnie pomyślał.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Przechodziła pani trudne chwile, odsądzana od czci i wiary przez te tabloidy. Chciałem poprawić pani humor - wyjaśnił Parker.

- Nie powinien pan wydawać tyle pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

- Pieniądze to akurat nie problem, jak pani pewnie zauważyła. Zresztą najważniejsze, że podoba się pani obraz.

Miał takie dobre, ciepłe oczy, w których błyskały iskierki i które marszczyły się w kącikach, kiedy Parker się uśmiechał. Kaye, która nigdy nie owijała w bawełnę, spytała:

- Jak pan dorobił się takiej fortuny? - Cóż, po prostu chciała wiedzieć. Wyszukiwanie w Internecie nie przyniosło żadnych ciekawych wyników. Ale miała nadzieję, że raczej zarobił swoje pieniądze, a nie dostał je w spadku.

- Jestem architektem. Niezbyt ekscytujące zajęcie, ale mamy z powodzeniem działającą pracownię. P. K. Price, przy Hudson Street. - Wyjął portfel, a z niego wizytówkę. - Mieszkania, firmy, duże budynki, małe budynki, czego dusza zapagnie. Jedno słowo i zaprojektujemy wszystko.

- I nikt nie sprzeciwiał się, że bierze pan wolne w pracy, żeby tutaj przyjechać?

- Sprzeciwiać się? Wszyscy z radością się mnie pozbyli. Nie było żadnego problemu. Właśnie skończyłem pewien duży projekt, należała mi się przerwa.

Wydawał się taki normalny, a jednak to, co zrobił ostatnio, zupełnie temu przeczyło. Kaye

spytała więc impertynencko:

- Do jakiej ceny byś licytował w trakcie aukcji? - Rany boskie, nie wierzyła, że zadaje mu tak bezczelne pytanie i zwraca się do niego po imieniu!

Ale najlepsze było to, że Parker na nie odpowiadał.

- Dwadzieścia tysięcy. Dolarów - dodał pośpiesznie, kiedy Kaye otworzyła oczy ze zdumienia. - Dziesięć tysięcy funtów, taką sumę podałem temu starszemu panu przez telefon. Co było nieco stresujące, ale jakąś granicę musiałem wyznaczyć. Nie obraż się, ale nie mogłem ryzykować, że oddzwoni i oznajmi, że musiał zapłacić pół miliona za kolację z tobą.

- Zdecydowanie nie jestem warta pół miliona. - Kaye potrząsnęła głową. - I tak nie wierzę, że zapłaciłeś dziesięć tysięcy. - Spojrzała na mężczyznę, zupełnie już nieskrępowana, i dodała: - Dlaczego ja? Dlaczego przyjechałeś z tak daleka?

Kelnerka przyniosła im karty już dziesięć minut wcześniej, ale nawet do nich nie zajrzeli. Parker odrzekł spokojnie:

- Nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Zabrzmiałoby to... - Pokręcił głową. - Nie, przykro mi, ale nie mogę.

Kaye spodobało się to, że w tej kwestii milczał. Może nie było widać rumieńców na jego twarzy, ale chyba niewiele brakowało, by się zawstydził. Dostrzegłszy kelnerkę przyglądającą się im z pewnej odległości, rzekła więc:

- Wstrzymujemy kucharza. Wybierzmy coś do jedzenia. Jesteś głodny?

- Raczej nie. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Ja też nie. - Kaye spojrzała uradowana.

Rozdział 49

- Tylko na nich spójrzcie. - Było wpół do jedenastej i Max zaczynał się nudzić. - Cały wieczór tylko gadają. Jasny gwint, ten facet chce wykorzystać każdego pensa, którego zapłacił, czy co?

- Tato, uspokój się. Naprawdę dużo zapłacił.

- Ale jest późno, a ty jutro rano idziesz do szkoły.

- Wiem - powiedziała Lou - ale na pierwszych dwóch lekcjach mam geografię, a na niej i tak wszyscy śpią.

- Nadciąga kawaleria - zauważył Parker. - Z odsieczą. Wygląda na to, że mój czas minął.

Zerknąwszy na zegarek, Kaye nie mogła uwierzyć, że jest już jedenasta. Dostrzegła też Maksa, który zdecydowanym krokiem maszerował przez prawie pustą restaurację.

- W porządku, ja to załatwię.

- Cześć. Dobry wieczór. Musimy już iść. - Max nie owijał w bawełnę.

- Dobrze, to wy jedźcie. Ja jeszcze trochę zostanę.

- Nie, nie. - Były mąż pokręcił głową. - Nie możesz.

- Mogę. - Kaye spojrzeniem zasygnalizowała, że wszystko w porządku. - To bardzo miły wieczór i nie mam zamiaru jeszcze wychodzić. Kiedy będę chciała, pojedę taksówką do domu.

- Nie, nie pojedziesz - oświadczył Max - bo nie po to przyjeżdżaliśmy tu z tobą i pilnowaliśmy cię cały wieczór, żeby teraz zostawić cię z obcym facetem, który - proszę wybaczyć - może być jakimś świrem. Nie możemy tego zrobić.

- Ale to było, zanim się poznaliśmy. A Parker nie jest wariatem, więc nie musicie się już

martwić!

Parker podniósł dłoń, by coś powiedzieć.

- Hej, nic się nie stało. On ma rację. To był bardzo miły wieczór, ale chyba już czas na nas.

Kaye czuła się jak nastolatka, którą ojciec zbyt wcześnie odebrał ze szkolnej dyskoteki. Westchnęła głośno i zwróciła się do Maksa:

- Daj nam dwie minuty.

- Dobra. Dwie minuty. - Max odwzajemnił się spojrzeniem mówiącym „czyś ty oszalała?”. - Nie dłużej.

Kiedy tylko odszedł wystarczająco daleko, Kaye odezwała się do Parkera:

- Przepraszam za mojego byłego męża. Nigdy nie był zbyt taktowny.

- Martwi się o ciebie, to dobrze.

Spojrzała na mężczyznę, którego twarz z każdą minutą wydawała się bardziej znajoma. Rozmawiali o dzieciństwie, wakacjach, dawnych szkolnych znajomościach, wstydliwych doświadczeniach, ulubionym jedzeniu, najdziwniejszych otrzymanych prezentach świątecznych, ukochanych filmach i najmniej lubianych tekstach na podryw; skakali z tematu na temat, bo tak wiele mieli sobie do powiedzenia. I tyle chcieli się dowiedzieć o sobie nawzajem. Czy to właśnie znak, że spotkało się bratnią duszę?

Nie zastanowiwszy się nad tym, co mówi, Kaye wyrzuciła z siebie:

- To co, spotkamy się znowu?

Twarc Parkera rozjaśnił uśmiech.

- Chcesz być uprzejma, tak?

- Nie, wcale nie.

Wyraźnie się odprężył.

- Z chęcią.

- Jutro wieczorem?

- Hm. - Parker znów się uśmiechnął i udawał, że sięga do kieszeni marynarki. - Muszę sprawdzić w kalendarzu, czy jestem wolny.

- Nareszcie! - powiedział Max, kiedy Parker wyszedł z restauracji, a Kaye przysiadła się do rodziny siedzącej przy barze. - Sprawa załatwiona, idziemy do domu. Myślałem, że uda nam się zmyć przed dziesiątą.

- Jaki był? - spytała zaciekawiona Tilly.

Kaye czuła, że cała promienieje.

- Był bardzo, bardzo miły. - Jak miała w ogóle opowiedzieć im, co myśli i czuje, żeby nie uznali, że postradała zmysły? Ale zresztą, kogo obchodziło to, co myśleli. - Właściwie nie „był”, tylko „jest”. Jutro znów się spotykamy.

- Po moim trupie! - parsknął Max.

- Jasne. - Kaye wycelowała w niego dwa palce i rzuciła: - Bang, bang! Załatwione.

- Trupem to ty będziesz, kiedy coś ci zrobi. Rany boskie, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? - Max nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. - Nie masz pojęcia, kim jest ten mężczyzna. Wiesz tylko, że wysłał ci różne rzeczy, śledził cię i zapłacił chorą sumę, żeby móc przelecieć Atlantyk i zjeść z tobą kolację. Powiedz mi, proszę, czy to brzmi „normalnie”?

Kaye wzruszyła ramionami.

- I tak spotkam się z nim jutro wieczorem. Nie musisz nam towarzyszyć.

- Oczywiście, że muszę! Ktoś musi! Jasny gwint, nie wierzę, że to robisz! - wrzasnął Max.

Ja też nie, pomyślała z radością Kaye, ale to prawda.

Czyż to nie cudowne?

Niektórych rzeczy zupełnie nie spodziewasz się zobaczyć, kiedy w czwartkowy poranek o siódmej czterdzieści pięć wyruszasz do pracy. Jedną z nich był Jack Lucas trzymający wrzeszczące półnagie niemowlę (w wyciągniętych do przodu rękach).

Tilly wjechała na stację benzynową, żeby zatankować, stanęła za białą furgonetką i obserwowała wydarzenia z dziwną mieszaniną emocji. Samochód Jacka stał przy jednym z dystrybutorów, a czerwony fiat z otwartymi drzwiami - w zatoczce awaryjnej. W środku siedziało małe dziecko, płacząc, a jego zaaferowana matka próbowała je uspokoić soczkiem z kartonika. Gdy jej się to udało, zajęła się niemowlęciem, zdejmując mu ubrudzone jedzeniem białe śpioszki, ostrożnie, by nie pobrudzić także koszulki polo Jacka. Po ukończeniu tej misji kobieta wrzuciła śpiochy do torby. Odziane w pieluchę dziecko, wciąż trzymane pod rączki przez Jacka, znowu z wymiotowało, o włos omijając dzinsy Jacka. Jack podał malucha matce, poszedł do swojego auta i wrócił z paczką chusteczek, które kobieta z wdzięcznością przyjęła.

Biała furgonetka odjechała. Tilly otworzyła bak i zaczęła wlewać paliwo. Kawalek dalej, przy innym dystrybutorze, Jack robił to samo. Kobieta z fiata, wytarłszy wierzgające dziecko i wsadziwszy je z powrotem do fotelika, wylewnie podziękowała Jackowi - ha, rycerz w lśniącej zbroi - i odjechała.

Tilly poczuła się rozdarta. Część niej doceniła, że Jack zrobił coś dobrego. Druga część - trzęsła się z frustracji, bo trudno było uwierzyć, że ktoś może być tak troskliwy i pomocny, a jednocześnie tak egoistyczny i zarozumiały.

Kiwnąwszy głową, Jack zawołał wesoło:

- Dzień dobry!

- Dobry. - Przeciwnie emocje znów zaczęły rządzić sercem Tilly. W beżowej koszulce polo, wyblakłych dzinsach i roboczych butach wyglądał... Jezu, wyglądał bosko. Ciemne włosy lśniły w świetle poranka, a kiedy odwieszał pistolet, widziała, jak pod opaloną skórą przedramienia drgają mięśnie. Ujmijmy to w ten sposób: gdyby zrobić filmik o Jacku nalewającym paliwo do baku i wrzucić go na YouTube, oglądałyby go miliony. Fizycznie był idealny. Co tylko czyniło jego charakter jeszcze większym rozczarowaniem.

- Widziałas, jak ledwie udało mi się uciec przed tym nieznośnym rzygającym dzieciakiem?

Na miłość boską, czy chciał ją całkiem zadrzeć?

- Tak, widziałam. Prawdziwy z ciebie superbohater. Ale kto mi udowodni, że to nie było jedno z twoich dzieci?

- Akurat to nie było. - Wyglądał na rozbawionego. - Widziałem tę kobietę pierwszy raz w życiu.

- Cóż, przynajmniej ją możesz skreślić ze swojej listy. A widziałeś się ostatnio z Amy?

Uśmiech zniknął z twarzy Jacka.

- Nie.

Wyraz absolutnego braku zainteresowania w jego oczach mówił wszystko.

- A więc masz czas i ochotę dla dziecka jakiejś kompletnie obcej osoby, ale nic nie obchodzi cię to, które może być twoje. - Tilly napełniła bak do pełna i z hałasem odwiesiła pistolet. - Nie widzisz, jakie to okrutne? Zupełnie nie wiem, jak możesz ze sobą wytrzymać.

Jack pokręcił głową: teraz naprawdę go zirytowała. Dobrze mu tak, ktoś powinien to wszystko powiedzieć.

- W porządku, coś ci powiem. Nie rozmawiałem z Amy, ponieważ nie jestem ojcem jej dziecka.

- Ale...

- I wiem to na pewno, ponieważ z nią nie spałem.

Tilly zastygła. Co? Mówił poważnie? Spojrzała na Jacka.

- To znaczy, że... To znaczy, że nie uprawiałeś z nią seksu?

Starsza pani przy dystrybutorze obok słuchała z zaciekawieniem.

- Tak też można to ująć - odparł Jack.

- Ale jak to? Nigdy?

- Nigdy.

- Ale... ale ona mówiła, że z nią spałeś!

Wzruszył ramionami i odwrócił się.

Tilly wciąż nie mogła uwierzyć.

- Czemu miałyby tak mówić, skoro to nieprawda?

- A kto to wie? - wtrącił się kierowca stojącego z tyłu volvo. - Wy kobiety macie swoje sztuczki i doprowadzacie nas do szału. Pani też nie jest lepsza! - Wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku Tilly. - Stoi pani sobie i papie, nic pani nie interesuje, a my wszyscy stoimy w kolejce i czekamy, aż łaskawie PRZESTAWI PANI TEN CHOLERNY SAMOCHÓD!

Tilly rozejrzała się wokół i zobaczyła, że facet ma rację. Zarumieniła się, wskoczyła do auta i przejechała na parking. W tym czasie Jack także zatankował samochód i właśnie zamykał bak. Tilly poszła do sklepu, by zapłacić za benzynę, spodziewając się, że Jack pójdzie za nią, aby mogła kontynuować przesłuchanie. Jednak chwilę później zobaczyła przez okno, jak jego jaguar znika za rogiem. Tilly krzyknęła zaskoczona, zwracając tym uwagę kasjerki, która spojrzała z naganą.

- Ktoś właśnie odjechał, nie płacąc - wymamrotała Tilly.

Kasjerka odparła znudzonym tonem:

- To dlatego, że tankował w kasie samoobsługowej, droga pani. Tam wkłada się kartę kredytową przed tankowaniem.

Aha.

No tak.

A więc niestety patrol policyjny nie wyruszy na sygnale, by ścigać Jacka i go zatrzymać. Wielka szkoda.

Tylko co naprawdę zaszło między nim i Amy? Dlaczego oboje kłamali? Tilly nie miała pojęcia, ale jedno było pewne: musiała się tego dowiedzieć.

Rozdział 50

Kiedy przyjechała tu z Londynu, by pracować dla Maksa, nie mogła nawet przypuszczać, że do jej obowiązków będzie należało pełnienie funkcji przyzwoitki dorosłej hollywoodzkiej aktorki.

- Wieczorem mam spotkanie z Mattem i Lizzie Blake'ami, w Bath - oświadczył Max wcześniej tego samego dnia. - Musisz przypilnować Kaye.

- Jasne. - Tilly wzruszyła ramionami. Cóż, znała gorsze sposoby, by spędzić wieczór. - Lou? Pójdiesz ze mną dla towarzystwa?

- Jeśli nie przeszkadza ci to, że wywalą mnie ze szkoły - skrzywiła się dziewczynka. - Dostałam dzisiaj karę za to, że nie uważałam na geografii, a teraz muszę napisać esej z francuskiego, plus historię i stos zadań z matmy. Rachunek różniczkowy. Paskudztwo! - Po chwili dodała z nadzieją: - Ale mogłabyś napisać list do mojej wychowawczynie, twierdząc, że nie mogłam odrobić tych wszystkich zadań, ponieważ musiałam wyjść z tobą.

Dlatego właśnie Tilly wylądowała zupełnie samotna przy stoliku w ogródku pubu Horseshoe Inn na przedmieściach Roxborough. No dobrze, nie całkiem sama, bo zabrała ze sobą Betty. Tyle że choć Betty była urocza, niestety nie umiała prowadzić błyskotliwej konwersacji.

Po drugiej stronie ogródka usadowili się Kaye i jej „prześladowca”, pogrążeni w rozmowie, zaśmiewający się do rozpuku i bawiący jak nigdy. Na dodatek kilkanaście pozostałych drewnianych stołów także zajmowali goście cieszący się ciepłym letnim wieczorem w malowniczym otoczeniu Cotswold. Wszyscy byli w doskonałych humorach. Ale oni przynajmniej nie utknęli tu z towarzyszką, która ostatnią godzinę spędziła na szukaniu w trawie resztek jedzenia.

Dziesięć minut później w drzwiach pubu pojawił się Jack i serce Tilly znów zabiło mocniej. Kiedy stał, badając wzrokiem sytuację, Betty porzuciła polowanie i podbiegła do swojego ulubieńca, witając go jak szalona fanka.

Właśnie. Nawet Betty była pod jego urokiem. Ale Tilly i tak cieszyła się, że przyszedł. Pewnie Max powiedział mu, że Tilly będzie tu siedzieć samotnie, i Jack przyjechał dotrzymać jej towarzystwa. Co oznaczało, że będzie mogła go wypytać i dowiedzieć się w końcu, co zaszło między nim i Amy. Bardzo chciała to wiedzieć.

Jack podszedł do stolika z Betty biegnącą koło jego stóp.

- Cześć! - uśmiechnęła się szeroko Tilly. - Pewnie Max do ciebie zadzwonił, co?

Jack skinął głową.

- Zadzwonił.

- Betty, zostaw Jacka w spokoju. Pozwól mu usiąść. - Tilly gorliwie przesunęła swoją szklanekę z sokiem pomarańczowym, puste opakowanie po chipsach i torebkę, aby zrobić miejsce.

- Nie zostanę. - Pokręcił głową. - Dzisiaj wieczorem do domu przy Farrow Road wprowadzają się nowi lokatorzy. Obiecałem, że spotkam się z nimi za pół godziny.

Co? Tilly osłoniła oczy przed zachodzącym słońcem wyglądającym zza pleców Jacka.

- To po co przyjechałeś?

Jack uniósł brew.

- Bo Max mnie poprosił. Nie ma sprawy, znam się na ludziach. Pięć minut wystarczy mi, by obejrzeć tego kolesia i powiedzieć, co myślę.

Cóż, nie dla niej więc przyjechał. I znów wyszła na idiotkę. Biorąc Betty na kolana, Tilly patrzyła, jak Jack zmierza w stronę Kaye i Parkera. Przywitał się z przyjaciółką pocałunkiem, uścisnął dłoń jej „prześladowcy” i przysiadł się do ich stolika.

- Muszę jechać. - Po czterech minutach wrócił do Tilly.

- Tylko jedna rzecz, zanim pójdziesz. - Wątpliwości doprowadzały Tilly do szaleństwa przez cały dzień. - Jest coś, czego zupełnie, ale to zupełnie nie rozumiem. Dlaczego Amy powiedziała wszystkim, że z tobą spała, skoro tak nie było?

Pokręcił głową, uśmiechnął się nieznacznie i odparł:

- Nie wiem.

Co oznaczało, że wiedział bardzo dobrze.

- A skoro to prawda, że z nią nie spałeś, to czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej, tylko pozwoliłeś mi myśleć, że jest inaczej?

- Posłuchaj mnie, proszę. - Jack zmierzył Tilly wzrokiem. - Pamiętasz, co powiedziałem ci kilka tygodni temu? Że nigdy nie rozmawiam o swoim życiu erotycznym. Nigdy nie rozmawiałem i nie mam zamiaru tego robić. Bo mam pewne zasady. - Oczy Jacka błyszczały.

- Gdybyśmy, ty i ja... Gdybyśmy byli razem, to byłabyś zadowolona, że opowiadam wszystkim dokoła o tym, co dzieje się między nami? Z najdrobniejszymi szczegółami? No powiedz, byłabyś?

Tilly zarumieniła się i potrząsnęła głową.

- Nie.

- Właśnie. Tak jak każda inna dziewczyna. Dlatego szanuję to i nic nie mówię. - Zamilkł na chwilę. - W ogóle nie powinienem ci dzisiaj rano mówić o Amy, ale ta sprawa z dzieckiem trochę wymknęła się spod kontroli. Masz więc swoją odpowiedź. Zadowolona?

Rzeczywiście, powiedział wszystko. Tilly co prawda nie wiedziała nic więcej niż chwilę wcześniej, ale była równie sfrustrowana. Odgoniła od siebie jakąś natrętą muchę i wymamrotała pod nosem:

- Tak.

- To dobrze. - Jack wyjął z kieszeni kluczyki do auta i zebrał się do wyjścia. Potem mrugnął i dodał: - Kto by pomyślał, że mam takie zasady moralne, prawda? Tylko powiedz, że nie jesteś pod wrażeniem.

Po tym, jak mnie upokorzyłeś? Nie ma mowy. Ignorując jego żart, Tilly spytała:

- Jaki werdykt w sprawie natręta?

- Wydaje się w porządku. Nie widziałem, żeby wył do księżycy. Za to Kaye chyba ma ochotę.

- Tylko troszkę.

- Dobra, muszę jechać. - Schylił się jeszcze, by pogłaskać Betty. Suczka od razu odwróciła się na plecy, piszcząc z radości i bezwstydnie machając łapami.

- No to cześć. - Tilly zrobiła dzielną minę. Człowiek wiedział, że wpakował się w kłopoty, kiedy nagle zaczynał pragnąć, by zamienić się na miejsca z psem.

Powiedzieć, że Kaye lubiła Parkera Price'a, byłoby znacznym niedopowiedzeniem. Była nim zauroczona. Kiedy się żegnali i wychodzili już po zamknięciu pubu, widać było, że pragnie, by ją pocałował. Pewnie tak by się stało, gdyby Tilly nie snuła się w pobliżu. Jednak przyzwoitka zostałaby wyrzucona z pracy, gdyby pozwoliła na takie rzeczy, dlatego też nie zniknęła dyskretnie za rogiem, tylko pozostała w bliskiej odległości.

Potem Parker odjechał taksówką do hotelu, a Tilly, Kaye i Betty przeszły krótką trasę do centrum Roxborough. Czy raczej Tilly i Betty szły, a Kaye płynęła w powietrzu kilka centymetrów nad chodnikiem. Kiedy próbowały sprowadzić ją na ziemię, nie przynosiło to żadnych rezultatów.

- Jest taki uroczy, prawda? Lubisz go, czyż nie? Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatnio tak swobodnie czułam się w obecności mężczyzny, jakbyśmy się znali od wielu lat...

- Przepraszam - przerwała jej Tilly oskarżycielskim tonem. - Czy ty właśnie podskoczyłaś?

- Słucham?

- Podskoczyłaś. No wiesz - wskazała palcem czerwone sandaalki Kaye. - O mój Boże, ty naprawdę to zrobiłaś! P o d s k o c z y ł a ś z r a d o ś c i .

Zamiast od razu udawać zawstydzoną i winną oraz wszystkiego się wyprzeć, Kaye uśmiechnęła się szeroko i odrzuciła włosy do tyłu.

- Nic na to nie poradzę. Po prostu Parker sprawia, że tak się czuję.

- Ale naprawdę musisz być rozsądna. - Tilly poczuła, że jej obowiązkiem jest to powiedzieć. W końcu była przyzwoitką.

- Wiem, wiem, przecież jestem! - Kaye radośnie podskoczyła raz jeszcze i obróciła się jak tancerka.

- Mogę cię o coś spytać?

- O Parkera? Oczywiście!

- Nie, o Jacka.

Kaye przestała wirować.

- Co powiedział o nim Jack?

- Nic. To znaczy powiedział, że Parker zdaje się w porządku.

- Wyobrażasz sobie, że Max wysłał kumpla, żeby ocenił Parkera?

- Chciałam zapytać o Jacka - spróbowała ponownie Tilly - ale to nie ma nic wspólnego z Parkerem. Posłuchaj, pamiętasz, jak opowiadałaś mi, co wydarzyło się po twoim i Maksa rozstaniu?

Kaye zmarszczyła nos.

- Pamiętam, a o co ci chodzi?

- Powiedziałaś, że spałaś z Jackiem.

- N-no tak.

- To była prawda?

- Słucham? - Kaye zdawała się nieobecna. - Prawda, że co?

- Że spałaś z Jackiem.

- Oczywiście, że spałam z Jackiem - powtórzyła z niedowierzaniem Kaye. - Czemu miałabym tak mówić, gdyby to była nieprawda?

No właśnie. A Tilly nie miała powodu, by nie wierzyć Kaye. Tyle że wierzyła również Jackowi. Odciągnęła Betty od leżącego na ulicy papierka po czekoladzie i czekała, aż Kaye zapyta, czemu tak interesuje się tą sprawą.

- Słuchaj, coś ci powiem. Parker przyjechał tu na tygodniowy urlop, ale ma sprawdzić, czy mógłby przedłużyć go jeszcze o tydzień. Czy to nie fantastyczne? - usłyszała zamiast oczekiwanego pytania.

Widać nie było Tilly dane zaspokoić swej ciekawości. Kaye wyraźnie miała dzisiaj ważniejsze sprawy na głowie. Dlatego Tilly tylko się uśmiechnęła i rzuciła:

- Świetnie.

Max wrócił już ze spotkania w Bath, smażył jajka na bekonie i smarował chleb. Pomachał na powitanie łopatką i odezwał się:

- Lou poszła już do łóżka. Jak było z natrętem?

- W porządku. Jutro znów się spotykają. Ale tym razem Kaye nie chce przyzwoitki. Twierdzi, że jest dużą dziewczynką, a ty nie jesteś jej ojcem i musisz pozwolić jej chodzić na randki z Parkerem bez towarzystwa.

- Jasne.

- Serio? - zdziwiła się Tilly. Nie przypuszczała, że Max tak łatwo odpuści.

Wzruszył tylko ramionami.

- Mogą razem wychodzić, byle nie zostawali w domu.

- Zawsze to jakiś początek. Kaye się ucieszy. - Podziwiając nagłą odmianę Maksa, spytała: - Jest dość bekonu dla mnie i dla Betty?

- Uhm. - Kiedy Max przewracał plastry wędliny na patelni, jego komórka leżąca na stole zaczęła dzwonić. - Sprawdź, kto dzwoni, dobrze?

Tilly zerknęła na wyświetlacz.

- To Kaye. Odebrać?

- Jasne. - Max wydawał się z trudem zwalczać uśmiech.

- Czy Max jest tam z tobą? Mój Boże, nie uwierzysz, co on zrobił! - krzyczała Kaye do słuchawki. - Powiedz, że jest kompletnym idiotą!

- Jesteś kompletnym idiotą - Zaraportowała posłusznie Tilly. - A co zrobił?

- Nic takiego, tylko zadzwonił do biura Parkera i przesłuchał każdego, kto tam pracuje! Tak mi wstyd! - jęczała Kaye. - Co oni sobie pomyślą? Do Parkera zadzwoniło już dwóch współpracowników, sekretarka i sprzątaczkę! Nigdy tego nie przeżyje, będą się z niego nabijać aż do śmierci.

- Dobrze już. - Max przejął słuchawkę i tłumaczył byłej żonie: - Słyszę, jak wrzeszczysz, ale pomyślałem sobie, że to dobre posunięcie. Mogłem przecież usłyszeć od tych ludzi: „Dziewczyny Parkera? Och, najdziwniejsze jest to, że po tygodniu czy dwóch one znikają z powierzchni ziemi... Aaa, tak, skoro pan o tym wspomniał, to rzeczywiście spod podłogi w jego mieszkaniu unosi się dziwny zapach”.

Nowojorski akcent Maksa był nie do pobicia. Ukrywając uśmiech, Tilly przejęła od niego smażenie bekonu. Teraz to ona słuchała z pewnej odległości piskliwego głosu oburzonej

Kaye.

- Nie - Max pozbył się już akcentu - jak się okazało, nikt czegoś takiego nie powiedział. Twierdzili, że Parker jest normalnym, miłym facetem, wszyscy go lubią, nie ma w aktach epizodu z szatkowaniem kobiet na kawałki... - Pauza, pisk Kaye. - Cóż, pomyślałem, że się ucieszysz, słysząc to. - Pauza, kolejny pisk. - Słuchaj, chciałem, żebyś była bezpieczna, i jestem pewien, że Parker to zrozumie. Nikt nie powiedział o nim niczego złego... Tak, tak, wiem, w przeciwieństwie do mnie. Jack też twierdzi, że facet jest w porządku. Teraz więc, skoro wszyscy to wiemy, z chęcią puszczę cię z nim jutro na spotkanie, samą. - Pauza, ostatni pisk. - Hm, jesteś czarująca.

- Co powiedziała? - Tilly pieczołowicie układała plastry chrupiącego bekonu na leżących obok kromkach chleba.

- Nazwała mnie bardzo, bardzo brzydko. - Max zrobił smutną minę, patrząc na Betty, której jedynym zmartwieniem w tej chwili było to, czy wystarczy dla niej jedzenia. - A potem się rozłączyła. Prawdopodobnie uratowałem jej życie, a ona tak się odwdzięcza.

Rozdział 51

Tilly czytała tekst z porządkiem uroczystości i czuła się winna, że nie bardzo ją przeżywa. Wydawało jej się nieuczciwe przychodzić na pogrzeb osoby, którą ledwie się znało i którą niezbyt się lubiło. A właściwie to za słabo powiedziane: prawie w ogóle nie znała Stelli i ani trochę jej nie lubiła. Ale Erin błagała przyjaciółkę, żeby przyszła, a Tilly nie miała serca odmówić. Przerazona, że frekwencja na uroczystości będzie znikoma, Erin męczyła wszystkich, którzy znali Stellę czy choć raz ją spotkali, aby przyszli, i mogła być pewna, że na mszy pojawi się wystarczająco dużo ludzi.

I dzięki Bogu - dla dobra Erin, jeśli już nie Stelli - przyszło ich bardzo wielu, ponad setka. Udało się uniknąć potencjalnej katastrofy. Tak zwane przyjaciółki, które nigdy nie odwiedziły chorej w szpitalu, przyszły również. Widać nie miały żadnego poczucia winy, a może Erin za mało naciskała, ale zupełnie zignorowały jej prośbę o unikanie czarnych strojów: czerń była po prostu zbyt elegancka, stylowa i wyszczuplająca, by stracić okazję do jej zaprezentowania.

Tilly, nieprzytomnie rozglądając się po kościele, zanim jeszcze zaczęła się msza, rozpoznała wśród przybyłych właścicieli sklepów, kilku jej sąsiadów i parę twarzy, które znała z Leniwego Lisa. Przyszli także pracownicy firmy Fergusa, włącznie z jego sekretarką Jeannie, chociaż - to akurat Tilly wiedziała - nigdy nie lubiły się ze Stellą.

Z tyłu kościoła siedziała natomiast wciąż szczupła, ale już w widocznej ciąży, Amy. Założyła dziś ciemne okulary (może zdawało się jej, że jest w Hollywood) i elegancką, zawijaną w pasie, czarną aksamitną sukienkę. Tilly wciąż nie mogła przestać rozmyślać o całej tej sprawie z Amy. Czy Jack mógł ją na przykład upić tamtego wieczoru? Rano obudziła się z wielkim bólem głowy i nic nie pamiętała, a Jack powiedział jej, że „to” zrobili, choć w istocie tak nie było? Czy może w jakiś sposób zahipnotyzował ją tak, by myślała, że przeżyli razem szalony seks?

Tilly przełknęła ślinę. O matko, teraz wyobrażała sobie szalony seks z Jackiem, co było co najmniej nieodpowiednie w trakcie pogrzebu... Przestań natychmiast, powtarzała sobie. Słyszając jej przeciągłe westchnienie, Max trącił Tilly i szeptem spytał:

- Wszystko dobrze?

Skinęła głową, czując suchość w ustach. Słońce wpadało do środka kościoła przez wychodzące na zachód witraże, tworząc tęczę kolorowych światełek na głowach zebranych.

Tilly zmusiła się, by powoli wypuścić powietrze, a potem poczuła, że wdycha kościelne aromaty kurzu, ogrzanego słońcem polerowanego drewna i staroangielskiego kamienia.

O wilku mowa - Jack właśnie wszedł do kościoła. Tilly bardzo starała się patrzeć w jego stronę zupełnie obojętnie. Ale mogła sobie darować, bo i tak wszyscy zebrani spoglądali właśnie na niego.

Witając się skinieniem głowy ze znajomymi (ale nie z Amy, jak zauważyła), podszedł bliżej ołtarza i usiadł koło Declana w ławce z prawej strony. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Sam widok Jacka wywołał w Tilly znajomą reakcję. Zastanawiała się, czy to się kiedyś skończy. Życie byłoby wtedy prostsze, naprawdę. Nic przyjemnego, kiedy czujesz coś podobnego wobec jakiegoś mężczyzny i nie możesz tego w żaden sposób zmienić. W porządku, oddychaj, powtarzała w myślach. Oddychaj. Oczywiście, że serce boli, ale czy na dłuższą metę nie jest bezpieczniej utrzymać dystans? Jest, z pewnością. Oddychaj. Teraz i tak bolało sto razy mniej, niż gdybyś z nim była.

Ale teraz to nieważne. Ksiądz przygotowywał się już do rozpoczęcia uroczystości. Jako ostatni do kościoła weszli Fergus i Erin, podążając powoli w stronę ołtarza, zupełnie odwrotnie niż w trakcie ślubu. O ironio, Fergus właśnie został wdowcem. A Erin, widząc trumnę Stelli, próbowała być dzielna, ale mocno zagryzała wargi. Kiedy usiedli razem w pierwszym rzędzie, duchowny odchrząknął i dał znać organiście, by przestał grać.

Nadszedł czas, aby pożegnać Stellę Welch.

Ponieważ pogrzeb zaczął się o trzeciej po południu, wiele osób przyszło potem do Lisa. Po uroczystości nikt nie miał ochoty śpieszyć się do pracy; łatwiej było zagłuszyć niemiłą świadomość ulotności ludzkiej egzystencji kilkoma drinkami. A dla wielu było szokiem, że ktoś, kogo znali, zmarł nagle, jeszcze przed czterdziestką. Rany, przecież czterdzieści lat to jeszcze nic! Nagle więc zdali sobie sprawę, że nie mogli już bezpiecznie zakładać, iż pewnego dnia przejdą na spokojną emeryturę. Do tego czasu jeszcze wszystko mogło się wydarzyć. Ta myśl wywoływała w człowieku uczucie nagłej paniki. Tilly, obserwując z boku, zauważyła, że samotne koleżanki Stelli wyraźnie zaczęły flirtować z wolnymi mężczyznami. Jakaś dziewczyna o egzotycznej urodzie, z długimi do pasa czarnymi włosami, rościła sobie wyłączne prawo do Jacka. Koledzy z agencji nieruchomości Fergus'a także zostali namierzeni. Nawet Declan, choć ciężko harował za barem, stał się nagle przedmiotem uwagi. Wszyscy pili jakoś więcej niż zazwyczaj. No bo czemu nie?

Kiedy jedna z kelnerek podeszła z otwartą butelką szampana, Tilly także podsunęła kieliszek do napełnienia. Mogła sobie na to pozwolić, gdyż Kaye zgodziła się dzisiaj odebrać Lou ze szkoły. Zobaczyła, że nieprzytomnie znów zerka w stronę Jacka.

- Hej, wszystko dobrze? Dam pensa za twoje myśli.

Tilly odwróciła się, uśmiechnęła do Fergus'a i postanowiła raczej nie mówić mu, co tak zaprzęta jej głowę.

- Myślałam tylko, że Stella byłaby teraz zadowolona.

- Na pewno. - Fergus pokiwał głową. - Wszystko to głównie dzięki Erin, której udało się zebrać tyle osób. Była nieoceniona.

- To prawda, że jest wspaniała. Dlatego jest moją najlepszą przyjaciółką. - Tilly z uczuciem spojrzała na Erin, która po drugiej stronie sali rozmawiała z korpulentną siwowłosą panią po sześćdziesiątce. - Szczęściarz z ciebie, że ją masz.

- Erin czuje się winna. Ja zresztą też. Koniec z walczącymi prawnikami i kosztownym, brudnym rozwodem. Możemy się teraz pobrać, kiedy tylko będziemy chcieli. A ja tego chce. Erin natomiast twierdzi, że nie możemy, bo niedobrze by to wyglądało. Nie chce nawet rozmawiać o ślubie i mówi, że ludzie zaczną nas nazywać Karolem i Camillą... O, dzień dobry, jak miło, że pan przyszedł.

Fergus'a zatrzymał jakiś mężczyzna, który prowadził komis z antykami niedaleko sklepu

Stelli. Tilly wymknęła się i poszła odnaleźć Erin.

- Cóż, jeśli Fergus nie zechce wprowadzać się na powrót do swojego domu, mam nadzieję, że uda się go sprzedać jakiejś miłej rodzinie. Nie chcemy żadnych wrzaskliwych nastolatków rozbijających się po ulicy na deskorolkach. - Śmiertelnie poważnym tonem mówiła jedna z sąsiadek Stelli. Tilly przypomniała sobie, że słyszała ten głos zza płotu, kiedy przyszła któregoś dnia nakarmić Binga. Erin tylko kiwała głową, zdenerwowana i wyraźnie uwięziona przez starszą panią.

- Powiem to Fergusowi, na pewno zrobi w tej sprawie, co będzie mógł.

- A co z kotem? Kto weźmie Binga?

Zakłopotana Erin próbowała odpowiedzieć:

- Hm... no cóż, pewnie będziemy musieli...

- Stella chciała, żeby znaleźli mu dobry dom - wtrąciła się Tilly. - To było jej ostatnie życzenie.

- Naprawdę? - Podbródek starszej pani zadrzał ze wzruszenia. - Pytam, bo jeśli nie macie jeszcze dla niego domu, mogłabym go wziąć do siebie.

Ponieważ Erin wyraźnie się wahała, Tilly odpowiedziała za nią:

- To cudownie, naprawdę fantastycznie! Prawda, Erin? Doskonałe rozwiązanie. Tego właśnie pragnęłaby Stella.

Kiedy sąsiadka odeszła, Tilly wyszeptała z triumfem:

- Widzisz? Załatwione.

Ale Erin martwiła się dalej.

- A co jeśli wcale nie tego chciała Stella? A jeśli próbowała powiedzieć mi, że to ja mam dać Bingowi dobry dom?

- Właśnie to zrobiłaś.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi!

- Z tego, co wiem, nie chcesz mieć kota. - A już na pewno nie Binga, który bezustannie zachowywał się co najmniej jak kot rodziny królewskiej.

- Wiem, ale jeśli tego właśnie pragnęła Stella, może powinnam spróbować...

- Nie. - Tilly stanowczo pokręciła głową. - Nie, nie, nie. Posłuchaj: i tak zrobiłaś dla Stelli bardzo dużo. Dziesięć razy więcej, niż było to konieczne. Zrobiłaś więcej, niż na to zasługiwała, i możesz już przestać. Pozwól komuś innemu zająć się Bingiem.

Powoli, jak rozwijający się liść, Erin opuściła ramiona.

- Dobrze, tak zrobię. Dzięki.

- Nie musisz czuć się winna.

- Wiem. Logicznie rzecz biorąc, wiem. - Erin uśmiechnęła się słabo i napiła wina. - Nic nie poradzę, że czuję inaczej. Ja wciąż tu jestem, a Stelli nie ma. To ja będę żyć życiem, którego ona pragnęła.

Poślubię kogoś, kogo kocham, urodzę dzieci, będę patrzeć, jak rosną i rodzą swoje dzieci, pozostanę żoną, dopóki śmierć nas nie rozłączy... Cóż, takie było bajkowe wyobrażenie milionów kobiet na całym świecie, ale jak często zdarzało się to w rzeczywistości? Nie było żadnej gwarancji. Wystarczy spojrzeć na Maksa i Kaye, na Jamiego Michaela i Tandy, no i choćby na Jacka i Rose.

Spojrzenie Tilly bezwiednie podażyło na drugą stronę pubu. Egzotyczna dziewczyna wciąż podrywała Jacka, odrzucając długie włosy niczym kucyk.

- Kim jest ta kobieta, która rozmawia z Jackiem?

- Stella należała do klubu fitness w Cheltenham. Pojechałam tam w środę wieczorem, żeby poinformować wszystkich o dzisiejszym pogrzebie. Ta dziewczyna chyba uczy jogi.

Hm, pewnie jest niezłe wygimnastykowana.

Wciąż przyglądając się rozmawiającym, Erin wtrąciła z rozbawieniem:

- Wygląda na to, że Jack ma już załatwioną rozrywkę na dzisiejszy wieczór.

Niewątpliwie miała rację. Tilly próbowała nie wyobrażać sobie akrobatycznych i z pozoru nieprawdopodobnych pozycji seksualnych, które zapewne wymyślała owa instruktorka jogi. Nagle jej uwagę przykuła rozmowa, która odbywała się z prawej strony, między krągłą blondynką w szmaragdowozielonej letniej sukience i chudą jak trzcina brunetką w czerni.

- ...rozumiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale Stella naprawdę potrafiła czasem być niemila - wyznała blondynka koleżance.

- Żartujesz sobie? To mało powiedziane. Ona przerażała mnie jak nikt inny - odparła druga. - Erin lekko trąciła Tilly, dając jej znać, że również słucha. - Stella powiedziała mi, że powinnam pozwać chirurga, który zafundował mi taki nos. - Brunetka potrząsnęła głową. - A kiedy powiedziałam, że nie miałam operacji, ona oznajmiła, że chyba najwyższy czas, bym ją sobie zrobiła!

- Ale kiedy próbowało się jej powiedzieć, że zachowuje się niewłaściwie, zawsze była tym zaskoczona - przytaknęła pulchna blondynka. - Stelli zawsze zdawało się, że jest po prostu szczerą. Była taka pewna siebie, prawda?

- Powiem ci coś jeszcze - zwierzała się brunetka. - Moimi włosami zawsze zajmuje się ciocia Jean. Strzyże je i farbuje w swojej kuchni. Ale kiedy Stella spytała mnie, do jakiego fryzjera chodzę, wiedziałam, że mnie wyśmieję, dlatego powiedziałam, że do Toni & Guy.

Tilly uśmiechnęła się do Erin. Czy Stella w istocie była aż tak onieśmiałą?

- Zgadnij w takim razie, co ja zrobiłam - licytowała dalej blondynka. - Stella chciała, żebym pojechała z nią w zeszłym roku do tego nowego spa w Cirencester. Ale możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Stella, ze swoją idealną figurą, w bikini, a ja w jednoczęściowym kostiumie, świecąca cellulitem. Stella wytykająca mi kolejne wałki tłuszczu i przekonująca, że koniecznie muszę coś z nimi zrobić. Brr, wielkie dzięki! Dlatego powiedziałam, że nie mogę jechać, bo muszę odwiedzić babcię w szpitalu w Dundee. Ale w końcu Stella nie pojechała do tego spa, a ja musiałam się ukrywać w domu przez cały weekend, bo nie mogłam ryzykować, że się spotkamy.

- Koszmar - przytaknęła koleżanka.

- Co ty powiesz? A jeszcze później Stella spytała mnie, jak się miewa moja babcia, a ja nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy skłamałam, że miała wylew czy zawał serca, dlatego udawałam, iż przydarzyło się jej i jedno, i drugie. Boże, wyobrażasz sobie? Kłamałam w żywe oczy. I mów tu, człowieku, o kuszeniu losu. Jak bym się czuła, gdyby babcia naprawdę miała wylew?

- Okropnie. - Brunetka ze zrozumieniem pokiwała głową. - Choć to było miłe ze strony Stelli, że w ogóle zapytała. - Dziewczyna przerwała i szybko zmieniła temat. - O, patrz, Declan przyniósł kolejną porcję tych przystawek z wędzonym łososiem. Zjedzmy coś, zanim wszystko zniknie.

Odeszły pośpiesznie. Tilly zmarszczyła czoło, bo nagle zdało jej się, że zapomniała o czymś bardzo, bardzo ważnym. Zastanawiała się długo, szukając w pamięci choćby drobnej wskazówki...

- Co się stało? - spytała Erin.

- Nie wiem. - Jakby nagle obudziła się i próbowała odtworzyć sen, który właśnie zniknął. Gdyby tylko udało się jej skoncentrować i zatrzymać go, zanim całkiem się rozplynie... już prawie go miała, już prawie...

I nagle zrozumiała. Znalazła coś, czego nareszcie mogła się chwycić. Może nie ostateczną odpowiedź na swoje pytanie, ale możliwe wytłumaczenie, tak dziwne, a jednak dość prawdopodobne, że mogło być... prawdziwe.

Mój Boże! Czyżby?

Erin patrzyła z niepokojem.

- Tilly? O co chodzi?

- Słuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. - W głowie Tilly zaczął rodzić się pewien plan. Rozejrzała się wśród zebranych żałobników: tak, była tu Deedee, była Kirsten, była też chuda ruda dziewczyna, kolejna z nich. - Kiedy coś powiem, nie zadawaj żadnych pytań, tylko zgadzaj się ze wszystkim, co mówię.

- Dlaczego?

- Bo mam pomysł.

- Ale o co chodzi?

- Poczekaj, to zobaczysz. - Tilly dla odwagi dokończyła drinka jednym haustem. - Ale jeśli to nie wypali, wyjdę na kompletną kretynkę.

- Dobra - zgodziła się Erin. - Tylko żebym nie musiała przypadkiem się rozbierać!

Rozdział 52

Nie musiały długo czekać. Po dwudziestu minutach Deedee i jej rudowłosa przyjaciółka razem wyszły do toalety.

- No to zaczynamy - wyszeptała Tilly, popychając Erin w tym samym kierunku. Specjalnie nie spojrzała na Jacka i Maksę stojących przy barze. Jeśli się myliła, wkrótce miała stać się pośmiewiskiem całego miasta.

Kiedy Tilly i Erin weszły do damskiej toalety, obie kabiny były zajęte. Tilly otworzyła torebkę, wyjęła kosmetyki do makijażu i powiedziała:

- Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Nie wiem, czemu skłamałam, ale teraz strasznie mi wstyd.

Cudowne w Erin było to, że tak doskonale знаła swoją przyjaciółkę: wystarczyło rzucić słowo i już wiedziała, o co chodzi.

- Teraz wreszcie powiesz mi prawdę? Dalej, słucham - odezwała się.

Tilly pohłasowała chwilę w kosmetyczce, w końcu wyjęła szminkę i otworzyła ją, a potem zamknęła.

- Wiesz, że w zeszłym tygodniu umówiłam się z Jackiem. - Mówiąc to, kręciła głową.

Uśmiechając się do lustra, Erin grała dalej.

- No tak.

- I wiesz, że był boski w łóżku.

Erin otworzyła usta z udawanym zdziwieniem.

- No tak.

- Cóż, kłamałam.

- Co? To znaczy, że nie był boski?

- Nie, nie, to znaczy, że w ogóle się nie kochaliśmy. Żadnego seksu. Przepraszam. - Robiąc zdziwioną minę, wyszeptała bezgłośnie: „Dlaczego?”.

- Nic nie rozumiem! - Erin, by uwiarygodnić oburzenie, podniosła głos. - Czemu miałabyś kłamać w takiej sprawie?

- Rany, naprawdę nie rozumiesz? Jack jest boski; umawia się z dziesiątkami dziewczyn i zawsze z nimi sypia. A my spotkaliśmy się i wieczór był bardzo miły, więc myślałam, że skończymy w łóżku - narzekła Tilly - ale nic z tego! Odwiózł mnie do domu, pocałował i życzył dobrej nocy! Nikt nigdy w życiu tak mnie nie upokorzył! Jestem jedyną kobietą, z którą nie chciał uprawiać seksu. To jakiś koszmar. Nie chciał mnie! - Pauza. - Widzisz więc, dlaczego kłamałam, po prostu było mi wstyd. Przepraszam.

Znowu zapadła cisza. Biedna Erin, wciąż nic nie rozumiejąc, szukała na twarzy Tilly

jakiejś wskazówki, by wiedzieć, co mówić i jak zareagować, ale przyjaciółka tylko potrząsnęła głową i przycisnęła palec do ust.

Czekaj.

Czekaj.

Boże, a jeśli właśnie popełniła największy w swoim życiu błąd?

Potem usłyszały dźwięk spuszczonej wody, drzwi pierwszej kabiny otworzyły się powoli i ukazała się w nich ruda dziewczyna. Chwilę później z kabiny obok wyłoniła się Deedee. Spojrzały zdezorientowane, najpierw na siebie, potem na Tilly. Ona zaś wstrzymała oddech.

- Dobra - rzuciła nagle Deedee - nie jesteś jedyną, której to się przytrafiło.

Ruda koleżanka przycisnęła dłoń do ust i wykrzyknęła z niedowierzaniem:

- Co? Mówisz poważnie? Ja właśnie chciałam powiedzieć to samo!

Taaak. Bingo! Spokojnie wypuszczając powietrze, Tilly złożyła dziękczynienie rozwiązującym język bąbelkom szampana.

Deedee i jej przyjaciółka patrzyły wciąż na siebie.

- Ty też?

- Ja też!! Myślałam, że jestem jedyna! Czułam się, jak kompletny paszczur... - Jednocześnie zaczęły się śmiać, a rudowłosa dziewczyna wykrzyknęła: - Ale przecież nie mogłam się przyznać, prawda?! Dlatego udawałam, że to się stało...

- A że wszystkie inne baby zawsze opowiadały, jaki to Jack jest wspaniały w łóżku, powiedziałam to samo. - Deedee pokręciła głową.

- Co oznacza, że nie będzie miał powodu, by nazwać cię kłamczuchą - zauważyła Tilly.

- Chwileczkę. - Rozbawiona Erin przyglądała się pozostałym. - Jesteście pewne, że wszystkie mówicie o tej samej osobie?

- Oczywiście, że tak. O Jacku Lucasie. - Oczy Deedee zrobiły się wielkie jak spodki. - Mój Boże, to niewiarygodne. Jest nas tu trzy i wszystkie przeżyłyśmy to samo!

- Cztery. Nie ty - wyjaśniła Tilly, kiedy Erin zrobiła zaskoczoną minę. - Jeszcze Amy. Ona też z nim nie spała.

- Wiesz co? Od razu czuję się dużo lepiej! - wykrzyknęła rudowłosa, kiedy otworzyły się drzwi i kolejna dziewczyna weszła do toalety. - Kirsten! Tylko posłuchaj! Wiesz, że spałyśmy z Jackiem, prawda? No to kłamałyśmy. Żadna z nas tego z nim nie robiła.

Ze spojrzenia grubo umalowanym tuszem błękitnych oczu Kirsten od razu wyczytały prawdę. Z mieszaniną ulgi i poczucia winy powiedziała:

- I dzięki Bogu! Bałam się, że to ze mną jest coś nie tak.

I wtedy zaczęły gadać wszystkie naraz. Piski i chichoty odbijały się od wykafelkowanych ścian. Erin spojrzała na Tilly i wyszeptwała:

- Skąd wiedziałaś?

- Nie wiedziałam, nie na sto procent. Ale byłam pewna, że Amy nie spała z Jackiem. - W lustrze wiszącym nad umywalką Tilly dostrzegła, że ma rumieńce. - A potem usłyszałyśmy te dwie dziewczyny rozmawiające o tym, jak zawstydzala je Stella i jak okłamywały ją w sprawie fryzjera oraz chorej babci. Wtedy nagle pomyślałam: a co, jeśli...

- I miałaś rację. Rany... - Erin pomyślała chwilę i zmieszana dokończyła: - Czy to oznacza, że Jack jest... gejem?

Powiedziała to cicho, ale widać nie dość. Kirsten odwróciła się na pięcie i zapiszczała:

- Oczywiście! Na pewno jest gejem. To wszystko wyjaśnia!

Deedee dodała z triumfem:

- Cóż, nic dziwnego, że tak dobrze dogaduje się z Maksem Dineenem.

Uff, sytuacja wymykała się spod kontroli. Tilly już wyobrażała sobie reakcję Jacka, kiedy usłyszy, kto niechcący „zdradził” jego orientację. Powiedziała więc pośpiesznie:

- On nie jest gejem. Spał na pewno z moją przyjaciółką.

Bezpieczniej było nie zdradzać, że ową przyjaciółką była Kaye, którą niestety intuicja w

tej kwestii już raz dość poważnie zawiodła. Ale przynajmniej problem, który męczył Tilly od tyłu tygodni, w końcu został rozwiązany. Dzięki temu, że kobietom trudno przyznać się do porażek, a jednocześnie są zdeterminowane do granic, Jack zdobył sobie reputację legendarnego uwodziciela i nie zrobił nic, by wyprowadzić zainteresowanych z błędu. Bo też niby czemu miałyby to robić? W końcu plotki, które owe kobiety rozpuszczały na temat jego łóżkowych umiejętności, były wyłącznie pełne zachwyków.

- Wróciłam. - Kaye podeszła do Maksa stojącego przy barze. - Zawiozłam Lou do domu i nakarmiłam ją. Obiecałam, że będziesz z powrotem za godzinę lub dwie.

- Dobra. A dokąd się wybierasz? - Max podniósł pytająco brew, dostrzegając, że Kaye przebrała się, spryskała perfumami i poprawiła makijaż.

- Parker jedzie tu właśnie taksówką. Ma mnie odebrać i zabrać na kolację w Hinton Grange.

- Może powinienem z wami jechać? Tak na wszelki wypadek.

- Max, nie ma potrzeby. W restauracji będę bezpieczna.

Myślał przez chwilę.

- W porządku, ale uważaj na siebie. Jeśli cokolwiek cię zaniepokoi, dzwoń. Albo wołaj pomocy. I cokolwiek się zdarzy, nie pozwól mu, by wynajął pokój.

Kaye posłusznie kiwała głową.

- Nie martw się, nie pozwolę.

- Mam nadzieję. - Max dopił brandy.

- A jeśli sama wynajmę? - Ha, cóż za mina! - Żartuję - dodała Kaye.

- Nie ma z czego żartować. „Hollywoodzka aktorka zadżgana przez szaleńca”. Ładne epitafium?

- Masz rację. Będę grzeczna. Żadnego wynajmowania pokoi i podejmowania ryzyka. Ale wiem, co mówię - naciskała Kaye. - Parker nie jest taki. To miły człowiek.

- Który cię wylicytował. - Metalowe oprawki okularów Maksa błyskały w świetle barowych lamp. - Mówię tylko, że nie jest to całkiem normalny sposób, by nawiązać z kimś relacje.

- Cicho. Już przyszedł. I znikamy.

- Cześć. - Parker, stojąc w drzwiach, pozdrowił Maksa, a Kaye podbiegła, by się przywitać.

- Bawcie się dobrze - powiedział Max i skinął głową na Kaye. - A potem prosto do domu.

- Tak, tato. - Przewróciła oczami była żona.

W taksówce Parker usadowił się wygodnie i zwrócił do kierowcy:

- Prosimy do Hinton Grange, to jest...

- Prosto do końca tej ulicy - przerwała Kaye - a potem w lewo.

Taksówkarz pojechał, jak kazała. Kiedy skręcili w lewo, ruszył w dół ulicy.

- Proszę się zatrzymać - powiedziała nagle Kaye. - Tutaj, przy skrzynce na listy.

Parker spojrział na nią zaskoczony.

- To twój domek, prawda? Zapomniałaś czegoś?

Och, był taki uroczy. Tak uroczy, że przestała się nawet denerwować, a robiła to przecież pierwszy raz.

- Nie. Podjęłam decyzję.

- To znaczy?

- Zdecydowałam, że nie jestem głodna. Nie chcę jechać do Hinton Grange.

- Nie chcesz? - wyglądał na zawiedzionego.

Pochyliła się i dotknęła jego policzka.

- Och, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie porzucam cię przecież. Ty też nie możesz jechać do Hinton Grange.

Taksówka odjechała, a Kaye zaprowadziła Parkera do swojego małego domku. Najpierw pokazała mu obraz, który dla niej kupił, a który zawiesiła na ścianie w salonie. Potem poszli razem na górę.

- Jesteś pewna? - Przyglądał się jej twarzy, gdy stanęła naprzeciwko.

- Wiesz co? - Kaye znaczyła każde słowo pocałunkiem. - Nigdy niczego w życiu nie byłam tak pewna.

Kaye leżała oparta o poduszki, wpatrując się w sufit. Pojedyncza łza ześlizgnęła się po jej policzku do ucha.

- O mój Boże, ty płaczesz!

- Przepraszam.

- Byłem aż tak kiepski?

Uśmiechnęła się lekko, bo tylko mężczyzna, który doskonale wiedział, że nie był kiepski, mógł zadać podobne pytanie.

- Myślę, że właśnie popełniłam największy błąd w swoim życiu.

Parker delikatnie wytarł jej łzy.

- Hej, nie płacz. Jak to, co zrobiliśmy, możesz nazywać pomyłką?

- Bo będziesz tu jeszcze tylko przez kilka dni. A potem wrócisz do Stanów. - Gdy patrzyła na Parkera, już ją ogarniał smutek. - Wiem, że pewnie nie powinnam tego mówić, ale nie mogę się powstrzymać.

- Wiesz co? - Przytulał ją i głaskał po twarzy. - Powiedzieć ci coś? Kocham cię.

Przyłgnęła do niego i rozplakała się na dobre.

- Ja też cię kocham.

Parker oparł czoło o głowę Kaye i powiedział bez emocji:

- Twój były mąż nie będzie tym zachwycony.

- Nie obchodzi mnie to. Nie mogę uwierzyć, że mi się to przytrafia. I jestem taka szczęśliwa. - Kaye zamknęła oczy, kiedy Parker znów zaczął ją całować. - Tak się cieszę, że licytowałeś na tej aukcji. Co by było, gdybyś tego nie zrobił?!

- Okej, teraz powiem ci coś jeszcze - odparł Parker. - Nie zrobiłem tego wcześniej, bo uciekłabyś z krzykiem. Ale teraz powiem ci wszystko. Czterdzieści pięć lat temu w Nowym Jorku mój ojciec kupował świąteczne prezenty. Był właśnie w domu towarowym Bloomingdale's, kiedy zobaczył pewną dziewczynę w czerwonym płaszczu. Rozmawiała i żartowała ze sprzedawczyniami w dziale kapeluszy, przymierzając różne modele przed lustrem. W tej właśnie chwili mój ojciec wiedział już, że tę dziewczynę chce poślubić. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

- O Boże, jaka piękna historia! Czy on po prostu podszedł do niej i...

- Cicho, nie, zastanawiał się, jak ma to zrobić, kiedy tajemnicza dziewczyna odwróciła się i wyszła. Oczywiście poszedł za nią przez cały sklep, a potem na Lexington Avenue, ale na ulicach był taki tłok, że szybko stracił ją z oczu. Zniknęła, rozplynęła się w zimowym powietrzu. Ojciec nie mógł w to uwierzyć. To była jego przyszła żona, a on znalazł ją i chwilę później stracił, w ciągu pięciu minut.

Kaye nie chciała już słuchać dalszego ciągu. Myślała, że usłyszy szczęśliwą historię miłosną, a tymczasem zmieniła się ona w opowieść o straconej szansie i niepowodzeniu.

- A więc nigdy jej już nie spotkał, tak? To...

- Czy możesz mi nie przerywać i pozwolisz opowiedzieć resztę? - Rozbawiony kobiecą niecierpliwością Parker mówił dalej: - Mój ojciec zrobił jedyną rzecz, która przyszła mu do głowy. Wrócił do działu z kapeluszami. Skoro dziewczyna tak swobodnie rozmawiała tam ze sprzedawczyniami, pomyślał, że pewnie jest stałą klientką i być może ma w sklepie otwarty rachunek. I być może uda mu się przekonać ekspedientki, by podały mu jej nazwisko. Ale okazało się, że nie jest stałą klientką i nie ma u nich rachunku. - Zrobił znaczącą pauzę. - Na

szczęście pracowała w tym samym sklepie, piętro wyżej, w dziale mody damskiej.

- Och! - Kaye z ulgą złapała się za serce. - Jednak podoba mi się ta historia!

- Tego popołudnia po prostu miała wolne. A mój ojciec nie zasnął tamtej nocy ani na chwilę. Rano wrócił do sklepu i przeszukał wszystkie stoiska, aż ją znalazł. Potem wszystko nieco się skomplikowało, ponieważ ona myślała, że tata chce kupić sukienkę dla swojej dziewczyny. Na szczęście w końcu przyznał się, dlaczego pojawił się w domu towarowym. Naturalnie, pomijając uwagę o miłości od pierwszego wejrzenia. Poprosił, by umówiła się z nim na kawę, a że był przystojny, przyjęła zaproszenie. Dowiedział się, że ma na imię Nancy. Mieszkała z rodziną na Brooklynie i miała dwadzieścia jeden lat.

Teraz dopiero Kaye zrozumiała, czemu Parker opowiada jej tę historię.

- Nancy to twoja mama.

- Zgadza się. Rodzice wciąż są razem i mimo upływu lat pozostali bardzo szczęśliwi. Ale ojciec zawsze mi powtarzał, że pewnego dnia i mnie przytrafi się taka historia, że zobaczę jakąś dziewczynę i będę wiedział. Miłość od pierwszego wejrzenia. - Odetchnął głęboko. - I wiesz co? Miał rację. Tak się stało. Zobaczyłem piękną kobietę i wiedziałem już, że tylko jej pragnę.

Łzy znowu załśniły w oczach Kaye. Ale tym razem to były łzy szczęścia. Aby się upewnić, spytała jeszcze:

- To byłem ja?

- Tak jest. Tyle że nie stałaś naprzeciwko mnie. Byłaś w telewizji. Co, delikatnie mówiąc, trochę komplikowało sprawę - zauważył, nieco ironicznie, Parker. - Miłość od pierwszego wejrzenia w prawdziwym świecie jest cudownie romantyczna. Ale jeśli zakochujesz się w gwiazdzie telewizji, czyni cię to zwykłym maniakiem.

- Michael Caine też tak miał. Zobaczył Shakirę w telewizji, odnalazł ją i od zawsze są małżeństwem.

- Cóż, może to dlatego, że nazywa się Michael Caine. Jeśli jesteś sławnym aktorem, różne rzeczy uchodzą ci na sucho. Nieco inaczej bywa, jeśli jesteś nieznanym nowojorskim architektem. - Parker uśmiechnął się. - Powiem ci tylko, że spotkanie w tak zwanym realu było lepsze, niż sądziłem. Jeśli do tej pory zdawało mi się, że cię kocham, teraz wiem to na pewno.

Czy to była jedna z tych najpiękniejszych chwil w życiu? Z pewnością.

- A ja, gdybym miała wybór między tobą a Michaelem Cainem, wybrałabym ciebie. Właściwie - poprawiła się Kaye - gdybym miała wybór między tobą a kimkolwiek innym, i tak wybrałabym ciebie. - Przysunęła się i pocałowała go w nos. - A historia twoich rodziców jest cudowna. Tyle że ja wciąż nie wiem, co z nami będzie. - Dodała z frustracją: - Parszywy Atlantyk.

Parker przytulił ją i pogładził po włosach.

- Hej, coś wymyślimy. Nie myśl o tym teraz.

Rozdział 53

- Przepraszam, ale czuję się po prostu paskudnie. Dla ciebie to żadna zabawa, co? - Erin przez ostatnią godzinę spędzoną w Lisie głównie kaszlała i kichała. Teraz pokręciła przepaszająco głową i dodała: - Może, damy sobie spokój na dzisiaj?

Tilly było żal przyjaciółki i samej siebie. Po tych wszystkich stresach ostatnich kilku tygodni Erin złapała jakiegoś wirusa i wyraźnie wolałaby spędzić wieczór w łóżku.

Naturalnie, pochorowała się nie z własnej winy; ale kiedy zaplanowały już babski wieczór i Tilly dostała wolny piątek, to szkoda jej było tak wcześnie wracać do domu. Lou spędzała weekend w domu Nesh, gdzie miały odbyć się czternaste urodziny przyjaciółki. Max pracował u siebie nad jakimś skomplikowanym projektem przebudowy hotelu. Kiedy Tilly wychodziła do Lisa, powiedziała, że wróci koło północy. Tymczasem była dopiero dziewiąta wieczorem. Nici z zabawy.

Zanim dotarła do Beech House, było „już” w pół do dziesiątej. Przedtem odprowadziła jeszcze Erin do domu, a potem ustawiła się w kolejce, by kupić frytki z sosem curry na wynos oraz dodatkową porcję dla Maksa i Betty, żeby nie podjadali jej frytek, czym doprowadzali ją do szału. Dookoła domu z zabójczą prędkością latały nietoperze, trzepocząc głośno skrzydłami. Tilly nigdy nie potrafiła przekonać siebie samej, że te małe ssaki są nieszkodliwe i dość inteligentne, by nie wplątać się w jej włosy. Dlatego wybiegła z samochodu i ruszyła szybko przez podjazd. Przyciskając do siebie torebkę z frytkami, otworzyła frontowe drzwi i... uff.

Oparty o ścianę rower zwałił się na podłogę, prawie podcinając Tilly. Potknęła się i zapiszczała, a potem przemknęły jej przez głowę trzy myśli.

Po pierwsze, co za głupek zostawia rower w takim miejscu?

Po drugie, kto przyjechałby tu na rowerze w sobotni wieczór o w pół do dziesiątej wieczorem?

Po trzecie... psiakość, chyba nie...

A potem drzwi na górze otworzyły się i u szczytu schodów pojawił się Max ubrany jedynie w szlafrok.

- Jezu, przepraszam. - Tilly wolałaby wyparować.

- Przynajmniej to ty, a nie ktoś inny. - Max spojrzał na nią z ulgą. - Mówiłaś „północ”.

- Erin jest chora. Naprawdę mi przykro... Już sobie idę...

Max pokręcił głową.

- W porządku, i tak już wychodził. Hm, zaraz zejdziemy.

Przerażona Tilly czekała w kuchni. Zgodnie z tym, co mówił Max, jakieś trzy minuty później pojawił się na dole, a za nim wyraźnie zawstydzony Tom Lewis.

- Hm, trochę to niezręczne. - Max od razu przeszedł do rzeczy. - Słuchaj, będę z tobą szczerzy. Spotkaliśmy się pierwszy raz. Myślałem, że nikt nam nie będzie przeszkadzał. Tom odchodzi z Harleston Hall po zakończeniu semestru. Od września przenosi się do szkoły w Dundee. Dla jego dobra mam nadzieję, że możemy cię prosić o zatrzymanie tego... wieczoru... w tajemnicy.

Tilly zarumieniła się. I tak nie chciała nikomu mówić.

- Oczywiście, będę milczeć. A już na pewno nie puszcę pary z ust w obecności Lou.

- Dzięki - odezwał się Tom. - No cóż, będę się zbierał. Nie odprowadzajcie mnie, sam trafię do wyjścia.

- Mam nadzieję, że z twoim rowerem wszystko okej. - Przez chwilę Tilly wahała się, kto rumieni się bardziej - on czy ona.

- Na pewno tak. - Uśmiechnął się lekko i wyszedł.

- Strasznie cię przepraszam - jęknęła Tilly, kiedy drzwi wejściowe zamknęły się za Tomem.

- Spokojnie, i tak już wychodził. Przyszedł dziesięć minut po tym, jak poszłaś na spotkanie z Erin.

A więc przynajmniej mieli dla siebie półtorej godziny, zanim wróciła i wszystko zepsuła.

- Nie mogę uwierzyć, że Tom jest gejem. Ale przecież Lou mówiła mi, że zerwał z Claudine. Właśnie dlatego? Dowiedziała się?

Max pokręcił głową.

- Claudine nigdy nie była dziewczyną Toma. Tylko koleżanką, mieszkali razem.

Pomagała mu, jeśli musiał być gdzieś z partnerką.

Nawet w dwudziestym pierwszym wieku presja społeczna była tak wielka, że ludzie musieli ukrywać swoją orientację. Tilly pomyślała o matkach uczniów i uczennic, które to matki bezowocnie próbowały uwodzić i flirtować z super przystojnym nauczycielem ich dzieci.

- Och, Max. A teraz on wyjeżdża do Szkocji. Naprawdę go lubisz?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie, że tak. Ale obaj wiemy, że nic z tego nie będzie. Biedna Lou, i tak już mocno to przeżywała, kiedy jej matka próbowała podrywać Toma, pamiętasz?

Max miał rację. Jako fajkę pokoju Tilly zaproponowała mu jedną z gorących torebek z frytkami.

- Masz, to dla ciebie i Betty. - Jeszcze coś wpadło jej do głowy. - Biedna Kaye... Tom naprawdę się jej podobał.

- Wiem. Jej także nie mówmy, dobrze?

- Pewnie tak będzie najlepiej. Każdy, kto się jej podoba, okazuje się grać dla drugiej strony. O matko... - Poderwana nagle jeszcze okropniejszą myślą Tilly wykrzyknęła: - Tylko nie mów mi, że Parker też jest gejem!

Max uśmiechnął się i zjadł frytkę.

- Nie martw się, niektórzy mają lepszy gejowski radar niż moja była żona. Parker z pewnością jest hetero.

W sobotę wieczorem to Tilly z kolei została w domu sama, tylko w towarzystwie Betty. Max pojechał pociągiem do Londynu, gdzie miał spotkać się z właścicielami hotelu West Kensington, którego przebudowę projektował. Obiecał, że wróci w niedzielę na lunch. Lou wciąż była u Nesh, a Kaye zabrała Parkera do Oksfordu - na zwiedzanie, zakupy i niezapomnianą noc w boskim apartamencie prezydenckim hotelu Randolph.

Cóż, podobno boskim. Bo Tilly nie miała tyle szczęścia, żeby zobaczyć takie miejsce na własne oczy. Ale i tak знаła gorsze sposoby spędzania sobotniego wieczoru niż siedzenie w domu na wygodnej kanapie, przed wielkim telewizorem i ze słodkim psiakiem na kolanach. Na zewnątrz lał deszcz, a podmuchy wiatru targały gałęziami buków. Za to w domu było ciepło i sucho, a w telewizji zaczynał się właśnie jeden z ulubionych filmów Tilly.

Nagle Betty, jak zwykle bez wyczucia czasu, wyciągnęła się, zeskoczyła z kolan Tilly i powędrowała do drzwi salonu. Odwróciła się i spojrzała znacząco.

- Dobrze, ale musisz się pośpieszyć. - Rozprostowując nogi, Tilly ruszyła, aby wypuścić suczkę. Problem z psami polegał na tym, że nie mogły pojąć, iż nikt nie lubi tracić pierwszych minut ulubionego filmu, podczas gdy one właśnie wałęsają się po ogrodzie, szukając najlepszego miejsca, by się załatwić. Kiedy Tilly otworzyła kuchenne drzwi, w twarz uderzyły ją krople deszczu. - Brr, ja tu zaczekam. Tylko pośpiesz się trochę, dobra? - Miała nadzieję, że przy takiej pogodzie suczka załatwi, co trzeba, i pędem wróci do środka.

Betty posłusznie prześlizgnęła się obok i powędrowała do ciemnego ogródka.

- Szybko jak błyskawica! - zawołała za nią Tilly.

Później Tilly zastanawiała się, czy tymi słowami nie skusiła losu. W jednej chwili słyszała tylko wiatr i deszcz. Sekundę później rozległo się piskliwe szczekanie i dźwięki wściekłego ujadania, a Betty ruszyła sprintem przez trawnik, goniona przez lisa. Krzyknąwszy z przerażeniem, Tilly zobaczyła tylko długi, puszysty rudą ogon, który s z y b k o j a k b ł y s k a w i c a gonił suczkę po trawniku, a potem zapędził ją w krzaki na drugim końcu ogrodu.

O Boże, Betty...

Tilly na bosaka pobiegła za zwierzętami, ale zniknęły jej już z pola widzenia - przebiegły przez niski murek i zniknęły w pobliskim lesie. Sapiąc i panikując, wykrzykiwała raz po raz

imię Betty. W poprzednim tygodniu wielki stary lis zakradł się tunelem do kurnika na farmie Bartonów i zagryzł szesnaście kurcząt. Biedna Esme Barton była niepokieszona. Lisy to w końcu paskudne stworzenia, które zabijają dla zabawy, a Betty była mała, trzykrotnie mniejsza od stworzenia, które przestraszyło ją prawie na śmierć, a potem zaczęło ścigać.

Czy lisy zagryzały także psy? Serce Tilly waliło jak oszalałe. Nie słyszała chyba o podobnym przypadku. Ale w końcu całe życie mieszkała w mieście, nie mogła wiedzieć takich rzeczy.

I musiało się to zdarzyć akurat wtedy, kiedy Max wyjechał! Wbiegła z powrotem do domu, włożyła kalosze i wyciągnęła z kuchennej szuflady latarkę. Nie działała. Przeszukując nerwowo dom, Tilly znalazła w końcu gameboya Lou, drżącymi palcami wyciągnęła z niego baterię i włożyła do latarki. Nie zamknęła tylnych drzwi na wypadek, gdyby Betty wróciła do domu, kiedy ona wyjdzie na jej poszukiwania. Boże, proszę, nie pozwól, by ten lis rozerwał ją na strzępy...

Dwadzieścia minut później Tilly wróciła do domu - kompletnie przemoczona i zachrypnięta od wykrzykiwania imienia Betty. Paliło ją w gardle, deszczówką zalewała kuchenną podłogę, a suczka wciąż nie wracała. Żarty się skończyły. Chora ze zdenerwowania i sapiąca Tilly wypila haustem szklanekę wody i sięgnęła po telefon. Bez wątpienia potrzebowała pomocy, ale do kogo mogła zadzwonić? Zrzućnować urodziny Nesh, zawiadamiając Lou? Skontaktować się z Maksem, który był setki kilometrów stąd? Kaye cieszącą się weekendem w hotelu Randolph? A może Erin, tyle że przyjaciółka leżała z grypą w łóżku.

Dobra, już wiedziała, co zrobić. Przewinęła listę numerów w telefonie, aż dotarła do jedyne go, pod który mogła zadzwonić. Erin może i była chora, ale Fergus nie. Na pewno przyjedzie i jej pomoże. Tyle że Betty nie znała Fergusa: jeśli biegała gdzieś przerażona albo schowała się, albo leżała ranna, to czy słysząc obcy głos wołający jej imię, wyczołga się i przyjdzie?

Raczej nie. Tilly nie mogła ryzykować. Ale był jeszcze ktoś, kogo Betty uwielbiała tak bardzo, że była gotowa czołgać się dla niego nawet przez ogień. Jak zresztą większość samotnych kobiet w Roxborough.

- Jack? - Głos Tilly aż drżał od emocji, kiedy Jack odebrał telefon. Deszcz kapał jej z nosa, aż musiała otrzeć krople trzęsącą się dłonią. - Przepraszam, że dzwonię, ale Betty zaginęła. Możesz mi pomóc?

Nie zapytała, czy przeszkadza w tym, co akurat robił o dziesiątej wieczorem w sobotni wieczór, a Jack nic nie powiedział. Nie tracił też czasu. Przyjechał w ciągu ośmiu minut po jej telefonie, z uwagą wysłuchał historii o Betty i lisie ścigającym ją po ogrodzie, a potem wyjął z auta dużo silniejszą latarkę niż marne światełko Tilly.

- Dobra, zaczniemy szukać w lasku, a potem się rozdzielimy. Masz komórkę?

Tilly przytaknęła i poklepała się po kieszeni kurtki.

- W porządku. - Jack podniósł kołnierz kurtki przeciwdeszczowej i rzucił: - Idziemy.

Był taki silny i opanowany. Gdy ktoś w desperacji akurat potrzebował pomocy, nikt nie radził sobie lepiej od niego.

Rozdział 54

Okolo północy Tilly zaczęła tracić nadzieję. Deszcz wciąż lał jak z cebra - nigdy w życiu

nie była tak przemoczona - a wiatr niczym wilk zawodził między drzewami. Po Betty ślad zaginął. Szukali jej i wołali bez przerwy dwie godziny, więc gdyby żyła, na pewno już by się pokazała.

Dobry Boże, ta myśl była nie do zniesienia. Lou tak bardzo by rozpaczała... jak oni wszyscy zresztą. Przedzierając się przez ciemność, Tilly próbowała nie wyobrazić sobie, jak mogła cierpieć Betty... ostre zęby wbijające się w jej kark, tryskająca krew, rozrywane ciało...

W kieszeni jej kurtki zadzwonił telefon. Obawiając się najgorszego, szarpała się nerwowo z klapką, zanim w końcu wyjęła komórkę. W myślach Tilly widziała już, jak Jack klęczy w deszczu nad nieruchomym małym ciałkiem Betty... Poczekala na kolejny sygnał, bojąc się, odwołując chwilę, kiedy usłyszy głos mówiący, że suczka nie żyje.

- Tak?

- Mam ją. Jest bezpieczna.

Słowa Jacka rozbrzmiewały jej w głowie. Przez chwilę nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Zaciskając szczękające zęby, Tilly spytała:

- Żyje?

- Żyje, kopie i jest strasznie ubłocona. - Jack chyba się uśmiechał. - Wracaj, spotkamy się w domu.

Tilly przebiegła całą drogę powrotną. Jack i Betty pojawili się dwie minuty później.

- Och, Betty, spójrz na siebie. - Wybuchając łzami, Tilly wyciągnęła ramiona, ale suczka, co było do przewidzenia, wołała zostać u Jacka. - Gdzieś ty się podziewała?

- Wpadła do króliczej nory i nie mogła się wydostać. Pewnie uciekała przed tym lisem, upadła i utknęła. Zawołałem ją po imieniu i usłyszałem ciche szczeknięcie - opowiadał Jack. - Trawa tłumiała wszystkie dźwięki. Potem musiałem się schylić, złapać ją za przednie łapki i ciągnąć. Jakbym pomagał krowie rodzić cielaka.

- Skarbie, co on wygaduje. - Tilly z czułością drapała suczkę za uszami. Betty od stóp do głów pokryta była błotem. - Musimy cię wykapać.

- Dzięki - skrzywił się Jack.

- Nie ciebie - sprostowała Tilly. - Ale dzięki Bogu, że przyjechałeś. Betty by zdechła, gdybyś jej nie znalazł. Ocaliłeś jej życie. W chwili gdy to powiedziała, uprzytomniła sobie znaczenie swoich słów. O ironio! Rose także ocaliła życie psa swoich rodziców, i przez to zginęła.

Jack nie skomentował tego, co powiedziała. Spojrzał tylko na Tilly i zaproponował:

- Pomogę ci.

W łazience na górze oskrobali suczkę z błota i namydlił ją, stojącą w wannie. Betty nie znosiła wody tryskającej z prysznicy, więc zabiegom towarzyszyły piski i próby ucieczki, ale po dwudziestu minutach była już czysta. Jack wytarł ją delikatnie grubym ręcznikiem i osuszył. Pies, wymęczony swoimi wybrykami, zasnął w ciągu minuty.

Zszedłszy na dół, Jack ułożył cicho chrapiącą Betty w jej koszyku. Patrząc na swoje odbicie w kuchennym oknie, Tilly podziwiała Jacka, który zupełnie przemoczony wciąż był przystojniakiem, podczas gdy ona wyglądała jak ofiara losu. Choć nie miało to oczywiście żadnego znaczenia. Etap strojenia się dla Jacka miała już za sobą.

- Cóż, jeszcze raz dzięki. - Teraz, kiedy dramatyzm już opadł, mogła mu podać kurtkę i czekać, aż wyjdzie. - Mam nadzieję, że nie zrujnowaliśmy ci wieczoru.

Jack wziął kurtkę od Tilly.

- To znaczy, że mam już iść, tak? Udowodniłem, że jestem niezbędny, a ty mnie wywalasz.

Tak. Choć uwierz, że to dla mnie trudne.

- Jest późno - powiedziała na głos. - Pewnie chcesz jechać do domu. - I pośpiesznie, zanim zdążyłby oznajmić, że wcale nie jest zmęczony, dodała: - Ja padam z nóg. - I dla pewności udała, że ziewa.

Spojrzenie, którym obdarzył ją Jack, mówiło wyraźnie, że Tilly jest kiepską aktorką.

- Tilly... - z niedowierzaniem pokręcił głową. - Czemu wciąż jesteś dla mnie taka niedobra?

O Boże...

- Nie jestem, po prostu chce mi się spać. - Podeszła do drzwi i otworzyła je. *Odejdź, proszę, odejdź.*

Jack zbliżył się, odwrócił i położył dłoń na karku Tilly. Schylił się, przyciągnął jej twarz do swojej i pocałował.

Pamiętała to uczucie. Dotyk jego ust, ciepłych i suchych, był jednocześnie najdoskonalszym i najbardziej bolesnym doświadczeniem jej życia. Nie potrafiła tego znieść - ciało pragnęło Jacka, ale rozum krzyczał, że nie powinna - nie może - go do siebie dopuścić. Całe życie podporządkowała temu, by nikt jej nie zranił. Obawa przed rozczarowaniem oznaczała zaś, że to Tilly musiała kontrolować każdy swój związek, i do tej pory jakoś się to udawało. Nie brała pod uwagę utraty tej kontroli, zwłaszcza gdy chodziło o mężczyznę, który mógł mieć każdą - a więc dlaczego ze wszystkich kobiet na świecie miałby wybrać akurat ją? Nawet teraz, choć serce waliło jej jak oszalałe, a adrenalina wprawiała ciało w drzenie, Tilly miała świadomość, że ulotne momenty szczęścia i tak zostaną unicestwione przez żal i rozczarowanie.

Dłoń Jacka przesunęła się z karku na tył głowy, a druga objęła ją w talii. Wyszeptał jej do ucha:

- Widzisz? Nie jestem wcale taki zły, prawda?

Tilly zamknęła oczy. Tak łatwo byłoby się zgodzić. Balansowała na cienkiej linii, przechylając się z jednej strony na drugą. Najmniejszy błąd i bezradnie spadnie na ziemię. A z takiego upadku łatwo się nie otrząśnie.

No dalej, myśl rozsądnie. Jeden wieczór, może kilka nocy, może nawet cały jeden tydzień spędzony z Jackiem. A potem miesiące, wręcz lata przeraźliwej tęsknoty i nieszczęścia. Bo właśnie tak skończyłaby się ta historia.

- Lepiej już idź.

Znów spojrzał w ten typowy dla siebie sposób - podniósł jedną brew i zasygnalizował, że wie lepiej.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - Tilly położyła dłoń na jego piersi i odsunęła się. Trudno jej było stać spokojnie.

- Dlaczego?

- Bo tego właśnie chcę.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Słuchaj, nic nie rozumiem. Nie podobało ci się, kiedy uważałaś, że spałem z setką kobiet. Teraz wiesz, że tak nie było. Myślałem, że się ucieszysz. - Z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Rany, naprawdę myślałem, że będziesz zadowolona.

Przełknęła ślinę. Oczywiście plotka, którą rozpuściła, prawie natychmiast rozniosła się po całym mieście i dotarła także do Jacka.

- Ale nie chodzi tylko o to, prawda?

Rzecz jasna, dobrze było upewnić się, że nie zaliczał po kolei wszystkich samotnych kobiet w Roxborough, ale w istocie nie to okazało się najważniejsze. Odpowiedziała więc:

- Chodzi też o zaufanie i oddanie. Wiem, że nigdy nie będę mogła ci zaufać, a ty wiesz, że masz problem z emocjonalnym zaangażowaniem. Oboje to wiemy. Po tym, co się stało z Rose, wcale cię nie winię. Ale jednocześnie nie chcę wplątywać się w związek z kimś, jeśli wiem, że to nie wyjdzie.

- A kto tak twierdzi? Może będzie dobrze. - Uśmiechnął się przekonująco, wyraźnie nie mając zamiaru przyjąć odmowy. - Naprawdę myślę, że by się nam udało. To, co czuję do

ciebie... To coś innego. Posłuchaj, nie umiem się pięknie wysławiać, ale czuję, że między nami jest coś wyjątkowego. I myślę, że ty też to czujesz.

Dokładnie takiej odpowiedzi spodziewać się można od mężczyzny, który zwykle nie słyszy słowa „nie”.

- Myślę, że chcesz, bym uwierzyła, że w to wierzysz. Ale i tak nic z tego nie będzie.

Sfrustrowany Jack rozłożył ręce.

- Co mogę zrobić, żeby cię przekonać?

Zrobiło się jej smutno. Pokręciła głową.

- Nic.

- Jeden wieczór. Jedna randka. Zgódź się, a udowodnię ci, że nie kłamię. Wybierz dzień - zaproponował Jack. - Jakikolwiek.

- Randka? Właściwie mogłabym powiedzieć; że... jutro wieczorem...

- Dobrze. Zgoda. - Przytaknął, a wciąż mokre włosy wpadły mu do oczu. - Jutro.

- ...ale tego nie powiem - ciągnęła Tilly - bo nie ma sensu, żebym się szykowała i czekała na to spotkanie, skoro ty zapewne i tak nie przyjdiesz.

Jack westchnął głośno.

- To się zdarzyło tylko raz. Nie wiedziałem przecież, że rodzice Rose nagle zapukają do moich drzwi, prawda?

Dobra, to był cios poniżej pasa. Tilly czuła, że jest niesprawiedliwa. Ale właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że nigdy nie pogodziłaby się z odrzuceniem, gdyby Jack jej nie chciał. To by złamało jej serce.

- W porządku, powiedzmy, że nie mam ochoty stać się kolejnym imieniem na twojej liście podbojów. Bez względu na to, czy z nimi spałeś, czy nie - dodała, bo w końcu seks nie był najważniejszy. Spał czy nie, i tak z nimi romansował.

- Nie stałabyś się.

- Teraz tak mówisz. Ale spójrz na swoją przeszłość.

- A więc nie wygram. - Oczy Jacka błyszczały, gdy mówił spokojnie: - To ciebie chcę, ale ty mi nie ufasz, bo jesteś przekonana, że nie potrafię zbudować normalnego, szczęśliwego, zaangażowanego związku. Dlatego mogę cię przekonać tylko w jeden sposób: budując normalny, szczęśliwy, zaangażowany związek z kimś innym.

Tak, wiedziała, że to ironia. Ale w jakimś dziwnym sensie była to także prawda.

- Pomogłoby, prawda? - nalegał Jack. - Wtedy bym cię zadowolił?

Tilly zaschło w ustach. Sama myśl sprawiała, że dostawała mdłości, ale cóż mogła odpowiedzieć?

- Dobrze, w takim razie to właśnie zrobię. - Rzuciwszy ostatnie zdanie, Jack ruszył do drzwi. Stał w nich z nieokreślonym wyrazem ciemnych oczu, czekając, aż Tilly zmieni zdanie.

Nie poddawaj się, nie poddawaj się. Cokolwiek zrobi, nie odzywaj się.

Ale przecież nie mogła tak milczeć.

- Jack? - Głos Tilly drżał.

- Tak?

Odchrząknęła i powiedziała:

- Dziękuję, że odnalazłeś Betty.

Spojrzał na nią, potem obrócił klamkę, wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 55

Kaye leżała w ramionach Parkera. Nie mogła zasnąć, tylko gapiała się na sufit w sypialni. Za cztery dni Parker miał wracać do domu, do Nowego Jorku, i trudno jej było znieść myśl o rozstaniu. W tak krótkim czasie stał się dla niej... stał się właściwie jej częścią. Od trzech lat Kaye była samotna. Teraz w końcu znalazła kogoś, kto sprawiał, że czuła się dowartościowana. Wszystko byłoby świetnie, gdyby nie to, że ów ktoś mieszkał na drugim kontynencie.

Czemu życie nie mogło być prostsze? Gdy mieszkała i pracowała w Los Angeles - czemu nie spotkała i nie zakochała się w jakimś aktorze? A kiedy wróciła do Anglii - czemu nie pojawił się ktoś interesujący, jak przystojny farmer albo umięśniony hydraulik?

Oczywiście, to byłoby zbyt proste. Zresztą żaden z nich nie zastąpiłby przecież Parkera. Kaye uśmiechnęła się i odwróciła głowę, by spojrzeć, jak ukochany śpi u jej boku, dzięki Bogu nie chrapie, tylko oddycha cicho i...

- Cholera, co to było? - Obudzony nagle Parker usiadł na łóżku, trzymając się za serce, kiedy sypialnię wypełnił zawodzący krzyk.

No pięknie, właśnie spotkała miłość swojego życia i prawie przyprawiła ją o atak serca.

- Już dobrze, spokojnie, to tylko mój telefon. Przepraszam. - Sięgnęła po komórkę leżącą na stoliku przy łóżku, podziwiając własną głupotę - po co pozwoliła nastoletniej córce zmienić sobie dzwonek? Poprosiła o jakąś spokojną melodię, a Lou wybrała przeraźliwie głośny wrzask jakiegoś trash metalowego wokalisty wydzierającego się „OOODBIERZ MNIEEEE”.

- Kaye?

- Kto mówi? - Kaye nie potrafiła zidentyfikować głosu.

- Kaye, skarbie, to ja, Macy!

Macy Ventura, jedna z gwiazd serialu *Over the Rainbow*. Kaye jęknęła i rzuciła się z powrotem na poduszki. Pięciokrotna mężatka Macy ani przez moment nie pomyślała o różnicy czasu, a dzwoniła zapewne po to, by opowiedzieć o swoich najnowszych przygodach miłosnych i nagłych zwrotach małżeńskiej akcji.

- Macy, tutaj jest pierwsza w nocy. Wszyscy śpią. - Przepraszająco pogładziła ramię Parkera.

Macy, która nie miała żadnych skrupułów, krzyknęła:

- Nieważne! Zgadnij, co trzymam teraz w ręce?

To nawet nie było śmieszne.

- Macy, po prostu powiedz.

- Och, skarbie, trzymaj się! - Teraz Kaye naprawdę miała nadzieję, że Macy zwraca się do niej. - Mam tu coś, co wywróci twój świat do góry nogami. Na pewno się ucieszysz. Powiedziałabym nawet, że...

- Powiedz, bo odłożę telefon - rozkazała Kaye.

- Dobrze, już mówię. Mam w dłoni taśmę, na której kamery przemysłowe nagrały, jak przejeżdżasz Owieczkę. To znaczy p r z y p a d k i e m przejeżdżasz.

- Co?

- Wszystko jest na filmie, jasne jak słońce. Jedziesz wolniutko podjazdem, pies pojawia się nagle jak spod ziemi, naciskasz z całej siły na hamulec, ale jest za późno - nie miałaś szans, by go ominąć.

- Wiem o tym. - Kaye podniosła się z bijącym sercem. - A jak ty zdobyłaś tę taśmę? Kamery przemysłowe podobno nie działały, kiedy zdarzył się wypadek.

- Tu właśnie się mylisz - z triumfem oświadczyła Macy. - Z kamerą wszystko było w

porządku. Charlene zobaczyła wypadek przez okno w sypialni. Pierwsze, co zrobiła, to kazała jednemu z ochroniarzy wyjąć taśmę i ją zniszczyć.

Kaye przymknęła oczy.

- Czemu miałby to robić?

- Hej, przecież chodzi o Charlene! Sypiała z nim oczywiście! No i groziła mu zwolnieniem, gdyby jej nie posłuchał. Facet wziął więc taśmę i powiedział, że wszystko załatwił.

- Charlene sypiała z ochroniarzem? Przecież wpadła w szal, bo uważała, że to ja flirtuję z Denzilem! - Kaye była potwornie oburzona tą oczywistą hipokryzją.

- Cóż, no tak. Czuła się zaniebawiana, bo Denzil przestał z nią sypiać. Była też przekonana, że skoro to zrobił, na pewno ma kochankę. I okazało się, że to prawda - opowiadała Macy. - Dlatego teraz Denzil rozwodzi się z Charlene, żeby poślubić swoją nową prawdziwą miłość. Charlene wyprowadziła się z ich domu, ochroniarz nie musiał martwić się, że wyleci, a ponieważ okazał się bardzo wierzący, dręczyło go sumienie. A więc przyznał się do wszystkiego nowej prawie żonie Denzila, która od razu wiedziała, co robić. Zadzwoń do Kaye McKenny i powiedz jej, że zostanie oczyszczona ze wszystkich zarzutów.

- Ale ona do mnie nie dzwoniła - zauważyła obojętnie Kaye. - Kiedy to wszystko się stało? Czy ona wie, jak mnie złapać? Możesz się upewnić, że ma mój numer?

- Rany, kochana, ty naprawdę jesteś nieprzytomna, co? Ona ma twój numer - wesolo zaświergotała Macy. - I właśnie do ciebie zadzwoniła. Właściwie to nawet z tobą rozmawia.

- Co proszę?

- Dobra robota, nareszcie załapałaś. Czy to nie cudowna wiadomość? Nową miłością Denzila jestem ja!

*

Tilly jedną ręką trzymała filiżankę z kawą, a drugą prasowała strój sportowy Lou. Była ósma rano, Kaye i Parker pojawili się w drzwiach pół godziny temu, a Kaye wciąż buzowała jak wstrząśnięty szampan.

- ...nic dziwnego, że Charlene miała paranoję i stała się taka drażliwa! Cały czas, kiedy zdawało się jej, że Denzil spotyka się ze mną, był z Macy.

- A więc jest zwykłym draniem, za którego musiałaś znosić ciężę. - Na Maksie nowiny nie zrobiły wielkiego wrażenia. - Gdybym go spotkał, dałbym mu w głowę.

- Tak, ale Denzil uwierzył Charlene, kiedy twierdziła, że specjalnie przejechałam Owieczkę. I teraz, kiedy poznał prawdę, czuje się winny. Rozmawialiśmy dziś rano i bardzo mnie przeproszał. Załatwił już sprostowania. Puszczą film z kamery przemysłowej w stacjach informacyjnych. Jestem niewinna i wszyscy się o tym dowiedzą. - Kaye, siedząca obok Lou, uściskała córkę. - Dopiero zaczną żałować, że byli dla mnie tacy paskudni!

- Możesz ich pozwać - zaproponowała dziewczynka - na grube miliony.

- Powiedz im, czego się dowiedziałaś od Denzila - wtrącił Parker.

- Denzil chce, żebym wróciła do serialu. - Kaye, promieniejąc z radości, podkradła Maksowi grzanekę. - Scenarzyści już nad tym pracują. Jednak okazało się, że nie utonę. Wszyscy będą myśleli, że zniknęłam pod wodą, ale okaże się, że w ostatniej chwili uratował mnie mój przyrodni brat, uznany za zaginionego, który jest księdzem! A Denzil obiecał mi jeszcze poczwórną podwyżkę! Ta historia zrobi świetną reklamę przed nowym sezonem. Możecie w to uwierzyć? Chcą mnie z powrotem!

Tilly wyłączyła żelazko i złożyła strój Lou, zerkając na Parkera. Starał się wyglądać na zadowolonego, ale widziała, że się martwi - Kaye była już gotowa wrócić do swojego dawnego hollywoodzkiego życia, a wtedy by ją stracił.

- Wiesz, ja uważam, że są beczelni, a ty powinnaś im powiedzieć, by się wypchali. - W

przeciwieństwie do Parkera Max nie ukrywał, co czuje. - Wystawili cię do wiatru! Nie wiem, dlaczego nie jesteś na nich wściekła.

Kaye uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Tak, ale to już przeszłość. Zresztą nie mogę winić Macy i Denzila. Jezu, wciąż nie potrafię uwierzyć, że oni są razem. Przecież ona miała pięciu mężów.

- Ale nie chodzi tylko o nich, prawda? - Max wzruszył ramionami. - Chodzi o całą tę hollywoodzką machinę piekielną. Rzucili się przecież na ciebie jak zgraja wilków. Jeśli wrócisz, to jakbyś im wybaczyła. Ja bym im powiedział, żeby spieprzali.

- Tato, wyrażaj się.

- Lou. - Max pokazał na zegarek. - Do szkoły.

- Dobra, dwie sprawy - zaczęła Kaye. - Po pierwsze, jestem aktorką. Pracuję właśnie w Hollywood i jeśli powiem im, żeby spieprzali, to jakbym strzeliła sobie samobójczą bramkę.

- Mamo! Musimy chyba zacząć nakładać kary za przeklinanie.

- A po drugie. - Kaye sięgnęła po dłoń Parkera. - Gdyby Ameryka mnie nie znienawidziła, to ten cudowny facet nigdy nie przysłałby mi kwiatów i czekoladek na poprawę humoru. Choć i tak nigdy do mnie nie dotarły... A gdybym nie przyjechała do Anglii, nie zostałabym nagrodą na aukcji, prawda? - mówiła z błyszczącymi oczami. - Właściwie gdybym nie przeżyła tych okropnych rzeczy, to Parker i ja nigdy byśmy się nie spotkali. Jak więc mogę być zła? Od lat nie czułam się równie szczęśliwa.

- Mamo, to takie słodkie. - Lou uściskała Kaye, a potem podbiegła do Parkera i jego także przytuliła. - I naprawdę nigdy nie myślałam, że jesteś szalony, przysięgam.

Wyraźnie wzruszony Parker odparł:

- Hm, dzięki.

- Ja myślałem. - Max dolał Parkerowi kawy. - Ale jestem gotów przyznać się, że byłem w błędzie.

- I co teraz będzie? - spytała zaciekawiona Lou. - Co się stanie z tobą i Parkerem, jeśli wrócisz do Hollywood? On też się tam przeprowadzi?

I stało się. Wyglądało na to, że Lou właśnie zwerbalizowała pytanie, które i Kaye, i Parker bali się zadać. Sięgając po kluczyki do auta, Tilly przerwała:

- Chodź, Lou. Bierz plecak, bo spóźnimy się do szkoły, a tego chyba nie chcesz.

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

- Właściwie to chcę. A to przecież wyjątkowa okazja, prawda? Ameryka przestanie nienawidzić mojej mamy. Jestem pewna, że wolno mi się trochę spóźnić. A więc, co zrobicie?

- Wlepiła oczy w Parkera i spytała go wprost: - Zostawisz swoją firmę w Nowym Jorku i przeniesiesz się do mamy?

Kaye przerwała pośpiesznie:

- Skarbie, trochę za wcześnie, by o tym mówić.

- Nie rozumiem dlaczego. - Lou zaczęła smarować kolejny tost. - Przed chwilą powiedziałaś, że od lat nie byłaś taka szczęśliwa. A Parker za tobą szaleje - to dość oczywiste. Przecież chcecie być razem, prawda?

- Cóż... musimy... hm, porozmawiać.

- Mamo, ty się czerwienisz! Słuchaj, skoro w końcu znalazłaś kogoś tak cudownego...

- Wielkie dzięki - wtrącił się Max.

- Och tato, przecież wiesz, o co mi chodzi. Cudownego i nie geja. - Lou zwróciła się do Kaye. - Skoro go znalazłaś, to musisz zdecydować, jak zorganizujesz swoją przyszłość.

Tilly poczuła ukłucie zazdrości. W świecie Lou wszystko było takie proste - skoro zaistniał problem, trzeba było go rozwiązać. Kaye także miała łatwiej, bo zakochała się w mężczyźnie odwzajemniającym jej uczucia i mimo niezbyt obiecującego początku widać było, że kiedy tylko dogadają kilka kwestii, będą razem szczęśliwi.

- Skarbie, daj nam trochę czasu. Jest tyle rzeczy do omówienia. - Kaye wciąż się

rumieniła.

Jeśli chodziło o upór, Lou nie ustępowała nawet arabskiemu sprzedawcy dywanów.

- Ale nie możecie być normalną parą, jeśli zamierzacie mieszkać tysiące kilometrów od siebie.

- Szkoła - zaanonsowała Tilly, delikatnie zrzucając Lou z krzesła. Parker wprawdzie nie wtrącał się do rozmowy, ale z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że nie bardzo podoba mu się pomysł opuszczania Nowego Jorku.

Następnych kilka dni minęło w zupełnym obłędzie. Film z kamery przemysłowej puszczano we wszystkich amerykańskich stacjach. Ameryka na nowo pokochała Kaye McKennę, a Charlene Weintraub w mgnieniu oka zmieniła się w wiedźmę i schroniła w ośrodku odwykowym.

Kaye nie miała chwili spokoju. Dziennikarze i fotografowie spadli na Roxborough jak plaga, a telefon nie przestawał dzwonić. Wywiady i sesje zdjęciowe zajmowały całe godziny. Świetnie, że ją zrehabilitowano, ale sama Kaye chciała już tylko być z Parkerem, którego urlop kończył się boleśnie szybko. Wieczorem drugiego dnia Kaye wyłączyła komórkę i ukryli się razem w hotelowym pokoju.

- Denzil zaczyna naciskać. Bardzo chce, żebym podpisała nowy kontrakt. I znów podbił ofertę.

Parker gładził ją po włosach.

- To chyba dobrze, prawda? Tego właśnie chciałaś.

- Wiem. - Kaye kiwnęła głową, ale bez przekonania. Bardziej pragnęła Parkera. W końcu zebrała się na odwagę, by zadać pytanie, które dusiła w sobie co najmniej od czterdziestu ośmiu godzin. Wzięła głęboki oddech.

- Przeprowadzisz się do Los Angeles?

I już, zrobiła to.

- Posłuchaj mnie. - Parker, który mimo całego szaleństwa okazał się cudownie cierpliwy, spojrzał na Kaye w sposób, którego się obawiała. - Kocham cię. Jesteś dla mnie całym światem. Ale nie potrafię tak po prostu porzucić swojej firmy. To nie byłoby w porządku wobec zespołu i klientów. Nie mogę ich zawieść. A już na pewno nie mógłbym zamieszkać z tobą i nie pracować. Nie chcę być pasożytem, bo ludzie pomyślą, że jestem... nic niewart.

W gardle Kaye rosła wielka gęź. Miał całkowitą rację, nikt lepiej niż ona nie wiedział, jak hollywoodzka machina może zniszczyć życie.

- Przepraszam. - Przytulił ją Parker. - I dziękuję, że zapytałaś. Ale to chyba moja męska duma. Stworzyłem dobrze prosperujący biznes i jestem z niego dumny. Ale przecież i tak możemy się spotykać, prawda? Jakoś to zorganizujemy. Z Nowego Jorku do Los Angeles jest tylko sześć godzin lotu.

W jego ustach wszystko brzmiało rozsądnie, ale „sześć godzin” bywało wyłącznie teorią. Dojazd na lotnisko i z lotniska, kolejki przy bramkach i najróżniejsze przeszkody, które zwykle pojawiały się jak plagi egipskie - i z sześciu robiło się zwykle dziesięć godzin. Kaye wyjrzała przez okno na angielskie wzgórza, pomarańczowofioletowe niebo i powoli zachodzące słońce. Na dodatek nigdy specjalnie nie lubiła latać samolotami. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę absorbującą pracę Parkera i jej szalony filmowy rozkład tygodnia, to ile czasu zostanie im na cieszenie się sobą?

Na pewno nie dość, by zbudować prawdziwy związek - to było pewne.

Rozdział 56

- Skarbie, posłuchaj. Muszę wiedzieć, co o tym myślisz, i chcę, byś była całkowicie szczerą.

- Ależ mam, czemu się tak martwisz? - Energicznie kręcąc głową, Lou z uczuciem dodała: - Wszystko w porządku. Odzyskałaś pracę - to super. Przy takiej kasie byłabyś wariatką, odrzucając ich propozycję.

Kaye miała okropne wyrzuty sumienia.

- Wiem, wiem. Po prostu tak dobrze było wrócić tutaj i widzieć cię każdego dnia.

- Ale przecież będę do ciebie przyjeżdżać na święta. - W przeciwieństwie do matki córka uwielbiała latać. - Jeśli wrócisz do Stanów, cały czas będziemy w kontakcie, prawda? Tak jak do tej pory. Mam, mnie jest tu dobrze z Tilly i tatą. - Nagle zarumieniła się i dodała: - I chyba będę miała, hm, chłopaka, więc i tak nie chciałabym wyjeżdżać.

- Kochanie, naprawdę? - Przytulając Lou, Kaye poczuła przypływ wzruszenia. - Cudownie! To jakiś miły chłopiec?

- Nie, jest strasznie wredny. - Lou uśmiechnęła się i przewróciła oczami. - To Cormac.

- Ach, on jest z tobą w klasie. - Ledwie przypominając sobie twarz, Kaye spytała: - Jasne włosy, wysportowany?

- Jest kapitanem drużyny futbolowej. - Lou pękała z dumy. - I tak naprawdę jest miły. Chociaż to nie tak, że już ze sobą chodzimy. Tylko piszemy dużo SMS-ów i jemy razem lunch. Ale dzięki temu szkoła jest fajniejsza. Więc przestań panikować, czy mam coś przeciwko twojemu powrotowi do Stanów, bo przysięgam, że nie. Bardziej martwię się, jak ty i Parker poukładacie swoje sprawy.

- Ja też - przyznała z rozgoryczeniem Kaye.

- Naprawdę go lubię, mam.

- Ja też.

- Więc musisz go przekonać, żeby zmienił zdanie i zgodził się przeprowadzić.

Cóż w życiu zrobiła, że zasłużyła na tak mądrą córkę? Kaye pogłaskała Lou po buzi i powiedziała:

- Wiem, kochanie. Muszę jeszcze nad tym popracować.

Zebrało się ich siedmioro w bawialni w Beech House. Ośmioro, jeśli liczyć Betty. Bliskość Jacka sprawiała, że Tilly wciąż była zdenerwowana. A gdy zjadały ją nerwy, zaczynała podjadać. Siedząc przy wysokich oknach wyglądała na ogród i łamała kolejny paluszek chlebowy na cztery części. Pierwszą zanurzyła w miseczce z guacamole stojącej na stoliku. Łatwiej było skupić uwagę na różnych sosach, niż patrzeć na Jacka. Dlatego próbowała po kolei. Serowy, salsa, majonez...

- Faj, śmierdzisz czosnkiem. - Lou podniosła rękę w obronnym geście.

No tak, majonez okazał się czosnkowy. Wiesz, że przekroczyłeś dawkę czosnku, kiedy już nie rozpoznajesz jego smaku...

- Pyszne są. - Tilly wskazała chlebowe paluszki leżące na tacy z sosami. - Spróbuj.

- Nie, wielkie dzięki. Jutro idę do szkoły. Wolałabym nie odstraszyć Cormaca tym smrodkiem.

- O, idzie Erin. Ona nie boi się odrobiny czosnku.

- Hm, nie takiej odrobiny - odezwała się przyjaciółka, kręcąc nosem.

- A tam, kogo to obchodzi? - spytała Tilly, wyciągające ręce po Betty. - Chodź tu, skarbie, ty wciąż mnie kochasz, prawda? - Jednak Betty, zamiast wskoczyć jej na kolana, zamruwała z

przerażeniem i zaczęła się cofać.

- Jakbym była trędowata. - Tilly zaczęła żałować, że jako jedyna jadła sosy; ale co tam - i tak nie miała żadnego życia miłosnego, które mogłoby na tym ucierpieć. - A zresztą... Jak tam idzie sprzedaż domu?

- Całkiem nieźle. Dzisiaj po południu Fergus ma go pokazać kolejnym dwóm parom. - Skrzywiła się nieco. Nie bardzo miała ochotę poruszać ten temat. Gdy Fergus i Stella się rozeszli, Fergus wynajął mieszkanie. Ale teraz ich wspólny dom należał tylko do niego. Za jakiś rok czy dwa, kiedy uznają, że mogą się pobrać, mieli zamiar kupić coś własnego w Roxborough.

- Dobrze, zaczynajmy. Powiem kilka słów. - Kaye klasnęła w ręce, aby zwrócić uwagę obecnych.

- Tylko kilka? A to nowość - zakpił Max.

- Jak wszyscy wiecie, Parker i ja jutro wyjeżdżamy. - Wyciągnęła dłoń, prosząc, by Parker podszedł i stanął obok. - I będę bardzo za wami tęsknić. Hm, za niektórymi trochę mniej. - Spojrzała znacząco na Maksa, uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko. - Chciałam wam powiedzieć, że podjęłam decyzję. Nie podpiszę nowego kontraktu na kręcenie serialu. Nie wracam nawet do Los Angeles. A to dlatego, że wolę pojechać do Nowego Jorku. - Obejrzała się i dostrzegła wyraz absolutnego zdziwienia na twarzy Parkera. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że coś takiego usłyszy. - Oczywiście, jeśli ten pan nie ma nic przeciw temu. - Parker nie mógł wydusić słowa, jedynie bezradnie pokręcił głową. - Ale ostrzegam cię - zwróciła się do niego Kaye - wolałabym teraz nie usłyszeć, że w domu czeka na ciebie żona.

- Albo mąż. - Max nie mógł się nie wtrącić.

Parker ścisnął kurczowo dłoń Kaye.

- Jesteś pewna? Serio?

- Proszę cię! Co jest ważniejsze? Praca w jakiejś głupiej, pustej, podobno modnej operze mydlanej? Czy bycie z kimś, kto jest dla ciebie całym światem? - W oczach Kaye zalśniły łzy. - Mam zresztą nadzieję, że otrzymam jakąś propozycję pracy w Nowym Jorku. Może dla odmiany w teatrze. Ale kto wie? Tak czy owak, jestem szczęśliwa, że spotkałam tak cudownego faceta. I nie żałuję jego utraty.

Ku swojemu absolutnemu przerażeniu Tilly zdała sobie sprawę, że także jest bliska łez. Pośpiesznie uszczypnęła się w zarumienione policzki i wepchnęła sobie do ust kolejny obłany majonezem paluszek - na szczęście nie dało się jednocześnie jeść i płakać. Kaye i Parker przytulali się, a ich radość udzieliła się wszystkim. Oczywiście, że Kaye postępowała właściwie. Szczęśliwy związek jest sto razy ważniejszy niż najbardziej oszałamiająca kariera.

Czując, że ktoś ją obserwuje, Tilly podniosła wzrok i zobaczyła wpatrującego się w nią Jacka. Boże, chyba to вина hormonów - nie wiedziała, czy ma się rozplakać, czy zająć się przełykaniem jedzenia. Ze zdenerwowania prawie upuściła przekąskę na dywan. Chcąc odetchnąć, zaczęła się krztusić i pluć, dopóki Erin nie walnęła jej porządnie w plecy.

Co i tak nigdy nie pomagało.

- W porządku?

Tilly skinęła głową, kaszlnęła, przełknęła resztki jedzenia i otarła załzawione oczy.

- Czyż ta historia nie jest romantyczna?

- Tak. - O Boże, teraz zbliżali się do niej także Jack i Max. Chwyając się za gardło, Tilly wychrypiała: - Okruszki... tchawica... - i mijając ich, wybiegła z pokoju.

Na górze, w chłodnej marmurowej łazience wypłukała buzię i chusteczką starła rozmazany tusz spod oczu. Nie chcąc jeszcze schodzić na dół, podniosła z podłogi magazyny zostawione tam po porannej kąpieli przez Lou. Na okładce magazynu „Hi!” wielkimi literami napisano: *SUPERNEWS! Złamał mi serce, ale mu wybaczyłam* - a powyżej zamieszczono pozowane zdjęcie Tandy i Jamiego. Jaskraworóżowe usta Tandy były wygięte w smutnym, ale „pełnym nadziei” uśmiechu, za to przystojny Jamie wyglądał na skruszonego, w koszulce w

kolorze dopasowanym do szminki dziewczyny.

Tilly już wcześniej czytała wywiad zamieszczony w środku - kiedy przewracała błyszczące strony, wahała się między współczuciem dla Tandy a ochotą, by wbić jej trochę rozumu do głowy. Zostając z Jamiem, zdecydowała się na ból i upokorzenie. A on - wiedząc, że kolejne zdrady ujdą mu płazem - z pewnością zrobi to jeszcze nieraz. Przygnębiona Tilly wygładziła wymiętą okładkę i ułożyła stos gazet na parapecie.

Otworzyła drzwi do łazienki i stanęła twarzą w twarz z Jackiem. Rany, czy los sprzyścił się przeciwko niej?

- Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Przyjrzał się jej uważnie. - Jak się czujesz?

Psiakość, czemu nie przyszło jej do głowy, żeby umyć zęby? Co teraz robić? Oszołomić go czosnkowym oddechem czy w ogóle nie otwierać ust i tylko kiwać głową? Tilly przytaknęła.

- Na pewno? - spojrzał pytająco.

Wstrzymała oddech i znów skinęła głową.

- Uhm.

- Słuchaj, czy... Zmieniłaś już o mnie zdanie?

Tilly z całej siły zaciskała zęby, by powstrzymać śmiertelne opary przed atakiem na Jacka. Pokręciła więc tylko głową.

- Dobra, posłuchaj - rzekł już bardziej stanowczo. - Kłopot z tobą polega na tym, że zdaje ci się, iż wiesz wszystko najlepiej. Ale tym razem, wyjątkowo, wiem, że się mylisz. I uwierz, że nie w moim stylu jest uganianie się za dziewczyną, która mnie nie chce, ale nie poddałem się dotąd, bo naprawdę jestem przekonany, że mam rację. Dlatego zastanów się, serio, co mam zrobić, żebyś i ty to zrozumiała? - Jack rozłożył ręce. - Tylko powiedz, a ja to zrobię.

Och nie, nie może znowu się rozplakać. Tilly przewróciła oczami, próbując zawrócić łzy tam, skąd przyszły. Jakimś cudem - zadziało. Pamiętała nawet, by nie otwierać ust. Dopiero kiedy odeszła dość daleko i znalazła się na schodach, odważyła się powiedzieć:

- Nic nie rób, Jack.

Bolało. Bolało prawie namacalnie, bardziej, niż potrafiła sobie wyobrazić. I nie mogła już znieść tej presji.

Skoro Jack mógł mieć fobię przed związkami, ona też mogła.

- Gdzie Jack? - spytała Erin dwadzieścia minut później.

- Musiał jechać, miał spotkanie z lokatorem czy coś takiego. - Max wzruszył ramionami i napełnił kieliszki. Gdzieś w pokoju zapikał telefon. - Ale widziałaś, że miał dzisiaj paskudny humor. Nie wiem, co go ugryzło. Pewnie problem z kobietą. - Nagle coś przyszło Maksowi do głowy. - A może to ma coś wspólnego z tą ładną lekarką, która wprowadziła się na Falcon Road? Widzieliście, jak się wozi swoim białym MG, prawda? Długie blond włosy, nogi jak modelka.

Żołądek Tilly fiknął koziołka. Czy to do niej pojechał? Czy ci dwoje mają...

- O nieee... - Siedząca obok Lou z przerażeniem patrzyła w ekran swojej komórki. - Nie wierzę!

- Co się stało, wiadomość od Cormaca? - Max próbował zajrzeć córce przez ramię, ale Lou uciekła ze sprawnością godną trzynastolatki. - Rzucił cię?

- Przestań, tato. Nie rzucił. Chodzi o pana Lewisa. Właśnie poinformował wszystkich, że odchodzi po tym semestrze!

- Kto to jest pan Lewis? - spytała Erin.

- Uczy francuskiego i WF-u. Wszyscy go lubią, naprawdę. - Lou, która dostała zgodę, by nie pójść po południu do szkoły z powodu pożegnania Kaye, przewijała teraz nerwowo wiadomość od Cormaca. - Dostał pracę w jakiejś szkole w Szkocji. Rany, ale beznadzieja, on jest taki fajny. Dopiero co zerwał z dziewczyną. Może dlatego zdecydował się wyjechać,

zacząć wszystko od nowa? Mamo! - Lou zawołała do Kaye i Parkera. - Nigdy nie zgadniesz! Pan Lewis wyjeżdża! Przeprowadza się do Dundee! Podobał ci się, pamiętasz? - Zrobiła zabawną minę. - Chociaż nie jestem pewna, czy jesteś w jego typie.

- Cóż, on chyba nie jest w moim - odparła Kaye. - Wygląda na nieco przetrenowanego. - Kaye, która nigdy nie złapała krążącego po Los Angeles wirusa fitnessu, złączyła dłonie z Parkerem. Promieniejąc, dodała: - Zresztą teraz mam kogoś innego. A on jest zdecydowanie w moim typie.

Rozdział 57

- Dobra, wracamy do roboty. - Max dopił kawę, wstał i zebrał dokumenty leżące przed nim na stole. - Mam spotkanie z Petersonami w Malmesbury, a potem jadę do Bristolu. Musisz złapać w końcu tych przeklętych elektryków i powiedzieć im, że w mieszkaniu przy Orwell Street miały być błyszczące chromowane gniazdko, a nie matowe! Trzeba też odebrać zasłony. - Przechylił głowę na bok i popatrzył spod stalowych oprawek. - Mogę ci coś powiedzieć? Wyglądasz fatalnie.

- Rany, wielkie dzięki. - Tilly zmusiła się do uśmiechu. *Powiedz mi coś, czego nie wiem.*

- I wciąż śmierdzisz czosnkiem.

To też wiedziała. Co prawda, myła zęby dwa razy poprzedniego wieczoru i już trzy razy dzisiaj rano, ale nic to nie dało - bolały ją tylko dziąsła, a czosnkowa zgaga nabrała miętowego posmaku. Równie dobrze mogła doszyć różową koronkę do kombinezonu przeciwichemicznego.

- Wiesz co? - spytał Max. - Może wystarczy, jak chuchniesz na tych elektryków. Na pewno pomoże.

- Wiesz, jak prawić dziewczynie komplementy. - Właściwie to kombinezon z maską gazową bardzo by się przydał. Gdyby zapięła go pod szyję, zakryłaby i twarz, i usta.

- Wybacz, skarbie. Ale zdaje mi się, że kiepsko spałaś.

- W ogóle nie spałam. - Tilly spędziła pół nocy na przewracaniu się z boku na bok, a drugie pół na oglądaniu wschodu słońca. To, że był przepiękny czerwcowy poranek, przypomniało jej tylko o własnym nieszczęściu. Około siódmej delikatna mgła zniknęła, powietrze zrobiło się przejrzyste, a niebo nabrało idealnie błękitnego koloru. W gałęziach drzew śpiewały ptaki. Gdzieś nad nimi Kaye i Parker lecieli do Nowego Jorku, aby zacząć nowe, wspólne życie.

Za to ona, Tilly, utknęła tu ze swoim starym życiem - coraz trudniejszym do zniesienia.

- Ty i Kaye naprawdę się zaprzyjaźniłyście, prawda? Wszyscy będziemy za nią tęsknić. Chociaż nie spodziewałem się, że zniesiesz to gorzej od Lou. Nie martwiła się zbytnio, kiedy odwoziłaś ją do szkoły?

- Nie, była wesolutka jak skowronek. - Tilly uśmiechnęła się na wspomnienie, Lou, która poprosiła, by wysadzić ją przed bramą, bo chciała pójść do szkoły razem z Cormakiem. - Już się cieszy na myśl o wizycie u Kaye i Parkera w Nowym Jorku.

- To dobrze. Okej, ja jadę. A nie, czekaj, prawie zapomniałem. - Max pogrzebał w kuchennej szufladzie i wyjął stamtąd klucz. - Miałem go wczoraj dać Jackowi, to klucz do domu przy Devonshire Road. Możesz mu go podrzucić, zanim zrobisz resztę rzeczy?

Jack. Naprawdę nie była w nastroju, żeby się dzisiaj z nim spotykać.

- A ty nie możesz?

- Masz po drodze, a ja jadę w przeciwnym kierunku. Jesteś chora? - spytał Max z troską.

Tilly bezradnie opuściła ramiona. Oczywiście, że nie była chora. Z wyrzutami sumienia pokręciła głową.

- Nie.

- Jacka nie ma w domu, dzwoniłem tam już dzisiaj. Musisz tylko wrzucić klucz do skrzynki na listy. Bóg jeden wie, gdzie się podziewa - rzucił lakonicznie. - Komórkę też wyłączył.

Jak dla Tilly to była jasna informacja - ale też czegoś innego mogła się spodziewać? Przynajmniej oznaczało to, że nie musi spotykać się z Jackiem twarzą w twarz. Wzięła więc klucz i powiedziała:

- Dobra, podrzucę go.

Max wyszedł, zabierając ze sobą Betty, ponieważ Petersonowie z Malmesbury uwielbiali psy. Tilly wsadziła klucz do domu przy Devonshire Road do tylnej kieszeni dżinsów, włożyła srebrne japonki i poszła do samochodu. Najpierw miała zamiar załatwić sprawę u Jacka, a potem podjechać na Rowell Street w Cheltenham, żeby urządzić piekło elektrykom.

Brama była zamknięta, a podjazd pusty. Dzięki Bogu Jacka wciąż nie było. Tilly wyskoczyła z auta i otworzyła prawą część bramy. Co prawda wybiła dopiero dziewiąta trzydzieści, ale słońce operowało mocno i biała koszulka przykleiła się jej do pleców. Tilly dotarła do drzwi frontowych i wepchnęła klucz do skrzynki. Dobra, załatwione. Teraz elektrycy. *O matko...*

Jak zwykle złośliwy los sprawił, że na podjazd wjeżdżał właśnie samochód Jacka. Tilly zamarła. Jack wysiadł, otworzył bramę na oścież, z powrotem siadł za kierownicą i przejechał kawałek. Odległość między samochodem a słupkami wjazdowymi była zbyt mała, aby się prześlizgnąć, więc jedynym sposobem ucieczki był skok przez wysoki mur. Przez chwilę Tilly rozważała tę możliwość.

Ale nie, w końcu nie była włamywaczem. Ani tym bardziej gimnastyczką - w życiu nie przeskoczyłaby muru, nie łamiąc sobie przy tym kostek. Zamiast tego stała więc przy drzwiach, czekając, aż jaguar minie bramę, co już pozwoliłoby jej przemknąć do własnego auta i zwać. Jack jednak zatrzymał się w pół drogi, blokując jakiegokolwiek wyjście. Przypadkiem czy celowo? Puls Tilly rósł jak szalony, wybijając prawie dyskotekowy rytm.

- Ty do mnie? - Po raz drugi Jack wysiadł z samochodu. Miał na sobie wczorajsze ubranie: ciemnoszare spodnie oraz koszulę w niebieskie i białe paski. Nie ogolił się. O czym to świadczyło?

- Wrzuciłam do skrzynki klucz do domu przy Devonshire Road. Max zapomniał dać ci go wczoraj. - Obchodząc mężczyznę szerokim łukiem, dodała: - Jeśli możesz, przestaw samochód, bo muszę pojechać do Cheltenham.

- Ja nie gryzę - zauważył.

- Wiem! Po prostu się śpieszę, nic więcej. - Jack był daleko, ale nawet na otwartej przestrzeni wciąż czuła nieszczęsny czosnek, jak daleko mogą się przemieścić te piekielne opary?

Jack potarł dłonią kłującą brodę i popatrzył na ziemię. Potem podniósł wzrok, spojrzął na Tilly i powiedział:

- Dopiero teraz przyjechałem do domu.

- Zauważyłam. - Jak zwykle najbardziej irytujące było to, że Jack mimo zmęczenia, wymiętoszenia i braku snu był przystojny jak diabli.

- Nie zapytasz mnie, gdzie byłem?

Równie dobrze mógłby ją spytać, czy ma ochotę wbić sobie w oko widelec. Tilly bardzo starała się mówić obojętnym tonem.

- Nie wiem. A gdzie byłeś? - *Proszę, tylko nie zacznij opowiadać o dziewczynie z nogami modelki...*

Jack stał w miejscu, wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

- Byłem u matki Rose - mówił spokojnie. - I u jej ojca.

Akurat tego nie spodziewała się usłyszeć. Zupełnie zbita z tropu Tilly rzuciła tylko:

- Aha.

- Wczoraj po południu pojechałem do Walii. Musiałem się z nimi spotkać. - Wzrok Jacka był wbity w jeden punkt. - Dlatego, że mi nie ufasz. Nie chcesz uwierzyć w to, co mówię o swoich uczuciach do ciebie. I pewnie nie mogę cię za to winić, biorąc pod uwagę moją opinię. Ale wczoraj, kiedy nawet nie chciałaś się do mnie odezwać, zdałem sobie sprawę, że muszę udowodnić ci, jak poważnie traktuję nasze relacje. Dlatego pojechałem do Bryna i Dilys. - Zawahał się. Mięsień w szczęce drżał mu nerwowo. - Razem odwiedziliśmy grób Rose. Potem poprosili, żebym został na kolacji. A po kolacji powiedziałem im, że poznałem pewną dziewczynę...

Tilly zdawało się, że ktoś usunął jej ziemię spod nóg niczym obrus ze stołu. Stała na własnych nogach, ale nie miała pojęcia jakim cudem.

- I nie wiedziałem, jak zareagują. - Jack kręcił głową. - Ostatnie, czego chciałem, to ich zdenerwować. Rozumiesz mnie? Ale okazali się cudowni. Dilys powiedziała, że bardzo się cieszy i że czekali, aż to się wydarzy. A Bryn dodał, że są ze mnie dumni, a Rose chciałaby, żebym poznał kogoś takiego.

Teraz ziemia pod nogami Tilly zaczęła drżeć. Doszły do tego zawroty głowy i strużka potu ciekąca po plecach.

- Wtedy zrobiło się trochę dziwnie, bo musiałem im opowiedzieć, że rzeczy nie idą dokładnie po mojej myśli - mówił Jack. - Ale bardzo mnie wspierali. Bryn powiedział nawet, że może napisać mi referencje. Wiesz, to wspaniałe małżeństwo. Zadawali mi mnóstwo pytań na twój temat. O pierwszej jeszcze gadaliśmy, dlatego zostałem na noc. - Zamilkł. Jego oczy błyszczały w świetle słońca. - Zgodzili się ze mną. Twierdzą, że ty i Rose świetnie byście się dogadały.

Tilly nie mogła mówić. Zrobiła krok w tył, chroniąc się w cieniu morwy. Tu było mniej gorąco.

- Przyjechałem z Walii dopiero teraz. Z błogosławieństwem rodziców Rose. - Jack skinął głową w kierunku swojego auta. - Oraz z wielką pieczoną szynką, tuzinem walijskich ciasteczek i bochnem chleba. Czy to wystarczy, by przekonać cię, że mówię poważnie?

Tilly na chwilę zamknęła oczy. Chciała mu wierzyć, oczywiście, że tak. Ale kto jej obieca, że za tydzień Jack nie zmieni zdania? Może po prostu zaangażował się, bo była jedyną, której nie mógł odhaczyć na swojej liście?

Kiedy otworzyła oczy, Jack zbliżał się do niej. O matko... Znów zrobiła krok do tyłu i wpadła na drzewo.

- A więc wciąż cię nie przekonałem. - Kręcił z niedowierzaniem głową. - W porządku, przejdziemy do planu B.

- Nie! - Tilly uskoczyła w bok i z przerażeniem zasłoniła dłonią usta. - Proszę, nie...

- Przestań, proszę cię. Nie jestem aż taki straszny. - Ze zdziwieniem zmarszczył czoło.

- Nie o to chodzi. - Piekielnie zawstydzona Tilly zwiesiła głowę i wymamrotała: - To przez czosnek.

- Co? Nie słyszę cię. Mów głośniej.

Usiłowała mówić, używając tylko kącika ust.

- Śmierdzą czosnkiem.

- Nieprawda. - Jack zbliżył się jeszcze bardziej. Był już tak blisko jej twarzy, zdecydowanie w strefie zagrożenia. - Nic nie czuję.

- Śmierdzą. Max powiedział mi dziś rano. I musiałam zawozić Lou do szkoły z otwartymi oknami w samochodzie. Sama to czuję. - Prawie paliła się ze wstydu. - Naprawdę paskudnie. Jack zaczął się uśmiechać.

- W takim razie dobrze, że wczoraj wieczorem zjadłem kolację z Dilys i Brynem. Jagnię

nadziejane czosnkiem. Podawane z pieczonymi ziemniakami z sosem czosnkowym, bo je uwielbiam. - Podeszedł jeszcze o krok i spytał: - Ja też śmierdzę?

Mimo wszystko Tilly także się uśmiechnęła.

- Nie mam pojęcia. Nic nie czuję.

I o to chodziło. Oboje cuchnęli, więc niczego innego nie czuli. Niezła sztuczka. Przez dłuższą chwilę stali razem w milczeniu pod drzewem, patrząc sobie w oczy. Tilly czekała, aż Jack ją pocałuje. Niestety, nic takiego nie nastąpiło.

- Czy to jest plan B? - spytała w końcu.

- Nie. Plan B to miały być oświadczyzny.

No tak, teraz ziemia zupełnie zapadła się pod stopami Tilly. Palcami złapała się chropawego pnia drzewa.

- Nie wydaje ci się, że to dobry dowód na to, iż mówię poważnie? - zapytał.

Rany boskie, czy to jakieś narkotyczne halucynacje? Czy ktoś wrzucił coś wczoraj do sosu majonezowego? Drżąc na całym ciele, odparła:

- To jakieś szaleństwo.

- Nie? Nie masz dość? Aha, wciąż mi nie ufasz, bo myślisz, że dzisiaj mówię to, a za tydzień powiem zupełnie coś innego i wszystko odwołam. Racja. - Jack uśmiechnął się oczami. - Czyli wprowadzamy w życie plan C.

- Jaki plan C? - wymamrotała Tilly, kiedy Jack uwolnił jej palce od drzewa i zamknął jej lewą dłoń w swojej prawej. Czekając, aż zaprowadzi ją do domu, zdziwiła się, że zamiast tego ruszył przez bramę. Ponieważ jaguar wciąż stał na środku, ledwie się przecisnęli. Jack zamknął auto, a potem pociągnął Tilly w dół ulicą.

- Dokąd idziemy? - spytała bez tchu.

- Zaczekaj, to zobaczysz. - Jack pomachał wolną ręką do jakiegoś starszego pana pielącego róże przy domu obok. - Cześć, Ted, chciałem ci przedstawić dziewczynę, którą właśnie poprosiłem o rękę.

Co?

Ted wyglądał na równie zaskoczonego.

- Naprawdę? W takim razie... cóż, doskonale. Dobra robota, kolego.

- O rany, o rany! - piszczała Tilly, kiedy podążali dalej.

- Witam, pani Ellis, jak się pani ma? - Wesoło witając staruszkę wyprowadzającą pekińczyka, Jack oznajmił: - To jest Tilly, moja przyszła żona, mam nadzieję!

- Jack! - Pani Ellis zatrzymała się w pół kroku, prawie urywając psu głowę. - Mój Boże, to cudownie! Nie miałam pojęcia!

- Czy to jest plan C? - spytała Tilly, kiedy zbliżyli się do High Street.

- Jeszcze nie. - Jack poprowadził ją przez ulicę i zawołał do dwóch nastoletnich chłopaków na rowerach. - Hej, wiecie co? Właśnie oświadczyłem się tej dziewczynie!

Chłopcy odwrócili się i posłali mu wyniosłe spojrzenie. Wyższy rzucił tylko z uśmiechem:

- Cienias!

Tilly kręciła głową.

- Dobrze już, przestań. W końcu cię aresztują.

- O, jest Declan! Hej, Declan! - Jack wrzeszczał na całą ulicę: - Poznaj moją przyszłą żonę!

Declan zamarł na chwilę, po czym pomachał wyimaginowaną szklanką w stronę Tilly, chowając się za Jackiem.

- Ile on wypił, skarbie?

- Nic nie piłem! Właśnie otrzeźwiałem. No chodź. - Jack ścisnął dłoń Tilly i ciągnął ją dalej. - Idziemy.

Następny był sklep Erin. Wpadli do środka, zaskakując nie tylko Erin, ale także krągłą

brunetkę, która właśnie przymierzała wiśniową balową suknię bez ramiączek.

- Jack! Kopę lat! - wykrzyknęła brunetka, wyraźnie podekscytowana. - Jak się miewasz?

- Od dawna nie czułem się lepiej. Właśnie poprosiłem Tilly, żeby za mnie wyszła.

- Słucham? - Erin otworzyła usta z niedowierzaniem.

Za to brunetka sapnęła głośno. Popatrzyła na Jacka, jakby właśnie wyrosła mu druga głowa.

- Żenisz się?

- Cóż, jeszcze nie powiedziała „tak”. - Uśmiechnął się. - Życie mi szczęścia. Ładna sukienka - dodał przez ramię, wyciągając Tilly ze sklepu. - Dobra, plan C.

- Powinam teraz pracować. - Rany, dokąd on ją zabierał? Nieco nieprzytomnie, powiedziała jeszcze: - Będę miała przez ciebie kłopoty.

- Maksa biorę na siebie.

Gdy doszli do sklepu jubilerskiego, Jack zatrzymał się i zadzwonił, by wpuszczono ich do środka. To, że trzeba było nacisnąć dzwonek, aby wejść do tego sklepu, sprawiło, że Tilly nigdy nie odwiedziła najdroższego w Roxborough jubilera. Kiedy dotarło do niej, po co tu przyszli, cofnęła się.

- Jack, przestań, proszę, to jakieś szaleństwo.

Ktoś nacisnął brzęczyk, drzwi otworzyły się, a Jack powiedział:

- To jest plan C. Chcę, abys ty i wszyscy inni wiedzieli, że mówię poważnie. Ale ostrzegam...

- Że co?

- Nie ma planu D.

Wewnątrz sklepu profesjonalne reflektory oświetlały błyszczące gabloty ze starą oraz nowoczesną biżuterią. Dywany były miękkie i miłe w dotyku, ściany obite dębową boazerią, a nawet jeśli cuchnące oddechy Jacka i Tilly naruszyły tę atmosferę sanktuarium, to Martin Montgomery był zbyt dobrze wychowany, by dać to po sobie poznać.

Dwadzieścia minut później, drogą eliminacji (i bez pokazywania cen) panu Montgomery'emu udało się ograniczyć wybór pierścionków do dwóch. Kolorowe kamienie odrzucili od razu. Potem wszystkie sztuki ze zbyt dużą liczbą kamieni. Zrezygnowali także z klasycznego złota na rzecz platyny. Pozostały dwa pierścionki z pojedynczymi diamentami: oba wyglądały oszalamiająco, a odbijające się w nich światło tworzyło tęczowe refleksy. Tilly z wrażenia prawie przestała oddychać. Pierwszy kamień miał kształt kwadratu i szlif princess cut, drugi był owalny z poduszkowym szlifem. Bardziej podobał jej się ten kwadratowy - był bardziej niezwykły, ale zarazem zdecydowanie większy. Co oznaczało, że powinna wybrać mniejszy, ponieważ sama myśl o tym, ile tysięcy funtów kosztuje taka biżuteria, przyprawiała Tilly o atak paniki. Nic dziwnego, że przed gablotami stały eleganckie złote krzesła - klienci, widząc metkę z ceną, mieli na co opaść, kiedy z wrażenia mdleli i padali z nóg.

Tilly spojrzała na Martina Montgomery'ego i spytała:

- Czy jeśli on za tydzień zmieni zdanie i będzie chciał zwrócić pierścionek, odda mu pan całą kwotę?

- Hm... - Sprzedawca nie kwapił się, by odpowiedzieć.

- Nie zmienię zdania. - Jack położył na dłoni oba pierścionki. - No dalej, który wybierasz?

Naturalnie ten wielki kwadratowy. Kształt idealnie pasował do dłoni Tilly. Nigdy w życiu nie widziała nic piękniejszego.

- Wolę ten owalny.

Jack podniósł brew.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. - Tilly ogarnęło rozczarowanie. Zresztą zupełnie bez sensu, bo owalny pierścionek był drugą w kolejności najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziała.

- Nie mówisz tak tylko dlatego, że jest tańszy?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- Bo wcale nie jest.

Nie jest? Adrenalina uderzyła Tilly do głowy. Zwróciła się do sprzedawcy.

- To prawda?

Jubiler uśmiechnął się i skinął głową.

- Widzi pani, jeśli weźmiemy pod uwagę barwę i czystość kamienia, ten pierścionek rzeczywiście jest...

- Dobrze! - Przerywając mu, by nie zaczął znów bredzić o kolorach, szlifach i czystości, Tilly porwała wymarzony pierścionek i wykrzyknęła z radością: - W takim razie biorę ten!

- Nie dlatego, że jest tańszy? - Jack nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie! Jest piękny!

- To dobrze. Mnie też się podoba. W takim razie ustalone. Martin, weźmiemy ten.

Kiedy Jack odebrał od Tilly pierścionek i powoli, z namaszczeniem, włożył go na serdeczny palec jej lewej dłoni, poczuła, że łyzy napływają jej do oczu. Teraz wiedziała, że mówi poważnie. Najzupełniej poważnie.

Martin Montgomery dyskretnie zajął się układaniem drugiego pierścionka w gablocie. Jack przycisnął Tilly do siebie i pocałował ją w usta. Boże, ależ cudownie to robił!

Potem wyszeptał jej do ucha:

- A więc plan C zadziałał?

- Wiesz co? - Tilly pokręciła głową, nie dowierzając samej sobie. - Zadziałał!

Uśmiechnął się tajemniczo.

- A teraz zabiorę cię do domu.

Tilly aż drżała z niecierpliwości.

- Jeszcze nie zapłaciłeś za pierścionek.

Taktownie odsunęła się od lady, kiedy Jack wyjmował kartę kredytową z portfela i płacił. Potem prawie podskoczyła ze strachu, kiedy w jej kieszeni zadzwonił telefon.

- Ojej, to Max. - Nawet przytrzymanie komórki było dobrą wymówką, żeby podziwiać pierścionek błyszczący na jej dłoni.

- Daj, załatwię to. - Jack szybko przejął inicjatywę. - Cześć, Max - rzucił i włączył głośnik.

- Co się dzieje? - W głosie Maksa słyszeli zdziwienie. - Czemu odbierasz telefon Tilly?

- Jest tu ze mną. Właśnie poprosiłem, żeby za mnie wyszła. - Spojrzał z rozbawieniem na błyszczący klejnot. - I wygląda na to, że powiedziała „tak”.

Cisza. Tilly zaschło w ustach. Czekwała, aż Max wybuchnie śmiechem i wyskoczy z jakąś złośliwą uwagą. Zamiast tego spytał tylko po chwili:

- To ta jedyna?

Jack uściśnął dłoń Tilly i odparł:

- Tak.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Max i poprosił: - Daj mi ją do telefonu.

Wciąż drżącą ręką Tilly przejęła telefon.

- Cześć, Max.

- To jakaś pułapka?

- Nie, po prostu dziwny poranek.

- Co ty powiesz? Z tobą i Jackiem to poważna sprawa?

Zobaczyła, że Jack kiwa głową.

- Tak - odparła.

- O matko, nie nadażam. Chyba cały świat postradał zmysły. Wciąż dla mnie pracujesz?

- Tak! - Chociaż akurat nie w tej chwili.

- Gdzie jesteś?

- Hm, u jubilera.

- A więc nie widziałaś się z elektrykami?

Tilly mrugnęła nerwowo.

- Przepraszam, Max.

- Max? - wtrącił się Jack. - Kocham Tilly. Mam nadzieję, że ona też mnie kocha, choć jeszcze tego nie powiedziała. To dla nas wyjątkowy dzień. Dlatego mamy w nosie elektryków.

- Dobrze, powiedz jej, że sam sobie poradzę - skapitulował Max i spytał: - A więc w końcu się stało, co?

Jack znów ścisnął dłoń Tilly i spojrzał na nią tak, że cała się roz płynęła. Skinął głową i uśmiechnął się.

- Tak, w końcu.

- Najwyższy czas. I chyba naprawdę musisz ją kochać, skoro się oświadczyłeś. - Max zdawał się rozbawiony, ale także był pod wrażeniem. - Bo ta dziewczyna koszmarnie cuchnie czosnkiem.